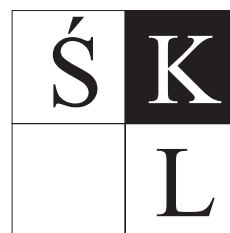


# ŚWIĘTOKRZYSKI KWARTALNIK LITERACKI

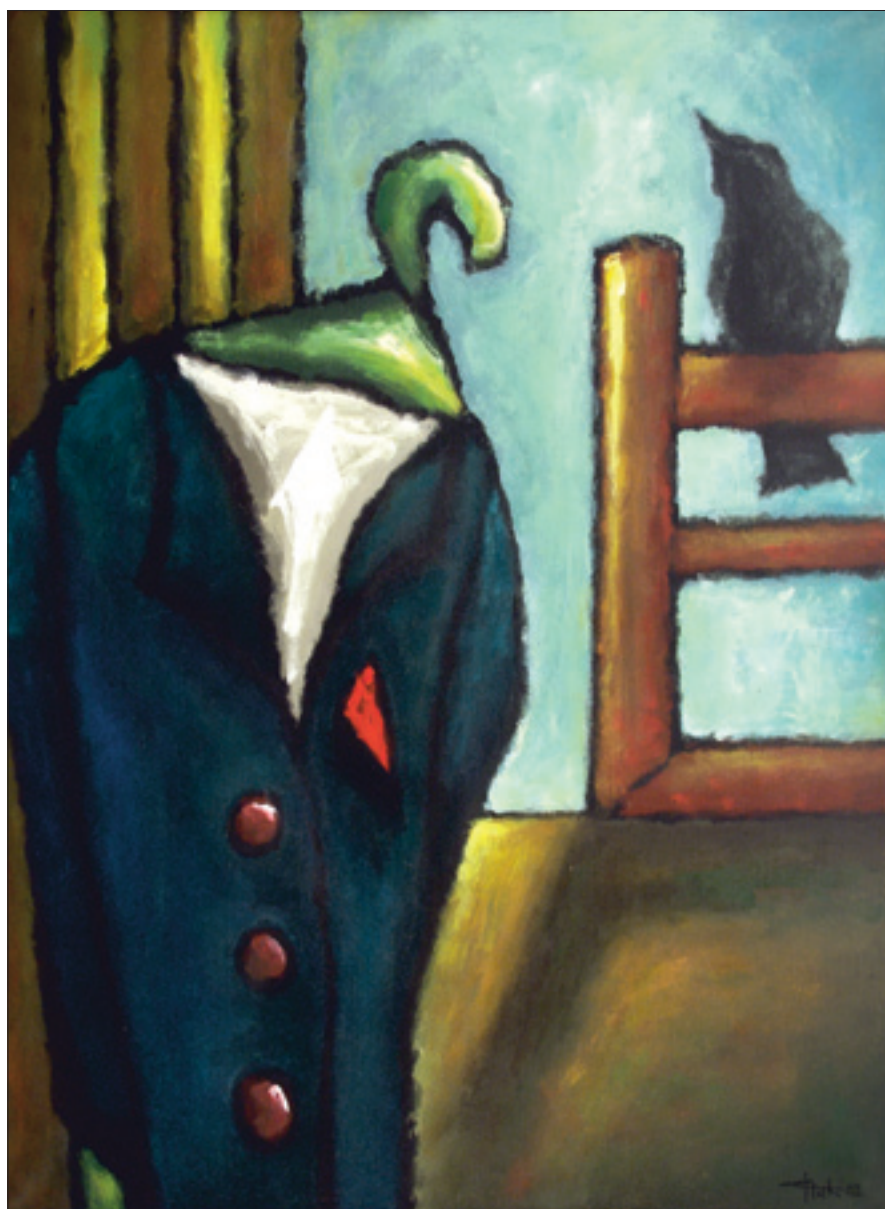


KIELCE 2017 NR 1-4 (55-58)

ISSN 1429-849-X

ISBN 978-83-7273-893-6

NAGRODZONY PRZEZ MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA ŚWIĘTOKRZYSKIEGO  
*Literatura – kieleckim sztandarem (Dziękuję Kunciewicz)*



Bogdan Ptak: *Cień jest dowodem istnienia*, akryl, płótno, 83 x 68 cm



## Uzdrowisko Busko-Zdrój S.A.

28-100 Busko-Zdrój, ul. Rzewuskiego 1

**Rezerwacja Pobyków Pełnopłatnych** tel. 41 370 38 00  
e-mail: rezerwacja@ubz.pl



*Sanatorium MARCONI*



*Uzdrowski Szpital Kompleksowej Rehabilitacji  
KRYSTYNA*



*Specjalistyczny Szpital Ortopedyczno-Rehabilitacyjny  
GÓRKA*

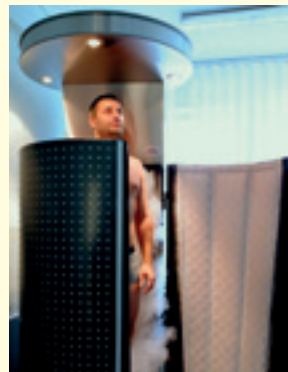
Od blisko 200 lat skutecznie wspomagamy leczenie schorzeń: ortopedyczno – urazowych, reumatologicznych, neurologicznych, kardiologicznych, dermatologicznych oraz rehabilitujemy Pacjentów z rozpoznaniem dziecięcego porażenia mózgowego.

Naszymi największymi bogactwami są unikalna w świecie lecznicza woda siarczkowa oraz solanka jodkowa, a także produkowana od 1960 roku naturalna woda mineralna „Buskowieńka - Zdrój”.

Proponujemy leczenie uzdrowskie pełnopłatne i w ramach kontraktu z Narodowym Funduszem Zdrowia - sanatoryjne, szpitalne, ambulatoryjne oraz



*Minibasen solankowy*



*Kriosauņa ogólnoustrojowa*



*Rehabilitacja indywidualna*

# Źródło Zdrowia i Wypoczynku

[www.uzdrowiskobusko.pl](http://www.uzdrowiskobusko.pl)



Sanatorium MIKOŁAJ



Sanatorium OBLĘGOREK



Sanatorium WILLA ZIELONA

turnusy rehabilitacyjne. Dbamy o najwyższe standardy obsługi naszych Gości, którzy skorzystać mogą z gamy ponad 80 rodzajów zabiegów leczniczych, wzbogaconych o propozycje z zakresu Spa & Wellness. Zapewniamy opiekę wysoko wykwalifikowanej kadry lekarskiej, pielęgniarstwa i fizjoterapeutów. Na miejscu istnieje możliwość konsultacji specjalistycznych, a także wykonania badań analitycznych i diagnostycznych. W ramach Uzdrowiska Busko-Zdrój S.A. funkcjonują cztery sanatoria oraz dwa szpitale.

Doskonałym uzupełnieniem kuracji jest linia „Słonecznych Kosmetyków”. Te unikalne produkty pielęgnacyjne przygotowane zostały w oparciu o naturalne substancje lecznicze Uzdrowiska.



Rehabilitacja w basenie



Kąpiel siarczkowa

## OD REDAKCJI

S. Nyczaj: Jak najszerzej współdziałajmy! ..... 6

## Z TRADYCJI

F. Rusak: Rzekomy wizerunek Derśława ..... 9  
 Tajemnica wiślickiej „misy chrzcielnej” ..... 10  
 B. Kępińska: Kwiaty niesłusznie zapomnianemu ..... 12  
 K. Cel: Litewskie drogi *Potopu* ..... 13  
 B. Gumowski: Czytanie *Wesela* w Radiu Kielce ..... 14  
 J. Termer: Pośmiertny tryumf Bolesława Leśmiana ..... 16  
 K. Cel: *Do Białego* ..... 19  
 S. Nyczaj: *Mój wąż* ..... 19

## WSPOMNIENIA

A. Piskulak o J. Korey-Krzeczowskim ..... 20  
 H. Kawiorski, S. Nyczaj, E. Marciniak o H. Obcowskim  
 i L. Marcińcu ..... 24  
 S. Nyczaj o Z. Leoniaku ..... 29  
 L. Dembek, E. Tesz, S. Nyczaj, B. Gniazdowska  
 o E.M. Wojtasik ..... 31

## ROZMOWY

Rozmowa S. Nyczaja z L.J. Okoniem ..... 37  
 Rozmowa S. Nyczaja z J. Chruślińskim ..... 41  
 Jubileusz 80-lecia urodzin Jana Chruślińskiego ..... 46  
 Plebiscyt „Buskowiec Roku” ..... 48  
 Zapis spotkania z J. Danielem ..... 49  
 Rozmowa A. Piskulaka z A. Nowakiem ..... 53  
 A. Sznajder o B. Kępińskiej ..... 56  
 B. Kępińska: Gorące wrażenia z chłodnej Finlandii ..... 57

## TWÓRCZOŚĆ – ESEJE – RECENZJE

Rzecz(nie)pospolita poetów – Poezja nad Silnicą 2017... 62  
 S. Nyczaj: Pomost literacki Kielce–Rzeszów ..... 67  
 II plener literacko-plastyczny na żeromszczyźnie ..... 68  
 Plener literacko-plastyczny – Rzeszów 2017 ..... 69  
 Patronując jubileuszowi (wiersze poetów z Oddziału  
 Rzeszowskiego: A. Decowskiego, R. Mścisz, M.A. Łypa,  
 M. Żureckiej, W. Turka, T. Paryny) ... 73  
 Twórczość artystów z Galerii „Zielona” w Busku-Zdroju ... 75  
 E. Musiał o tomiku Z. Antolskiego ..... 79  
 J. Babiarczyk: wiersze ..... 80  
 E.D. Białek: Czego nauczyłam się w Ciekotach... ..... 81  
 R. Bielenda: wiersze ..... 83  
 S. Nyczaj o poezji R. Bielendy ..... 84  
 A. Błachucka: *Szachulec* (opowiadanie) ..... 85  
 I. Paździerz w rozmowie z A. Błachucką ..... 88  
 A. Błachucka o *Wnucku* W. Kłaczyńskiego ..... 89  
 J.Z. Brudnicki: *Jeździłto uciekających domów* (fragm.) ... 90  
 K. Cel: wiersze ..... 93  
 K. Cel o powieści B. Wiłkomirskiego i dramatach  
 W. Kłaczyńskiego ..... 94  
 Jubileuszowy tom Stefana Jurkowskiego ..... 96  
 K. Cel o twórczości K. Guranowskiej-Stolarz ..... 97  
 J. Chruśliński: *Złapcie go...* (fragm. powieści) ..... 98  
 B. Gumowski: *Anna* (fragment) ..... 100  
 S. Jurkowski: wiersze ..... 102  
 B. Koział: wiersze w j. polskim i bułgarskim ..... 103

J. Lechicki: wiersze ..... 104  
 Monika Mazur-Mitrowska: wiersze ..... 105  
 E. Musiał: wiersze w j. polskim i bułgarskim ..... 106  
 W. Nowik-Pala o poezji T. Nietykszy ..... 107  
 I. Nyczaj: haiku ..... 109  
 A. Petruszewicz: wiersze ..... 110  
 U. Przyboś: wiersze w j. polskim i bułgarskim ..... 111  
 W.M. Rak: haiku ..... 112  
 K. Ryk: wiersze ..... 113  
 J. Rzodkiewicz: wiersze ..... 114  
 D. Perier-Berska o spotkaniu autorskim J. Rzodkiewicz  
 D. Skalska: *Kot* (opowiadanie) ..... 116  
 M.A. Spychaj: *W pogoni za szczęściem* (opowiadanie) . 119  
 E.D. Białek o esejach Kazimierza Szczykutowicz ..... 121  
 T. Sznerch o IX plenerze w Międzyzdrojach ..... 122  
 E. Tesz: *Bukiety* (opowiadanie) ..... 123  
 B. Wiłkomirski: *Piekło w dolinie Pandzu* (fragment) ..... 125  
 M. Włodno: wiersze ..... 128  
 B. Wrońska: wiersze ..... 129  
 Sz. Wroński: *Bitwa* ..... 129  
 A. Zielińska-Brudek: *Nie spóźnij się, tato* (opow.) ..... 131  
 I. Zielińska-Zamora: *Siostry* (fragment powieści) ..... 135  
 I. Żukowska-Rumin: wiersze ..... 136

## NOTY

A. Klonowska o nagrodzie dla Ireny Paździerz ..... 137  
 Grupa Literacka „Wiklina” o uczczeniu pamięci  
 Leopolda Staffa ..... 138  
 Andrzej Piskulak – trzykrotnie nagrodzony ..... 140  
 Noty o buskich artystach z Galerii „Zielona” ..... 142  
 Nowości wydawnicze ..... 145



Kolaż: Irena Nyczaj

# ŚWIĘTOKRZYSKI KWARTALNIK LITERACKI

ISSN 1429-849-X  
KIELCE 2017 NR 1-4 (55-58)



Wydawca: Związek Literatów Polskich – Oddział w Kielcach  
Adres redakcji: 25-009 Kielce, ul. Zamkowa 5

Numer przygotowany dzięki finansowej pomocy  
Uzdrowiska Busko-Zdrój S.A., Sanatorium „Włókniarz”  
i Zakładu Metalowo-Kotlarskiego SAS  
przy współudziale Oficyny Wydawniczej „STON 2”  
oraz Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Witolda Gombrowicza w Kielcach

Redaguje Zarząd Kieleckiego Oddziału ZLP  
STANISŁAW NYCZAJ – prezes, redaktor naczelny  
BEATA KĘPIŃSKA – sekretarz,  
BENEDYKT KOZIEŁ – wiceprezes, JAN LECHICKI – wiceprezes  
KRYSTYNA CEL – skarbnik

Konsultacja: STEFAN JURKOWSKI

Korekta: IRENA NYCZAJ  
Opracowanie komputerowe: PAWEŁ NYCZAJ

Redakcja dziękuje autorom za nieodpłatne przekazanie utworów i artykułów do publikacji.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych; zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów, a także zamieszczania fragmentów dłuższych utworów.  
Zdjęcia niepodpisane pochodzą z archiwum „ŚKL”.

(Z wywiadu Piotra Kuncewicza dla „Ikara” – 1999, nr 9)

Stanisław Nyczej

## Jak najszerszej współdziałajmy!

Przypominam te słowa Piotra Kuncewicza (1936–2007) – które mogłyby stać się hasłem-szyldem naszych spotkań literackich z czytelnikami – w 10. rocznicę jego śmierci. Wypowiedziane w rozmowie ze mną (z okazji 15-lecia Kieleckiego Oddziału ZLP) dla „Ikara”, miesięcznika kulturalno-artystycznego wychodzącego w Kielcach do kwietnia 2003 z ośmioma stronami (*sic!*) dla prezentacji i promocji literatury.

W 1989 został wybrany prezesem Zarządu Głównego ZLP, później na drugą i trzecią kadencję. Powołał mnie z którąś nową (w 2000) do Prezydium ZG i mogłem z bliska nie tylko przyglądać się, lecz i uczestniczyć w zmaganiach o ratowanie stanu posiadania i pozycji Związku w permanentnym procesie degradacji polskiej kultury – paradoksalnie, wobec jej zapaści, nazywanej w odniesieniu do jej odmiany literackiej „wysoką”. Procesie powodującym w konsekwencji deprecjację środowiska i zarówno materialnego jak i społecznego statusu pisarza. Podczas mozolnych debat o przetrwanie i kolejnego zrywu na Warszawską Jesień Poezji odpalał z emocjonalnej troski papierosa od papierosa. Łagodził konflikty wywoływane zwłaszcza przez starszych zacietrzewionych w egoistycznej zapiekłości kolegów z SPP.



**Działal z rozsądną argumentacją na rzecz połączenia obydwu organizacji** – w pewnym okresie stało się to wręcz jego obsesją – by w jedności wspólnych i n t e r e s ó w stawić czoła n ę k a j ą c y m środowisko



problemom. Jednym frontem występować wobec władz o zwiększenie liczby stypendiów twórczych (postulowanych także w regionach), nagród za osiągnięcia twórcze (skoro nie ma funduszy na godziwe honoraria), o wydatniejsze wsparcie dla medialnej promocji współczesnej literatury, dofinansowanie bibliotek nie tylko na rzecz zakupów, ale i akcji spotkaniowych, bez których pisarz traci bezpośredni kontakt z czytelnikami. Udręka ciągu bezowocnych starań, niespełnianych obietnic deklarowanych przez polityków odwiedzających warszawski Dom Literatury wpędzała w traumę rozczarowania. Potem już chodziło tylko po prostu o utrzymanie skromnego *status quo*.

W wywiadzie dla „Ikara” Piotr Kuncewicz wyznał szczerze i dobitnie, że sytuacja Związku nie jest dobra, podobnie jak całej kultury. „Zmieniły się zasady funkcjonowania kultury. Z literackiej na obrazkową, telewizyjną. Całe środowisko literackie w skali ogólnokrajowej ma olbrzymie trudności, zмага się z wręcz prozaicznymi kłopotami na co dzień. I właściwie nie znajdujemy dla ich rozwiązywania sojusznika. [...] Mam nadzieję, że mimo kłopotów finansowych nie utracimy Domu Literatury przy Krakowskim Przedmieściu. Że nadal będą funkcjonowały domy pracy twórczej w Oborach pod Warszawą i w Zakopanem. Trudności narastają. Tak naprawdę nie wiadomo,

co się stanie. [Niestety, nie ma już dpt w Oborach, gdzie Piotr lubił robić wyjazdowe posiedzenia Prezydium – SN]. W tej sytuacji cieszę się ogromnie, że oddział kielecki wykazuje się prężnością. Przy obecnych uwarunkowaniach społecznych i kulturalnych praca musi się opierać na oddziałach. [Jednak zwłaszcza nowe ekonomiczne wymogi sprawiły, że obecnie wiele spośród dwudziestu oddziałów podupada – SN]. Kielce mają tak ogromne tradycje literackie, że to literatura jest formalnie kieleckim sztandarem. Tradycje Reja, Kochanowskiego, Żeromskiego, Sienkiewicza (a można by jeszcze dopowiedzieć np. Dygasińskiego, Gombrowicza, Herlinga-Grudzińskiego – SN] przecież muszą zobowiązywać władze lokalne i do pomocy żyjącym dzisiaj twórcom”.

Dziś nasz ponad 50-osobowy oddział, egzystując w miarę bezpiecznie, jako drugi po Oddziale Warszawskim skromnymi kwotami z obowiązkowych składek członkowskich (gdzie indziej słabiej wyjednywanych) rokrocznie wspomaga należnie Zarząd Główny Związku. Choćby z myślą o ogólnozwiązkowej przecież Warszawskiej Jesieni Poezji, którą inaugurujemy od lat z początkiem drugiej dekady października galą świętokrzyskich poetów przy pełnej sali.

O **możliwym współdziałaniu** zwaśnionych – dziś już całkiem dla większości członków bezsensownie – obu organizacji pisarskich (o jakim mówił cytowany Piotr Kuncewicz i za którym opowiada się też zdecydowanie obecny długoletni prezes ZLP Marek Wawrzkiwicz), **choćby na małą skalę zespólną do współpracy energią**, wypowiadam się tu – na sprawdzonym świetnym efektem przykładzie ze świętokrzyskiego kręgu twórców – pod koniec udzielonego Wiesławowi Łuce wywiadu. Zamieszczonego w jego nowo wydanej przez Adama Marszałka o niewielkim nakładzie książce *Bezradność wobec istnienia*. Promocja zbioru z udziałem 14. innych jeszcze rozmówców – Aldony Borowicz, Kazimierza Burnata, Bolesława Farona, Józefa Gawłowicza, Karla Grenzlera, Lecha Konopińskiego, Eugeniusza Kurzawy, Waldemara Michalskiego, Stanisława Nicieji, Waclawa Sadkowskiego, Eli Sidi, Ryszarda Ulickiego, Marka Wawrzkiwicza, Andrzeja Żora – odbyła się w warszawskim Domu Literatury 31 maja br. z udziałem studentów dziennikarstwa i wywołała gorącą dyskusję, ilustrującą przykładami paradoksalnych sytuacji negatywne skutki rozłamu w ogólnopolskim literackim środowisku.

Niewątpliwą dla nas korzyścią było nawiązanie przez nas współpracy z tłumaczami na kilka języków, włączenie się w serię „Mosty” Wydawnictwa Książkowego IBiS pod red. Aleksandra Nawrockiego (uczestniczyliśmy w kilku zaprezentowanych edycjach) i stworzenie wespół z Oficyną Wydawniczą „STON 2” serii dwujęzycznych wyborów poetyckich, głównie w j. polskim i bułgarskim; ukazały się wybory Benedykta Kozieta, Elżbiety Musiał i niżej podpisanego w przekładzie Łyczczara Seliaszki.

Ponadto w j. polskim i angielskim wyszedł mój poetycki wybór z przekładem Elżbiety Kwasowskiej-Jachimowskiej, w tłumaczeniu na francuski powieść Jana A. Borzęckiego *Mniszka* w przekładzie Joanny Wielickiej-Bodin, wybory wierszy Zofii Walas w tłumaczeniu na rumuński przez Valeriu Butulescu i na bułgarski przez Łyczczara Seliaszki oraz wiersze i opowiadania Elżbiety Chuchmały na włoski. Były też anonsowane we wcześniejszych numerach „ŚKL” antologijne wydania dwujęzyczne z naszym udziałem w j. polskim i białoruskim, polskim i rosyjskim. Wyjątkowym okazał się przekład wierszy Benedykta Kozieta na jakucki. Cieszą również internetowe publikacje przekładów wymienionych autorów oraz na j. rumuński utworów Jana Lechickiego. Dzięki tłumaczeniom bywamy czytani w kilku krajach nie tylko podczas udziału na okazjonalnych festiwalach, np. w Warnie, gdzie w dowód uznania za książkowe przekłady można dostąpić zaszczytu przyjęcia do Słowiańskiej Akademii Literatury i Sztuki.

Wracając do kraju i regionu, nasze współdziałanie na niwie literatury z władzami miast i gmin, domami, centrami czy klubami kultury, muzeami, galeriami, bibliotekami, szkołami i innymi placówkami oświatowymi, sanatoriami i ośrodkami wczasowo-rekreacyjnymi etc. jest rozległe i wynika przeważnie ze stałego kalendarza imprez okresowych. Po spotkaniu noworocznym, opracowaniu harmonogramu literackich wydarzeń i działań wydawniczych, otwiera ten kalendarz na dobre Świętokrzyska Wiosna Literacka (ze staszowskim epizodem Światowego Dnia Poezji UNESCO i plenerem literacko-plastycznym na Żeromszczyźnie, udziałem w Świącie Kielc), potem angażuje nas w profesjonalne dyskusje – nie tylko nad warsztatem – plenerowe Staszowskie Lato Literackie, po czym następuje Świętokrzyska Jesień Literacka (w bieżącym roku m.in. z pierwszym poniedziałkowym plenerem literacko-plastycznym



Piotr Kuncewicz w kieleckim Domu Środowisk Twórczych podczas promocji książki *Goj patrzy na Żyda* (2002)  
Fot. Jan Lechicki

w Busku-Zdroju, staszowskim epizodem już po raz piąty podczas X Festiwalu Poezji Słowiańskiej). Z bliżej nawiązywanych kontaktów międzyrodowiskowych zaczyna owocować współpraca z Rzeszowskim Oddziałem ZLP (obchodzącym 50-lecie działalności), któremu partneruje podkarpackie Regionalne Stowarzyszenie Twórców Kultury, mające oparcie w ogólnopolskim periodyku RSTK „Własnym Głosem” pod red. Pawła Soroki.

Zapowiedź pierwszego poniedziałniego pleneru literacko-plastycznego w Busku-Zdroju wskazuje, iż wiele będzie się działo w związku z naszą aktywną obecnością właśnie w przyjaznym nam od wielu lat buskim kurorcie, jego Powiatowym Ośrodku Doradztwa i Doskonalenia Nauczycieli, Miejsko-Gminnej Bibliotece Publicznej, Buskim Samorządowym Centrum Kultury, Galerii Zielonej, „Uzdrowisku” (z Sanatorium „Marconi”), Sanatorium „Włókniarz”, Sanatorium Wojskowym i innych placówkach. Henryk Kawiorski, Ewa Marciniak i ja wspominamy niedawno zmarłych poniedziałkich twórców-regionalistów: Leszka Marcińca i Henryka Obcowskiego. Z Buskiem jako miejscem urodzenia, dramatycznych i radosnych lat w różnych okre-



sach życia związany jest powieściopisarz, eseista i publicysta Jan Chruśliński, który tam obchodził niedawno jubileusz swego 80-lecia, nominowany do tytułu Buskowanina Roku, honorowany wszędzie z wielką atencją i serdecznością. W wydaniu „ŚKL”, wypytywany przeze mnie, opowiada m.in. o swym znaczącym sukcesie w Pierwszym Polskim Festiwalu Sztuki „Orzeł 2016”.

W dziale *Z tradycji* m.in. Beata Kępińska w 115. rocznicę śmierci Adolfa Dygasińskiego wyraża swój osobisty stosunek do wciąż żywego dla niej jego pisarstwa, Janusz Termer – do poezji Bolesława Leśmiana. Odrębnie, w rozmowie specjalnie dla „ŚKL”, przypominam wspaniałego, będącego z naszym środowiskiem w długoletniej współpracy, pisarza Longina Jana Okonia, autora m.in. niezapomnianych, wartych wznowienia powieści indiańskich.

To tylko przykłady retrospektywnych refleksji eseistycznych, wspomnieniowych i odnoszących się w rozmowach do ważnych najnowszych piarskich dokonań i problemów współczesnego życia literackiego.

W imieniu Zespołu Redakcyjnego i autorów ciekawych publikacji zapraszam do lektury.

*Stanisław Nyczaj*



## Rzekomy wizerunek Derśława

Jedną z najatrakcyjniejszych willi pensjonatowych w Busku jest tzw. Zamek Derśława, którego wyróżnikiem jest statuetka rycerza Derśława – najstarszego, znanego z imienia właściciela Buska.

O historii budynku można się było dowiedzieć z artykułu zamieszczonego w 9 numerze „Extra Powiśle” z 12 listopada 2009 r. Autor przeszedł losy willi, jej kolejnych właścicieli i użytkowników. Nie ustrzegł się jednak pomyłki przy opisaniu statuy rycerzyka będącego symboliczną podobizną żyjącego na przełomie XII i XIII wieku rycerza Derśława herbu Janina. Czytamy: „Zamówiono w Kielcach w prywatnym Zakładzie Odlewniczym statuę rycerza z XII w. Wykonany z brązu odlew ustawiono nad wejściem do budynku”. A wcześniej: „Wygląd zbroi rycerza i żelazna długa kolczuga, halabarda, szyszak, tarcza, wskazują na średniowiecze”.

Nic bardziej błędnego.

Autor rzeźby (nieznany z nazwiska) wykonał posązek bez zachowania realiów historycznych. Posązek jest jakby myślową syntezą rycerza, o czym świadczą zbroja, hełm, tarcza, miecz, halabarda – każde z innej epoki.

Prześledźmy uzbrojenie posągowego rycerza zaczynając od góry.

Głowę okrywa mu szyszak z XVI wieku z folgowym nakarczkiem właściwym szyszakom husarskim. Tors okrywa krótka, a nie długa kolczuga, na którą nałożona jest zbroja pełna, czyli landrowana. Widać wyraźnie napierśnik z wy-



datnymi górnymi krawędziami. Ręce osłaniają naramienniki, naręczniki, nałokcie i rękawice. Nogi okrywają nabiodrki, nakolanki, nagolennice i trzewiki. W prawej ręce trzyma halabardę wcale nie średniowieczną, lecz XVII-wieczną, pałacową. Warto zauważyć, że halabarda ma na wysokości uda rycerza uchwyt charakterystyczny dla kopii. Halabardy miały drzewce gładkie. Tarcza w niczym nie przypomina bojowej tarczy średniowiecznej, lecz dekoracyjną tarczę renesansową z wypukłym reliefem. U boku ma miecz, ale zakryty tarczą nie da się opisać.

Reasumując: postać domniemanego Derśława z werandy „Zamku Derśława” nic nie ma ze średniowiecza, a więc posąg jest ahistoryczny i anachroniczny.

Jakże więc mógł wyglądać prawdziwy Derśław?



Rycerze z XII i XIII w.

W tym czasie podstawowe zabezpieczenie rycerza stanowiła kolczuga, czyli sporządzony z kółek kombinezon okrywający ciało od stóp do głów. Na zbroję kolczą nakładano długą szatę,

a na nią jeszcze drugą zbroję tzw. lamelkową, czyli utworzoną z naszytych na skórę płytek metalowych, łączonych ze sobą rzemykami. Głowę chronił kaptur kolczy wyściełany czepcem z filcu. Na kaptur nasadzano stożkowy hełm zwany szyszakiem z osłoną na nos zwaną nosalem. Do obrony służyła trójkątna tarcza. Bronią ofensywną był miecz i włócznia. Z tego wynika, że rzeczywisty rycerz z XIII wieku diametralnie różnił się od buskiego Derśława.

Czy sprostowanie ujmuje w czymkolwiek rycerzowi z „Zamku Derśława”? Twierdzę, że nie. Rycerzyk wtopił się w buski krajobraz i śmiał twierdzić, że pełni podobną funkcję, jak Neptun w Gdańsku, skrzypek w Toruniu czy studnia trzech braci w Cieszynie.

Posądek skłania do zgłębiania historii Buska, a także do studiów nad dziejami oręża i uzbrojenia.

### Tajemnica wiślickiej „misy chrzcielnej”

Zbliżające się milenium państwa polskiego w 1966 roku zaowocowało wzmożonymi pracami badawczymi nad początkami naszego kraju. Zaobserwować można było intensyfikację prac archeologicznych, zwielokrotniono także edycje prac naukowych i popularnonaukowych dotyczących czasów przedchrześcijańskich i wczesnopiastowskich. Ekipy archeologiczne zawiąły także na Pomorzu. W końcu lat pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych ubiegłego wieku można było zaobserwować kilka stanowisk archeologicznych (Żerniki Górne, Stradów) oraz największe z nich w Wiślicy. Badania wiślickie okazały się najbardziej owocne, a nawet rewelacyjne. Po odkryciu po wschodniej stronie kolegiaty wiślickiej fragmentów kościoła św. Mikołaja z przylegającym doń od północy tajemniczym wkłębieniem w kształcie misy, rozpoczął się, wcale nieprzystający uczonym, wyścig w stawianiu hipotez, udowadnianiu naprędce stawianych tez i ogłaszaniu tychże nie tyle w oficjalnych pracach naukowych, ile w prasie i publikacjach popularnych, np. w wielokrotnie wznawianej książce Janusza Roszki *Książę silny wielce*. Naprędce stawiano wnioski, jakoby na terenach Wiślan, należących przejściowo do państwa Wielkomorawskiego, zawędrowało ze Wschodu pierwsi chrześcijaństwo w obrządku bizantyjskim niż przyjął je Mieszko I z Rzymu. Hipoteza o rze-

komej chrystianizacji w obrządku słowiańskim bardzo odpowiadała czynnikom politycznym, które wówczas były w stałym konflikcie z episkopatem polskim. Poza tym robiono wszystko, aby udowodnić tezę, iż wpływy ruskie w Polsce datowały się już u zarania naszej państwowości. Odkrycie gipsowego wgłębienia spadło nie tylko uczonym, ale także ideologom jak przysłowiowa manna z nieba. Niemal od razu postawiono śmiałą hipotezę, że owa gipsowa misa to nic innego, jeno wczesnochrześcijańskie baptysterium służące do chrztu przez zanurzenie całego ciała.

Tak się złożyło, że byłem świadkiem odstonięcia fragmentów nieistniejącego kościółka. Widziałem na własne oczy kilka szkieletów nieboszczyków pochowanych obok kościoła i widziałem także ową rewelacyjną „misę chrzcielną”, która na mnie wtedy nie wywarła żadnego wrażenia. „Uczone” opisy, których było pełno w gazetach, prześcigały się w relacjonowaniu starochrześcijańskiego obrządku chrzcielnego. Konfrontując opisy gazetowe z rzeczywistością, doznałem mieszanych uczuć. Mój sceptycyzm budziły przede wszystkim rozmiar misy, kształt i jej głębokość. Nie wyobrażałem sobie chrztu dorosłego człowieka w misie tak płytkiej, uniemożliwiającej nie tylko całkowite zanurzenie się, ale zaledwie zamoczenie nóg nieco powyżej kostek. Można się było ewentualnie położyć, ale wtedy misa musiałaby mieć raczej kształt rynny lub korytka, a nie okrągłego wgłębienia. Pozostawał jeszcze jeden sposób, a mianowicie przyjmujący chrzest mógł wejść do misy i stojąc zostawał polewany wodą od głowy do stóp. Taki rodzaj chrztu widziałem na wielu obrazach przedstawiających chrzest Chrystusa w Jordanie. Skoro wybrano ewangeliczny sposób, to dlaczego robiono to w prymitywnej misie gipsowej, a nie np. w pobliskiej czystej Nidzie, która z powodzeniem mogła pełnić rolę palestyńskiego Jordanu? – myślałem sobie. Uznałem jednak, że widocznie uczeni archeologowie i historycy wiedzą lepiej ode mnie, więc i ja uwierzyłem w ich zapewnienie.

Oglądając z bliska hipotetyczną „misę chrzcielną”, porównywałem ją mimochodem do niecki w moim przydomowym sadzie, która powstała przy robieniu zaprawy murarskiej. Do produkcji zaprawy posłużyła mi stara miednica, którą wkopałem do ziemi i w niej mieszałem piasek z wapnem, cementem i wodą. Za mieszadło służyła drewniana łopatka. Energiczne mieszanie

zaprawy powodowało jej wylewanie poza brzegi miski, tworząc dookoła twardą betonową skorupę w kształcie kołnierza. W ten sposób koliste wgłębienie w naturalny sposób (i niejako mimochodem) ciągle powiększało się. Kiedy ujrzałem wiślicką misę, od razu rzuciło mi się podobieństwo do mojej niecki na zaprawę. Myślałem, że to tylko przypadkowe podobieństwo, o którym nawet nie chciałem myśleć, aby nie zgrzeszyć. Bo jak tu porównywać sakramentalną chrzcielnicę do prymitywnej mieszalnicy zaprawy murarskiej? Przecież to profanacja świętości. Po przeszło 40. latach okazało się, że intuicja mnie nie zawiodła.

Odkrycie w latach 1958-1962 przez archeologów starego kościoła św. Mikołaja w Wiślicy poruszyło wielu naukowców, a to za sprawą postawienia wielu śmiałych hipotez, które sugerowały, jakoby na ziemi Wiślan zawędrowało chrześcijaństwo dużo wcześniej, aniżeli zwykło się przyjmować oficjalną datę chrztu Mieszka w 966 r. Chrystianizacji Wiślan w obrządku starosłowiańskim miało dokonać państwo Wielkich Moraw, które przejściowo zajęło te ziemie, choć wcale nie utrwaliło tu swoich wpływów. Chrystianizacyjna misja świętych Cyryla i Metodego zakończyła się w roku 885, wraz ze śmiercią Metodego. Chrześcijaństwo w obrządku bizantyjskim nie utrwaliło się nawet na Morawach, a co dopiero mówić o kraju Wiślan, gdzie pewnie nawet nie zawitało, gdyż nie ma na to żadnego dowodu kopalnego. Wynika z tego, że kościółek św. Mikołaja jest o wiele młodszy, a Wiślica, którą przedwcześnie obwołano stolicą Wiślan, w rzeczywistości nią wcale nie była. Była w istocie tylko ważnym grodem w systemie osadniczym Wiślan i Łędzian.

Zwolennicy hipotezy chrześcijańskiej przeszłości Wiślicy w obrządku bizantyjskim, jako koronny dowód przedstawili gipsową „misę chrzcielną”, która miała służyć jako starochrześcijańskie baptysterium. Nowe prace archeologiczne w Poznaniu oraz frankońskim Lindenhof odkryły występowanie łudzko podobnych tajemniczych mis na tych terenach. Skądinąd wiemy, że wpływy Wielkich Moraw jako żywo nigdy nie sięgały Wielkopolski, nie mówiąc już o państwie Karolingów. Zbyt wcześnie i nader pochopnie postawiona teza o rzekomym chrzcie Wiślan w IX wieku zaczęła walić się jak domek z kart. Aliści zwolennicy związków z Bizancjum niezbyt łatwo chcieli się rozstać ze swoimi teoriami. Gorączkowo szukano

potwierdzenia swoich tez i znaleźli je po odkryciu na Wzgórzu Tumskim w Płocku relikwii starego kościoła łudzko podobnego do wcześniej odkrytego kościoła w Wiślicy.

Zaczął twierdzić, że do mazowieckiego Płocka zaniósł słowiańskie chrześcijaństwo zbuntowany cześnik Masław, co było już jawnym nadużyciem, bo skądinąd wiemy, że Masław, cześnik Mieszka II w latach 1031-32, a więc w XI wieku, nie tylko nie wprowadził chrześcijaństwa w jakiegokolwiek postaci, ale je wręcz zwalczał, mordując biskupów, księży i wprowadzał na powrót pogaństwo. Udowodniono, że kościoły św. Mikołaja w Wiślicy i św. Michała w Płocku nie są z IX, lecz z XI wieku, a więc są dużo młodsze i nie bizantyjskie, lecz romańskie. Pozostało tylko rozwikłać zagadkę tajemniczych mis chrzcielnych z Wiślicy, Poznania i Lidenhofu. W świetle materiałów porównawczych okazało się, że ich pierwotne przeznaczenie było bardzo prozaiczne. Służyły mianowicie do rozdrabniania wapiennej zaprawy. Zrekonstruowano nawet maszynę do mieszania zaprawy murarskiej napędzaną siłą mięśni ludzkich.

Jeżeli okazałyby się, że najnowsze wyniki badań są nie tylko prawdopodobne, ale przede wszystkim prawdziwe, to należy dokonać wielu korekt w podręcznikach historii.

Z żalem musimy pogodzić się z wyrokiem uczonych, którzy „odmłodzili” Wiślicę uważaną dotąd za prastarą stolicę Wiślan oraz najstarsze miejsce chrztu pra-Polaków.

Z gorzką satysfakcją konstatuje, że moje pierwsze, chłopięce wrażenie, gdy ujrzałem 40 lat temu wgłębienie przy wiślickim kościółku, okazało się prawidłowe, choć przypadkowe. Nieobciążony specjalistyczną wiedzą historyczną, porównywałem ową misę do mojej miski do mieszania zaprawy. I to był strzał w dziesiątkę. Szczerze przyznaję, że wcale się z tego nie cieszę i mam jeszcze cichą nadzieję, iż na tym nie zakończono badań. Fascynującą cechą historii jest to, że nigdy nie jest napisana do końca i zawsze posiada margines do uzupełnienia jej. Obowiązkiem historyka jest ciągle „dokopywanie się” (dosłownie i w przenośni) do prawdy.

*Franciszek Rusak*

## Kwiaty niesłusznie zapomnianemu

Dnia 3 czerwca 2017 r. w 115. rocznicę śmierci Adolfa Dygasińskiego Anna Błachucka, Jan Chruśliński, Romuald Bielenda i ja jako przedstawiciele naszego Oddziału ZLP złożyliśmy w Niegosławicach kwiaty pod obeliskiem upamiętniającym miejsce urodzenia tego niesłusznie zapomnianego twórcy. Wśród osób, które również przybyły, by pokłonić się autorowi pięknych i wzruszających, lecz równocześnie okrutnie prawdziwych opowieści o przyrodzie, znaleźli się samorządowcy: Adam Jarubas – marszałek województwa świętokrzyskiego, starosta pińczowski Zbigniew Kierkowski wraz z wicestarostą Ryszardem Barną, delegacja gminy Żłota i sołtys Niegosławic. Kwiaty złożyli również Andrzej Dąbrowski – dyrektor Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. W. Gombrowicza w Kielcach, a także Adam Ochwanowski z delegacją Ośrodka Kulturalno-Historycznego „Beldonek” (pałacu Wielopolskich) w Chrobrzu oraz młodzież z Gimnazjum Nr 2 w Pińczowie, którego patronem jest Adolf Dygasiński.

O zasługach Dygasińskiego dla literatury i regionu mówili: Adam Jarubas, Andrzej Dąbrowski i Adam Ochwanowski. Właśnie z jego inicjatywy wznowiono wydanie *Beldonka* – utworu, którego akcja toczy się na Ponidziu. Warto przypomnieć, że jest to pierwsza polska powieść napisana w całości gwara. Zebrani otrzymali pachnące jeszcze nowością jej egzemplarze, a reszta edycji powędruje do bibliotek.

Poeci z naszej delegacji wygłosili pod obeliskiem stosowne do okoliczności utwory własnego autorstwa. Anna Błachucka popisała się humorem i znajomością gwary, recytując jeden ze swych zabawnych wierszy, a Romuald Bielenda przeczytał piękny, nastrojowy liryk o urodzie Ponidzia. Ja natomiast podzieliłam się z zebranymi swoim wspomnieniem z dzieciństwa, kiedy to po raz pierwszy sięgnęłam po opowiadania Dygasińskiego i po wylaniu morza łez nad losem biednej suki na zawsze zostałam wielbicielką zwierząt i twórczości tego polskiego Kiplinga.

Beata Kępińska



Adam Ochwanowski



Adam Jarubas



Anna Błachucka  
Jan Chruśliński  
Romuald Bielenda  
Beata Kępińska



Andrzej Dąbrowski

## Litewskie drogi *Potopu*

Już sama zapowiedź przyjazdu do Oblęgorka Tadeusza Bystrama z filmem *Litewskie drogi „Potopu”* była wystarczająco dużą zachętą do kolejnych odwiedzin pałacyku Henryka Sienkiewicza. I było to zarazem świetne otwarcie wiosny w dookólnym parku.

Wszystko się sprawdziło wyśmienicie, a przygotowaniem do seansu z komentarzem było zapoznanie przybyłych gości z odnowionym wnętrzem, zawierającym, prócz znanych do tej pory pamiątek, nowo nabyte obrazy, jak przede wszystkim cykl malarski ilustrujący *Quo vadis*, zakupiony staraniem Ministerstwa i władz regionu. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki otwierały się liczne szafki niczym sejfy kryjące w sobie przedmioty, niektóre bardzo cenne, używane przez samego Sienkiewicza i jego najbliższą rodzinę. Był między innymi nożyk do rozcinania kart i liczne trofea z podróży do Ameryki czy Afryki, a także z pobytu w różnych krajach europejskich.

Siermiężne dawne nader skromne wyposażenie pamiętane z wycieczek szkolnych zamieniło się teraz w pełen kuszący oko wystrój. Myślę, że jest to rzeczywiście pałac do wielokrotnego oglądania, bo tak wiele zostało tu zgromadzonych osobliwości do odkrycia. Wędrując po komnatach

parteru i piętra nie tylko się zwiedza, ale i obcuje z tą ożywającą na nowo historią. Widać też wielką dbałość o nasze dziedzictwo oraz nieustającą zapobiegliwość o pozyskiwanie dla Muzeum sienkiewiczowskich pamiątek. Miło, że współpracują ze sobą nowe i dawne kierownictwo. Kustosz, Agnieszka Kowalska-Lasek, witała serdecznie zastępową dla Muzeum Lidę Putowską.

Wracając do filmu T. Bystrama trzeba przyznać, że pokazanie go właśnie w Oblęgorku rozbudziło wyobraźnię wspartą przeżywaną niegdyś lekturą. Filmowy dokumentalny reportaż nie tylko przypomniał sceny i fragmenty z *Potopu* w reżyserii Hoffmana, ale wprowadził w cały złożony krąg relacji polsko-litewskich, w tym również dziejów, niekiedy dramatycznych, polsko-litewskich rodów. T. Bystram dotarł do ludzi i miejsc, które uwiarygodniają historyczne tło powieściowej fabuły: Lubicz, Wodokty, Kiejdany, Wołmontowicze. Także ich mieszkańcy – laudańska szlachta – ożywają. Te widziane oczami Sienkiewicza i te, które do dziś jeszcze przetrwały owiane legendą.

Film ten może zainspirować do wyjazdu na Litwę i spotkań z mieszkającymi tam Polakami. Również do rozmów nie tylko o przeszłości, ale i o sytuacji obecnej.



Tadeusz Bystram w rozmowie z Łukaszem Wojtczakiem  
Fot. Muzeum Narodowe w Kielcach

## Narodowe Czytanie *Wesela* w Radiu Kielce

W lutym 2017 prezydent Rzeczypospolitej ogłosił lekturę Narodowego Czytania na ten rok *Wesele* Stanisława Wyspiańskiego, które wygrało w plebiscywie z *Przedwiośnią* Żeromskiego, *Beniowskim* Słowackiego i *Pamiętkami Soplicy* Rzewuskiego. Tak sobie myślę, że to rzeczywiście najlepszy wybór, jeśli spojrzymy na poruszane przez Wyspiańskiego w *Weselu* rozterki ludu polskiego. Ważne, byśmy czytali sztandarowy dramat iście renesansowego twórcy ze zrozumieniem, a wówczas ujawni nam się niewiarygodna wręcz aktualność tekstu i fakt, że niczego w minionych 110 latach, jakie minęły od premiery dzieła, nie nauczyliśmy się. Zachowania tegoż ludu polskiego, mimo upływającego czasu, ciągle są takie same. Nie jesteśmy zdolni do znalezienia wspólnego języka, do mówienia jednym głosem. Dość jednak dygresji.

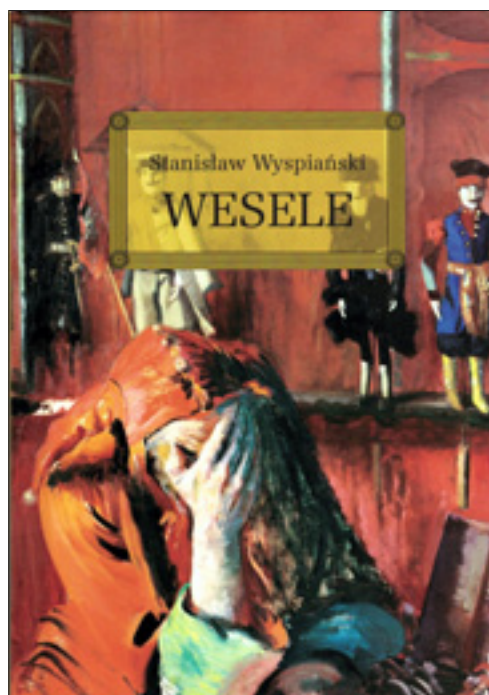
Tak czy inaczej, w Narodowe Czytanie *Wesela* włączyła się całkiem pokaźna grupa ludzi, ukazując mnóstwo pomysłów zarówno na przedstawianie, jak i odbiór dzieła Wyspiańskiego. Ciekawą inicjatywę podjęło Radio Kielce. Na antenie mogliśmy posłuchać i scen z *Wesela* w mistrzowskiej reżyserii Andrzeja Seweryna, jak też krótkich fragmentów dramatu w interpretacji znanych świętokrzyskich postaci: polityków, ludzi sztuki, prezydentów i burmistrzów miast, liderów biznesu bądź osób przejawiających wyjątkową aktywność na różnych polach działania.

Ukoronowaniem czytania *Wesela* na antenie kieleckiej rozgłośni był piknik w radiowych ogrodach zorganizowany na zakończenie wakacji, podczas którego zaproszeni goście w osobach radiosłuchaczy tudzież polityków oraz włodarzy miast i gmin mogli obejrzeć radiową inscenizację dramatu w wykonaniu dziennikarzy Radia Kielce wspomaganymi przez kolegów z TVP Kielce. Iście karkołomnego zadania – wyreżyserowania rzeczy całej – podjął się na prośbę prezesa radia Janusza Knapa dyrektor teatru im. Stefana Żeromskiego – Michał Kotański. Spektakl w normalnych warunkach teatru (z uwagi na próby) powstający w ciągu pół roku, tu musiał znaleźć swój finał w kilkanaście dni. Trzeba przyznać, że dziennikarze-aktorzy spisali się piątkę. O perfekcyjnym opanowaniu

tekstu, oczywiście, nie mogło być mowy. Tu rolę współczesnego suflera przejął prompter, dzięki któremu domorośli aktorzy poczuli się pewniej na scenie, mogąc w każdej chwili czytać z niego w sposób niezauważalny dla widzów. Wrażenie potęgowały kostiumy przenoszące nas w czasy Wyspiańskiego, choć – jak to już pisałem – sam tekst jest równie aktualny w odniesieniu do dzisiejszej rzeczywistości.

Długotrwałe brawa publiczności dziękującej aktorom po zakończeniu spektaklu, skróconego z oczywistych względów, potwierdziły tylko trafność pomysłu na taką właśnie formę radiowego Narodowego Czytania *Wesela*. Ja też tam byłem, miodu nie piłem, ale dyskusji, ocen, uwag, a zwłaszcza pochwał miałem okazję wysłuchać przy dobrym jadle, którym raczono się jeszcze długo po zakończeniu spektaklu.

Ciekawie przedstawia się obsada: Dziennikarz – Bartłomiej Zapała, Ksiądz – Marcin Przemirski, Panna Młoda – Monika Miller, Pan Młody – Marcin Różyc, Poeta – Stanisław Blinstrub, Maryna – Marlena Płaska, Żyd – Ryszard Koziej, Rachelą – Aleksandra Gronek-Piotrowska, Gospodyni – Ewa Golińska, Czepiec – Rafał Szymczyk, Gospodarz – Marek Wtorek, Zosia – Renata Morąg.



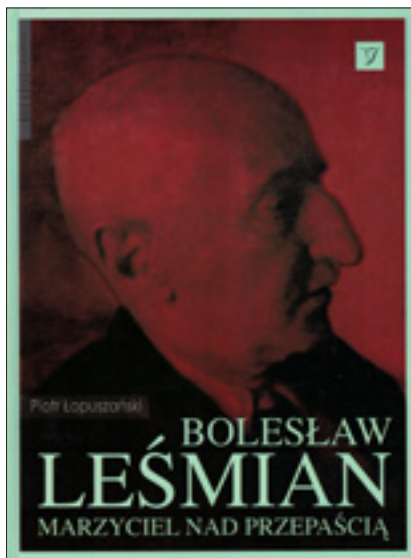


Fot. Jarosław Kubalski

## Pośmiertny tryumf Bolesława Leśmiana

W 2017 r. przypadają dwie leśmianowskie rocznice, czyli 140. urodzin<sup>\*)</sup> i 80. śmierci. Dobra to zatem okazja, by przypomnieć cały jego niezwykły dorobek literacki: eseistyczny i prozatorski, a zwłaszcza poetycki, nie zawsze, jak wiadomo, należycie doceniany za życia autora, należący obecnie do ścisłego kanonu klasyki współczesnej poezji polskiej XX w.

Bolesław Leśmian debiutował wierszami pisanymi po rosyjsku, a po powrocie do kraju (w 1901) początkowo pod znakiem poetów Młodej Polski. Jednakże wiersze z jego pierwszego zbioru – *Sad rozstajny* (1912) – były już wyrazem bardzo samodzielnej i oryginalnej postawy twórczej w widzeniu człowieczej doli, natury i świata przyrody. Postawy tak wyraziście zdystansowanej wobec aktualnych prądów i mód panujących w poezji tamtych czasów (np. futuryzmu, awangardy krakowskiej czy grupy Skamandra). Oto już w roku 1920 Karol Irzykowski pisał proroczo: „Ta lektura przypomina coś znanego, ale nie pewne treści, tylko pewien gatunek wrażeń. Ten mianowicie, którego się doznawało niegdyś przy pierwszej lekturze klasycznych utworów poetyckich, kiedy to takie »szczęśliwe« utwory utożsamiały się jeszcze z poezją w ogóle. Jest to wrażenie dobrze ufundowane, pewne siebie, wrażenie szlachetnego kruszcu, wrażenie wysokiej rangi. Takie ballady, jak oszałamiający *Świdryga i Midryga*, *Dąb*, *Piła*, *Ballada dziadowska* mogłyby od razu powędrować do wypisów gimnazjalnych”.



Liryki, erotyki i ballady Bolesława Leśmiana, tak pełne zadumy nad zagadkami i paradoksami istnienia, nie są przy tym nigdy pozbawione tonacji delikatnego humoru i ironii,

czasem nawet rubasznego dowcipu czy też wykorzystywania gry słów (stał się nawet ten poeta mistrzem w tworzeniu słów dotąd nieistniejących w polszczyźnie – neologizmów-„leśmianizmów”). Wiersze jego, odwołujące się najczęściej do specyficznie wyimaginowanej (nie)rzeczywistości, mają zazwyczaj nastrój wyrafinowanej zabawy słownej, mówią jednak zawsze o sprawach najważniejszych życia, o podstawowych niepokojach, dramatach, paradoksach i prawach ludzkiego żywota. Widać tu pewne wpływy filozoficznej myśli z przełomu XIX i XX w., m.in. Henriego Bergsona czy Fryderyka Nietzschego, lecz tylko jako dogodny punkt wyjścia do samodzielnych przemyśleń i zaskakujących koncepcji myślowych i obrazowych odwołań. Głównym tematem są tutaj bowiem podstawowe dylematy egzystencjalne jednostki; szukanie sensu życia i pracy w sprzecznościach i chaosie teraźniejszości, motywy nieuchronności losu, nicości i śmierci, ujmowane w duchu racjonalistycznego, laickiego tragicznego humanizmu: podstawowym problemem i głównym „wrogiem” człowieka jest tu dla poety także sam człowiek (np. wiersze *Szewczyk*, *Garbus*, *Zakłęcie*, *Dziewczyzna*).

Pogłębieniu ulega potem w leśmianowskich tekstach poetyckich tonacja elegijna, ciemna, gorzka i posępna; następuje przechodzenie od rubasznego i witalnego humoru w stronę balladowej groteski o ironiczno-tragicznym zabarwieniu, np. *Dwaj Macieje*, *Sen wiejski*, *Dusiołek*. Ta ostatnia ballada z tomu *Łąka* to przykład nawiązywania i wykorzystywania przez poetę motywów ludowych. Bohater *Dusiołka* to baśniowy plebejski obieżyświat Bajdała (nazwisko przywołuje długi ciąg etymologiczny: bajdurzyć, baj-baju, bajać, bajka itp.), który zasnawszy, by „przespać upał w upale”, ma sen, że dusi go diablik zwany Dusiołkiem – półbabeł, co to „Ogon miał ci z rzemyka, / Podogonie zaś z łyka”. Obudziwszy się, prowadzi żartobliwy, rubaszny i fantazyjnie przekorny, ludowej proveniencji, spór z towarzyszącymi mu szkapą i wołu, że go nie bronili, oraz spór z samym Panem Bogiem: „Nie dość ci, żeś potworzył mnie, szkapę i wołka, / Jeszcześ musiał takiego zmajstrować Dusiołka?



Natomiast w wierszu *Urszula Kochanowska* ze zbioru *Napój cienisty* zastosował Leśmian formę bardziej klarowną językowo, ponieważ podmiotem lirycznym jest tutaj dziecko, Urszulka, córka słynnego poety, autora poetycko-filozoficznego renesansowego „pocieszenia” – *Trenów*. Opowiada sama, jak trafiła w zaświaty, gdzie prowadziła rozmowę ze wzruszonym jej bólem i tęsknotą Panem Bogiem. Jej miłość życia i rodziców okazuje się jednak tak wielka, że Urszulka nie marzy wcale o pięknie i wspaniałościach raju, odrzuca łaskę boską, rozczarowana brakiem tam rodziców, chce tylko, żeby w niebie: „Wszystko było tak samo, jak tam – w Czarnolesie!”.

Związek swoiście przetworzonego i wykorzystanego folkloru z wielką tradycją poezji polskiej (od Kochanowskiego po Norwida czy Staffa) wyraża się m.in. w oryginalnych mistrzowskich nawiązaniach do języka i obrazowania polskiej poezji barokowej i romantycznej. W przesyconym nie tylko zaskakującymi neologizmami języku, ale i obrazowej wizyjności, łączonej z realizmem szczegółu, baśniowością i fantastyką groteskową – zderzanymi ze zmysłowością i konkretem, obserwacjami świata przyrody oraz swoistą „metafizycznością”, pełną rozlicznych, także i sentymentalno-uczuciowych, erotycznych kontekstów (*W malinowym chruśniaku*). Jest autor wizjonerem i demiurgiem zaświatów, ale i poetą nędzy, śpiewakiem wyklętych i wydziedziczonych przez życie i los, jak np. w wierszach: *Trupięgi*, *Poeta*, *Dwoje ludzińków*, *Żołnierz*, *Garbus*. Zachłanna na wszelkie przejawy życia wyobraźnia poety nie może pogodzić się ze śmiercią i nicością, nawiedza nieustannie krainy zmarłych, każąc bohaterom wsłuchiwać się w odgłosy życia, jak w niesamowitym wierszu *Pszczółki*.

Pisał Leopold Staff: „...szukał w istnieniu sensu i nie znalazł go. Napój cienisty to woda zapomnienia, nurt Lety, w której pogrąża się, wyrzekając się wieczności i nieśmiertelności z pełną smutku ironią”. W wierszu *Szewczyk*, jak wielu leśmianowskich „niewydarzonych” nędzarzy i wólczyków, stawia ów tragicznie heroiczny i głęboko humanistyczny opór pochłaniającej wszystko, w tym i ludzkie życie, naturze, brutalnej fizycznej entropii, rozpadowi materii, śmierci... *Szewczyk*, szyjący nieustannie, niczym mitologiczny Syzyf taszcący głaz pod górę, nigdy nie może skończyć buta na miarę „nieobjętą” – tylko w aktywności i pracy odnajduje sens życia: „W szyciu nie ma

nic prócz szycia, / Więc szyjmy, póki starczy siły / W życiu nie ma nic prócz życia, / Więc żyjmy aż po kres mogiły!”.

W szkicu O Bolesławie Leśmianie z 1939 napisał Kazimierz Wierzyński nie mniej proroczo niż Karol Irzykowski: „Leśmian umarł, lecz chwiała jego jeszcze się nie narodziła. Poeta ten będzie wracał i w przyszłości znajdzie słuchaczy wdzięczniejszych niż miał za życia. Magnetyzm jego nie stracił na sile i przyciągnie ku sobie pokrewne mu duchy. W przestrzeni czasu zyska na wyrazie postawa pisarza, dumnego twórcy o szlachetnej dyscyplinie, oddającego sztuce całe swoje życie. W piśmiennictwie polskim dzielić będzie sławę najlepszych liryków, a na szczytowych wzniesieniach dołączy do plejady nieśmiertelnych”.

---

<sup>\*)</sup> Bolesław Leśmian (właśc. Lesman) – ur. najprawdopodobniej, bo wedle sporządzonego po latach zapisu metrykalnego 22 I 1877 (lub 1878, acz na nagrobku na warszawskich Powązkach widnieje data 1879) w Warszawie, zm. 5 XI 1937 tamże – poeta, prozaik, eseista, tłumacz. Wczesne dzieciństwo i młodość spędził na Ukrainie. Studiował prawo w Kijowie. Od 1901 w Warszawie. Przez kilka lat przed I wojną światową przebywał we Francji: 1903–1906 oraz 1912–1914. Współpracował z „Chimerą” Zenona Przesmyckiego (Miriamy). W latach I wojny światowej był w Łodzi kierownikiem literackim Teatru Polskiego. Po wojnie – notariuszem w Hrubieszowie i Zamościu. Został wybrany do Polskiej Akademii Literatury w 1933.

Pierwsze wiersze pisał, gdy mieszkał w Kijowie, w języku rosyjskim (druk w prasie, potem dopiero zebrane w tomie przekładów M. Pankowskiego *Wiersze rosyjskie*, wyd. 1956). Poza tomami poetyckimi: *Sad rozstajny* (1912), *Łąka* (1920), *Napój cienisty* (1936), ukazały się pośmiertnie: *Dziejba leśna* (1938), *Szkice literackie* (1959), *Z pism Bolesława Leśmiana* t. 1-2, komentarz i oprac. J. Trznadel (1959–1965) oraz wznawiane potem prozatorskie *Klechdy sezamowe* (1912), *Przygody Sindbada Żeglarza* (1913), *Klechdy polskie* (1956). Ponadto *Wiersze wybrane*, wybór i wstęp M. Jastrun (1955), *Poezje wybrane*, oprac. i wstęp J. Trznadel, Biblioteka Narodowa (1974), *Skrzypek opętany*, wstęp i oprac. R.H. Stone (1985), *Zdriczenie obyczajów pośmiertnych*, wstęp i oprac. J. Trznadel (1998).

Janusz Termer

## Zmysłowy czar poezji Leśmiana

Poeci z naszego kręgu literackiego związani z Kieleckim Oddziałem ZLP (jak Joanna Babiarcz z Nowego Sącza czy Dorota Kwoka z Rzeszowa, Wawrzyniec Marek Rak z Polonii w Győr na Węgrzech) oraz uczestniczący w naszych plenerach, np. staszowskim (jak Joanna Rzodkiewicz z Krakowa, Janusz Szot z Nowego Sącza) biorą udział w ważnych aktach odwołań do wybitnych postaci z panteonu polskiej świetlanej tradycji. Dla przy-

kładu, w ramach Nocy Bibliotek 3 czerwca br. w Sądeckiej Bibliotece Publicznej im. J. Szujskiego w programie pn. „Miłość w poezji i muzyce” wydobyli piękną melodeklamacją przy wtórze skrzypiec i gitary cały zmysłowy czar poezji autora *Łąki*. Poszerzyli nadto swój występ o prezentację własnych erotyków i tekstów o miłości, słuchanych później przez nas podczas IX Staszowskiego Lata Literackiego w pierwszych dniach lipca br.

S.N.



Występ Joanny Babiarcz i Janusza Szota przy współudziale członków Sądeckiego Klubu Literackiego  
Fot. z archiwum Sądeckiej Biblioteki Publicznej

Od Redakcji:

Do tej bibliografii dołączamy jeszcze tylko ważną publikację Piotra Łopuszańskiego pt. *Bolesław Leśmian – marzyciel nad przepaścią*, wydaną w serii „Biografie” przez Wydawnictwo Książkowe Twój Styl (Warszawa 2006) z następującą adnotacją: „Książka Piotra Łopuszańskiego, owoc blisko 20 lat pracy badawczej, jest najobszerniejszą biografią Leśmiana, obejmującą życie i wszystkie okresy twórczości poety. Oparta na wielu dokumentach, często nieznanych, na relacjach bliskich osób, na publikacjach krajowych i emigracyjnych – przedstawia możliwie pełne

życie autora *Łąki i Napoju cienistego*. Książka opowiada też historię rodziny poety od XVIII wieku po dzień dzisiejszy, przedstawia analizę kolejnych etapów twórczości, dzieje związków uczuciowych poety, perypetie finansowe. Zawiera bibliografię wszystkich utworów Bolesława Leśmiana oraz opracowań poświęconych poecie”.

Z okazji tej podwójnej Leśmianowskiej rocznicy Polski Oddział Stowarzyszenia Kultury Europejskiej (SEC) zorganizował 10 marca 2017 w Domu Literatury w Warszawie uroczysty wieczór pamięci poświęcony temu wybitnemu Poecie.

Krystyna Cel

Stanisław Nyczał

## Do Białego

*Pamięci Bolesława Leśmiana*

Pójdziemy dziś do Białego  
gdzie strumień się strumieni  
i pośród skalnych załomów  
wezbrany wartko płynie

pójdziemy dziś do Białego  
by w kryształowej zamroczony  
utkwione gdzieś na dnie  
odnaleźć swoje oczy

pójdziemy dziś do Białego  
by na nowo się stworzyć  
i miłośnie się wcielić  
w szorstkiej grani dotyk

ja niby dziewczyna  
ty niby młodzieniec

*Zakopane 2017*

## Mój wąwóz

*Pamięci Bolesława Leśmiana*

Śniło mi się,  
nie śniło...

Szliśmy w migocące barwami popołudnie  
wąwozem mojego imienia,  
które nadałaś mi w samą porę,  
wyplątując z objęcia i unosząc z tryumfem  
mą krnąbrną, wszędobyłską dłoń.

I nie zdziwił się nawet złamaną gałązką  
żaden sosnowy ani bukowy pień,  
w szponach korzeni mocno przytrzymując  
czający się w iłach stromych zboczy strach.

Śniło mi się,  
nie śniło...

Aż dotąd dobiega ku nam  
złotym echem  
szelest tamtych kroków.

Andrzej Piskulak

## Kielczanin przez całe życie

wspomnienie o Jerzym Korey-Krzeczowskim (1921–2007)

W styczniu br. minęło 10 lat od śmierci prof. Jerzego Korey-Krzeczowskiego – wybitnego absolwenta przedwojennego kieleckiego Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego im. Stefana Żeromskiego, który zmarł 30 stycznia 2007 roku w North York General Hospital w Kanadzie.

3 lutego pochowany został na cmentarzu Mount Pleasant Cemetery w Toronto. Pisząc te słowa odnoszę nieodparte wrażenie, że Profesor w jakimś stopniu powrócił do Kielc. W tym przekonaniu utwierdzał mnie przez minioną dekadę pisarz i krytyk literacki Edward Zyman – przyjaciel Profesora w Toronto.

Prof. Jerzy Korey-Krzeczowski do końca swego życia był Kielczaninem, choć od 1951 roku przebywał, jako emigrant polityczny, poza Polską. Za życia dał się poznać jako ten, który odzyskał i uratował kościelne skarby wawelskie, które wywiezione zostały z Polski w czasie kampanii wojennej 1939 roku i zdeponowane w Rumunii. Za ten czyn uzyskał od Papieża Jana Pawła II specjalne podziękowania. Jako prezes Kongresu Polonii Kanadyjskiej na Prowincję Quebec wspierał wysiłki działającego w Kanadzie Towarzystwa Przyjaciół KUL mające na celu dofinansowanie lubelskiej uczelni. Miał 86 lat, ale niemal do ostatniej chwili zadziwiał niezwykłą witalnością i aktywnością twórczą. Jesień jego życia zaowocowała licznymi tomami poezji, wspomnień i esejów w których nawiązywał do swojego dzieciństwa i młodości spędzonych w Kielcach i regionie świętokrzyskim.

Urodził się 13 lipca 1921 roku w Kielcach. Jego rodzina posiada tytuł książęcy. Był synem prawnika Antoniego Mariana kniazia Korczak-Krzeczowskiego i Zofii Emilii Wandy z Chmielewskich. W 1931 r. ukończył szkołę powszechną. Następnym krokiem w jego edukacji było najbardziej prestiżowe gimnazjum w Kielcach, noszące jeszcze wtedy nazwę Mikołaja Reja. W 1933 r. nowym patronem został Stefan Żeromski. Po latach w swej książce pt. *Wyjść losowi naprzeciw* stwierdził, że szkoła Radka i jego kolegów była nie tylko pla-



cówką oświatową, w której zdobywało się pewne kwantum wiedzy, ale przede wszystkim kuźnią charakterów. Gimnazjum i Liceum im. Stefana Żeromskiego „było dla nas szkołą obywatelskiego my-

ślenia, kapitałem, który został nam wpojony przez młodą Rzeczpospolitą budującą swoją tożsamość, swoje instytucje i dźwigającą się z zapaści spowodowanej okresem ponad stuletniej niewoli”.

Podczas nauki szkolnej Jerzy Krzeczowski stał się autentycznym liderem swego środowiska. Nie tylko uczestniczył aktywnie w życiu szkolnej wspólnoty, ale wręcz kreował wiele jego ważnych przejawów. Jako czternastolatek wszedł w skład redakcji, a dwa lata później, będąc uczniem czwartej klasy gimnazjum, objął prestiżową funkcję redaktora naczelnego szkolnego pisma „Młodzi idą”. Opublikował na jego łamach kilkadziesiąt artykułów, recenzji, wierszy, fragmentów prozy, felietonów, reportaży, wywiadów z pisarzami. W swych młodzieńczych tekstach Jerzy Krzeczowski ujawniał nie tylko zainteresowania problematyką literacką, ale także dawał świadectwo swej pasji społecznika, ukształtowanego na twórczości Stefana Żeromskiego, pisarza, którego młodość kieleckiej szkoły otaczała prawdziwym kultem. „Żyliśmy – napisze w tomie *Z mojego alfabetu* – jego ideami. Młoda Rzeczpospolita inspirowała nas. Judym, szklane domy – to nie były dla nas puste hasła. Staraliśmy się je wypełniać konkretną treścią. Jego powieści znaleźmy nie tylko z obowiązku, lecz z samodzielnego wyboru”.

W 1937 roku, po skończeniu 4-letniego gimnazjum nowego typu, Krzeczowski rozpoczął naukę w dwuletnim liceum, które było równoznaczne z dwoma pierwszymi latami college'u w innych krajach. Mimo że przy przyjęciu do liceum wymagany był specjalny egzamin kwalifikacyjny, na podstawie swoich wybitnych wyników zarówno z nauk humanistycznych, jak i ścisłych, Jerzy został z niego zwolniony. Był to okres jego dużej aktywności twórczej. Oprócz tego, że redagował w tym czasie szkolne pismo „Młodzi idą”, na łamach którego zamieszczał wiele wierszy, fragmentów prozy, prób krytycznych i publicystycznych, był również członkiem grupy poetyckiej „Gołoborze”, o której było głośno nie tylko w Kielcach, ale także w Warszawie i Krakowie. W latach licealnych Jerzy Krzeczowski opublikował m.in. *Siedemnastką wiosną i Gołoborze* (1938), *Pamiętnik poetycki, Rytm serca i Profile młodości* (1939). Był nawet jednym z kandydatów do nagrody Młodych Polskiej Akademii Literatury.

W wywiadzie rzece, jakiego udzielił Edwardowi Zymanowi w książce pt. *Widzieć dalej niż dziś* znajdujemy wiele informacji na temat losów pisarza w czasie najazdu na Polskę przez Niemców i podczas okupacji. W chwili wybuchu II wojny światowej przebywał na obozie przysposobienia wojskowego w ramach Junackich Hufców Pracy w Kompanii Fortyfikacyjnej Węgierska Górka koło Żywca, w pobliżu granicy ze Słowacją. W nocy z 31 sierpnia na 1 września 1939 obóz został zaatakowany przez wojska niemieckie. Junacki Hufiec Pracy został przekształcony w Specjalny Batalion Wojska Polskiego i włączony w skład grupy operacyjnej „Bielsko”, dowodzonej przez gen. bryg. Mieczysława Borutę-Spiechowicza. Młodzi żołnierze wzięli udział w walkach z najezdźcą w okolicy Węgierskiej Górki, Żywca, Andrychowa, Wadowic, Dobczyc, Brzeska, Dębna, Ropczyc, Biłgoraja, Chełma Lubelskiego i Kowla. Tam, wobec realnej groźby otoczenia przez wojska niemieckie i sowieckie, batalion został rozwiązany. Wraz z dwudziestoosobową grupą żołnierzy pochodzących z Kielecczyny, przedostał się do Kielc, gdzie włączył się w działalność konspiracyjną.

13 października 1939 założył Organizację Bojową, która została włączona jako samodzielna grupa do Tajnej Armii Polskiej dowodzonej przez płk. Jana Włodarkiewicza. W październiku 1941 Okręg Kielecki TAP został wcielony do ZWZ, a następnie do AK. Od września 1942 pełnił funkcję

Szefa Kancelarii Zarządu Dóbr Kotlice, skąd kierował pracą podległego mu oddziału poprzez podkomendnych w Kielcach, Radomiu, Garbatce, Jędrzejowie, Pińczowie, Chrobrzu, Chmielniku i Miechowie. Równoległe z działalnością konspiracyjną studiował prawo na kursach Tajnego Uniwersytetu Jagiellońskiego, w wyniku których, po złożeniu obowiązujących egzaminów, w 1945 otrzymał tytuł magistra praw UJ. 15 lipca 1944 zawarł związek małżeński z Ireną Marią Latacz, pseud. Mohort.

Po zakończeniu działań wojennych, z polecenia pełnomocnika Rządu Tymczasowego na Województwo Kieleckie, Józefa Ozgi Michalskiego, został mianowany zastępcą naczelnika Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki. 26 stycznia 1945 założył w Kielcach oddział Związku Literatów i Dziennikarzy. Od kwietnia 1945 uczestniczył aktywnie w Klubie Literatów Świętokrzyskich, którego został wiceprezesem. Zabezpieczał zbiory malarstwa i sztuki oraz księgozbiory znajdujące się w majątkach ziemskich na terenie Kielecczyny. Współtworzył Muzeum Regionalne (późniejszy Oddział Muzeum Narodowego). Po wyjeździe Juliana Rogozińskiego, dotychczasowego Naczelnika Wydziału Kultury i Sztuki, objął jego stanowisko. Piastował je do marca 1946 roku.

W tym samym roku, skierowany na placówkę dyplomatyczną do Rumunii, został attaché kulturalnym i wicekonsulem w Bukareszcie. Jesienią 1947 wezwano go do Warszawy, gdzie krótko pełnił funkcję radcy w MSZ. Następnie objął stanowisko konsula w Konsulacie Generalnym w Berlinie, a potem w Baden-Baden. W trakcie pracy dyplomatycznej uzyskał dwa doktoraty: w 1949 z zakresu prawa międzynarodowego na Uniwersytecie we Fryburgu i w 1950 z zakresu nauk ekonomicznych na Uniwersytecie w Tybindze.

W 1950, po mianowaniu Konstantego Rokossowskiego marszałkiem Polski, zrezygnował z pracy w dyplomacji i wybrał emigrację. Od 1951 przebywał początkowo w Montrealu, gdzie był m.in. wiceprezydentem Letham Simpson Management Consultants i naczelnym dyrektorem Werner Management Consultants Canada Inc. Przez kilkanaście lat pracował jako doradca ekonomiczny 13. rządów i ponad 200. korporacji. W latach 1971-1975 był dziekanem, zastępcą rektora i rektorem Ryerson Politechnical Institute (obecnie Ryerson University). W 1976 założył

pierwszą w Kanadzie prywatną wyższą szkołę zarządzania (Canadian School of Management), piastując do 1986 roku stanowisko jej rektora, oraz Northland Open University, którego był prezydentem.

Był członkiem wielu prestiżowych stowarzyszeń ekonomicznych w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych i Europie. Pracę zawodową godził z aktywną działalnością społeczną i polityczną. Był m.in. przewodniczącym Rady Wielokulturowości przy rządzie prowincji Ontario, członkiem Komitetu Doradczego ds. Konstytucji Kanadyjskiej, członkiem zarządu, wiceprezesem i prezesem Polonii Kanadyjskiej w prowincji Quebec (1960-1967), przewodniczącym Rady Głównej Kongresu Polonii Kanadyjskiej (1967-1969), współorganizatorem i przewodniczącym Światowego Zjazdu Polonii w Toronto – Polonia 1978, aktywnym członkiem wielu organizacji, stowarzyszeń i fundacji polonijnych w Kanadzie. Posiadał stopień ppłk. WP w stanie spoczynku. Wyróżniony został kilkoma tytułami doktora honoris causa i wieloma wysokimi odznaczeniami państwowymi, m.in. Złotym Krzyżem Zasługi i Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Mieszkał w Toronto.

Profesor był naukowcem, poetą, prozaikiem, eseistą, wybitnym ekspertem w zakresie doradztwa gospodarczego, autorem wielu rozpraw z zakresu naukowej organizacji i zarządzania oraz kilkunastu tomów poezji, aforyzmów, wspomnień, esejów i prozy.

Był też człowiekiem, który nigdy, nawet w okresie krótkiej pracy w dyplomacji PRL, nie ukrywał swego przywiązania do Kościoła katolickiego. Był praktykującym katolikiem, podobnie jak jego żona Irena i syn Andrzej. Jako dyplomata polski w Baden-Baden podjeżdżał do kościoła samochodem ze znakami korpusu dyplomatycznego, by ostentacyjnie uczestniczyć we mszy świętej. O odzyskaniu przez niego skarbów kościelnych wywiezionych z Polski w czasie kampanii wojennej 1939 roku i zdeponowanych w Rumunii opisał szczegółowo w książce *Ujawniam wielką tajemnicę. W innej książce Z mojego alfabetu. O ludziach, instytucjach i zdarzeniach* zamieścił piękne wspomnienie o św. Janie Pawle II, którego poznał jeszcze jako kardynała Karola Wojtyłę, gdy ten odwiedził Kanadę w 1969 roku.

Prof. Jerzy Korey-Krzeczowski w Kanadzie należał do czołowych postaci polskiego środowi-

ska intelektualnego i kulturalnego. W ostatnich latach swojego życia opublikował kilka książek m.in. *Ujawniam wielką tajemnicę, Wyjść losowi naprzeciw, czyli recepta na sukces, Z mojego alfabetu. O ludziach, instytucjach i zdarzeniach*, zbiór szkiców krytycznoliterackich o poetach Ziemi Świętokrzyskiej *Powracam tutaj z własnej woli*, bibliofilskie tomy poezji *Poemat o ziemi* i *Wiersze dla Ireny* oraz powieść *Barwy młodości*.

Wraz z odejściem śp. prof. Jerzego Korey-Krzeczowskiego Polonia straciła żarliwego orędownika jej spraw w kraju osiedlenia wielu polskich emigrantów, a kultura polska poniosła kolejną niepowetowaną stratę.

Profesor od czasu emigracji po raz pierwszy do Polski przyjechał na początku lat 90. Było to spotkanie „Żeromszczaków” w Kielcach. Owocem tej wizyty było m.in. nawiązanie kontaktów wydawniczych z pisarzem i wydawcą Stanisławem Rogalą. Ukazało się w Kielcach kilka jego książek.

Będąc w 2006 roku w Kielcach powiedział do studentów Akademii Świętokrzyskiej, że najcenniejszą dla niego była znajomość z papieżem Janem Pawłem II. „Nigdy w młodości i w życiu dorosłym nie spodziewałem się, że będę znajomym świetnej osoby”.

O tym, że Profesor w pewnym sensie powrócił z emigracji do Kielc, a raczej, że ich nigdy tak do końca nie opuścił, uświadomiły mi jego wydane w końcowym okresie życia książki: tom poezji *Poemat o ziemi*, zbiór eseistyczny *Powracam tutaj z własnej woli* i powieść *Barwy młodości*, która dotarła do Kanady w dzień po śmierci Profesora.

Na jego symboliczny powrót do stron rodzinnych zwrócił uwagę Edward Zyman w swym wspomnieniu zatytułowanym *Nie proszę Cię o nic dla siebie*, opublikowanym na łamach „Radoskowy” (Nr 1-2, 2007): „W dniu, w którym w torontońskim szpitalu Profesor rozpoczął swą ostatnią podróż *poza czas i przestrzeń*, w dalekim Rzeszowie z maszyn drukarskich zesłała Jego najnowsza książka – powieść *Barwy młodości*. Powraca w niej po raz kolejny do kraju swych lat młodzieńczych – Ziemi Świętokrzyskiej, przywołując konkretne miejsca, ulice, budynki, instytucje i osobliwości starych Kielc i świętokrzyskiego regionu: główny trakt usługowo-handlowy miasta pełniący funkcje ulubionego przez młodzież deptaka – ulicę Sienkiewicza, cukiernie Józefa Króla i Smoleńskiego, Ogród Miejski, drukarnię St. Swieckiego, księżnicę Ungera, księgarnię Le-

skiego, Karczówkę, Chęciny, Bolmin i Jędrzejów. Nie one jednak absorbują najbardziej wyobraźnię i pamięć pisarza, lecz niepowtarzalna atmosfera „Żeromszcza”, klimat gimnazjalnych lat, charakterystyczne dla ówczesnej młodzieży przeżycia, pasje i namiętności, słowem barwy najbardziej intensywnego okresu życia, w którym kształtujemy swe zainteresowania, postawy i charaktery” – wspomina Edward Zyman.

Profesor, choć jako dyplomata, a później doradca ekonomiczny i naukowiec odwiedził kilkadziesiąt krajów, i chętnie określał się obywatelem świata, przez cały okres swego kilkudziesięcioletniego pobytu na emigracji zachował zadziwiająco silną więź z miejscem swego urodzenia. „Ze względów politycznych po raz pierwszy odwiedził Polskę dopiero po rozpadzie systemu komunistycznego, na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Wcześniej mógł do niej wracać jedynie na kartach swych książek” – czytamy we wspomnieniu E. Zymana.

Prof. Jerzy Korey-Krzeczowski swoją tęsknotę powrotu do Kielc bardzo wyraźnie zasygnalizował

w swym tomie szkiców i wspomnień *Powracam tutaj z własnej woli* (2005), omawiając m.in. twórczość poetycką sześciu wybranych przez siebie poetów związanych z Kielecczyzną: Zdzisława Antolskiego, Bolesława Garbosia, Stanisława Nyczaja, Bogusława Pasternaka, Andrzeja Piskulaka i Stanisława Rogali, a także w bibliofilskich tomach poezji *Poemat o ziemi* (2006) i *Wiersze dla Ireny* (2007).

Edward Zyman zwrócił uwagę na to, że twórczość literacka zmarłego jest zwieńczeniem jego życiowej wędrówki. W swym spełnionym, kreatywnym, mądrym życiu zrealizował wszystkie zamierzone cele. Był to w ogromnym stopniu efekt jego filozofii życiowej, której przyświecała maksyma Żeromskiego: „Człowiek wszystko co chce – uczynić może”.

Zdaniem Zymana, Profesor nigdy nie potrafił stać z boku, lista jego funkcji i osiągnięć społecznych budzi najwyższy podziw.

Andrzej Piskulak



Spotkanie w Akademii Świętokrzyskiej (25 IV 2006) Fot. Andrzej Piskulak

## Wspomnienia o Henryku Obcowskim (1944–2016) i Leszku Marcińcu (1940–2010)

Henryk Kawiorski

Leży oto przede mną fotografia niezwykła w swej zwyczajności, wykonana pod sam koniec minionego tysiąclecia z potrzeby chwili, a dziś posiadająca już wymiar historyczny. Miejscem akcji jest sala koncertowa Sanatorium „Marconi”

wystąpień gości, zadawano pytania, nabywano wybrane pozycje. Nie trzeba nawet dodawać, iż samo miejsce nadawało spotkaniu wyjątkowego uroku. Aż chciałoby się zakrzyknąć: – Chwilo, trwaj, jesteś piękna!

Ale przecież nic nie trwa wiecznie. Także w pewnej chwili spotkanie dobiegło końca. Pa-



Fot. Konrad Sempioł

w Busku-Zdroju. To spotkanie autorów książek z buskimi kuracjuszami. Przy stoliku na scenie, gdzie zwykle gra orkiestra zdrojowa, zasiedli (patrząc od lewej): prezes Kieleckiego Oddziału Związku Literatów Polskich – Stanisław Nyczaj, nauczyciel polonista buskiego Liceum Ogólnokształcącego (z trzecim stopniem specjalności zawodowej) i społeczny opiekun zabytków Ponidzia – dr Henryk Obcowski po krakowskiej WSP, [pisarz i dziennikarz – Henryk Kawiorski – przyp. red.], nauczyciel historyk, harcmistrz, publicysta „Tygodnika Ponidzia” – Leszek Marciniec. Grą na fortepianie uprzyjemniał czas Paweł Korepta. Na stoliku książki na kiermasz z autografem. Sala koncertowa była pełna po brzegi. Słuchano

nowie Obcowski, Marciniec i Korepta zostali w Busku, Nyczaj z niżej podpisanym odjechali do Kielc. W „Tygodniku Ponidzia” ukazała się okazjonalna wzmianka na ten temat. Fotografia trafiła do domowego archiwum, aby po wielu latach od owego wydarzenia posłużyć jako ilustracja artykułu wspomnieniowego, jako że Henryka Obcowskiego i Leszka Marcińca już nie ma pośród nas.

Z Henrykiem i Leszkiem łączyły mnie wieloletnie i bliskie relacje jako kolegów po piórze, a właściwie długopisie i maszynie do pisania. Z Leszkiem Marcińcem dzieliłem dole i niedole reporterów „Tygodnika Ponidzia”, w którym redaktor naczelny, Czesław Chałat, pozostawił nam



wolną rękę w działaniu. Obsługiwaliśmy wiele większych i mniejszych imprez, odwiedzaliśmy ciekawych ludzi, szkoły, zakłady pracy, organizacje wyższego użytku publicznego. Chociaż praca w „Tygodniku” była absorbująca, wymagająca ciągłego ruchu, przecież pozostawiała sporo czasu i sił na własne publikacje książkowe. Toteż powstawały, bez przesady, jedna za drugą.

Oto jedna z nich: *ABC miłośnika i opiekuna zabytków* autorstwa Henryka Obcowskiego z chwytającą za serce dedykacją: „Henrykowi Kawiorskiemu, wybitnemu pisarzowi Kielecczyzny, wdzięczny za pomoc i w dowód przyjaźni [autor], Busko-Zdrój, 5 VI 1998”. Na okładce jest notka o autorze, przytoczono fragmenty recenzji. Zdaniem Leszka Marcińca, książka ta może się stać wartościową pomocą dydaktyczną, po którą sięgną uczniowie i nauczyciele, miłośnicy i społeczni opiekunowie zabytków. Zaś ja w swej recenzji piszę, iż książka powstała z potrzeby serca, a szczególnie z ukochania Ponidzia i Kielecczyzny. Autor reprezentuje najszlachetniej pojętą ideę regionalizmu, dlatego wybrane hasła z zakresu teorii i historii sztuki ilustruje przykładami dobrze sobie znanymi i bliskimi.

Z Henrykiem Obcowskim zawarłem zaraz na początku znajomości w połowie lat 90. swoistą niepisaną, satysfakcjonującą wzajemnie umowę, że kiedy tylko ukaże się drukiem moja powieść lub własny zbiór opowiadań, pierwsze kroki skieruję do buskiego LO na spotkanie z uczniami. Zawsze byłem mile oczekiwany i serdecznie goszczony. W spotkaniach tych nigdy nie było nic patetycznego; lekcje języka polskiego przeobrażały się we wzajemną wymianę poglądów, żywą dyskusję. W ręce uczestników niezapomnianych spotkań trafiło wiele moich nowości. Po upływie dwóch dziesiątków lat czasem spotykam na ulicy dawnych wychowanków Henryka. Miło usłyszeć przypomnienie, że kiedyś byłem u nich w szkole.

Każdy z nas trzech był po swojemu zakochany w Ponidziu, czemu na bieżąco dawaliśmy wyraz w licznych publikacjach prasowych i książkowych. Uzbierało się ich w sumie kilkadziesiąt. Znacząca część tej historii jest zamknięta na zawsze. Najpierw odszedł Leszek Marciniec, nieco później Henryk Obcowski. Z najgłębszym żalem przyjmowałem przekazywane drogą telefoniczną wiadomości o ich odejściu. Pozostały liczne książki, wdzięczna pamięć oraz przypominająca całość przyjaźni i współpracy, przywołana na

początku, nosząca wagę ścisłego dokumentu fotografia ze spotkania autorskiego w sali koncertowej „Marconiego”.

Stanisław Nyczaj



Podobnie jak Henryk Kawiorski, znałem obydwu buskich regionalistów, stałych współpracowników „Tygodnika Ponidzia”. Ceniłem ich zapał, kompetencje i rzetelność, witałem ich często

w sali koncertowej „Marconiego” jako przyjaciół pisarzy, prowadząc przez wiele lat (od połowy 70. do 2010) spotkania literacko-muzyczne, organizowane głównie przez wielce życzliwą, uroczą kier. Alicję Bednarską. Redagowałem i wydawałem książki Henryka Obcowskiego (przy tworzeniu niektórych – choćby *ABC miłośnika i opiekuna zabytków* czy *Kolędnicy na Ponidziu* – współdziałał z młodzieżą buskiego LO, ze stowarzyszeniami kulturalnymi, ludowymi zespołami artystycznymi, np. Zespołem Pieśni i Tańca „Wiśliczanie”), jak też stale przymierzałem się do planów edytorskich Leszka Marcińca. Ale nim zdążyłem pozyskać na zamysły Leszka sponsorów i przyłożyć się do opracowania redakcyjnego zaproponowanych wstępnie tekstów i ilustracji, on uprzedził realizację „po swojemu”, niosąc materiały do drukarni, by spełniać wydania już, natychmiast. Niesamowicie się spieszył. Ogrom zapobiegliwie gromadzonej przezeń dokumentacji musiał być co prędzej wykorzystany choćby w postaci broszur, przewodników, zawsze potrzebnym „od zaraz”. Będąc zdumiewająco operatywnym, umiał przy tym zachować skromność. Taką postawą zjednywał sobie życzliwe wsparcie wielu osób. Taktykę bezkonfliktowego, pozytywnego wychodzenia z trudnych sytuacji wyniósł jeszcze z harcerstwa, o czym przekonało mnie jego wspomnienie dla „Świątokrzyskiego Kwartalnika Literackiego” (*Spotkanie z Moniką Żeromską*, 2002, nr 3-4, s. 157-158). Jakże ucieszyłem się na wiadomość,

Henryk Obcowski na spotkaniu z młodzieżą  
Fot. Ewa Marciniac



Leszek Marciniac (z lewej) na spotkaniu autorskim z czytelnikami  
Fot. Ewa Marciniac



Fot. Irena Nyczaj

że w sześć lat po śmierci jedną z ulic w centrum Buska nazwano jego imieniem.

Dzięki Henrykowi Obcowskiemu – w związku z przygotowaniem do jego monograficznych, bez mała, opracowań – poznałem bliżej Chotel Czerwony, przeszłość i zabytki Wiślicy (barwną opowieścią rekonstruował np. nieistniejący zamek na wzgórzu, który jawił się okazałe w mojej wyobraźni).

## Wskrzeszenie

*Pamięci Henryka Obcowskiego*

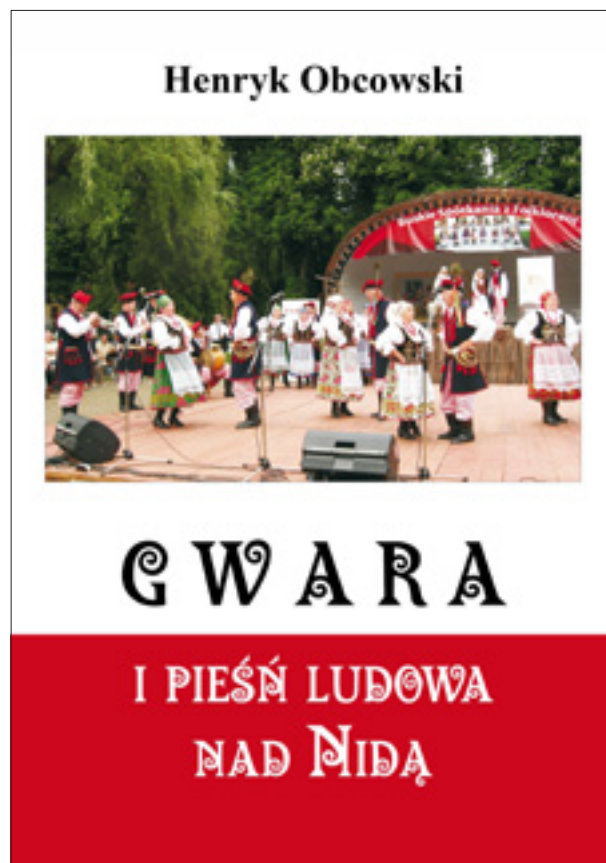
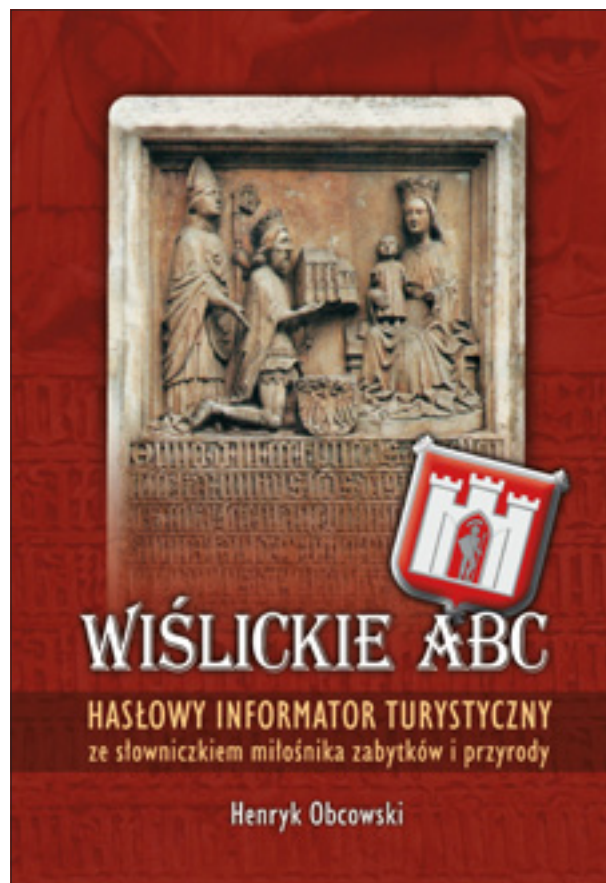
Po ścieżkach, które kiedyś były uliczkami,  
wspieliśmy się na wzgórze z rozległą polaną.  
Zdziwiło się słońce, czego tu szukamy,  
rozkładając wokół więcej niż ciekawie.

I jakbyś wymówił zaklęcie, Henryku,  
bo oto spomiędzy słów Twej opowieści  
wyłonił się i stanął przed moimi oczami  
zamek okazały.

Rozłożyłeś szeroko rozedrgane ramiona,  
jakbyś chciał rękoma całe wzgórze objąć  
– niczym obronnymi niezłomnie murami –  
i wskrzeszoną z niebytu dumną budowlę  
ocalić przed najazdem zawistnych wieków.  
mściwej Historii.

Długo tak trzymałeś rozwarte ramiona,  
domawiając szcęk mieczy, rzenie śmigłych koni,  
że słońce, dobiegłszy bram horyzontu,  
nie śmiało nawet klingą ostatniego promienia  
dotknąć Twojej krtani.

W żmudnych staraniach wraz z nim o kolejne wydania przekonałem się, jak wiele można zrobić we współpracy z małymi nawet, niebogatymi gminami, kiedy wójtowie, współuczestnicząc w promocyjnych koncepcjach, umieją wyjść zamierzeniom regionalistów naprzeciw. Wspaniale rozumieliśmy się i współdziałali pod tym względem z wójtem Wiślicy – Stanisławem Krzakiem. Wyszły w rezultacie trzy solidne opracowania, poszukiwane wciąż przez czytelników zainteresowanych głębiej tradycją i kulturą Ponidzia, zwłaszcza *Wiślickie ABC. Hasłowy informator turystyczny ze słowniczkiem miłośnika zabytków i przyrody* (2013) czy *Gwara i pieśń ludowa nad Nidą* (2015), wydana w 200-lecie urodzin Oskara Kolberga.



Ewa Marciniak  
(przy współudziale Tadeusza Ury)

Leszek Marciniak – absolwent buskiego Liceum Pedagogicznego, studiujący potem w Kielcach, wielki kronikarz dziejów i współczesności Buska – był swoistym regionalnym „pogotowiem historycznym”. Bardzo często, jeśli ktoś potrzebował sprawdzonych informacji na temat jakiegoś



wydarzenia, osobiście się z nim kontaktował. Od lat – co kilka miesięcy – do rąk czytelników trafiały kolejne wydawnictwa: książki, foldery, przewodniki, broszury wypełnione rzetelnymi i sprawdzonymi informacjami. Publikacje te pełniły rolę podręczników wiedzy o regionie. Wszystko zaczęło się od trytomowego cyklu *Więzi i korzenie* (1997, 2001, 2005). Spośród wielu pozycji warto przypomnieć ponadto: *Kurortu czar* (1998), *Buski słownik. Wspomnienie o Krystynie Jamroz* (1998), *Buska Starówka* (2000), *Buska starówka zdrojowa* (2002), *Wojtek Belon – piewca Poniądzia...* (2004), *Spacerkiem po Busku-Zdroju i okolicy* (2008), *Cmentarz parafialny w Busku-Zdroju* (2008).

Pracował w szkolnictwie, w Szpitalu Dziecięcym Górka, Specjalnym Ośrodku Szkolno-Wychowawczym w Broninie. Był wiceprezesem Towarzystwa Miłośników Buska-Zdroju.

Leszek przez całe swoje życie utożsamiał się ze Związkiem Harcerstwa Polskiego, gdzie pełnił liczne funkcje, m.in. był komendantem szczepla „Nieprzetartego Szlaku” przy Szpitalu Dziecięcym Górka, komendantem buskiego Hufca ZHP, drużynowym „Nieprzetartego Szlaku” w Specjalnym Ośrodku Szkolno-Wychowawczym w Broninie, przewodniczącym Komisji Historycznej Hufca Busko-Zdrój. Harcmistrz Leszek Marciniak od 1956 roku zasłużył się wychowaniem wielu instruktorów, zdobył uznanie wyrażone szacownymi odznaczeniami, m.in. Medalem Komisji Edukacji Narodowej, Złotym Krzyżem Zasługi dla ZHP, Krzyżem „Za Zasługi dla Kielecczyny”, Odznaką 90-lecia Harcerstwa na Kielecczyźnie, Odznaką 90-lecia Harcerstwa na Ziemi Buskiej. To z jego inicjatywy wybudowany został Dom Harcerza w Busku-Zdroju (1973), którym możemy się szczycić, a przede wszystkim mamy gdzie spotykać się, organizując biwaki, zbiórki, konferencje. Druh Leszek był bardzo często zapraszany na wieczornice, rajdy, spotkania, na których wygłaszał gawędy z dziejów harcerstwa. Był inicjatorem rajdów „Szlakiem Powstania Styczniowego” na Grochowiska, obchodów rocznicowych bitwy pod Broniną. Wydał książkę *Z dziejów harcerstwa na ziemi buskiej* (2005).

W 2016 z inicjatywą uczczenia pamięci wybitnego regionalisty poprzez nadanie ulicy jego imienia wystąpili mieszkańcy Buska-Zdroju. Zgodę wyraziła wdowa – Stanisława Marciniak. Imię Leszka Marcińca otrzymał fragment dotychczasowej ulicy Bohaterów Westerplatte. To odcinek między ulicą Armii Krajowej i aleją Mickiewicza. Znajduje się tam m.in. Dom Harcerza.

Jedną z ostatnich pozycji książkowych, wydaną w 2008 pod patronatem Towarzystwa Miłośników Buska-Zdroju jest książka *Cmentarz Parafialny w Busku-Zdroju*. Autor w niej napisał: „Buski cmentarz parafialny to jedno z ważniejszych miejsc wpisanych w historię miasta, uzdrowiska i najbliższej okolicy. Ma on ponad 150 lat, czyli jest prawie rówieśnikiem buskiego uzdrowiska. Spoczywają tu ludzie, którzy wpisali się chwalenie w rozwój miasta, uzdrowiska i lecznictwa, szkolnictwa, nauki i kultury. O wielu z nich nic nie wiemy i tylko wtedy, gdy spacerujemy cmentarnymi alejkami, czytając stare, czasem zatarte napisy wyryte w kamieniu, dowiadujemy się o tym, że kiedyś żyli, pracowali, walczyli o to, byśmy dzisiaj mogli korzystać z ich pracy i dorobku”.

## Wspomnienie o Zbyszku Leoniaku (1952–2015)



Przed trudnym wyzwaniem stanąłem pamiętnego 25 czerwca 2015 – w dniu pogrzebu Zbyszka (zmarł 22 w drodze do apteki po insulinę, której mu w domu zabrakło). Świadkiem

tej ogromnie stresującej sytuacji był przybyły ze mną z Kielc na tę najsmutniejszą z okazji poeta Romuald Bielenda. Oto na włoszczowskim cmentarzu Parafialnym, prócz roli przemawiającego w imieniu przyjaciół z Oddziału ZLP, musiałem na prośbę rodziny Zbyszka – żony Danuty i córki Izabeli – podjąć się jeszcze roli... ceremonialnej, oczywiście, w godności świeckiej (jaką trudnił się dawniej zawodowo, będąc mistrzem ceremonii pogrzebowych przez krótki okres spośród pisarzy z naszego środowiska tylko Andrzej Lenartowski, ceniący twórczość zmarłego kolegi, ale go tu w tłumie licznie przybyłych pogodnego popołudnia akurat zabrakło). Spiałem się w sobie i jakoś poradziłem, ale nie życzę takiego stresu żadnemu z prezesów dwudziestu związkowych oddziałów.

Lubiłem Zbyszka, utalentowanego prozaika i poetę. Znałem jego kłopoty, heroiczną walkę z chorobą i alkoholowym nałogiem, w tym drugim przypadku wygraną dzięki pisaniu i trosce wyrozumiałej, mądrej Danusi. Odwiedzałem go w domu przy Kolejowej, dopingowałem do pracy nad kolejnymi książkami. Wspierałem wystąpieniami o nagrody (dostał w 2012 takową od MKiDN). Zabiegałem o promocyjne spotkania we włoszczowskim Domu Kultury z pomocą polonistów Liceum Ogólnokształcącego im. Władysława Sikorskiego, z jakim blisko współpracowałem jeszcze od czasów, kiedy kierował nim Tadeusz Stolarski<sup>1)</sup>.

Mogłem zebrany przypomnieć, że mamy wspólnie świadomość, iż żegnamy pisarza o niemałym i znaczącym dorobku, obecnego m.in. w obszernej antologii *Współcześni pisarze Kielecczyzny* z 2000 (kiedy jednocześnie wydaliśmy jego *Zakazany romans*, zilustrowany kolażami żony Ireny), dostępnej

także we włoszczowskich bibliotekach publicznych i szkolnych, gdzie jest też, prócz fragmentu powieści, opracowany przeze mnie jego biogram. Mówi on, że Zbyszek urodził się 4 września 1952 w Gdańsku, był absolwentem Technikum Leśnego w Lesku, najdłużej pracował w przedsiębiorstwie Lasy Państwowe i że po młodzieńczych wędrówkach w poszukiwaniu środków do życia i przygód związał się na stałe z Włoszczową. Po debiucie wierszem w dodatku „Nike” do „Żołnierza Polskiego” publikował różne utwory (wiersze, opowiadania, fragmenty powieści, felietony) m.in. w czasopiśmie Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy „Okolice”, „Tygodniku Kulturalnym”, „Ikarze”, „Świętokrzyskim Kwartalniku Literackim”, a także w almanachu *Bazar 4*. W latach 80. związał się z niezwykle barwnym środowiskiem kieleckich artystów. Był laureatem nagród i wyróżnień w kilku ogólnopolskich konkursach literackich. Otrzymał m.in. nagrodę główną w konkursie z roku 1980 pn. „Robotnicy – młodość, postawy” za opowiadanie, III nagrodę w słupskim konkursie im. Z. Krupowiesa za zestaw wierszy (1985), III nagrodę w tarnobrzesckim konkursie z 1990 im. J. Iwaszkiewicza za powieść *Pazurki* (pamiętam, jak bardzo przeżywał nasz wspólny autokarowy wyjazd z Kielc na galę wręczenia z udziałem reprezentującego miesięcznik „Twórczość” jurora Henryka Berezę, lansującego prozę młodych; jego głos wiele znaczył), wyróżnienie w nagłowickim konkursie im. M. Reja za wspomniany *Zakazany romans* (1998, byłem w jury obok Jana Zdzisława Brudnickiego i Leszka Żulińskiego), wreszcie niezwykle prestiżowe wyróżnienie w X edycji konkursu Fundacji Kultury za powieść *Janczar fikcji* (2001, jako edytor-propozycjodawca z Oficyny Wydawniczej „STON 2” gratulowałem autorowi i koledze pisarzowi z Suchedniowa Tadeuszowi Zubińskiemu za *Odłot dzikich gęsi* podczas uroczystości wręczenia w auli warszawskiego Domu Literatury). Potem, w 2009, wyszła jeszcze powieść *Antyromans* i w 2010 ukazała się ostatnia książka – tom poetycki *Wszechświat osobisty*.

O jego twórczości wypowiadali się liczni krytycy literaccy, m.in. Stefan Jurkowski w grudniu 2014 na sesji sumującej dorobek twórczy Kieleckiego Oddziału ZLP. Nazwał on *Janczara fikcji* „syntetyczną opowieścią o dziejach ludzkości, wskazującą na

jej wzloty, upadki, urojenia, marzenia. To powieść, której akcja w miarę lektury wciąga, zaciekawia, niekiedy olśniewa wizjami oraz trafnością interpretacji”. Niebawem zaskoczył mnie pomysłowością zwięzłego i zarazem ekspresyjnego ujęcia walorów tej powieści występ zespołu recytatorsko-teatralnego z włoszczowskiego LO we wzmiankowanym wyżej Domu Kultury i w kieleckim „Zameczku” przy ul. Słowackiego. I sam Zbyszek był nim usatysfakcjonowany; nie spodziewał się tak dobrego efektu transpozycji niełatwej prozy na scenę.

Już w latach 80. dał się poznać jako poszukiwacz niestereotypowych form. Mogłem to obserwować z bliska jako konsultant i redaktor jego pierwszej powieści *Samiec* dla Wydawnictwa Łódzkiego, z którym współpracowałem. Powieść ta wyrosła z nurtu „rewolucji artystycznej” dokonującej się w młodej prozie. Zdaniem Henryka Michalskiego, recenzenta tygodnika „Kultura”, autor ukazuje bohatera „zmieniającego miasta, fabryki, zawody, hotele robotnicze i partnerki [...], drwi sobie ze świata, który się urządza. Wszędzie czuje się obcy, ale to wyobcowanie przewycięża w sobie przez ustawiczne domaganie się praw do własnej tożsamości, poszukuje obszarów, jakie można by poznać i intelektualnie oswoić. Leoniak wypróbuje różne chwytły literackiej zabawy, przymierza się do różnych stylów, technik narracyjnych, konwencji literackich”<sup>2)</sup>. W „Kulturze” (1989, nr 2) ogłosił przetarg na własną powieść *Dedal Aftaju*, co było swoistym ewenementem.

Z kolei ja w postłowie do powieści *Pazurki* wskazuję, że pisarz też potrafi trzymać się reguły jednej: realizmu, przedstawiając prawdomównie świat postaci i dążeń reprezentatywnych dla czasu transformacji ustrojowej w Polsce<sup>3)</sup>.

Krystyna Cel, nawiązując do wątku poszukiwań formalno-językowych, podkreśla w recenzji jego tomu poetyckiego *Wszechświat osobisty*, że zawikłane niekiedy w stylistyce jego wiersze mówią w istocie o naszej ludzkiej egzystencji, naszym mizernym bytowaniu, borykaniu się w drodze przez życie w ciągłej udręce aż ku odejściu. Cytuje pełne dramatycznego napięcia fragmenty: „Jak ciężko żyć, jak niemożliwie przestać”, „Jak mam pojednać się ze światem, co przemknął niczym

wietrzyk”, „Niekiedy pragnę czegoś wznioślejszego, ale nie mogę tego sprecyzować”<sup>4)</sup>.

Puentowałem swą wypowiedź pożegnalną, iż Zbyszek, obserwując życie, wyciągał i zapisywał wnikliwe, głębokie refleksje. Utrwalił je w swych książkach i ich sześć zostawił nam jako najcenniejszy i trwały dar od siebie.

W gronie zasłuchanych nad trumną był z najbliższej rodziny m.in. jego cioteczny brat, też z imienia Zbigniew, marynarz, z którym Odchodzący znajdował wspólny język. W tym rodzinnym gronie w domu na Kolejowej rozmawialiśmy jeszcze po pogrzebie, zastanawiając się, jak spopularyzować dorobek Zbyszka, wyjść choćby z fragmentami prozy poza Polskę, skoro córka Izabela świetnie włada angielskim.

Stanisław Nyczej

<sup>1)</sup> Autor tomu prozy poetyckiej *Nie ta godzina* (1997, 2004 – wydanie czwarte poszerzone), upamiętniających najwybitniejsze postaci regionu opracowań *Znani i nieznani ziemi włoszczowskiej* (2003, t. II w przygotowaniu) i *Znani i nieznani ziemi jędrzejowskiej* (t. I 2009, t. II 2013, t. III 2015), jak również wydawca tomów poetyckich z pośmiertnej spuścizny Feliksa Raka: zbioru *W środku życia* (2004), poematu *Pięć lat ciernistej drogi* (2005). Od 10 lat współpracujemy w jury Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego F. Raka.

<sup>2)</sup> H. Michalski, „Co pan jadasz, że tak pięknie opowiadasz?”, „Kultura” 1989, nr 10.

<sup>3)</sup> Szerzej uzasadniam w tym postłowie, zob. Z. Leoniak, *Pazurki*, Kielce 1997, OW „STON 2”, s. 281-283.

<sup>4)</sup> Por. K. Cel, *Między dawnymi i młodszymi laty*, Kielce 2011, OW „STON 2”, s. 56-58.



Rodzina i koledzy pisarze pożegnali Zbigniewa Leoniaka  
Fot. Jerzy Kirilenko

## Wspomnienia o Ewie Marii Wojtasik (1947–2017)

Leszek Dembek

### Pożegnanie w rodzinnym Szczecinie<sup>1)</sup>



Fot. Piotr Kaleta

W jednym z opowiadań napisałaś: „...życie niekiedy tworzy takie scenariusze, że niech się schowa najbardziej niewiarygodna fikcja literacka”. I życie nocą 2 lipca napisało dla Ciebie, Ewo, dla Twojej Rodziny, jak i dla nas wszystkich, niespodziewany scenariusz. „Powędrowałaś daleko, daleko/ tam, skąd nie ma powrotu” – jak już sama napisałaś. Z nadzieją, że „Pan raz jeszcze/ podaruje mi/ skrawek ziemi,/ bym mogła odpocząć/ chwil kilka beztroskich” – jak czytamy w Twoim wierszu *Smutny latawiec*.

Tak, Ewo, „Były sny koralowe/ i noce bezsenne, wędrowni do krainy/ marzeń,/ a potem/ jednak/ każdy krok/ zamiast przybliżyć/ oddalał

spełnienie”. Tak jak po ukończeniu liceum w 1965 roku – pisał w postawie do *Gorzkiej słodyczy* Stanisław Nyczaj – kiedy podjęłaś pracę zawodową i jednocześnie studia zaoczne na Poznańskim Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza, ale niestety, z powodu postępującej choroby oczu musiałaś z nich zrezygnować. Jakby „zatem wszystko sprzyścięło się i zdecydowało za mnie” – jak piszesz w przedmowie do tomu *Koralowe sny*.

Twój scenariusz zakładał inną historię – ale czyż wyszło nie pięknie? Bo sercem zapisałaś się w ponad 20-letniej działalności na rzecz kieleckiego Krajowego Centrum Kultury PZN, a później zostawiłaś trwałe, znaczące ślady w ponad 10-letniej pracy w Centrum Aktywności Artystycznej Osób Niesprawnych Wzrokowo przy Książnicy Pomorskiej w Szczecinie. Czyż nie pięknej urody jest też Twoja karta w zespole recytatorsko-teatralnym „Espero”, podobnie jak zdobyte laury w 2007 roku w trzech ogólnopolskich konkursach poetyckich: warszawskim „Artmode”, iłżeckim im. Bolesława Leśmiana i krasocińskim im. Feliksa Raka! Czyż nie swoistego uroku jest liryzm i refleksja w Twoich tomikach: *Gorzka słodycz*, *Nie mów mi prawdy*, *Prezenty*, *Ptaki błękitne*, *Miłość i kulinarne delikacje* oraz w *Koralowych smaczkach* – wyborze Twoich wierszy, tomiku ostatnim – jakbyś przeczuwała...

Serce zawsze zostawiłaś nie tylko w słowie, ale i w trosce o jego wartość i znaczenie, kiedy z wielkim zapałem angażowałaś się w poetyckie projekty, jak „Dialog serc”, prowadzone też razem ze Stanisławem Nyczajem, prezesem ZLP w Kielcach, które odbywały się w różnych miejscach kraju.

Bardzo bliski był Ci plener pn. Staszowskie Lato Literackie, bo kochałaś zarówno Szczecin, jak i ziemię świętokrzyską. Z wielkim zapałem prowadziłaś również warsztaty poetyckie w Ustrońiu Morskim. Twoją aktywność można było też dostrzec na plenerach kołobrzeskich poetów czy podczas Warszawskiej Jesieni Poezji, gdzie zawsze z wielkim zaangażowaniem reprezentowałaś świętokrzyski Oddział ZLP. Twoją inicjatywę i zaangażowanie na rzecz polskiej literatury doceniono, kiedy zostałaś uhonorowana w 2015 roku na wniosek tego Oddziału Srebrnym Krzyżem Zasługi. Ważne, iż wieczór autorski z tej

okazji odbył się również w Szczecinie staraniem Miejskiej Biblioteki Publicznej.

W tomiku *Koralowe sny*, „który [Tobie] kiedyś się przyśnił [i] nie dawał spokoju” pytasz: „Czy stanie Ci się [Czytelnik] ta książka, którą bierzesz do ręki, bliska?”. Tak, Ewo, ta poezja jest nam bliska, bo dominantę Twoich wierszy stanowi miłość, szczególnie osobowa, ale też ta do życia, gdy czytamy: „Po świecie/ chodziła miłość/ boso/ w uplecionej z modraków sukience/ i rozdawała/ uśmiechy, kwiaty,/ listy, łzy,/ pierścionki, obrączki,/ słowa”.

Dziękujemy za dar dzielenia się wierszem, za głoszenie epifanii życia, bo jak u Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, o którym pisałaś, wyzwało się w Tobie pragnienie:

Całą siebie dać jak bukiet chabrów,  
bo zawsze warto. Bo nigdy nie za późno.

Emilia Tesz

## Rozmowa z Ewą

Przyzwyczaiałam się do naszych rozmów, tych podczas literackich plenerów i tych na odległość – między Tomaszowem a Szczecinem. Brakuje mi ich i nie mogę się pogodzić ze stanem faktycznym, podobnie jak wiele osób z naszego grona. Ostatnia rozmowa była zapowiedzią następnych, ale co można przewidzieć? Życie płata niespodzianki...

Zadzwoiłam do Ciebie po dziesiątej, a Ty zapytałaś, czy możesz oddzwonić za dziesięć minut. Miałam przygotowany garnek z ciepłą wodą na mycie włosów, bo była awaria, więc zaproponowałam, żebyś zadzwoniła trochę później. Nie mogłam się doczekać, dzwoniłam kilkakrotnie, ale nie odbierałaś telefonów. Wiem, to był ciężki dzień – o siedemnastej miało się odbyć spotkanie w sprawie wynajęcia nowego mieszkania, więc dałam spokój i zrobiłam przerwę do wtorku. Tym razem też nie usłyszałam Twojego głosu. Nie wiedziałam, że już jesteś w szpitalu. Dobrze, że miałam telefon Uli, dzięki czemu mogłam być przy Tobie choć na odległość. Ulka odwiedziła Cię, siedziała przy Twoim łóżku, trzymała Cię za rękę. Pograżona we śnie, nie miałaś o tym pojęcia.

Wiersz *Tak trudno...* rozpoczyna się wyznaniem:

Tak trudno pożegnać się,  
lecz muszę odejść.  
Bogu się pokłonię nisko,  
podziękuję za życie [...]

Ewo, nam też tak trudno jako literatom ze szczecińskiego Związku pożegnać się z Tobą, gdyż cenimy sobie tę z Tobą wieloletnią na niwie literatury współpracę. Dobrych dni i dobrych nocy, Ewo, po tamtej stronie CIENIA, gdzie może będzie: „po łuku tęczy/ w koralowych/ zaczarowanych butach [...]/ łatwiej i szybciej/ zmienić sny/ w jawę”.

Leszek Dembek –  
prezes Szczecińskiego Oddziału ZLP

\*) Z mowy pożegnalnej 7 lipca br. na cmentarzu Centralnym w Szczecinie.

Mówiłaś często: – Kiedy śpię, nic do mnie nie dociera. Ostatnio martwiłaś się, że śpisz coraz częściej, mocniej i dłużej. Pytałaś lekarzy, co to oznacza, a oni tylko wzruszali ramionami. Pamię-



Z Józefem Faberem Fot. z archiwum Autora



tam Twoje słowa: – Ja kiedyś usnę i już się nie obudzę. I tak się stało. Czy było to zrządzenie losu, czy przypadek? W czasie ostatnich dni brałaś insulinę „w ciemno” – zepsuł się glukometr. Dlaczego w apteczkę go nie było, dlaczego chcieli Ci go dopiero sprowadzać? Podziękowałaś, bo termin dostawy przypadał na dzień przed powrotem do domu. I jeszcze – rozmawialiśmy o starości, o śmierci. Nie chciałaś obchodzić jubileuszu, siedemdziesiątej rocznicy urodzin. W swej dziewczęcej naturze nie mogłaś się pogodzić z tak brzemiennej liczbą lat. Mówiłaś, że śmierci się nie boisz. Sen oszczędził Ci lęku, uwolnił najbliższego Ci człowieka od dramatycznej chwili pożegnania. Nie będzie szumnego jubileuszu, którego tak się obawiałaś.

W niedzielę, 4 czerwca, odprowadziłaś mnie do autokaru, który miał mnie zawieźć na dworzec. Protestowałam, bo zbiórka była o siódmej rano, padał deszcz i było zimno, ale Ty się uparłaś. Szłyśmy pod jedną parasolką – Ty, oczywiście, zabrałaś całą torbę ciuchów, ale nie pomyślałaś, że w Ustroniu może padać deszcz. Z moją torbą bagażową na kółkach wyglądałaś jak mrówka, która ciągnie wielką belkę. Miałaś jeszcze sporo czasu, wracałaś do Szczecina z Romą i Stanisławem około dziesiątej. Na pożegnanie przytuliłam Cię tak, jak przytula się dziecko. Nie wiedziałam, że to ostatni już raz.

Muszę Ci opowiedzieć co nieco o plenerze w Staszowie, co do którego miałaś pewne plany – nie było Cię tam, ale właściwie cały czas byłaś z nami, do ostatniego dnia. Urządziliśmy kiermasz przed biblioteką, tak jak to wymyśliłaś, wzorem naszego kiermaszu w Ustroniu. Stoły i krzesła wyniesiono z biblioteki, Krystyna namalowała plakat, który zrywany przez wiatr, co chwilę spadał ze stelażu. Jan Lechicki przy oddzielnym stoliku mierzył ciśnienie, a Janusz Szot i Joasia Babiaryz rozłożyli instrumenty i dali koncert. Jedną z ich piosenek stała się naszym hymnem: *Skrzydła*. Wiesz, tam są takie słowa: „Gdy mi urosną skrzydła...”. Poezja unosi się nad ziemią, więc poecie potrzebne są skrzydła, ale Ty się pospieszyłaś. To nie tak miało być!

Pogoda nam sprzyjała, więc parasolka nie byłaby Ci potrzebna. Jak zwykle: do południa wycieczki, po południu spotkania w Miejskim Centrum Kultury, po kolacji maratony poezji i prozy. Ponownie byliśmy w Kurozwękach, zwiedziliśmy Raków, gdzie niegdyś była słynna akademicka, Chmielnik z odrestaurowaną i zaadaptowaną

na centrum edukacyjno-kulturalne synagogą, Sandomierz z jego zabytkami, katedrą i muzeum im. Jana Długosza. W Sandomierzu są wysmienite lody, na pewno by Ci smakowały. Muszę Ci też opowiedzieć anegdotę: Zbiórka do powrotu wyznaczona była na dwunastą. Wszyscy już czekamy przy busie, a nasi muzycy i Joasia Rzodkiewicz gdzieś się zawieruszyli. Znalazłam wizytówkę, z której Mirek Strzałkowski z trudem odczytał numer telefonu Joanny Babiaryz, zadzwonił i usłyszał, że nie ma takiego numeru. Staszek Nyczaj został w Staszowie, więc dzwonię do niego – był akurat w bibliotece. – Nie mam przy sobie namiaru do nich – mówi zaaferowany, na wieść, że musimy odjechać, a nie ma jeszcze kompletu pasażerów – zadzwonię do Ireny. Ona wyszuka numer telefonu i przedzwoni do ciebie. – Po co ma do mnie dzwonić? – pytam świadoma właściwości telefonów komórkowych. – Przecież Irenka może zadzwonić do nich i powiedzieć, że czekamy za bramą. – Tak – odpowiada Staszek – ale ona jest w Kielcach! Na szczęście obyło się bez interwencji Ireny – na skróty, bo Mirkowi udało się odczytać właściwy numer i wykonać telefon z Sandomierza do Sandomierza.

Tak to na staszowskim plenerze łyzy mieszały się ze śmiechem. Często słyszałam, że brakuje Cię na ławeczce – każdy Cię tam widział. I wyobraź sobie coś dziwnego: pewnego dnia wychodzę przed internat, a tam siedzisz Ty, tylko znacznie młodsza. Burza rudopłomiennych włosów, ten sam wzrost, nieco pulchniejsza sylwetka. W Ustroniu narzekałaś, że w młodości byłaś tęga i nie mogłaś schudnąć, a teraz nie możesz przytyć. Dziewczyna okazała się Ukrainką, ale jaki niesamowity splot okoliczności: ławeczka, a na niej rudowłosa, zajmująca Twoje miejsce!

Podsumowanie pleneru odbyło się w Rytwiach, podobnie jak w ubiegłym roku. Były przemówienia, prezentacje, kwiaty dla Staszka i Benka, koncert naszych muzyków i Kamila Kondka, ze śpiewem Viktorii Pikul, do wierszy Benedykta Kozieła. Ja wykorzystałam obecność dwójki dzieci i zrobiłam mały show do wiersza *Okulary*, potem obdarowałam dzieciaki książeczkami. Na pewno by Ci się to spodobało, taka byłaś zadowolona z mojego spotkania, które zorganizowałaś w przedszkolu w Ustroniu Morskim. Zapraszali nas na drugi rok, wtedy nie wiedziałyśmy, że ten rok zamieni się w wieczność... Kamil zadedykował Ci dwa utwory, a Ty patrzyłaś na nas z telebimu. Założyłaś okulary,

aby lepiej, dokładniej wszystko widzieć. Przecież zawsze czuwałaś nad przebiegiem spotkań, uroczystości literackich. Na zakończenie Joasia i Janusz zaśpiewali „Gdy nam wyrosną skrzydła...”.

Ewuniu! Ty już masz skrzydła, daj znać, jak tam w górze, czy nie tęsknisz do nas? Bo nam bardzo Ciebie brakuje. Ewuniu! Bardzo mi Ciebie brak!

Stanisław Nyczaj

## O kącik w sercu dla Ewy

Miała w sierpniu przybyć do Buska na wycieczki od 2012 zbawienną kurację w sanatorium „Krystyna”. Poproszony przeze mnie o interwencję Janek Chruśliński, ostatecznie domówił termin. Dobrze się składało, bo planowałem ok. 15 sierpnia zaprosić do „Marconiego” naszą literacką rodzinę oraz jako publiczność kuracjuszy i wczasowiczów na jubileusz Jej 70. urodzin. Nie chciała fety z powodu takiej akurat okazji, ale Ją przekonałem, że zarazem przecież obchodzi 10-lecie książkowego debiutu. Zorganizowany przez Nią od 25 maja do 5 czerwca turnus literacko-wypoczynkowy w Ustroniu Morskim udał się pod każdym względem; były nawet spotkania autorskie z kiermaszami w Zespole Szkół im. Juliana Tuwima i te nastrojowe z udziałem wczasowiczów turnusu po zachodzie słońca, promujące twórczość Emilii Tesz z Tomaszowa Maz. (miała nadto osobne w przedszkolu), Ewy Białek i Krystyny Guranowskiej-Stolarz z Warszawy, Bożeny Gniazdowskiej z Ostrowca Św. i również jej własną. Lubiła występować; z wyważoną emocją bez nadinterpretacji czytała wiersze, opowiadania, skupiając uwagę i rozbudzając zainteresowanie



Ewa Wojtasik, Stanisław Nyczaj, Małgorzata Siemieniec  
Fot. Greta Dzikowska

Nie odbierasz telefonów, więc nagrałam się na pocztę. Trudno się dodzwonić do Nieba, może jednak doleci do Ciebie mój głos?

Emilia Tesz

słuchaczy. Delikatna, ujmująca swą postawą. Przyciągała wzrok kolorytem wrodzonej rudej karnacji i gustownie zawsze dobranym do szczerzej figury strojem.

Jednak nie spełniły się jej i nasze sierpniowe oczekiwania. Pod koniec pobytu w Ustroniu nasiliły się cukrzycowe dolegliwości. Nadwątłone wielokrotnymi każdego dnia zastrzykami insuliny ciało z wysiłku i wycieńczenia nie obroniło się przed zapalnym stanem. Wróciła do Szczecina z gorączką i już następnego dnia zabrano ją do szpitala, gdzie po udarze zapadła w śpiączkę i pomimo wysiłków lekarzy 2 lipca nad ranem zmarła. Ta najprzykrzejsza wiadomość dotarła do nas przebywających na plenerze literackim w Staszowie, gdzie też wcześniej spodziewaliśmy się Jej udziału – także jako skarbniczki Oddziału ZLP – bo lubiła bardzo to nasze doroczne Staszowskie Lato Literackie. Upamiętniła je nawet wierszem-erotykiem, który był jednocześnie wyrazem zauroczenia przyjaznym miejscem. Podobno w Ustroniu Morskim (dokąd nie mogłem się tym razem wybrać) przepowiadała tym wierszem pt. *Latem w Staszowie* rychły, upragniony swój przyjazd po raz dziewiąty nad Czarną:

Sady płonęły  
czerwieńią czereśni,  
trawy usychały  
od słonecznej pieszczoty.

[...]

Chmury oczekiwaniem nabrzmiałe  
dawno odeszły.

Cisza niewzruszona. [...]

Wszechobecny zapach lawendy –  
i tylko noce przynosiły  
nieśmiały śpiew ptaków.

A ja kochałam się  
w tobie...

Tego samego dnia poświęciliśmy jej pamięci wieczór wspomnień, przygnębieni tak dotkliwym

dla jej rodziny i dla nas-przyjaciół zrzędzeniem losu. Słuchając przypominanych wierszy z czterech tomików zredagowanych przeze mnie i wydawanych staraniem naszej rodzinnej Oficyny, począwszy od 2007, przebiegaliśmy myślą wspólnie jakże ciekawie spędzony czas we wspólniejszej współpracy, urozmaicanej wieloma literacko-artystycznymi wydarzeniami. Ewa, choć związana stałym zamieszkaniem w Szczecinie, od 20 lat przyjeżdżała w Świętokrzyskie na seminaria, plenery, spotkania pn. Święto Słowa, Wigilie Literackie i in. organizowane przez kieleckie Krajowe Centrum PZN (borykała się, prócz cukrzycy, z poważnymi problemami wzroku), a od 2011 także na zebrania i różnorodne imprezy (w ramach Świętokrzyskich Wiosen Literackich, Światowych Dni Poezji UNESCO, letnich plenerów w Sandomierzu i Staszowie, Świętokrzyskich Jesieni Literackich z udziałem w Warszawskich Jesieniach Poezji, jak też warszawskich i regionalnych epizodach Festiwalu Poezji Słowiańskiej<sup>1)</sup>) Kieleckiego Oddziału ZLP, wybrana w 2015 do Zarządu z powierzeniem funkcji skarbniczki. Wszystkiego wymienić nie sposób, a przecież udzielała się też aktywnie od 2005 w pracach Centrum Aktywności Artystycznej Osób Niepełnosprawnych Wzrokowo przy Książnicy Pomorskiej w Szczecinie (w Dziale Książki Mówionej kierowanym z dużym osobistym zaangażowaniem przez Janinę Mazurkiewicz-Frontczak) czy twórczych działaniach grup zainteresowań Okręgu Zachodniopomorskiego PZN, m.in. w zespole recytatorsko-teatralnym „Espero” i nadto w spotkaniach Jeleniogórskiego Klubu Literackiego (w którym przyjaźniła się najbliższej z poetkami Ireną Hryniewicz i Elżbietą Kotlarską – prezeską). Podziwiając otwartą bezinteresownie na innych pasjonatkę, wspomagałem ją, angażowałem do występów w programach literacko-muzycznych (z udziałem śpiewającego przy akompaniamencie gitarowym własne kompozycje do naszych wierszy Cezarego Stawskiego, potem, gdy wyjechał na stałe do Gdańska, wokalistki Małgorzaty Siemieniec), głównie pn. „Dialog serc”, następnie „O miłości pół żartem, pół serio”, propagowałem jej twórczość poprzez wydanie w sumie sześciu książek w starannej szacie edytorskiej, publikacje w wydawnictwach zbiorowych, „Świętokrzyskim Kwartalniku Literackim”, prezentacje podczas poetyckich festiwalu. W 2007 zaczęła swą dobrą passę od trzech nagród w konkursach ogólnopolskich: I warszawskiego

Europejskiego Stowarzyszenia „Artmode” pn. „Wiosna u poetów”, II w iłżeckim im. B. Leśmiana i I w krasocińskim im. F. Raka.

Wydała w 2007 tomik poetycki *Gorzka słodycz* (z malarstwem Romy Kosińskiej<sup>2)</sup>), w 2009 dwa zbiorki: poetycki *Nie mów mi prawdy* (z malarstwem Józefa Fabera) i tryptyk teatralny *Prezenty* (w opracowaniu graficznym mojej żony Ireny), w 2011 tom wierszy miłosnych *Ptaki błękitne* (z malarstwem Teresy Tabor) oraz zbiór opowiadań *Miłość i kulinarne delicje* (z kolażami Ireny), którego drugie wydanie poszerzone wyszło w 2013, w 2015 tom wierszy wybranych *Koralowe sny* (z malarstwem Urszuli Rychlińskiej).

W twórczości Ewy Wojtasik szczególnie frapuje to, iż leitmotiwem większości utworów jest miłość. Miłość szczęśliwie odnaleziona i niesprawiedliwie tracona; wzmagana przez tęsknotę i niweczona próżnym oczekiwaniem wzajemności; silnie spajająca dwa serca i zdana na pastwę przeżywania w samotności. Miłość na ustawicznej huśtawce euforii i niepowodzeń, dojrzałą swą mądrą tęsknotą, która woła: „Pilnie potrzebne/ Twoje wielkie uczucie,/ takie, co potrafi/ wszystko zrozumieć.

W poezji tym różnobarwnym tonacjom uczuć towarzyszy wciąż rozrachunkowa refleksja, dążąca ku emocjonalności rozumnej, porządkującej ten cały nieład nagromadzonych w sercu niepokojów. Mądrość wnioskowania z kapryśnych kart losu na własny, prywatny użytek. Doświadczona boleśnie mądrość dochodzenia do prawdy, wymykającej się jakimkolwiek uściśleniu, ale wnosząca gorzką prawdę życiowego rozczarowania. No bo jak na samym dnie zwątpienia, odnaleźć choćby iskierkę nadziei? Na szczęście, tu znowuż przychodzi w sukurs: miłość (ta nowa napinająca zmysły, „zupełnie inna od innych”) i wiara w zaskarżoną wzajemność. Obydwie – miłość i wiara w wymiarze ludzkiego zaufania – osładzają gorycz przemijania.

Poetka osiąga artystyczną dojrzałość w lirykach równoważących emocje i refleksje. Jak również w wierszach melicznych, o szerszym oddechu, rozkołysanych przeżyciem niezwykłych chwil, takich, jak np. *Na Kazimierzu*:

Bosymi stopami dotykałam  
kamiennych uliczek Kazimierza.  
Wiatr znad Wisły  
wszystkie gwiazdy tam przywołał,  
a noc sennie kołysała,

unosila, przytulala,  
 bym po chwili  
 zapatrzona, zasłuchana,  
 zawieszona między nimi  
 mogła przestać istnieć.  
 A muzyka czarowała, rozbierała,  
 ubierała we wzruszenie jak najpiękniej,  
 a wzruszenie łyzy trzymało  
 na uwięzi.  
 Tylko szczęście takie słodkie,  
 bezgraniczne i dogłębne,  
 jakby sam Bóg Izraela  
 łaskawie się do mnie uśmiechał.

Bosymi stopami dotykałam  
 stygnących kamieni,  
 a noc pięknie kolebała,  
 a muzyka wirowała,  
 a wzruszenie ze szczęścia płakało.

W opowiadaniach autorka *Miłości i kulinarnych delicyj* postawiła na żart i sytuacyjny humor anegdoty. Z morałem na przekąskę. I tak powstał cały cykl (jak określiłem w tytule wstępu) *pikantnych dań – miłosnych!* Oto na talerzu stolika całe wielosmakowe lekturowe danie subtelnych sercowych doznań uczuciowych w ścisłym powiązaniu ze sztuką kulinarną i życzeniami satysfakcji z dobrego trawienia. Ewa postanowiła literacko obłaskawić swoistą obłudną wstydlivość. W jej opowiadaniach obydwie wątki – kulinarny i miłosny – mają swoje barwne sploty. Sploty naturalne z uwagi na powszechne, nieodstępne wprost przywiązanie każdego z nas do ulubionych potraw, jak i ze względu na równie niezbywalną potrzebę emocjonalno-duchowego spełnienia w związkach partnerskich, małżeńskich, w sytuacjach przelotnych i długotrwałych fascynacji. Wszak losy ludzkie układają się nieprzewidywalnie, nieraz przekornie wobec wcześniejszych postanowień. W każdym opowiadaniu podana zostaje czytelnikowi do smaku jakaś delicyja kulinarna, w każdym zafascynuje go jakaś pikantna historia miłosno-erotyczna.

Ewa, wychodząc z zautka najgłębszego ze smutków i „stając” dyskretnie przy Waszym lekturowym stoliku, życzyłaby sobie na pociechę: popróbujcie od czasu do czasu tę czarę Jej słów... dla serca.

Stanisław Nyczaj



Z aktorką Agatą Sobotą Fot. Anna Bilska

Szczególnie wyróżniła się w roku 2012, recytując w warszawskim Muzeum Literatury im A. Mickiewicza wiersze w j. polskim i angielskim, gdy omawiałem 15-letni dorobek „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego”.

Malarka Roma Kosińska (obchodząca w br. 20-lecie pracy artystycznej) wraz z mężem Staszkiem Kaczmarkiem (świetnym gawędziarzem) wielokrotnie gościli nas niezwykle serdecznie i wystawnie w swym szczytnym mieszkaniu. To były niezapomniane dyskusje, w trakcie których rodziły się pomysły wspólnych eskapad literacko-artystycznych np. do zachodniopomorskiego Reska czy Ustronia Morskiego k. Kołobrzegu. To Roma na którymś z literackich seminariów kieleckiego Krajowego Centrum Kultury PZN w Bocheńcu nad Wierną ośmieliła Ewę do pierwszego publicznego występu z własnymi wierszami, jeździła z nią potem na seminaria do Jeleniej Góry. Ewa bardzo wiele jej i Staszce Kaczmarkowi zawdzięczała, co podkreślała w naszych rozmowach ze wzruszeniem wielokrotnie.

Bożena Gniazdowska

\* \* \*

Zamknięta księga,  
 wiersz niedokończony,  
 wieniec wspomnień –  
 boli...

kryształowe łyzy  
 zastygną modlitwą.

Kiedy kolejne poezji czytanie?  
 Już nie odpowiesz na moje pytanie.

Śnij swoje „koralowe sny”.

## Sumując okazały dorobek

Z Longinem Janem Okoniem – m.in. o powrocie dobrej passy powieści indiańskich, stworzeniu międzynarodowej Wolnej Republiki Poetów – rozmawia Stanisław Nyczaj

**Stanisław Nyczaj** – Przeglądam antologię 44. Warszawskiej Jesieni Poezji z 2015 pod hasłem-mottem „I to jest nasze życie”, zaczerpniętym z wiersza Jarosława Iwaszkiewicza (*inc.* „Letnia muzyka...” z tomu *Mapa pogody*). Końcowa zwrotka tego wiersza brzmi:

I to jest nasze życie: mgła strach złote cienie  
i oczy które wszystko na wylot przejrzały  
i ponad walki rozpacz przerażenie  
palą się pomarańcze i kwitną migdały.



Fot. Ewa Popek

Występujemy w tej antologii obaj na sąsiednich stronach wierszami mówiącymi o życiu. Mój *W pojedynku z Losem* puentuje strofa ironiczno-buńczuczna: „Wciąż jeszcze,/ krnąbrna, uparta Nadziejo,/ nie mam w sobie

dość sił,/ żeby się poddać”. Twój pt. *Prośba* jest wyrazem pogodzenia się z Losem, obdarzającym przemiennie radością piękna i bólem z powodu utraty osób sercu najbliższych. Spomiędzy „dławiących ciemnością ścian samotni” dobywa się pokorny szept błagania: „proszę ucisz kipieli/ i rozplomień różaniec życia” przy całkowitej ufności w dar wszechmocnej łaski.

Należy ci się ten dar, bo jakże wiele dokonałeś w ciągu przeżytych pracowicie lat, wydając – jak sumuje antologijna notka – 64 książki, w tym 22 tomiki poetyckie, 5 tomów opowiadań, 6 historycznych powieści indiańskich, wiele szkiców na tematy literackie, etnograficzne i oświatowe.

W tym okazałym dorobku mieszczą się dwie powieści przez naszą Oficynę wydane (*Przekleństwo Inków* z 1998 i wznowiona z ilustracjami Jana Bijoka *Przełęcz Grozy* – 2006). To w sprawie ich publikacji i naradzania się względem sposobów z roku na rok coraz trudniejszej (wymagającej

strasznego uciemnienia!) dystrybucji – kiedy nawet nam wydawcom nietęgo szło w próbach współpracy z organizatorami Wiosek Indiańskich w Uniejowie czy Zaborzu – odwiedzałem cię w Lublinie w „Okoniówce” (willi przy ul. Uroczej 88), skąd później przeprowadziłeś się do Chełma. Wspominam te wizyty i rozmowy ze wzruszeniem; jeszcze wtedy żyła wspomagająca cię duchowo Maria Janina, doradczyni przy pracy nad powieścią *Przekleństwo Inków*). A także serdecznie wspominam te jeszcze wcześniejsze od nich przyjazdy na spotkania autorskie w siedzibie Lubelskiego Oddziału ZLP, któremu prezesowałeś, dbając zapobiegliwie o rozwój lubelskiego środowiska. Pamiętam piękny wieczór także gdzie indziej (chyba nieopodal, w muzeum?), podczas którego wypowiadałem się publicznie o twórczości poetów skupionych w Nauczycielskim Klubie Literackim im. Józefa Czechowicza, co zostało utrwalone w zbiorze *W ogrodach ognia* (Lublin 1990). I było to autentyczne zaangażowanie się we współpracę. Wynikły z niej opracowania książkowe, wydane tomiki, np. *Za siódmą skórą* (wiersze 1965–1995) Henryka Makarskiego z moim posłowiem (1996), tak jak również niemało wynikało z kontaktów na niwie powiązań literatury i filozofii z dr Bogumiłą Truchlińską (późniejszą prof. UMCS), że wspomnę chociażby o jej ciekawych szkicach w „Świętokrzyskim Kwartalniku Literackim” czy wydanym przez nas jej eseistycznym zbiorze *Między afirmacją a sceptycyzmem* (*W kręgu literatury i filozofii*) z 1995 oraz kompendium...

Jak utrwalił się w twojej pamięci tamten nasz bujny w dokonania okres?

**Longin Jan Okoń** – Tak się składa z uwagi na alfabetyczne sąsiedztwo nazwisk, że występujemy obok siebie, co mnie cieszy, w wielu jeszcze innych publikacjach zbiorowych, prócz wspomnianej antologii 44. WJP, np. w almanachach poetyckich *W ogrodach ognia* (Lublin 1990), *Bazar 7* (Kielce 1998) czy kilku aforystycznych, jak *Aforyzmy polskie* (Kęty 2001), *Księga aforystyki polskiej*

XXI wieku (Katowice 2002), *Wielka księga myśli polskiej* (Warszawa 2005). Także mile wspominam wspólnie spędzone w Lublinie chwile ważnych rozmów w siedzibie ZLP, połączone z prezentacją twórczości, i w moim domu. Przywołanego tomem *Za siódmą skórą* Henryka Makarskiego w Lubelskim Oddziale bardzo brakuje. Utrzymuję kontakt z jego żoną Marią, piszącą wartościowe szkice i recenzje. Żałuję, że z panią prof. Truchlińską kontakt się urwał.

**S.N.** – O twoich powieściach indiańskich pisali m.in. J. Frenkiel, I. Hofman, J. Kajtoch (parokrotnie), Z. Kościński, J. Kowalczykówna, S. Łukowski, J. Maruszewski, S. Rogala (kilkakrotnie, np. w wydaniu drugim poszerzonym monografii *Longin Jan Okoń* z 2002), R. Rosiak, Z. Szelaąg, C.Z. Twardzik. Prof. Lech Ludorowski, którego wysoko cenię nie tylko za zasługi w badaniach nad twórczością H. Sienkiewicza, wypowiedział się następująco: „Sztuka pisarska najpopularniejszego pisarza Lubelszczyzny i jednego z najbardziej znanych twórców historycznych powieści westernowych we współczesnej literaturze polskiej – Longina Jana Okonia – przyciąga raz po raz uwagę krytyków i młodych adeptów filologii. Rzeczywiście trylogia (ostatnio zaś tetralogia) o Tecumsehu, wydana w imponującym nakładzie, zyskała sobie ogromną i w pełni zasłużoną poczytność oraz wysokie oceny krytyki (a nawet pewną »wierność« niektórych krytyków piszących regularnie o kolejnych dokonaniach twórcy, jak np. J. Kajtoch). Trzeba jeszcze dodać, że lubelski ośrodek badań nad powieścią historyczną [...] w latach 80–90 przyczynił się w znacznym stopniu do poznania i zgłębienia pisarstwa Longina Jana Okonia. Między innymi w Zakładzie Teorii Literatury UNCS powstały dwie prace magisterskie o twórczości autora *Tecumseha*”.

Z dystansu wielu minionych lat jak oceniasz odbiór krytyków? Na ile, w twoim głębokim odczuciu, był wnikliwy? Czy – kiedy powstawał powieściowy cykl indiański – ich sondaż w jakimś stopniu oddziaływał, był w promowaniu ci pomocny? Czy sądzisz, że z uwagi na podobieństwo losu Indian z losem Polaków znajdujących się w śmiertelnym zagrożeniu, powiodłyby się zachęty krytyków i popularyzatorów dobrej, wartościowej literatury (bibliotekarzy, polonistów, nauczycieli historii), aby do ulubionych przed laty indiańskich lektur wrócić? Czy jej passa, szlachetna „moda na nią” bezpowrotnie prze-

minęły? W wydanej przez nas ostatnio antologii *Kazimierskie Spotkania Literackie* poeta i prozaik Jan Rychner zalicza cię do grona pisarzy, których twórczość należałoby dziś bardziej popularyzować poprzez częstsze wznowienia.

**L.J.O.** – Na temat moich historycznych powieści indiańskich napisano 13 prac magisterskich na różnych uczelniach. Passa lektur indiańskich nie przeminęła! Ale wróćmy na chwilę do Ludwika Powidaja, który w 1864 ogłosił w lwowskim „Dzienniku Literackim” szkic pt. *Polacy i Indianie*. Przedstawił w nim podobieństwo losu historycznego Indian i Polaków. Polska wtedy była w niewoli rozbiorowej. Esej ten wywołał żywą polemikę. Dziś, po bestialstwach drugiej wojny światowej, szkic Powidaja jawi się jak ostrzeżenie dla naszego narodu.

Wciąż po indiańską tematykę sięgają młodzi i dorośli czytelnicy. Jednak niewiele jest utworów godnych wznawiania. Zdecydowana większość powieści to albo „kalekie” artystycznie, albo przedstawiające plemiona indiańskie jako zbrodniarzy polujących na skalpy białych Europejczyków. To wszystko kłamstwo. Lektura tych książek była dawniej orężem w walce o zagarnięcie terenów poszczególnych plemion. Indian przedstawiono jako dzikusów i złoczyńców zrywających skalpy z głów europejskich osadników. Prawda wygląda tak: William Penn, gubernator angielskiej Pensylwanii, wydał dekret o skupywaniu skalpów Indian – wojowników, kobiet i dzieci. Powstawały więc bandy białych łotrów polujących na indiańskie skalpy. Indianie zatem odwdzięczali się podobnie. Rządy kolonialne, później rząd Stanów Zjednoczonych, nie przestrzegały żadnych umów zawieranych z indiańskimi plemionami; złamano ponad 370 traktatów. Osadnicy i wojsko USA nie mieli granic w stosowanym bestialstwie wobec Indian.

Dawne powieści z tzw. Dzikiego Zachodu nie nadają się na lekturę, bowiem dalekie są od prawdy i etyki. Nowych jest niewiele. Można jedynie wymienić A. Szklarskiego, N. Szczepańską, W. Wernica, nieskromnie zaliczam sześć powieści swoich, dwie dawne B. Zielińskiego i paru innych pisarzy. Nawet Karol May nie jest wolny od zakłamań. Winnetou, wódz Apaczów, to postać szlachetna, bo wpływa na nią Niemiec Old Shatterhand, który jest niedościgłym we wszystkich czynnościach. Prócz tego cała twórczość Maya jest całkowitą fikcją. Obecnie w Ka-

towicach podjęto decyzję wydania 80. tomów dzieł K. Maya w jednolitych oprawach. W tym roku ukazuje się 12 tytułów. Cykl wydawniczy jest obliczony na trzy lata. Rocznie będzie ukazywać się 12 tytułów w cenie po 25 zł; dla prenumeratorów po 20 zł.

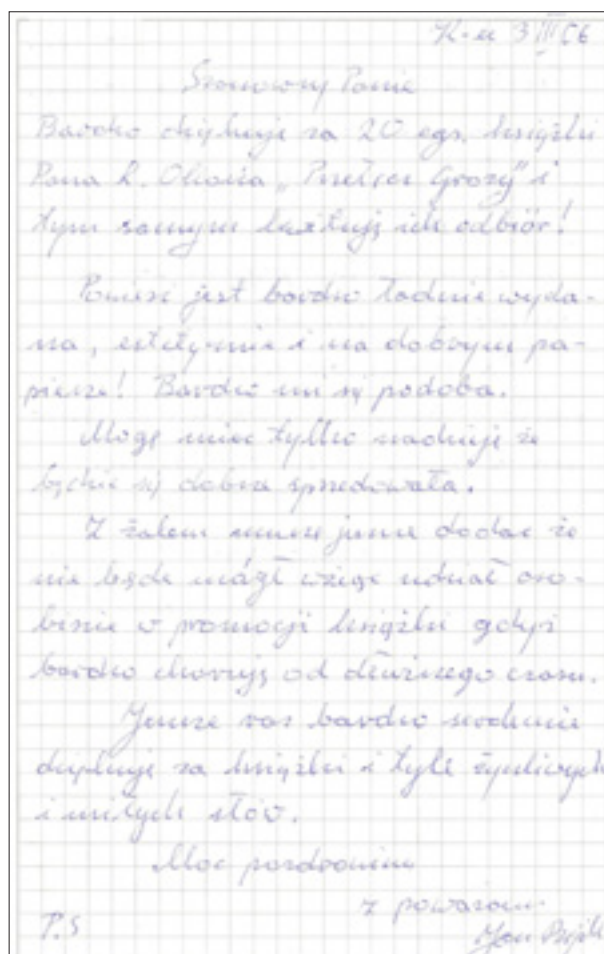
W Polsce działa Stowarzyszenie Przyjaciół Indian i są koła miłośników westernów. Szukają książek i czekają na filmy o tej tematyce. Gdyby wydawcy zainteresowali się tym problemem i podjęli określone działania, to nastąpiłby powrót do indiańskich lektur. Warto było do tego problemu powrócić, zwłaszcza po drugiej wojnie światowej, bo los narodów indiańskich przypomina holocaust stosowany przez barbarzyńskich najeźdźców i narody walczące rzekomo o niepodległość. Szczególnie boleśnie odczuł to naród polski.

**S.N.** – A teraz, wracając do wydanych przez nas twoich powieści, *Przełęcz Grozy*, pisanej przez trzy lata, którą ukończyłeś w Lublinie w 1988. Pierwsze wydanie ukazało się w 1990, nasze, drugie z ilustracjami zafascynowanego tekstem Jana Bijoka – w 2006. Czy do tej powieści – dzięki długiej, przyjacielskiej współpracy z tym ilustratorem – masz jakiś szczególny sentyment?

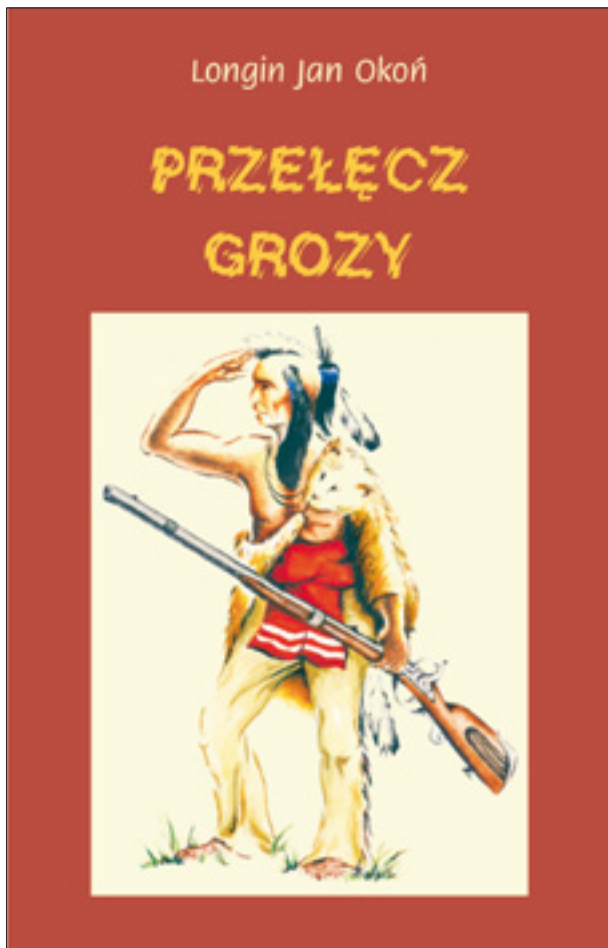
**L.J.O.** – Z Janem Bijokiem nie znam się osobiście, nasza przyjaźń zawiązała się korespondencyjnie. Kiedy w 1978 wyszedł mój *Czerwono-skóry generał* i błyskawicznie zniknął z księgarń, otrzymałem od niego list z prośbą o sprzedanie książki. Wysłałem mu egzemplarz z dedykacją nieodpłatnie. Wkrótce otrzymałem pocztą figurkę Tecumseha i list. Tak się zaczęło. Z korespondencji dowiedziałem się, że jest inwalidą, że leżąc na łóżku rzeźbi lub rysuje, dużo czyta, że interesuje go literatura przygodowa i historyczna. Po zebraniu materiału i fotografii jego rzeźb napisałem trzy szkice o Bijoku i opublikowałem w „Słowie Powszechnym”, „Zielonym Sztandarze” i „Kurierze Lubelskim” oraz zwróciłem się do prezydenta Katowic o zaopiekowanie się artystą. Moje publikacje spowodowały, że rzeźbiarzem zainteresowała się telewizja, która nakręciła reportaż o Bijoku. W wyniku tych zabiegów stworzono mu warunki do wzięcia udziału w imprezach i konkursach rzeźbiarskich, w których zaczął zdobywać nagrody. Poprosiłem go o zilustrowanie *Przełęcz Grozy*, którą wznowiłem w waszej Oficynie. Zrobił to chętnie. Ilustracje odzwierciedlają indiański folklor. Prowadzę z nim serdeczną koresponden-

cję. Niepokoję się o jego zdrowie, bo dawno nie miałem od niego listu.

**S.N.** – Wracając zaś do poezji, od której naszą rozmowę zacząłem, przede wszystkim poezji w twoich tomikach (np. w pamiętnym *Niega-*



snącym płomieniu), prezentowanej też w świętokrzyskim „Ikarze” na redagowanych tam przeze mnie „stronach literackich” (recenzją S. Rogali w numerze 7-8 z 2000) – chętnie, z uwagą, wczytywałem się w nią. I bardzo ci jestem wdzięczny za przyjacielską wzajemność. Szczególnie za przesłaną celną wypowiedź o moim dwujęzycznym, polsko-czeskim tomie wydanym w roku 1999. Mija osiemnaście lat od tamtego czasu i spełniły się szczęśliwie twoje życzenia, by spotkały mnie dalsze przekłady. Posyłam ci najnowszy wybór polsko-bułgarski *Żarliwy niepokój*, zbieżny w zawartości z równoległym polsko-angielskim, nadmieniając tu tylko o skromniejszych w ilości wyborach wierszy do wydań antologijnych na kilka innych języków – białoruski, grecki, rosyjski, włoski – w antologiach wielu autorów, ale w każdym przypadku dwujęzyczne. I z radością patrzę na twoje polsko-francuskie *Witraże / vitraux* w przekładzie i z pięknym malarstwem Teresy



Na okładce rysunek Jana Bijoka

Thevenaz, mieszkającej w Szwajcarii, rozmiłowanej w polskiej poezji i także piszącej wiersze, podobnie jak mój tłumacz Łyczczar Seliaszki. Wiem o tłumaczeniach twoich wierszy na fiński, rosyjski, ukraiński. Ty zaś w jednym z cykli przyswoiłeś poezji polskiej pieśni indiańskie, ukazując piękno dzikich prerii i duchowy świat wtłoczonych w rezerваты Indian. Może więc istnieje już i powiększa się wielobarwna – dotąd nienazwana – i mimo pewnych różnic kulturowych w lot komunikująca się czułoreflexyjnie, ponadnarodowa, Wolna Republika Poetów z niezliczoną ilością pomostów-paraboli, których nie zniweczą krzykliwe prowokacje polityków, nakręcających w pogoni za zyskiem walkę drugoczącą wszelkie inne wartości...? Przeczuwam tę potrzebę sprzymierzenia się w obronie innych duchowych wartości ponad ową doraźność, uczestnicząc w dorocznych Światowych Dniach Poezji UNESCO i Festiwalach Poezji Słowiańskiej, m.in. parę lat temu również w epizodzie lubelskim jednej z tych imprez, jaki umożliwił licznie zgromadzonym w teatrze poznanie twórczości kolegów z twojego Oddziału ZLP.

**L.J.O.** – Wysunąłeś bardzo ciekawą myśl stworzenia Wolnej Republiki Poetów, która w Światowych Dniach Poezji UNESCO i podczas Festiwalu Poezji Słowiańskiej głosiłaby nie tylko sztukę, ale przede wszystkim braterstwo narodów. Do tego powinno dojść, bo coraz częściej organizowane są międzynarodowe poetyckie festiwale wiążące ze sobą poetów w jedną literacką republikę.

W 2006 w Krasnymstawie odbyły się Międzynarodowe Warsztaty Literackie, zorganizowane przy współudziale Rejonowego Domu Kultury w Łucku, na które przybyli poeci z Ukrainy i Białorusi oraz grupa białoruskich malarzy. Polskę reprezentowali poeci z Chełma i Krasnegostawu. Brałem czynny udział, analizując pojęcie artyzmu w poezji. Na zakończenie tych ciekawych warsztatów ukazała się antologia polsko-ukraińska pt. *Poezjomania nad rzeką* w tłumaczeniu Tadeusza Korabowicza, bogato ilustrowana barwnymi obrazami artystów z Ukrainy, Białorusi i Polski. W Utenie na Litwie w 2014 uczestniczyłem wraz ze Stanisławem Koszewskim w VII Międzynarodowym Festiwalu Poezji. Poeci swoje utwory recytowali w ojczystych językach: litewskim, polskim, rosyjskim, białoruskim, ukraińskim i gruzińskim. Potem Birute Januskaite (poetka pochodzenia polskiego, wiceprezeska Związku Pisarzy Litewskich) czytała je po litewsku. Wszystko to odbywało się pod oszkloną kopułą obserwatorium astronomicznego przy muzyce kompozytorów litewskich. Prasa litewska publikowała wiersze gości. W imprezie uczestniczyli przedstawiciele władz Uteny i Chełma. Ukazała się też bardzo pięknie wydana antologia poetycka. Nie mogę zapomnieć subtelnej atmosfery tego festiwalu.

Pomysł stworzenia międzynarodowej republiki poetów i organizowanie poetyckich festiwali w imię braterstwa narodów jest szczególnie cenny w naszych niespokojnych czasach. Tylko jak dotrzeć do poszczególnych rządów państw, by zechciały zrozumieć istotę zagadnienia i czynnie włączyły się w realizację?

Dziękuję za rozmowę.

*Stanisław Nyczaj*



## Jak uskrzydla sukces?

Rozmowa Stanisława Nyczaja z Janem Chruślińskim

**Stanisław Nyczaj** – Twoja dobra passa pisarska trwa. Fetujemy co trochę kolejne jej zdarzenia. Jesteś laureatem wysokich nagród w prestiżowych konkursach. Jak więc ma się nie cieszyć wydawca, kiedy wypuszczona przezeń w świat książka uhonorowana wysoko w II Konkursie Literackim im. St. Żeromskiego pt. *Miłość i wojna* zyskuje niebywałe wzięcie! Po reportażu telewizyjnym zainteresowali się nią filmowcy, i tylko patrzeć, jak będziesz musiał wspólnie z reżyserem przygotowywać na jej podstawie scenariusz dla ekranizacji. To przed nami.

Teraz chciałbym nawiązać do twoich książek wcześniejszych. Wpierw do tej pt. *Starość zaczęła się wczoraj* z 2013, która została przypomniana dzięki głównej nagrodzie w kategorii Słowo na Pierwszym Polskim Festiwalu Sztuki „Orzeł 2016” i szczególnie nagłośniona w Internecie. Ukazało się jej wydanie drugie. We wstępie Andrzej Piskulak (poeta, także prozaik, dramaturg, publicysta z naszego Oddziału ZLP) pisze: „Książka opisuje stany emocjonalne, duchowe człowieka chorego na raka. Jej oryginalność polega na tym, że bohater – zarazem autor-narrator – nie oczekuje na starość, która ma nadejść w bliżej nieokreślonym czasie przyszłym, ale poszukuje jej początku w konkretnym czasie przeszłym. Autor wciąga czytelnika w swą złożoną, wielowątkową historię. Opowiada płynnie, żywo i obrazowo, z talentem literackim przeżycia z długiego życia, co sprawia, że książkę czyta się szybko, jakby na przekór tradycyjnej literaturze wspomnieniowej, która zazwyczaj kojarzy się z przydługimi rozliczeniami życiowymi. Autor nakłada na siebie wydarzenia dziejące się w czasie teraźniejszym i te minione, stwarzając metafory. Zwierza się przed samym sobą, że już trzeci rok zmagając się z nowotworem, doszedł na tyle do siebie, iż wygląda na zdrowego człowieka, a jeszcze do niedawna prześladowała go myśl, że rak nawróci. Tłumaczy sobie to wszystko po wielokroć, rozważa, ale tak naprawdę ma ochotę uciec od niepotrzebnych myśli. Powieść kończy się refleksją krzepiącą. Pisarz przeciwstawia się polskiemu stereotypowi pojmowania starości, który utożsamiany jest z wizją klęski. Nie chce, by o starości mówiło się jako o zniedołężnieniu, schorowaniu. Ukazuje ludzkie życie jako wędrówkę ku mądrości, ku pełni człowieczeństwa, a nawet heroicznej »cichej« świętości. Próbuje odpowiedzieć przez własne przefiltrowane

życie na pytanie, czym jest ów nieuchronny kres. Progiem nicości czy nowego życia?”.

Przypomnij czytelnikom „SKL”, jak doszło na owym Festiwalu „Orzeł 2016” do odkrycia wskazanych przez Andrzeja Piskulaka walorów tej poruszającej głęboko opowieści. Jacy jurorzy ją ze zgłoszonych przez siebie na konkurs propozycji wyforowali i czym to jeszcze, prócz wskazanych przez Andrzeja walorów, uzasadniali?

**Jan Chruśliński** – Motywem przewodnim festiwalu było hasło **POLSKA**. O zgłoszeniu swoich książek w kategorii SŁOWO, nikomu poza żoną się nie zwierzyłem. Wyszedłem z założenia, że lepiej poczekać na finał Festiwalu, ponieważ ze względu na zasięg i poziom konkursu nie byłem pewny swego sukcesu.

W dniach 12 i 13 listopada ubiegłego roku w warszawskim Centrum Expo XXI odbył się finał Polskiego Festiwalu Sztuki „Orzeł 2016”. Festiwal był okazją do zaprezentowania artystów w czterech kategoriach twórczych: DŹWIĘK, SŁOWO, OBRAZ i RUCH. Swoje talenty prezentowali spośród pisarzy prozaicy, poeci, plastycy, muzycy i tancerze, a także filmowcy. Kumulacja wydarzeń z szeroko pojętej kultury w tych dniach przekroczyła najśmielsze moje oczekiwania i oczekiwania zwiedzających. Różnorodność sprawiła, że każdy mógł znaleźć coś dla siebie. Przez dwa dni zaprezentowało się ponad dwustu twórców. Mój udział w Polskim Festiwalu Sztuki „Orzeł 2016” to kolejny etap na drodze literackich dokonań. Znalazłem się w gronie znakomitych prozaików, poetów i artystów, znamionujących się artyzmem na najwyższym poziomie. Natomiast jako uczestnik różnego rodzaju plenerów i festiwali mogę stwierdzić, że organizacja tego przedsięwzięcia, podejmowanego w naszym kraju po raz pierwszy, stała na poziomie godnym pozazdrosczenia dla wielu animatorów. Atmosfera panująca podczas festiwalu pozwalała w sposób niemalże bezstresowy wykonać swoje zadanie, czyli zaprezentować własne dokonania literackie i artystyczne. Hasłem przewodnim festiwalu była POLSKA jako kraj, polskość ukazana w wymiarze literackim i artystycznym. Projekt promował artystyczną stronę polskości, wspierał tradycje i wartości narodowe, ale także przedstawiał nowe kierunki i doświadczenia w literaturze, kulturze i sztuce. Głównym celem organizacyjnym festiwalu było promowanie



Gala finałowa Festiwalu Polskiej Sztuki ORZEŁ 2016. Gratulacje Janowi Chruślińskiemu składają członkowie kapituły: (od lewej) Cezary Harasimowicz, prof. Jerzy Bralczyk, Robert Ziółek Fot. arch. Fundacji Mushchelka

najciekawszych dzieł twórców w nim uczestniczących. Jedynymi kryteriami oceny dzieł była wartość literacka, artystyczna. Festiwal zakończyła gala z występami laureatów i zaproszonych gwiazd polskiej estrady, m.in zespołu „Lemon”, teatru „Sabat” Małgorzaty Potockiej, Michała Milowicza i Janusza Józefowicza ze spektaklem muzycznym 3D „Polita”. W loży wysokiego jury w kategorii SŁOWO zasiedli: prof. Jerzy Bralczyk jako przewodniczący, Cezary Harasimowicz, Krzysztof Lang i Robert Ziółek.

Rozpoczęło się ogłaszanie wyników konkursu. Na widowni ok. siedemset osób. Moje wewnętrzne napięcie urosło do zenitu. Wywołano zdobywcę trzeciego miejsca, za chwilę drugiego, ale wciąż nie byłam to ja. Dotarła do mnie błyskawiczna myśl, że nie znalazłem się wśród nagrodzonych i odczułem jakąś ulgę. I oto światła zgasły. Z głośników popłynął głos: A teraz na scenę prosimy zdobywcę pierwszego miejsca w kategorii SŁOWO – laureata Festiwalu...

**S.N.** – ...i wymieniono, oznajmiono całej sali twoje imię i nazwisko jako zwycięzcy!

**J.Ch.** – Z wrażenia nie mogłem wstać z krzesła. Żona dwukrotnie szturchnęła mnie w bok, wtedy dotarło do mnie. Wstałem i na miękkich nogach ledwie wszedłem na scenę. Owładnęło mną jakieś niesamowite uczucie. Nie docierało do mnie to, co wokół się działo. W końcu ogarnęła mnie radość, podniosłem statuetkę do góry, kierując w stronę widowni. Satysfakcja i radość były ogromne.

**S.N.** – Czy, rozemocjonowany, przejęty wzruszeniem, zapamiętałeś, co powiedział przewodniczący jury?

**J.Ch.** – Prof. Bralczyk, uzasadniając przyznanie mi głównej nagrody, docenił, iż język w utworze *Starość zaczęła się wczoraj...* spełnia wymogi pięknej prozy, w której jest miejsce na opisy krajobrazów, wyszukane określenia, subtelne analizy stanów psychicznych i nawiązania do dobrej literatury. Książka w trakcie czytania trzyma w napięciu, mobilizuje do czynu, do walki o zdrowie i życie. I jednocześnie wycisza, chłodzi, pozwala płynąć czasowi swoim niespiesznym rytmem...

**S.N.** – Jakże trafne! Gratulacjom pewnie ze wszystkich stron nie było końca. Jak sądzę, tegoroczny Drugi Festiwal „Orzeł 2017” tę wspaniałą, przeżyłą wtedy fetę odtworzy, przywoła ku radości nie tylko osób najbliższych, ale i całej naszej rodziny literackiej, jaką stanowi Kielecki Oddział ZLP, w którym jesteście. Możemy ścisnąć twą dłoń.

Bywa, dodaję tu od razu, że szczęśliwe chwile lubią się podwajać. Otóż wkrótce potem twoja druga, wcześniej jeszcze wydana niż *Starość...* książka, zatytułowana *Tak było... Wspomnienia oficera wojsk drogowych* odżyła na nowo niespodzianie nie tylko dla ciebie fortunnym trafem innej okoliczności. Bo, jak dowiedzieliśmy się, w dniu 22 listopada ubiegłego roku w Klubie 1. Bazy Lotnictwa Transportowego w Warszawie, gdzie odbywały się uroczystości z okazji Święta Transportu Wojskowego, Szef Transportu i Centrum Koordynacji Ruchu Wojsk, płk Marian Słomski, wyróżnił cię Honorową Odznaką „Zasłużony dla Transportu Wojskowego” za ten właśnie wspomnieniowy tom. Czym motywując przede wszystkim?

**J.Ch.** – Żeby odpowiedzieć na to pytanie, należałoby krótko scharakteryzować moją wieloletnią służbę wojskową. Jestem absolwentem Wydziału Budowy Dróg i Mostów Kołowych Oficerskiej Szkoły Inżynierskiej im. gen. Jakuba Jasińskiego we Wrocławiu. Kończący Wydział kierowani byli do jednostek kolejowych i drogowych Wojska Polskiego. Ja trafiłem do 12. pułku drogowo-eksploatacyjnego w Modlinie Twierdzy. W swoich zadaniach pułk na wypadek wojny przeznaczony był do budowy i naprawy dróg na terenie kraju, pełnienia służby regulacji ruchu oraz kontroli wojskowych pojazdów mechanicznych. W okresie jesienno-zimowym czasu pokoju w garnizonie prowadzono z żołnierzami szkolenie ogólnowojskowe i specjalistyczne; przygotowywano samochody, maszyny i sprzęt do wyjścia na budowy w okresie wiosennym.

Wczesną wiosną, na przełomie marca i kwietnia, transportami kolejowymi wyjeżdżano na zgrupowania polowe, gdzie w ramach praktyki letniej wykonywano roboty na budowach dróg na rzecz gospodarki narodowej oraz na przebudowach i w zakresie modernizacji lotnisk wojskowych. Powroty z budów następowały w październiku i listopadzie.

Na bocznicę kolejowej w Modlinie oficerowie i podoficerowie zawodowi zajmowali miejsca w wagonach towarowych, tzw. ludzkich. W takich samych wagonach jechali żołnierze służby zasadniczej. Pośrodku wagonu stał piecyk nazywany „kozą”,

którym ogrzewano nas w czasie podróży. Za wagonami z wojskiem na platformach kolejowych jechały samochody, maszyny drogowe do robót ziemnych i nawierzchniowych z różnorodnym sprzętem, wykorzystywane później na budowie. Po przyjeździe na miejsce rodziny były kwaterowane w barakowozach na lotnisku. Rodzina na poligonie była oparciem w sytuacjach trudnych, dawała poczucie bezpieczeństwa, a mieszkanie, nawet w barakowozie, w sytuacji napięć i stresów było oazą spokoju, dawało możliwość odpoczynku i regeneracji sił.

Przez piętnaście lat (1965–1980) każdej wiosny wyjeżdżałem z rodziną na budowę. Kadra zawodowa i żołnierze, którymi dowodziłem, pracowali m.in. na przebudowie linii kolejowej Rybnik–Racibórz; przebudowie węzła kolejowego Katowice–Bogucice, budowie dróg w Kraśniku Starym, węzła kolejowego w Dąbrowie Górniczej i Sosnowcu, budowie drogi Katowice–Tychy. Przebudowie lotnisk wojskowych w Poznaniu-Krzesinach, Debrznie, Siemirowicach, Mirosławcu, Pile, Goleniowie; modernizacji lotniska na Okęciu w Warszawie i budowie lotniska cywilnego Gdańsk-Rębiechowo.

Służba i praca w Wojskach Kolejowych i Drogowych była ciężka i odpowiedzialna. Zadania wykonywaliśmy wspólnie z państwowymi przedsiębiorstwami drogowymi. Zgrupowanie posiadało do realizacji miesięczny plan finansowy, który wynikał z zakresu rzeczowego zadań. Żołnierze z wykonanych robót rozliczani byli tak jak pracownicy przedsiębiorstwa, na podstawie katalogów norm i stawek jednostkowych, ale wykonywanie robót żołnierzami nie było ani łatwe, ani proste. Żołnierze zasadniczej służby wojskowej otrzymywali nagrody pieniężne, których wysokość uzależniona była od wkładu pracy w wykonywane zadania i zdyscyplinowanie. Kadra zawodowa na Zgrupowaniu obowiązki służbowe wykonywać musiała przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Wojska Kolejowe i Drogowe w okresie swego istnienia (do roku 1990), uczestniczyły we wszystkich wielkich inwestycjach komunikacyjnych w Polsce. Efekt ich wkładu w rozbudowę i poprawę infrastruktury kraju jest nie do przecenienia.

Szef Transportu i Centrum Koordynacji Ruchu Wojsk w 2014 roku ogłosił konkurs na wspomnienia ze służby w jednostkach kolejowych i drogowych. Odpowiedziałem na apel Szefa swoimi wspomnieniami. Jury konkursu uznało moje wspomnienia za najlepsze i wyróżniło mnie główną nagrodą konkursu: Honorową Odznaką „Zasłużony dla Transportu Wojskowego”.

**S.N.** – Dodam, gratulując, że wręczenia odznaki dokonał zastępca szefa Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych, szef sztabu płk dypl. Zbigniew Powęska, a uroczystość uświetnił występem Centralny Zespół Artystyczny Wojska Polskiego. Taka ceremonia rzadko spotyka literata. Nadmieniam o tej okoliczności z innego jeszcze powodu. Na portalu pisarze.pl pojawiły się niedawno pierwsze rozdziały powieści odnoszącej się tematycznie do służby wojskowej w PRL. Czyli po ostatniej historycznej powieści *Z Chrobrza na wojenną tułaczkę*, której fragment wraz z postawami Lecha Wyszczelskiego zamieściłem w poprzednim numerze kwartalnika, proponuję Czytelnikom kolejną reminiscencję?

**J.Ch.** – Żeby pokazać codzienne życie: służbę i pracę kadry zawodowej i żołnierzy służby zasadniczej naszych wojsk, przytoczę poniżej fragment moich wspomnień z tej wyróżnionej książki. Dotyczy on zgrupowań polowych, którymi dowodziłem, nadzorując wykonywane roboty na Pomorzu.

Po okresie szkolenia zimowego w 1969 rok wyjechałem na początku kwietnia z kompanią do Mirosławca na przebudowę lotniska wojskowego. Po przyjeździe na miejsce żołnierze zostali zakwaterowani w koszarach na terenie jednostki wojskowej.

Kadra otrzymała „pustostan” – trzypokojowe mieszkanie na osiedlu mieszkaniowym, obok lotniska.

– Nasz dom – mówiliśmy – pusty dom po jakiejś rodzinie wojskowej...

Od czego zacząć? Ano, wynieść śmieci, odremontować, pościagać z przedsięwzięcia graty. Pierwsza satysfakcja, koledzy – dostrzegli, przyłączyli się, razem sprzątamy, szorujemy, targamy meble i urządzamy się. Po pięciu dniach razem już pitrasimy i mieszkamy: w jednym pokoju ja z Izą i Tomkiem, w drugim sierżant Tarkowski z żoną Małgosią. A w trzecim pokoju dowódcy plutonów: Derkaczewski, Paciorkowski i Piwnicki. Kuchnia i łazienka wspólne. Sąsiedzi się krzywią – dom noclegowy...

Problemów z zakupami nie było, sklepy wszystkich branż znajdowały się na osiedlu.

Roboty wykonywaliśmy we współpracy z Poznańskim Przedsiębiorstwem Robót Drogowych. Charakter wykonywanych prac się nie zmienił, mieliśmy nawet dużo więcej zadań niż na poprzednich budowach. Jeden pluton wykonywał roboty na lotnisku radzieckim w okolicach Łędyczka nad rzeką Gwdą, gdzie dowożony był codziennie autobusem przedsiębiorstwa.

Tu miałem okazję poznać dylematy i rozterki autochtonów. Okoliczne wsie zamieszkiwała ludność mieszana. Po pewnym czasie wiedziałem, w której zagrodzie gospodarzą zabużańskie „bliny”, a gdzie autochtońskie „plindze”. Jedni i drudzy, niegdyś, jak

ustyszałem, patrzyli na siebie jeśli nie wilkiem, to z lekceważeniem i obcością. Ale do tego czasu pokumali się i pożenili, splekli się i wzajem wzbogacili żywymi barwami przyniesionego z rodzinnych stron obyczajów.

Najbardziej ciągnęło mnie do nielicznych domów zamieszkałych przez tutejszych autochtonów. Mowa tych, którzy pozostali, była nieco chropawa, archaiczna, dostojna, podobnie jak stare przedmioty, niegdyś zwykłe sobie, banalne rzeczy codziennego użytku, z biegiem lat pokrywają się zabytkową patyną.

W domu Huberta R., z którym przyjaźniłem się, mówiono dwoma językami. Między sobą i między sąsiadami autochtonami po niemiecku. Dopiero w rozmowie z kimś nowym, takim jak ja, dobywali, jakby przez grzeczność, swoją starą, prapolską gwarę. Między sobą jednak przerzucali się słowami niemieckimi, jakby dla zaznaczenia, że to jest ich język, a tamten tylko dla gości. Ale kiedyś podsłuchiłem, jak ze sobą rozmawiali cichaczem po polsku.

Na próżno zadawałem sobie pytania: Co to takiego, jak to jest naprawdę i gdzie prawdziwa dusza Huberta, zaklęta czy uśpiona?

Młodsze córki Huberta chodziły do polskiej szkoły i dobrze mówiły po polsku; rodzice z dumą rozwiesili na ścianie świadectwa ich konfirmacji ewangelickiej pisane po polsku. Można było sądzić, że dziewczęta w swoich poglądach i dziecięcym patriotyzmie nie różniły się od innych dzieci w Polsce. Teraz już ich tu nie było. Żona Huberta wyjechała z córkami do Niemiec, ojciec miał podążyć za rodziną, jak tylko zlikwiduje gospodarstwo. Dziewczynki pisały do nauczycielki, że tęsknią do swojej wsi, do Polski, i wspominały wycieczkę do Warszawy. Cóż, kiedy już nie wrócą i pewno zapomną. Przed czym stąd uciekły i do czego? Stary Hubert niechętnie o tym mówił i nigdy nie powiedział niczego wyraźnego. Raz mu się wymknęło:

– Za Niemca, za to że byliśmy członkami Związku Polaków w Niemczech, zawsze gorzej nas traktowano, a teraz za Polski nazywa się nas Niemcami.

– Czy panu nie żal odjechać stąd na zawsze, już nigdy nie zobaczyć swego jeziora, oczeretów i tego domu? – pytałem.

– A cóż, żal – Hubert patrzył gdzieś przed siebie. – Ja bym nawet i nie wyjechał, przecież czekaliśmy na tę Polskę. Ale cóż robić. Moja stara już tam i córki. Trzeba i mnie za swoimi.

– Popętniono tu wiele błędów. Ja wiem.

– E, co tam, panie, błędy. Ale co, sąsiedzi wyjeżdżają. Trza i mnie.

– I synowie też pojadą?

– Synowie? Moi synowie? A gdzie tam! Gdzie im będzie lepiej jak nie tutaj. Pokończyli szkoły, mają kolegów, starszy żonaty, pracuje w Szczecinie, młodszy w Wałczu.

Można więc odzyskać ojczyznę i przez małżeństwo, i przyjaźń?

A teraz inny fragment moich wspomnień – o przebudowie lotniska wojskowego w Debrznie:

...Od tej chwili z żywym zaangażowaniem uczestniczyliśmy w wykonywaniu robót na tak wielkim placu budowy. Kierowanie po raz pierwszy tak dużym zespołem ludzkim, jakim było zgrupowanie połowe (150 szeregowcami, 3 oficerami i 2 podoficerami zawodowymi), i odpowiedzialność, która z tego wynikała, zrobiła na mnie bardzo silne wrażenie. Sprawiał je już sam rozległy, wprost olbrzymi teren wymieszany kołami samochodów wywrotek i gąsienicami maszyn do robót ziemnych, pokryty stertami materiałów budowlanych i zwałami ziemi. W kilku miejscach były już wykonane potężne obwałowania ziemne stanowisk samolotów, inne żołnierze dopiero wznosili. Tu i tam czyniono głębokie wykopy pod kolektor. Na skrzyżowaniu dróg, w pobliżu bocznic kolejowej znajdowała się betoniarnia. Pracowała od wczesnego rana do nocy, w pogodę i deszcz. Biała cementowa mgła snuła się bezustannie w jej surowej przestrzeni, nie pozwalała swobodnie oddychać, powlekała ściany i maszyny, osiadała na głowach, wąsach, rzęsach i ubraniach roboczych żołnierzy. Betoniarnia pracowała, pełna szumu, kołatania przemysłowych taśmociągów i podajników, pełna też nawoływań i przekleństw żołnierzy, którzy biegali z workami cementu do dozownika.

W wytwórni mas bitumicznych (włoskiej produkcji) o bardzo dużej wydajności i przy obsłudze kotłów do asfaltu lanego – „Rajzerów” praca wykonywana była w systemie trzymianowym. Zatrudniani w niej żołnierze nazywali siebie „Czerwono-czarnymi”. Kiedy w nocy bywałem tam na kontroli, widok pracujących żołnierzy był niesamowity. Ogień z palenisk wydobywał się na zewnątrz wielkimi jęzorami o rozmaitych kształtach, iskry deszczem wystrzeliwały na dwa, trzy metry w górę i gasnąc spadały na ziemię. Żołnierze długimi pogrzebaczami czyścili ruszty palenisk, mocowali się z ogniem odwróceniem do niego przodem lub bokiem. Gdy ten płomieniami wychodził na zewnątrz, musieli ustąpić, bo nie sposób było utrzymać się w pobliżu pod tak gorącym oddechem. Żołnierze, w blasku purpurowo-białych jęzorów ognia, w czarnych kombinizonach, ciemni niczym okopceni, robili wrażenie tańczących upiorów, przygnanych tu z zaświatów.

Masa asfaltobetonowa o temperaturze 180 stopni była przewożona z wytwórni mas dużymi wywrotkami na pas startowy, a tam wyładowywana do zasobnika rozściełacza, potężnej maszyny produkcji Niemiec Federalnych, i rozkładana na pasie startowym. Tu żołnierze, w oparach asfaltu, uwijali się z łopatami, podsypując masę w zagłębienia i wyrównując powierzchnię. Z tyłu walce drogowe ubijały i wygładzały położoną warstwę bitumu, nadając ostateczny kształt nawierzchni pasa startowego.

Na bocznice przybywały wagony z materiałami budowlanymi. Pogoda była słoneczna, a gorące i wilgotne powietrze, zawieszane nad ziemią, nie pozwalało oddychać. Nad bocznice unosiła się chmura pyłów i kurzu. Żołnierze, rozebrani do pasa, rozładowywali z platform materiały sypkie, plecy mieli opalone, błyszczące od potu i pokryte cienką warstwą pyłu. Samochody, koparki, traktory, wszystko to podjeżdżało, przewalało się w rozmaitych kierunkach, jazgotało, zgrzytało.

Bezpośredni nadzór nad grupami żołnierzy wykonującymi roboty sprawowali dowódcy drużyn – podoficerowie – kaprale z poboru, w większości technicy drogowi lub kolejowi, przygotowani bardzo dobrze do wykonywania swoich obowiązków w Podoficerskiej Szkole Wojsk Kolejowych i Drogowych w Nisku. Nadzór nad całością sprawowałem bezpośrednio, jak również za pośrednictwem dowódców plutonów. Codziennie od pobudki do capstrzyku przemieszczałem się z jednego końca lotniska na drugi, samochodem, rowerem lub pieszo, w pogodę i w deszcz. Trzeba było rozwiązywać na poczekaniu wiele problemów, szybko podejmować decyzje.

W chwilach wyczerpania na skutek nieprzerwanego wysiłku, wpadałem do żony i syna; rozmowa z Izą, kontakt z Tomkiem dawały odprężenie. W mieszkaniu zalegała cisza mącona gaworzeniem lub popłakiwaniem Tomka. Przez otwarte okno dochodził świergot ptaków. W oddali terkotały taśmociągi i podajniki betoniarni. Pod sufitem bzykały muchy. Z zagajnika otaczającego barakowóz płynęły ciepłe fale powietrza pachnącego miętą, macierzanką i trawą. Promienie słońca kładły się na deskach między łózkami i sunęły powolnym, niewidocznym ruchem w kierunku drzwi. Leżąc na łóżku, już po chwili patrzyłem co jakiś czas na zegarek i myślałem, że pora wyjść.

**S.N.** – Dziękując za rozmowę z dawką wspomnieniowego autentyzmu, zachęcam Czytelników, jakich zdobywasz sobie przebojem anonsując na portalu Bohdana Wrocławskiego pisarze.pl najnowszą swoją powieść *Złapcie go...*, która niebawem się ukaże w druku.

*Stanisław Nyczaj*

## Jubileusz 80-lecia urodzin Jana Chruślińskiego

W sobotę, 11 marca 2017 roku w sali sanatorium Marconi w Busku-Zdroju odbył się Benefis Jana Chruślińskiego z okazji 80. urodzin Pisarza. W uroczystości udział wzięli oprócz rodziny Jubilata przedstawiciele władz Miasta i Gminy oraz Powiatu w osobach Burmistrza Miasta i Gminy Busko-Zdrój Waldemara Sikory oraz Starosty Powiatu buskiego Jerzego Kolarza. Przyjaciele, znajomi, sympatycy przybyli z kraju, a także z zagranicy, by w tym ważnym dniu być z Janem Chruślińskim oraz pogratulować i podziękować za jego twórczość.

Organizatorem spotkania była Miejsko-Gminna Biblioteka Publiczna w Busku-Zdroju oraz Kielecki Związek Literatów Polskich przy znacznym wsparciu Klubów „Wolna Strefa” z Buska-Zdroju i Szczaworyża oraz Buskiego Samorządowego Centrum Kultury.

Spotkanie otworzyła dyrektor Biblioteki Ewa Marciniak.

Gospodarzem wydarzenia był Jarosław Zatorski – doradca Burmistrza Miasta i Gminy w Busku-Zdroju.

Spotkanie odbywało się w iście artystycznym klimacie. Fragmenty książek autora recytowane przez młodzież i dzieci przeplatane były śpiewem i muzyką w wykonaniu dzieci z terenu gminy Busko-Zdrój, jak również z Chmielnika i Kielc.

Opiekunki z Klubów „Wolna Strefa” – Teresa Leszczyńska, Ewa Sierlecka, Aneta Molenda oraz Barbara Graca stanęły na wysokości zadania przygotowując dzieci w sposób perfekcyjny do tegoż wydarzenia.

Część artystyczna wzbogacona była wspomnieniami osób związanych z Jubilatem w różnych momentach jego życia. Krótkie wywiady prowadzone przez Jarosława Zatorskiego przeplatane były anegdotami oraz wspomnieniami. U niejednej obecnej na sali osoby łza w oku się zakręciła. Była to miła sercu podróż w czasy dawne, przywołująca często w pamięci ludzi, którzy już odeszli.

Po długich owacjach dla dzieci i młodzieży na scenie przyszła kolej na życzenia dla Jubilata. Kwiaty i prezenty powędrowały do rąk pana Jana, jak również do jego żony Izabeli.

Waldemar Sikora – Burmistrz Miasta i Gminy Busko-Zdrój życzył Janowi Chruślińskiemu długich lat w zdrowiu, by mógł nadal promować region naszego Ponidzia w swych książkach.

Do życzeń dołączyli również wójtowie ościennych gmin, przedstawiciele Towarzystwa Miłośników Buska, kolega kolarz – Stanisław Walasek, koledy z wojska, szkoły i z Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa, w której Jan Chruśliński pracował po odejściu na emeryturę z wojska oraz wiele innych osób bliskich sercu autora.

Ponadtrzygodzinne spotkanie upłynęło w atmosferze pięknych wspomnień.

Życzymy koledze Janowi wielu, wielu książek, ku pokrzepieniu naszych serc i naszego ducha.

*Red.*





Od lewej: Jan Chruśliński z żoną Izabelą przyjmuje gratulacje od burmistrza Waldemara Sikory, doradcy burmistrza Jarosława Zatorskiego i dyr. Miejsko-Gminnej Biblioteki Ewy Marciniak

U dołu: gratulacje Jubilatowi składają: prezes Kieleckiego Oddziału ZLP Stanisław Nyczaj i sekretarz Oddziału Beata Kępińska  
Fot. archiwum Jubilata



## Po raz dziesiąty wybrano Buskowanina Roku

25 marca br. odbyła się jubileuszowa, 10 edycja Plebiscytu „Buskowanin Roku”. Kandydatów do zaszczytnego tytułu zgłoszono sześćcioro.

Nagroda ustanowiona została po to, by docenić i wyróżnić osoby, których aktywność na rzecz społeczności lokalnej Gminy Busko-Zdrój oraz postawa moralna służą dobru rodzimego środowiska i przyczyniają się do rozwoju lokalnego patriotyzmu. To także ważny element promowania marki Buska-Zdroju nie tylko w kraju.

Tytułem „Buskowanin Roku” wyróżniane są osoby, które pochodzą z terenu Gminy Busko-Zdrój, zamieszkują tu albo – obecnie bądź w przeszłości – były związane z gminą. Nominowani do nagrody charakteryzują się pozytywnym sposobem życia, aktywnością w pracy społecznej na rzecz środowiska i mieszkańców gminy, a ich postawa moralna jest nieskazitelna. Jednej spośród zgłoszonych osób przyznany został tytuł „Buskowanin Roku 2017” i statuetka „Siewcy”, które otrzymała znakomita śpiewaczka operowa **Roma Owsieńska**. Za „pasję i promocję”.



Burmistrz Waldemar Sikora wręcza nominowanemu Janowi Chruślińskiemu statuetkę „Siewcy”

Zdjęcia: Zbigniew Witaszek

**Jan Chruśliński** – rodem z Buska-Zdroju, obecnie mieszkaniec Warszawy. Z wykształcenia historyk, członek Kieleckiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Emerytowany pułkownik Wojska Polskiego, działacz Warszawskiego Klubu Przyjaciół Ziemi Kieleckiej. Laureat nagrody literackiej im. Stefana Żeromskiego 2014 oraz głównej nagrody w I Polskim Festiwalu Sztuki „Orzeł 2016” w kategorii Literatura za powieść *Starość zaczęła się wczoraj...* Publikował w takich pismach, jak „Świętokrzyskie – Środowisko – Dziedzictwo kulturowe – Edukacja regionalna”, „Tygodnik Artystyczno-Literacki”, „Świętokrzyski Kwartalnik Literacki” czy „Buski Kwartalnik Edukacyjny”.

Jako pisarz zadebiutował w 2009 r. książką *Rozstania i powroty*. Po niej powstało jeszcze pięć, z których każda oparta jest na faktach związanych z regionem Ponidzia i ziemią buską.

W pamięci społeczności Buska-Zdroju pozostają lata jego pracy w Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa w Warszawie. Dzięki niemu miastu udało się pozyskać środki unijne z programu SAPARD, w ramach którego wyremontowano wiele odcinków dróg, wodociągów i kanalizacji na terenie Gminy Busko-Zdrój.

W latach 60. dał się poznać jako zaangażowany członek kadry Polski LZS, a dzięki swej pasji rozstał Busko i Kielecczynę w Polsce.

*Red.*

Jan Chruśliński wśród nominowanych do tytułu „Buskowanin Roku” 2016





## Zatrzymane w kadrze słowa i obrazu

Zapis spotkania promującego tom reportaży Jerzego Daniela *Bruzdy*  
w kieleckiej WBP im. Witolda Gombrowicza

**Prof. Janusz Detka** – Przypadł mi w udziale zaszczyt uczestniczenia w dzisiejszym wieczorze poświęconym kolejnej książce Jerzego Daniela. Dwa i pół roku temu też miałem przyjemność prowadzić wieczór promujący wspomnienia kielczan, tom zatytułowany *W gwiazdach zapisane*. W ubiegłym roku była książka poświęcona szkolnym kolegom Stefana Żeromskiego *Wierni sobie*. A dzisiaj gromadzą nas tutaj *Bruzdy*, już na okładce działające zarówno słowem, jak i obrazem. A chcę też powiedzieć, że Jerzy Daniel zdecydował się również w tym roku wznowić swoją, dla mnie chyba najważniejszą, książkę – *Żyda w zielonym kapeluszu*, poświęconą pogromowi kieleckiemu z 1946 roku. Wszystko przemawia za tym, że autor jest w pełni sił witalnych i pisarskich.

*Bruzdy* to plon pracy Jerzego Daniela sprzed lat przeszło czterdziestu. Składają się nań teksty z lat 1970–1981, drukowane głównie w „Magazynie” sobotnio-niedzielnym „Słowa Ludu”, z którym to dziennikiem związałeś się, Jerzy, po powrocie ze studiów w Krakowie do Kielc. Oczywiście dzisiaj, w roku 2016, powracamy do tamtego czasu, kie-

dy jesteś dziennikarzem „Słowa Ludu” i jest aura sprzyjająca nowo rozwijającemu się reportażowi. Wchodzisz w to środowisko i od razu bardzo wyraźnie zaznaczasz swoją w nim obecność. Jak to było?

**Jerzy Daniel** – Rzeczywiście, w drugiej połowie lat sześćdziesiątych i w następnej dekadzie w Kielcach nieźle rozwijał się reportaż. Wcale nie było sprawą powszechną, ażeby partyjne gazety codzienne dawały szczególne przyzwolenie na reportażowe zabawy, niekiedy z ambicjami literackimi. Już wtedy zaznaczyli swoją obecność m.in. Zbigniew Nosal, Ryszard Smożewski, Bronisław Zapała, którego wspominam tutaj bardzo dobrze, ponieważ on sam, mając pewne aspiracje reportażowe, jako naczelny tworzył dobry klimat dla tego rodzaju pisarstwa. Ale jednak wiele tekstów reportażowych powstawało niejako na poboczu głównego nurtu działań redakcji, bo trzeba było coś załatwić. Gazeta, wiadomo, jaki miała profil. Mogę z perspektywy powiedzieć, znając inne podobne ośrodki, że nie byliśmy szczególnie skłaniani do prowadzenia agitacji. Teksty powstawały – mówię



o swoich – trochę dzięki temu, że byłem wysyłany w pewnych sprawach w tak zwany teren i dowiadywałem się o jakiejś sytuacji. To powodowało, że przy tym wyjeździe, czy też kolejnym, pukałem do wiejskich chat. Bohaterami reportaży na ogół byli ludzie biedni, z wyjątkiem gospodarza majątnego, przedstawionego w reportażu *Zamiast testamentu*; jego samobójstwo wynikało stąd, że miał dwóch synów, co zginęli i poczuł się, że jest tym, który nie ma następcy.

**Prof. J.D.** – Jesteś bardzo skromny, bo traktujesz swoją rolę jako wysyłanego w teren dziennikarza, który ma porozmawiać z ludźmi, opracować temat i podać go do „Magazynu”...

**J.D.** – Może trochę inaczej. Małe sprostowanie. Jeśli byłem wysyłany w teren, to może nie po to, by zrobić któryś z tych reportaży. W redakcji o sytuacji, o człowieku, o konflikcie nie wiedzieli. To ja trafiałem, gdzieś tam rozmawiając z kimś, wypytując wręcz o sytuację, bo wysyłany byłem w potrzebach, nazwijmy, publicystycznych, gdzie należało coś załatwić. A często, oczywiście, przy okazji wracałem do zaczętych tematów.

**Prof. J.D.** – W pierwszym reportażu *Zamiast testamentu* napisałeś takie słowa: „Słucham, co ludzie gadają”. Jerzy rzeczywiście bardzo uważnie słuchał tego, co mówią nie tylko bohaterowie jego reportażu, ale także ludzie z drugiego planu. Zauważał, że pośród takiej materii życia dzieją się – by wielkich słów nie używać – może nie od razu dramaty, ale bardzo interesujące skądinąd sprawy. I one trafiały do jego tekstów. Wysłuchaliście już, Państwo, słów Jerzego, jakie pięknie zabrzmiały głosem Jana Nowickiego. Skoro mówimy tu o uprawianiu dziennikarstwa, czy nawet reportażu, to kiedy słuchałem pierwszego fragmentu i kiedy czytałem teksty, mam jednak wrażenie, że jest to coś więcej niż reportaż. Owo „coś” – jak nadmieniał Jan Nowicki – to kwestia języka. Myślę, Jerzy, że nie tylko wybierasz jakieś indywidualne historie, jakichś ludzi spotkanych gdzieś na wsi, jakąś sprawę, która może być początkowo interwencyjna, a pod twoim piórem przeobraża się w taką opowieść, którą – żeby znowu nie używać wielkich słów – nazwałbym opowieścią dość uniwersalną. Czy ty od początku, kiedy stykałeś się z tymi historiami, widziałeś ich jakieś ponadaktualne znaczenie, wykraczające ponad dany rok siedemdziesiąty pierwszy, drugi, trzeci?

**Jan Nowicki** – Ale też jest dość podobna sytuacja z Jerzym Kapuścińskim, że on wyjeżdżał, opowiadał jakieś dramatyczne historie wojenne itd. I to

miało swój język, swoją poetykę metafory. Myślę, że tutaj można by doszukać się pewnych podobieństw.

**Prof. J.D.** – Powrócę do pytania: widziałeś tę uniwersalność od razu, gdy patrzyłeś na te historie?

**J.D.** – Ależ skądże! Jeżeli chciałeś zauważyć, że te teksty nabrały z biegiem czasu jakiejś patyny, uogólnienia, to jest mi bardzo miło. Ale użyłeś słowa „interwencyjność”. Tylko trochę o tym. Nigdy nie uważałem się za dziennikarza interwencyjnego, nigdy nie rozdzielałem sprawiedliwości. Chyba w dwóch czy trzech tekstach coś się przemyka, np. zdanie: o, dobrze, że ktoś przyjechał, to powie, jak ma być naprawdę, ale nie mówi, jak to ma być. Reportaże Bogusława Rajcherta, które miały swoją poetykę – pisał równoważnikami zdań: „przyszedł”, „odszedł”, „powiedział” – były formalnie interesujące, ale piekielnie zagmatwane. Też penetrował wieś. Po publikacji jednego z nich przyszła delegacja dwóch stron, które on przedstawił w swoim tekście i mówią: „Tak, panie redaktorze, my tam się już i pogodzili, tylko niechże pan powie, za kim pan był i o co panu chodziło”.

**Prof. J.D.** – Masz taki pośród reportaży, ułożony w formie lamentu starej kobiety, pięknie ułożony...

**J.D.** – ...*Stara kobieta recytuje*. Jeden taki mały kawałek z większej całości, cztery osobne epizody pod wspólnym tytułem *Z powodu ziemi*.

**Prof. J.D.** – Ta kobieta lamentująca, która nie tyle skarży się na swój los, ile wie, że właściwie wszystko, co się na zewnątrz stało, warunki rodzinne, ale i gospodarcze, i jakieś tam społeczne prowadzą do tego, że pozostaje jej tylko lament. Rzeczywiście, nazwałeś to jak u Różewicza.

**J.N.** – Panie profesorze, usłyszałem słowo „lament” i wie pan, co mi się przypomniało? Otóż ja nie wiem, jak u was, ale na naszej wsi kujawskiej przychodziło się na lament. Co to oznaczało? Że starzy ludzie otrzymywali część domu, jakąś pszenicę, jakieś ziemniaki, jakieś pieniądze też. Oni już nie pracowali albo lżejsze rzeczy wykonywali, co oznaczało, że przechodzili na lament. Dzieci czuły się odpowiedzialne za starych rodziców. Jest to także rzadki przypadek na dzisiejszej wsi kujawskiej.

**J.D.** – W naszych stronach nazywa się to „dożywocie”, które często ustanawiane jest sądownie.

**J.N.** – Ach. No tak. Ale na pewno jedno się nie zmieniło. Marzenia. Marzenia były, są i będą. Jeżeli pozwolisz, Jerzy, przeczytam fragment twojego reportażu czy opowiadania *Z szewską pasją*. (Czyta)

**Prof. J.D.** – Według mnie, kiedyś rozróżniano bardzo wyraźnie reportaż, faktografię, literaturę. Dzisiaj trudno przeprowadzić granicę. Czasem

myślę, że na pewno nie jest warunkiem, czy coś jest literaturą, czy nie to, że opowiada o rzeczywistych albo wymyślonych zdarzeniach. Ty opowiadasz o faktach, ale to jest literatura – dlatego że proponujesz nie tylko zapis faktów, ale coś więcej: ujęcie tych faktów w jakąś swoją bardzo spójną wizję. Ale ja mam teraz inne pytania dotyczące tych reportaży, tych bohaterów. To były lata siedemdziesiąte. Powiedz mi, czy zdarzyło się tak, że bohaterowie pojawili się u ciebie, kontaktowali się z tobą? Albo odwrotnie, czy miałeś ochotę przyjrzeć się dalszym ciągom tego, co powiedziałeś w reportażach?

**J.D.** – Może zacznę najpierw od tego drugiego, czy miałem ochotę. To zawsze jest kuszące, co się dzieło dalej. Ale praca zawodowa nie za bardzo sprzyja podobnym powrotom, choćby było to intrygujące, by po 30. latach zobaczyć, co się wydarzyło. Czy ktoś w związku z tymi tekstami coś chciał ode mnie, żądał sprostowania, wyjaśnienia, przeprosin? Proszę Państwa, ani razu. Naprawdę, ani razu nie spotkałem się z sytuacją, że ktoś interweniował, tak jak u redaktora Rajcherta. Nic takiego się nie wydarzyło. Nikt też nie przyjeżdżał. Żadnych interwencji.

**Prof. J.D.** – Twoje reportaże mają formę otwartą. Ty nie zamykasz żadnej historii, prawda?

**J.D.** – Tak, spotykam się z kimś w pewnym momencie jego życia i to, co się dowiedziałem, z tym wyjeżdżam, a życie toczy się dalej, nie wiadomo w którym kierunku. No więc, dlatego to napisałem. To jest natura reportażu.

**Prof. J.D.** – Rozumiem, bo z tego się tłumaczysz na końcu książki. Ale myślę, że jeszcze coś jest więcej, to znaczy, nie tylko to, że otwierasz, bo wyciąłeś – jak ładnie napisałeś – z życia bohaterów tę stopklatkę reportażu i ona jest teraz umieszczona w tomie *Bruzdy* jako tekst, czyli jest to zbiór stopklatek z jakichś biografii. Ale o coś innego mi chodzi. Mianowicie, że nie tylko otwierasz, bo losy toczą się dalej, lecz posługujesz się też czymś takim, jak niedopowiedzenie. Nie zamykasz tego czasowo, kompozycyjnie, ale i nie stawiasz kropki. Dajesz, na przykład, kilka opinii obok siebie.

**J.D.** – To jest konfrontowanie różnych zdań, bo przecież nie taka jest rola dziennikarza, żeby jako sędzia wkraczał pomiędzy domowników, którzy są skłóceni i jak sąd przez trzydzieści lat nie mógł doszukać się prawdy.

**Prof. J.D.** – Ale jeszcze robisz jedno. Mianowicie, włączasz tego, kto to czyta. Bo jak ktoś dostaje gotowca, to się nad tym nie zastanawia, a gdy otrzymuje coś

niedopowiedzianego, to zaczynasz odwoływać się do jego refleksji, myśli, czyli też uruchamiasz czytelnika.

**J.D.** – Zapewne tak jest. Jeśli coś takiego się dzieje, to chyba nieźle. Z tym że nie było w moim pisaniu takiego starania, nie było mimowolnego kierowania uwagi czytelnika na którąś ze stron, jeśli jest konflikt. Tylko to, co mi powiedzieli, co chcieli wyznać – chyba że kręcili, łgali – że mówili tak zwaną swoją prawdę. Każdy chce się przed światem wybielić. Zostawiałem to, nie poddając żadnym wątpliwościom. Że są w tekstach opinie sprzeczne o czymś, no to co? Miałem powiedzieć: siadajcie, ja tutaj was rozsądzę. No, przecież to by było...

**J.N.** – Jerzy, to co mówisz, jest niemożliwe. Żebyś stał obok i opowiadał jakieś zdarzenie w reportażu i żeby z tego reportażu nie wyniknęło – może nie całkiem do końca, ale jednak – po której stronie jesteś, gdzie, twoim zdaniem, jest sens. Samo zestawienie, na przykład, dwóch stanowisk, tych braci pokłóconych, o których za jakiś czas przeczytam, zaświadcza, że dość wyraźnie dajesz do zrozumienia, jaką straszną rzeczą jest niezgoda, nienawiść, do jakiej prowadzi samotności i jakiego bezsensu.

**J.N.** – Widzę u ciebie tęsknotę do fabuły, zwłaszcza w tekście *Skłóconych dwóch braci* dopatruję się tęsknoty i dążenia do doskonałej formy literackiej, do pewnego skrótu myślowego. To jest stylistycznie jakby opowieść biblijna. Reportaż – wydawać by się mogło – to jest takie opowiedziane zwykłym językiem ważne zdarzenie, a mnie już nie ma, bo ja pędzę w drugie miejsce. Ale chyba tak nie jest. Reportażysta marzy o tym, żeby być Prusem.

**J.D.** – Jeszcze raz.

**J. N.** – Marzy o tym, aby być Prusem, chce fruwać, być literatem.

**Prof. J.D.** – Oczywiście. Ale też jest to, co ja mówię. W tych tekstach szukanie aktualności po czterdziestu latach nie ma większego sensu. Oczywiście, jest to dokument pewnego etapu życia społecznego na wsi, jakiś dokument kulturowy i historyczny. Na pewno tak. Ale po czterdziestu latach, kiedy to zebrałeś, okazuje się, że te wszystkie aktualności, ta faktografia, nie są tu chyba najważniejsze.

**J.N.** – No bo prawda się nie starzeje.

**J.D.** – Oczywiście.

**J.N.** – Forma ulega starzeniu, natomiast prawda nie. Stąd taka popularność filmu Sylwka Chęcińskiego. Czterdzieści lat temu oglądaliśmy film *Sami swoi* i dalej oglądają i będą go oglądać, bo tam są prawdziwe ludzkie charaktery wplątane w prawdziwą polską historię. I to się nie zestarzeje.

**Prof. J.D.** – Jerzy po prostu dbał nie tylko o to, co pisze, ale i o to, jak pisze.

**J.N.** – I to jest ważne.

**Prof. J.D.** – I to, co dzisiaj z tych tekstów bije, jest ich atutową kartą.

**J.N.** – Teraz Państwu dam dowód na to, że reportaż może być literaturą. (*czyta fragment reportażu „Pod jedną strzechą”*).

**Prof. J.D.** – Odkładamy ten wątek. Myślę, że Państwo będziecie mieć pytania. Ja mam w zanadru jakby ostatni element naszej rozmowy, a mianowicie: słów było dużo, ale w tej książce są też obrazy. Zresztą, te obrazy towarzyszą nam tutaj w ciągu całego spotkania. Te bardzo konkretne bruzdy świętokrzyskiej ziemi, które trochę wyglądają jak abstrakcja geometryczna, ale są rzeczywistością. Jerzy, powiedz, ponieważ nie tylko na okładce, ale także w środku książki te bruzdy stanowią jakby refren, a pochodzą ze zdjęć twoich przyjaciół.

**J.D.** – W którymś momencie, zastanawiając się nad książką, doszło do mnie, że w czasach kiedy ja to pisałem, kiedy biegałem z piórem po wsiach, to paru moich serdecznych przyjaciół z aparatem fotograficznym też krążyło po wsiach. No i tak jakoś samo przyszło, że może byłoby na swój sposób ciekawie, gdyby ich zdjęcia, które powstały w tym samym czasie, mogły stanowić swego rodzaju scenografię tekstu. Zdjęcia nie ilustrują tekstów, one są między tekstami, dzielą je.

**Adam Ochwanowski** – jestem przeszczęśliwy, że w tej książce spotkały się dwie szkoły: Kielecka Szkoła Reportażu i Kielecka Szkoła Krajobrazu. To było zagłębienie reportażu, reportażystów. Moim marzeniem, o czym Jurek doskonale wie, jest to, żeby Kielce stały się z powrotem stolicą reportażu.

Wtedy jeszcze, w latach sześćdziesiątych, na początku siedemdziesiątych, można było spotkać ślady kultury chłopskiej, która umarła, której nie ma, której koniec ogłosił w genialnym szkicu *Kres kultury chłopskiej* Wiesław Myśliwski. Kultury słowa i pisma. Chłopi byli z reguły niepiśmienni. Dzisiejsza kultura ludowa nie ma nic wspólnego z kulturą chłopską. Miałem szereg spotkań ostatnio i jak to była wieś, robiłem taki test wśród młodych ludzi. Cytowałem moją babkę, świętej pamięci Józefę Kochanowską, i prosiłem o przetłumaczenie. Mówiłem gwarą, oczywiście. Nikt nie przetłumaczył. Nikt z młodych ludzi nie zrozumiał, co ja powiedziałem.

**Magda Helis-Rzepka** – Nie znam tych reportaży, nie czytałam ich wcześniej, wysłuchałam kilku fragmentów tutaj. Trochę znam wieś współczesną

i rzeczywiście jest tak, że to są opowieści o czasach, które już minęły i te czarno-białe fotografie też. Czyli taka opowieść o nas, których już nie ma, o Polsce, która minęła. Co było taką bezpośrednią przyczyną, czy to że spojrzawszy na te opowieści i na te zdjęcia, odczytałeś jako jakąś metaforę, czy sentyment do czasu już zamkniętego? Co spowodowało, że wróciłeś do tych opowiadań teraz?

**J.D.** – To był przypadek. Zanurzyłem się kiedyś, powiedzmy, na początku roku 2016 w jakieś moje papierzyska, czegoś szukałem i natknąłem się na trzy wydania „Magazynu Słowa Ludu” z lat siedemdziesiątych z moimi tekstami. Nigdy nie robiłem swoich wycinków, nie gromadziłem tego, ale przeczytawszy teksty, akurat te magazynowe i takie wiejskie, uznałem, że są niezłe. Nie dlatego, że zachwyciłem się sobą, ale wzruszyłem sytuacją, jaka tam została przedstawiona. No i chwila refleksji, żeby poczytać, co tam jeszcze w tych magazynach jest. U dyrektora Andrzeja Dąbrowskiego jest wszystko zdigitalizowane. A człowiek siedzi w domu i kartkuje „Magazyn”, i tak kilkanaście lat przekartkowałem. Wybrałem, z wyboru zrobiłem jeszcze wybór i powstała książka. A że przyszło mi do głowy, żeby tam były te zdjęcia, to też impuls. Wiem, której już nie ma, nie ma takich widoków chyba, już bardzo rzadko można spotkać takie bruzdy, pola, kwadraty, tasiemce. Właściwie to tyle. Jeśli ktoś uzna, że ta książka porównuje się z całą dzisiejszą, to pewnie niech się porównuje.

**Dyr. WBP Andrzej Dąbrowski** – Jakoś tak mało mówiliśmy o tytule. A to bardzo interesująca metafora, bo bruzda jako słowo ma szerokie konotacje, odniesienia. Z jednej strony jest swoistą towarzyszką życia chłopca (rolnika – Jerzy Daniel), chłop uprawiając pole często chodził bruzdą, ale z drugiej strony chodzenie przez pole, które miało bruzdy, nie było łatwe, więc ta bruzda była czymś, co utrudniało życie i z tego też pewien rodzaj metafory się tworzy. Więc nie przypuszczałem, że na pozór takie skąpe słowo, a nabiera w kontekście tych tekstów zupełnie innego znaczenia i wymiaru. To taka moja refleksja.

**J.D.** – Pewnie gdzieś tam jest ukryta metafora, alegoria, na przykład fragment o latającym szewcu. Jego marzeniem było zupełnie co innego, a jednak codzienność (bruzdy) przymusiła go do przyziemności.

Opracowali  
*Krystyna Cel, Stanisław Nyczaj*

## O reporterskim przenoszeniu przeszłości w teraźniejszość

Rozmowa Andrzeja Piskulaka z Andrzejem Nowakiem<sup>\*)</sup> – autorem m.in. książki *Zmiłuj się nad nami*

**Andrzej Piskulak** – Zacznę od wierszyka reporterskiego: „Kto? Co? Gdzie? Z jaką pomocą i czyją?/ Dlaczego? Jak i kiedy? Wiele rzeczy nam odkrywają!”. Agencje prasowe do tego schematu dodają konieczność odpowiedzi na pytanie: Skąd to wiadomo? Odpowiedzi na te pytania tworzą szkielet pracy reportera, który wypełniany jest następnie faktami, by w ten sposób przenieść opisywaną przeszłość w teraźniejszość. Czy można sprawdzić pańską życiową znajomość tego wiersza?

**Andrzej Nowak** – Jestem na to gotowy. To bardzo ciekawy początek rozmowy. Zawsze starałem się tak pisać o przeszłości, by wyrazić swój czas, swoją teraźniejszość.

**A.P.** – Co sprawiło, że zainteresował się pan uprawianiem literatury i dziennikarstwa?

**A.N.** – To był sposób na wyróżnienie się ze środowiska, życie według swoich wartości. To była próba wyznaczania swojego rytmu. Nie chciałem podporządkowywać się innym. Pisanie było jedynym zajęciem, które pozwalało mi żyć inaczej, odrębnie, a przez to, jak nadal sądzę, ciekawiej.

**A.P.** – Z czyją pomocą rozwinął pan swój talent i pasję?

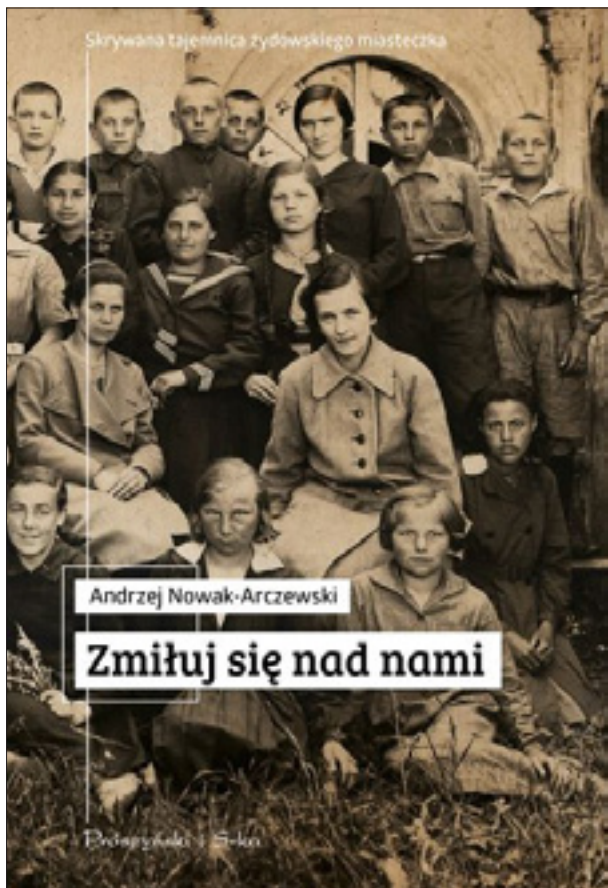
**A.N.** – Pamiętam pierwsze rozmowy literackie, spotkania ze Stanisławem Grochowiakiem w Warszawie, a potem, gdy zacząłem pracować w Kielcach, dyskusje ze Zbigniewem Nosalem. W swoim życiu spotkałem wielu wybitnych pisarzy.

**A.P.** – Gdzie się panu najlepiej pracuje? Czy w prasie, czy w wydawnictwie książkowym?

**A.N.** – Pisanie do prasy ma swoje ograniczenia. Nie zawsze można wyrazić siebie, swoje „tu i teraz”, swoje przemyślenia, a to mnie najbardziej interesuje. I temu głównie poświęcam teraz czas. W prasie trzeba się podporządkować linii programowej pisma, wyznaczanym przez właściciela priorytetom. Przecież nie można po raz kolejny pisać o tym samym lekarzu, który znów wygrał konkurs na najlepszego medyka w regionie czy powiecie. Życie jest znacznie ciekawsze niż co tydzień rozstrzygane konkursy na najlepszego nauczyciela, dzielnicowego, na najlepszą klasę, szkołę, smażalnię, restaurację, lodziarnię, człowieka roku, samorządowca regionu itp. Co o nas



Prof. UJK Janusz Detka prowadzi spotkanie z Andrzejem Nowakiem w kieleckiej WBP im. W. Gombrowicza



powiedzą ludzie, którzy będą czytać zszywki gazet za 50 czy 100 lat. Jakie to będzie źródło wiedzy dla nich? Wyśmieją nas! Czym ci ludzie żyli? W co się bawili?

**A.P.** – Czy rozgranicza pan pracę zawodową od życia prywatnego?

**A.N.** – Pisanie tak mnie absorbuje, że staram się mu prawie wszystko podporządkować. Nie zawsze jest to możliwe, nie zawsze udaje mi się przekonać otaczające mnie osoby. Robię jednak wszystko, by je zainteresować swoją historią, swoją pracą, próbuję je włączać do pracy, czytam im niektóre przygotowywane fragmenty, naradzam się z nimi. Najbliższa mi osoba, moja żona, stara się mnie zrozumieć. Pisanie, praca zawodowa, życie prywatne – wszystko to jest tak wymieszane, że stanowi właściwie jedność.

**A.P.** – Jaka w istocie jest praca reportera? Jak pan ją sobie układa?

**A.N.** – To jest bardzo długa, monotonna, żmudna praca. Może nie zawsze atrakcyjna z punktu widzenia człowieka patrzącego z zewnątrz, ale dla mnie jako reportera – fascynująca. Za każdym razem, gdy wyruszam w podróż, poznaję ciekawych ludzi, którzy opowiadają mi swoją historię, mówią o swoich problemach, przemyśleniach. Oddają mi część siebie, odkrywają siebie przede

mną. Tu wystarczy tylko umiejętnie słuchać, zadawać zwykłe, proste pytania, nie wymądrzać się, powracać do niektórych zdarzeń. Tak też było w przypadku zbierania materiałów do mojej ostatniej książki *Zmiłuj się nad nami*. Przez kilkanaście miesięcy, z różnymi przerwami, pojawiałem się w Klimontowie. W tym czasie czytałem też dużo opracowań historycznych, prac dziennikarskich o interesującej mnie miejscowości, próbowałem rozmawiać z historykami, fachowcami od różnych zagadnień. To były konsultacje, rozmowy, uzgadnianie niektórych faktów dotyczących wielu zdarzeń, sytuacji, osób.

Jednocześnie szukałem pomysłu na napisanie tej historii. Nie chciałem powielać formy zastosowanej w mojej poprzedniej książce reporterskiej *My z pałacu*, gdzie o mieszkańcach największej rezydencji w Polsce południowo-wschodniej, we Włostowie, pisałem z punktu widzenia dzieci. Pomysł na książkę *Zmiłuj się nad nami* pojawił się nagle, gdy pracowałem nad jednym z rozdziałów, w którym opisywałem *Wesele* wystawiane przez Brunona Jasieńskiego w refektarzu klimontowskiego klasztoru. Powracałem potem do tej sztuki, którą często wystawiali miejscowi księża, nauczyciele. Wyspiański przedstawił portret zbiorowy Polaków na tle wesela w wiejskiej chacie. Pomyślałem, by swój portret zbiorowy Polaków przedstawić na tle największej imprezy plenerowej w tym regionie, trzydniowego Jarmarku św. Jacka, który odbywa się od 15 do 17 sierpnia. I tak też zrobiłem, opisywałem jarmark, przerywałem akcję i odwiedzałem mieszkańców miasteczka, którzy opowiadali mi o najbardziej dramatycznych sytuacjach, przeżyciach z okresu wojny i tuż po wojnie. Pisałem fragmentarycznie, cyzelowałem zdania, starałem się oddać wypowiedzi moich rozmówców w specyficznym dla nich stylu, sposobie myślenia, rozumienia świata. To miało być katharsis, wstrząs dla czytelnika, chwila refleksji nad kondycją człowieka. Inaczej nie byłoby sensu pisać.

**A.P.** – Zrozumiałe, że satysfakcją daje docenianie takiego wysiłku. W pana przypadku ono zasłużenie występuje. Czy może pan przytoczyć fragmenty ważnych dla siebie opinii? To wyzuczenie na osądy recenzentów musi zaznaczać się u kogoś, kto dawniej zajmował się aktywnie krytyką literacką.

**A.N.** – Tak, zajmowałem się kiedyś krytyką literacką, przez wiele lat. Teraz doświadczam

waloru refleksji innych. Może sięgnijmy tylko do recenzji o mojej ostatniej książce, o której pisali najwybitniejsi krytycy i publicyści na łamach prasy ogólnopolskiej, opiniotwórczych tygodników i dzienników: „Newsweeka”, „Rzeczpospolitej”, „Gazety Wyborczej”, m.in. Piotr Bratkowski, członek Komisji Konkursowej Nagrody Literackiej Nike, Jerzy Sosnowski, pisarz, publicysta, do niedawna dziennikarz „Trójki”. Książka była przedstawiana na jednym z większych portali Interia.pl, gdzie w ciągu czterech godzin miała blisko pół tysiąca komentarzy, opinii, wypowiedzi. Należała do najczęściej komentowanych książek reporterskich, historycznych na stronach internetowych poświęconych historii mniejszości narodowych, trafiła do najczęściej kupowanych w księgarniach i zamawianych przez Internet.

Piotr Bratkowski na łamach „Newsweeka” w szkicu *Milczenie* (nr 5/2017) pisze: „Nowak-Arczewski pojechał do Klimontowa śladami »Okrzyków pogromowych«, jego książka nie jest jednak kontynuacją tamtego śledztwa. Nie jest też aktem oskarżenia ani mową obrończą. Reporter zadał pytanie: jak żyje się w małym miasteczku, w którym od ponad pół wieku wszyscy milczą o tym, o czym wszyscy wiedzą. A przynajmniej: wiedzieli jeszcze chwilę temu. Bo dziś najstarszym mącą tę wiedzę luki w pamięci, młodszy zaś dysponują jedynie historiami zasłyszonymi. Kto zabił pięcioro Żydów? Jedni mówią, że partyzanci z AK, a może z Batalionów Chłopskich? [...] Niezbadane są ścieżki ludzkiej nienawiści, meandry sumienia”.

Mile zaskoczył mnie głos Jerzego Sosnowskiego na portalu „Laboratorium Więzi” w eseju *Opowieść ludzka, nie antypolska* (2 lutego 2017): „Wczoraj w jeden wieczór pochłonąłem książkę Andrzeja Nowaka-Arczewskiego *Zmiłuj się nad nami* (Prószyński i S-ka, 2017). Moim zdaniem byłoby niedobrze, gdyby przemknęła ona niezauważona. Bo do naszej debaty o relacjach polsko-żydowskich wprowadza ona ton do tej pory chyba nie dość obecny. A mianowicie: empatię wobec ludzi, którzy po dekadach stanęli nagle przed koniecznością rozliczeń nie za swoje winy. [...] Nowak-Arczewski opowiada o tym bez moralistycznego zadęcia. Nie piętnuje, nie gromi. W jego zdaniach nie ma nawet sarkazmu, którego kto inny pewnie by sobie nie podarował. Historia wstała jak zombie z grobu, stała się problemem dla ludzi, którzy na tę chwilę nie byli przygotowani. Nikt z nich osobiście nie jest za nic odpowiedzialny.

Tylko że milczenie, wzruszanie ramionami albo opowiadanie, że to wszystko antyklimontowskie (antypolskie?) wymysły, tę odpowiedzialność, tę winę na nowo wsączają. Robienie dziś z takich miast i miasteczek ostoji krwiożerczego antysemityzmu to samospełniająca się przepowiednia. Trzeba by ludziom stamtąd (nam wszystkim) pomóc wyrwać się równocześnie z milczenia i związanej z nim metafizycznej winy. Nowak-Arczewski robi, moim zdaniem, pierwszy krok”.

A oto słowa Marcina Kubego na łamach „Rzeczpospolitej” w szkicu *W zakamarkach pamięci* (z 24 stycznia 2017): „O złej przeszłości nie wolno nikomu zapomnieć – przekonują nowe poruszające reportaże historyczne. [...] *Zmiłuj się nad nami* nie jest reportażem o prawdzie historycznej, demaskującym zbrodniarzy i przypominającym ofiary. Ta książka odkrywa podobne mechanizmy co *Topografia pamięci* Martina Pollacka. Reportażysta zastanawia się, jak to możliwe, by kilkusetletnia historia klimontowskich Żydów została zapomniana w tak krótkim czasie po wojnie. Pokazuje, jak ludzie zmuszeni do bycia świadkami przerażającej eksterminacji swoich sąsiadów próbują ułożyć sobie życie na nowo. [...] Relacje świadków i historyczne zapisy Nowak-Arczewski przeplata autorskimi komentarzami. Pisze z pasją i wnikliwością”.

**A.P.** – Dziękuję za rozmowę.

---

\*Andrzej Nowak-Arczewski (drugi człon nazwiska w celach wydawniczych) urodził się 17 stycznia 1955 w Sandomierzu. W latach 1974–1990 studiował i pracował w Warszawie. Debiutował na łamach prasy literackiej w 1975. Publikował szkice literackie, eseje, recenzje m.in. w „Nowym Wyrazie”, „Filmie”, „Literaturze”, „Poezji”, „Radarze”, „Tygodniku Kulturalnym”, „Nowych Książkach”. Był stypendystą Ministerstwa Kultury i Sztuki, przebywał kilka lat za granicą. Od 1990, po przeprowadzce do Ostrowca Świętokrzyskiego, pracuje jako dziennikarz, reporter, początkowo w kieleckim „Słowie Ludu”, potem w „Echu Dnia”. W tym czasie publikuje też swoje reportaże w „Sztandarze Młodych”, „Prawie i Życiu”, „Przeglądzie Tygodniowym”, „Przeglądzie”, „Dużym Formacie Gazety Wyborczej”, „Twórczości”. Autor książek reporterskich: *Magdalena z mrocznej baśni*, *Być jak diament*, *Orłowińska ballada*, *My z pałacu*, *Zmiłuj się nad nami*. Był laureatem Ogólnopolskiego Konkursu na Reportaż im. Zbigniewa Nosala. Za swoją pracę reporterską otrzymał wiele nagród, m.in. dwukrotnie od Marszałka Województwa Świętokrzyskiego, Premiera RP.

## Siłaczka z Łodzi

Pisarka Beata Kępińska związana jest z Łodzią od pokoleń i to zarówno ze strony ojca, jak i matki. Może dlatego zawsze tęskniła za małym, spokojnym zakątkiem na uboczu cywilizacji. Chciała być „siłaczką” a jej wybranek miał zostać „doktorem Obareckim” pracującym dla ludu.

Niestety, przyszły mąż, mimo wcześniejszych zapewnień, że zostanie wiejskim lekarzem, zachował się jak prawdziwy Obarecki, tzn. podjął pracę w zadymionym przemysłowym Radomsku i wcale nie chciał słyszeć o przeprowadzce na wieś.

Ale czego nie potrafią kobiety! Pani Beata wyciągnęła go najpierw do małego miasteczka na Mazurach, gdzie w miejscowym szpitalu został ordynatorem interny, a po latach zaplanowała wyjazd całej, wtedy już pięcioosobowej rodziny do... Afryki. Jak widać, chwilowo odpuściła polską wieś, stwierdziwszy, że nie wymaga ona już zaangażowania „siłaczek”. Tak rodzina Kępińskich wylądowała na Czarnym Łądzie – w RPA i to w czasie burzliwych przemian związanych z odchodzeniem od apartheidu, a pani Beata została tam nauczycielką języka polskiego.

Od dzieciństwa chciała być poetką i pisarką. Już w podstawówce tworzyła scenariusze szkolnych przedstawień, powstały jej pierwsze próby prozatorskie. Niestety, liceum i studia – choć była to polonistyka na Uniwersytecie Łódzkim – wyparty młodzieńcze marzenia, a założenie rodziny spowodowało, że jej życie stało się tak intensywne, iż pisarstwo zeszło na dalszy plan.

Ale jeszcze podczas pobytu w Radomsku zaczęła się jej przygoda z prowincjonalnym dziennikarstwem. Było to pisanie relacji z nużących narad produkcyjnych do gazet zakładowych, wywiady z przodownikami pracy i tym podobne rzeczy. Pasję tę zabrała Kępińska ze sobą na Mazury i tam odniosła pierwszy sukces – zdobyła nagrodę Związku Dziennikarzy Zakładowych PRL za reportaż o hodowli bydła mięsnego i mlecznego (!). Ośmielona, zaczęła w pegeerowskiej prasie publikować także wiersze i szybko okazało się, że były one chętnie czytane.

Nie myślała wtedy o pisaniu książek, ale „ładowanie” mózgu sytuacjami i atmosferą tamtych lat, utrwalanie ludzkich typów i pięknych obrazów

mazurskiej przyrody po latach zaowocowało powieściami. Dziś Beata Kępińska specjalizuje się we współczesnej powieści obyczajowej, której inspiracją jest życie. Dużą wagę przywiązuje do tła politycznego i społecznego, a losy swoich bohaterów kształtuje tak, by znalazło się w ich charakterystyce jak najwięcej prawdziwych lub choćby prawdopodobnych sytuacji.

Ważna jest dla niej także złożoność i prawda psychologiczna postaci, co widać już w debiutanckiej powieści *Sielsko i diabelsko* (2011), która od razu stała się bestsellerem, a potem w kontynuacji tematu – tomie *Taniec z czarownicą* (2014). W obu tych utworach bohaterką jest polonistka z gminnego gimnazjum, której mąż lekarz wdaje się w konflikt ze swoim pracodawcą wójtem. Można się domyślać, że w starciu przybyłego ze świata doktora z zasiedziałą na urzędzie władzą ten pierwszy nie ma szans i sielanka jego naiwnej, ale energicznej żony przeradza się w piekielko.

Podobnie jest w powieści *Zaradna*, której bohaterka, gdy ją poznajemy, jest chora, samotna i zgorzkniała, a przed czekającą ją mastektomią zaczyna wspominać swoje życie. Refleksja nad sobą, powolne wychodzenie z choroby i poznana w szpitalu ciężko doświadczona przez los kobieta, zmieniają podejście bohaterki do świata i ludzi. Powieść ta została zauważona na II Festiwalu Literatury Kobiet w Siedlcach, gdzie otrzymała III nagrodę czytelników.

W maju ukazała się następna powieść Kępińskiej *Piekło-niebo* – historia kobiety urodzonej i wychowanej w Łodzi, w kamienicy przy dawnej ul. Buczka, dziś Kamińskiego. Już zbiera pochwały czytelników.

Beata Kępińska wciąż pisze także wiersze, a ich edycją zajął się znany poeta, eseista i krytyk literacki Stanisław Nyczaj, prezes Świętokrzyskiego Związku Literatów Polskich. Kielecka Oficyna Wydawnicza „STON 2” wydała ostatnio dwa jej tomiki: *Schwytąć czas* (2014) i *Szal ze słów. Serio i żartem* (2016).

Ostatnio autorka zabrała się za pisanie sztuk teatralnych. Dwa miesiące temu powstała komedia, której bohaterami są mieszkańcy łódzkiego bloku. Kępińska naśmiewa się w niej z leciwych



pań zajmujących się pisarstwem i przejętych duchem wolności i tolerancji. Dzieło czeka na wydawcę. Na razie, poza rodziną i przyjaciółmi, nikt go nie czytał.

Kępińska mieszka dziś na Kielecczyźnie, którą zachwycała się jako nastolatka. Uważa się za spełnioną żonę i matkę dwóch synów oraz córki. Co jakiś czas bywa w Łodzi, odwiedzając przyjaciół oraz mogiły krewnych. Dlatego w planie ma napisanie rodzinnej sagi z łódzkimi realiami, z prawdziwymi wspomnieniami babci,

mamy i ciotek. To nie lada wyzwanie, zmierzyć się ze stworzeniem powieściowego świata XIX-wiecznej wielokulturowej Łodzi. To miasto ją ukształtowało, wyedukowało. Powieść będzie w pewnym sensie spłatą długu wobec miejsca, które dawno temu opuściła.

*Andrzej Sznajder*

Pierwodruk w: „Kalejdoskop” magazyn kulturalny Łodzi i województwa łódzkiego, nr 11, 2016 listopad

**Beata Kępińska**

## **Gorące wrażenia z chłodnej Finlandii**

Pod koniec sierpnia, czyli z początkiem fińskiej jesieni zawitałam z moimi książkami do tego ciekawego i ładnego, choć chłodnego kraju na zaproszenie tamtejszej Polonii i Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Fińskiej. Kiedy wylatywałam z Warszawy, panował u nas niemalże afrykański upał, a w Helsinkach dwanaście stopni, wiatr, chmurne niebo i ulewny deszcz. Na szczęście do wieczora nieco się rozpogodziło i odbyłam jeszcze w tym samym dniu całkiem miły spacer po najbliższej okolicy wokół naszej ambasady. Uderzył mnie cudowny spokój tego miejsca. Małe, kręte uliczki podmiejskiej, eleganckiej dzielnicy wiły się wśród niewysokich pagórków. Dość nowoczesne i kosztujące zapewne fortunę domy nie zachwycały formą, lecz soczystym zielonym otoczeniem i zadbanymi ogrodami z dużymi krzewami, kwitnącymi najczęściej na biało, a więc dość nietypowo, jak na tę porę roku. Na tle przyciężkich willi, postawionych często na naturalnym, skalistym fundamencie, wyróżniała się jasna, lekka i prawdziwie piękna fasada ambasady Iraku. Nasza placówka dyplomatyczna nie jest tak wysmakowana pod względem formy, ale prezentuje się godnie i ma wyjątkowo malownicze położenie. Jej siedziba znajduje się nad samym brzegiem morza, w lesie. Będąc gościem ambasady, mogłam z okien jednego z jej apartamentów patrzeć na spokojne zazwyczaj morze i kilka niedalekich, przybrzeżnych wysepek, pomiędzy którymi pływały łódki i łódeczki oraz udające się w dalsze trasy wielkie promy, ślicznie oświetlone po zmroku.

Już następnego dnia, tj. 26 sierpnia, pogoda okazała się na tyle łaskawa, że mimo porywistego

wiatru zwiedziłam pobliską Suomenlinnę, której umieszczona na wieży kościoła latarnia morska była nocą widoczna z moich okien. Ta ogromna, rozparta na wyspie twierdza została zbudowana w XVIII w. przez okupujących tę ziemię Szwedów. Potem była wykorzystywana przez następnego okupanta Finlandii, czyli Rosję carską. Jak widać mieliśmy tych samych wrogów i wiele jest podobieństw w historii naszych krajów, np. rok odzyskania niepodległości. Fiński bohater narodowy, marszałek Karol Gustaw Mannerheim, jest też często pod wieloma względami porównywany przez historyków z marszałkiem Józefem Piłsudskim. Jeśli przyjrzeć się rodowitym Finom, tym jasnowłosym, niebieskookim z krótkimi nosami i delikatnymi, nieco dziecięcymi rysami, popatrzeć, jak spokojnie zachowują się na jezdni, z jaką wyrozumiałością oraz uprzejmością odnoszą się do innych, można się domyśleć, dlaczego, mimo podobnej sytuacji, tak różna była nasza i Finów droga do wolności. Polska droga to szarpanina pełna tragicznych zrywów powstańczych, a fińska polegała po prostu na rozsądnym i cierpliwym czekaniu na sprzyjające okoliczności międzynarodowe. Tak różne postawy wynikały zapewne z całkiem odmiennych temperamentów obu narodów, Finom bowiem nie można zarzucić tchórzostwa czy braku patriotyzmu. Ten niewielki, spokojny naród zadziwił świat swoją walecznością, uporem i sprytem, broniąc się przed nawałą ze wschodu, zwłaszcza w słynnej wojnie zimowej (1939–1940).

Wracając jednak do głównego celu mojej podróży, czyli do spotkań autorskich, to pierwsze z nich odbyło się w niedzielę 27 sierpnia w Helsinkach

w pięknej i dużej bibliotece publicznej Sello. Godzina spotkania w porze obiadowej chyba nie była zbyt fortunna, bo frekwencja okazała się rozczarowująca. Przyszły za to osoby naprawdę żywo zainteresowane moimi osobistymi przeżyciami emigracyjnymi oraz ich odbiciem w literaturze. Wywiązała się ciekawa dyskusja na temat poprawności politycznej i jej wpływie nie tylko na sposób przedstawiania bądź pomijania pewnych tematów, ale także na język literatury i publicystyki w Europie i Stanach Zjednoczonych. Konkluzja była taka, że polscy pisarze, w tym ja również, nie są zbyt uważni i nadal używają wyklętych na Zachodzie form. Bronię użycia w tekście słowa „Murzyn” jako zamiennika wyrazu „czarny”, gdyż nie miało ono absolutnie żadnego podtekstu rasistowskiego, o czym świadczy treść książki. Napiętnowanie sympatycznego wiersza Juliana Tuwima *Murzynek Bambo*, że wychowuje kolejne pokolenia małych Polaków na przyszłych rasistów, jest chyba jednak grubym nadużyciem. To, że język polski opiera się panującym na Zachodzie trendom, podobnie jak wielu naszych rodaków nie akceptuje przemian obyczajowych, które w tamtych krajach stały się już codziennością może nie jest zaściankowością, tylko właśnie wyrazem rozsądku, którego nam dotąd często brakowało. Rewolucje skazujące pewne książki na stos lub przynajmniej zapomnienie nie przyniosły w historii świata niczego dobrego.

Spotkanie w Turku było zaplanowane następnego dnia. Zdażyłam obejrzeć pobieżnie miasto i dość dokładnie zwiedzić zamek. Szukałam śladów działalności naszej królowej Katarzyny Jagiellonki, córki królowej Bony i matki Zygmunta III Wazy, i znalazłam ich niemało. Wywarła ona duży wpływ na kształt tego miejsca, a nawet uważa się, iż to właśnie za jej sprawą ideały i estetyka renesansu dotarły tak daleko na północ Europy. Spotkanie miało charakter bardzo serdeczny, a jednocześnie podniosły. Piękny i gościnny dom pana Benito Casagrande, byłego honorowego konsula Republiki Włoch w Turku, architekta, wielbiciela historii i człowieka bardzo życzliwego Polakom, stwarzał ten specyficzny nastój. Zobowiązująca była świadomość, że znajdujemy się w sali, gdzie Tadeusz Kościuszko w 1797 roku po uwolnieniu z carskiej twierdzy, będąc już dożywotnim wygnańcem z ojczyzny, leczył się z ran i dochodził do zdrowia przed kolejnym wyjazdem do Ameryki.

Sz szczególnie miłą i niemalże rodzinną atmosferę wprowadziła obecność na spotkaniu, między innymi, państwa Tuuli i Zdzisława Mackiewiczów. Sędziwi

pan Zdzisław, będący nadal w znakomitej formie intelektualnej i fizycznej, jest prezesem honorowym Zjednoczenia Polskiego w Turku i ma także ambicje literackie. Zamierza opracować i wydać dzienniki, które pisał w ciągu swego długiego życia. Będzie to z pewnością rzecz niezwykle interesująca, gdyż autor jest istną legendą tutejszej Polonii. Przed rokiem został odznaczony Medalem *Pro Patria* za szczególne zasługi w kultywowaniu pamięci o walkach Polaków o niepodległość. Jego żona, która jest Finką, uroczą i ciepłą pani Tuula z miłości do męża nauczyła się naszego trudnego języka i włada nim naprawdę doskonale.

Wizyta w Turku pozostawiłaby zapewne same pozytywne wspomnienia, bo nawet aura była cudowna, cały dzień wesoło świeciło słońce i panował dwudziestostopniowy „upał”, gdyby nie to, że aż dwukrotnie tego dnia miałam miejsce niedawnej tragedii. Dla przypomnienia dodam, że islamski terrorysta na kilka dni przed moim przyjazdem zabił w samym centrum miasta dwoje niewinnych ludzi i ranił aż ośmioro. Widziałam leżące wciąż na placu kwiaty i maskotki. Podchodzili tam ludzie i składali świeże wiązanki, zapalali świece. Przystawali w zadumie i być może niektórzy, podobnie jak ja, odmawiali modlitwę. Nieopodal grupka młodych mężczyzn o charakterystycznej, ciemnej karnacji i arabskich rysach zachowywała się bardzo głośno, zaśmiewając się, wykrzykując coś i mocno gestykulując. Finowie mijali ich bez żadnych komentarzy, nie podnosząc nawet na nich wzroku, bo w ich kulturze nie jest taktownie nachalnie przyglądać się innemu człowiekowi, a tym bardziej strofować go. Długo jeszcze potem słyszałam w uszach ten prostacki śmiech, który w tym miejscu i z tych ust brzmiał jak zgrzyt ostrza na szkle.

Przyznam się, że kiedy wróciłam tuż przed północą pociągiem z Turku do Helsinek i pomyślałam o czekającym mnie następnego wieczoru spotkaniu w Tampere, nie bardzo się na nie cieszyłam. Byłam już lekko zmęczona podróźniczym maratonem. Powrót na nocleg do wygodnego apartamentu w ambasadzie miał wiele zalet, ale odbywanie dzień w dzień prawie czterystukilometrowych wozjaży nawet najbardziej wygodnym pociągiem jest forsowne w moim wieku. Słyszałam ponadto opinię, że Tampere nie jest miastem zbyt interesującym, bo stosunkowo młodym i mocno uprzemysłowionym. Otóż pomyliłam się w wielu aspektach. Po pierwsze Tampere jest ładne. Doskonale łączy miłą Finom nowoczesność z dość młodą jeszcze



Widok z okna apartamentu na pobliskie wysepki



Rodzinne zdjęcie po spotkaniu w Tampere



Tablica upamiętniająca pobyt w tym domu w Turku  
Tadeusza Kościuszki



Miejsce zamachu terrorystycznego w Turku



Dziedziniec zamku w Turku



Aleksandra Paavola i jej barwne prace

Zdjęcia z arch. Autorki

historią. Rozwinęło się na przełomie XIX i XX wieku, kiedy to w Europie zapanowała moda na modernizm i jednocześnie nastąpił wielki boom przemysłowy. Miło mi było słyszeć, że jest to miasto partnerskie mojej rodzinnej Łodzi i spostrzegłam, że faktycznie do pewnego stopnia ją przypomina. Na jego starszą zabudowę składają się, podobnie jak w Łodzi, budynki pochodzące właśnie z epoki modernizmu. Nie zaobserwowałam tu wprawdzie ozdób tak wymyślnych, jak w naszej rodzimej, wybujałej secesji. Fiński fin de siècle jest zdecydowanie bardziej oszczędny w formie i robiący wrażenie większej solidności oraz ciężkości. Walory użytkowe i swoista uroda obiektów pofabrycznych zostały docenione w Tampere i w Łodzi zresztą także. W pięknie odrestaurowanych starych halach fabrycznych znajdują teraz swe miejsce nie tylko galerie handlowe, ale także galerie sztuki, muzea, a nawet teatry. Jest to ich nowe, duchowe tym razem, życie po życiu.

Z tych trzech największych miast Tampere, jako jedyne, nie leży nad morzem, ale i tak wody ma wokoło mnóstwo, bowiem rozłożyło się nad dwoma dużymi jeziorami. Bardzo urokliwe jest jego centrum, zwłaszcza podczas zapadającego zmierzchu, gdy zapalają się już latarnie, a mrok nie pochłonął jeszcze obszarów zieleni i połaci potyskującej wody. Może tak być, że na mój ogląd miasta wpłynęła niezwykła przewodniczka, Aleksandra Paavolla, polska germanistka, która znalazła szczęście w związku z fińskim lekarzem poznanym w Niemczech. Oła zgarnęła mnie już z dworca, podjęła po królewsku i z ogromną serdecznością. Pokazała warte uwagi obiekty w Tampere oraz swój ogródek, najurokliwszy na świecie, zachwycający, a właściwie oszałamiający feerią barw. Widziałam ją pierwszy raz w życiu, a miałam wrażenie, że znamy się od lat. Ta wspaniała, pełna temperamentu i dobrej energii osoba sama jest artystką, choć chyba nie do końca w to wierzy. Wyrabia nieznaną mi wcześniej metodą filcowania niebanalne tkaniny i niebywałej urody kwiaty, a wszystko w wyrazistych, gorących kolorach, których tak jej brakuje w chłodnej Finlandii.

Niewiele brakowało, a w domu i pracowni Oli zapomniałabym o swoim spotkaniu autorskim, ale moja przewodniczka czuwała. Zawiozła mnie do Domu Młodzieży Monitoimitalo przy ulicy Satakunnankatu 13 (spróbujcie to powtórzyć, żeby zapytać kogoś o drogę), gdzie doznałam bardzo miłego zaskoczenia. Otóż przynajmniej połowa zgromadzonej publiczności okazała się być młodymi Finami, którzy z zapałem i doskonałymi efektami uczą się naszego

nietatwego języka. No cóż, jeśli ktoś od kołyski słyszy fiński, temu polski już niestraszny. Nasze siedem przypadków przy ich osiemnastu naprawdę nie imponuje. Młodym Finom szczególnie podobała się moja poezja komentująca współczesny świat. Może więc tomiki, które trafiły w ich ręce znajdą swego tłumacza, czego bardzo bym sobie życzyła.

Ostatniego dnia zwiedziłam jeszcze niezbyt odległe od Helsinek Porvoo, a właściwie głównie jego zabytkową część z drewnianą zabudową, która nie jest żadnym skansenem i gdzie normalnie mieszkają ludzie, choć ich kolorowe drewniane domy mają po dwieście, a nawet więcej lat. Dużo jest tam kafejek i restauracyjek otwartych z myślą o turystach, którzy z aparatami pną się pod górę malowniczymi, ale bardzo niewygodnymi do chodzenia uliczkami, wybrukowanymi jak przed wiekami dużymi czerwonymi kamieniami. Udałam się też do magazynów na nabrzeżu, gdzie handluje się starociami i można trafić ponoć na zabytkowe perełki. Niestety, wyszłam stamtąd rozczarowana i mocno przybita. Perełek nie było, a wszystkie antyki były młodsze ode mnie. Na Porovo skończyła się moja dość wyczerpująca, ale jakże ciekawa podróż i rankiem następnego dnia wróciłam do zalanej słońcem i gorącej Warszawy.

W swoim sprawozdaniu nie wspominałam jeszcze o bardzo ważnej w tym wszystkim osobie, która zasłużyła na specjalną wzmiankę i gorące podziękowania. Otóż młody pan konsul, Piotr Chmiel, który całe to przedsięwzięcie koordynował, otoczył mnie jako starszą panią troskliwą i taktowną opieką, instruując dokładnie, gdzie warto pojechać i co zobaczyć, jak sobie radzić w środkach komunikacji i tym podobne. Bawił mnie też interesującą rozmową podczas długich podróży pociągami, przekazując cenną wiedzę o Finlandii i nie tylko, bo w ogóle nie ma chyba dziedziny, w której nie byłby zorientowany. Doprawdy imponujące. Dodam jeszcze, że opieka nade mną nie zwalniała go z normalnych obowiązków w ambasadzie, więc do Turku czy Tampere na moje spotkanie wyruszał pociągiem dopiero po pracy i wracał wraz ze mną w nocy, zapewniając, że taki wysiłek jest dla niego miłym urozmaicheniem monotonnego, urzędniczego życia. Och, gdyby dało się go sklonować i obsadzić takimi URZĘDNIKAMI wszystkie nasze ważniejsze urzędy w kraju i za granicą!

*Beata Kępińska*

## W 20-lecie „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego”

Końcowy fragment wywiadu Wiesława Łuki ze Stanisławem Nyczajem – redaktorem naczelnym czasopisma Kieleckiego Oddziału ZLP (pomieszczonego w anonsowanej tu we wstępie Od Redakcji książce Wiesława Łuki pt. *Bezradność wobec istnienia*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2017, s. 147-148)

**Wiesław Łuka** – Większość prezesów oddziałów naszego Związku narzeka na chroniczny brak pieniędzy na działalność statutową. Jak ty je zdobywasz i na jakie najznaczniesze projekty?

**Stanisław Nyczaj** – Jestem prezesem kieleckiego oddziału od roku 1996 i wydawałoby się, że to doświadczenie wystarcza do rozwiązywania bieżących problemów. Jednak niezupełnie, gdyż one narastają, nie zaś maleją. W sytuacji dotkliwego niedoboru państwowych dotacji – o skąpstwie prywatnych firm lepiej się nie rozgadywać – wymagają istnej ekwilibrystyki. Chciałbym kontynuować „Świętokrzyski Kwartalnik Literacki”, mający 20-letnią tradycję. Ale od wielu lat otrzymuję środki w tzw. konkursach ofert co najwyżej na dwa numery rocznie. Z powodu ich nikłości musieliśmy przejść z drogiej wersji papierowej na nieodpłatny i udzielający życzliwej gościny portal internetowy Świętokrzyskiej Biblioteki Cyfrowej kieleckiej Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Witolda Gombrowicza. Robimy jedynie doraźnie czarno-białe wydruki z kartonową barwną obustronnie okładką na cyfrówce dla nie dość w sumie licznego grona autorów i czytelników, preferujących poręczną formę edytorską. Taki obrót zdarzeń deprymuje twórczo nasze środowiska.

**W.Ł.** – Deprymacja twórczości w środowiskach, czyli nie w jednym środowisku. Zatem pytam: czy i w jakich formach możliwe jest współdziałanie dwu istniejących organizacji pisarskich – ZLP i SPP.

**S.N.** – Wpierw dosadnie powiem, jak nie powinno być, a jest. Utrzymujący się na glinianych nóżkach krzyczącego bezprawia politycznych podziałów nieszczęsny i pożałowania godzien paradoks funkcjonowania dwu słabych organizacji, walczących zaciekle o nędzne acz nieodzowne środki z tych samych państwowych źródeł, najzwężlej i najwymowniej oddaje fraszka Marka Niegodajewa z Piotrkowa Trybunalskiego pod tytułem *Rozbrat*, wyróżniona w konkursie literackim im. Mikołaja Reja w Nagłowicach (1998), którą warto zapamiętać i szeroko propagować: „Dwa literackie związki,/ a tylko jedne Powązki”.

Lepiej niż jakikolwiek komentarz uzmysławia ośmieszającą ironię trwającej od lat sytuacji. Skoro jednak, mimo pamiętnych nadludzkich wysiłków mającego niekwestionowany autorytet Piotra Kuncewicza, nie udało się dokonać dzieła połączenia, należy, wyciszając animozje, w s p ó ł d z i a ł a ć. I tak staramy się w Kielcach wspomagać mieszkającego tu kolegę Szczęsnego Wrońskiego z SPP w organizacji comiesięcznych spotkań literacko-muzycznych z cyklu „Rzecz(nie) popolita poetów” w klubie „Czerwony Fortepian”.

**W.Ł.** – Inni prezesi oddziałów ubolewają, że do Związku nie garną się młodzi – narybek poetycki omija dużym łukiem na przykład warszawską strukturę. Młodych w ogóle nie obchodzi poezja. A ty się radujesz, lansując w radiu Paradę Młodych. W jakie minerały jest bogata gleba świętokrzyska, że taka urodzajna dla rymów, rytmów, wiersza białego i języka prozy?

**S.N.** – Właściwie to już nie chodzi o młodych w sensie wieku, a młodych w rozmiarze twórczego stażu, licząc od medialnego debiutu. Aby być przyjętym do Związku, trzeba wylegitymować się określonym w statucie, znaczącym już dorobkiem. Mówimy więc o obiecujących twórcach, którymi z racji ich dostrzeżonego talentu warto się troskliwie zajmować. I na to musimy znajdować czas, mieć cierpliwość, stwarzając jednocześnie realne szanse do publikacji. Nie oszczędzam się w staraniach pod tym względem i nie zostawiam żadnego z utalentowanych adeptów bez pomocy.



## Rzecz(nie)pospolita poetów – Poezja nad Silnicą (styczeń – czerwiec 2017)

14 stycznia 2017 RZECZ(NIE!)POSPOLITA POETÓW zainaugurowała w kieleckim „Czerwonym Fortepianie” nowy cykl pn. „Poezja nad Silnicą”. No i stało się, podziemne strumienie kieleckiej rzeki dodały energii poetom i muzykom. Zespół Zmiana Czasu zagrał z charyzmą kilka utworów z najnowszej płyty pt. „Jednak mam tę nadzieję” i niedowiarkowie przekonali się, że poezję Mistrza z Czarnolasu można tańczyć. Maciej Yooźwik, w asyście Emilki Penkali, poniósł uczestników w regiony poetyckiego wędrowania, a Emil Tokarczyk „Flow” popłynął na rytmach gitarowych fraz Arka Bednarskiego, tak że chciało się poprunąć.

W spotkaniu mającym charakter koncertu i happeningu wystąpili też poeci: Anna Błażucha, Agnieszka Czarnecka, Stanisław Nyczaj, Edward Pać, Kazimierz Ryk-Khoram, Maria Włodno, Barbara Wrońska, a całość poprowadził poeta-wodzirej i pomysłodawca cyklu Szczęśny Wroński.

To ważne, że RZECZ(NIE!)POSPOLITA POETÓW ma się dobrze i odstąpiła swoją nową, roześmianą, refleksyjną i miejscami happeningową twarz.

Zapraszamy we wrześniu. „Poezja nad Silnicą” domaga się żywiołowej kontynuacji.



Wroński z pogniecionej kartki czyta pełny energii i lekkości wiersz Kuby Kozioła, muzyka, poety i malarza, który odszedł od nas tragicznie w styczniu 2017 roku.



Zespół Zmiana Czasu zachwyca frazami Kochanowskiego i muzyką skłaniającą do tańca i radości.



Maciej Yooźwik wsluchany w poezję Kazimierza Ryka za chwilę zaśpiewa jego wiersz.



Barbara Wrońska ze słowem szybującym z kosmodromu małej karteczki.



Maria Włodno skupiona i czuła czyta krótki wiersz napisany specjalnie z okazji spotkania.



Ania Błachucka rozpromieniona radosną, poetycką frazą.



Emilka Penkala przyczajona – zapatrzona w gryf – za chwilę odpali.



Edward Pać zbliżający się ku nam z ufnością po pomostach wierszy.

Stanisław Nyczaj wychylony w stronę tajemnej krainy widzianej oczami duszy.

Jak się okazuje, poezję można tańczyć, czego dowiódł Szczęsny Wroński z Małgorzatą Czarnocką, poetką ze Smykowa.



Emil Tokarczyk „Flow” niesiony na fali poezji wpartej czułym skrzydłem gitary Arka Bednarskiego.



## „Gdy nam wyrosną skrzydła”

### IX Staszowskie Lato Literackie

Przebogate w prezentacje najnowszych utworów i dyskusje było – podobnie jak we wcześniejszych edycjach – tegoroczne Staszowskie Lato Literackie (w dniach 1–7 lipca). Nie wszyscy bardzo nawet nim zainteresowani z różnych ważnych powodów mogli pobyc nad Czarną przez cały tydzień, ale staramy się także i tym indywidualnym oczekiwaniom (nierazko zmianom czasu pobytu zgłaszanym w ostatniej chwili) wychodzić organizacyjnie naprzeciw. Obecny w Staszowie wielokrotnie poeta i krytyk Stefan Jurkowski (ceniony przez nas konsultant literacki, ze związkowych funkcji w ZLP wiceprezes Warszawskiego Oddziału i członek prezydium Zarządu Głównego) ocenił w swym stałym felietonie *Listy do Pani A.* dla „Gazety Kulturalnej” (w numerze z sierpnia), że organizujemy ten plener „od lat z wielkim powodzeniem”. Zacytujmy dłuższe omówienie, jak tym razem wypadł w jego oczach wraz z odniesieniem się do wspólnie przeżytego bolesnego zdarzenia, jakie ze swej strony ujmujemy tu w dziale *Wspomnienia*:

„Początek pleneru przebiegł w bardzo smutnej atmosferze. Dotarła do nas wiadomość, że zmarła Ewa Wojtasik, przede wszystkim bardzo dobra poetka, poza tym wieloletnia uczestniczka i dusza plenerów, skarbniczka, opiekunka uczestników. Była znana z wielkiej serdeczności, empatii, ofiarności. Wszyscy poczuliśmy się jej śmiercią przygnębieni.

Jak zwykle pojeździliśmy po Kielecczyźnie. Urokliwym miasteczkiem jest Raków, dawne centrum arianizmu. Niedysiejsza Akademia Rakowska, dzisiejszy Dom Wójta, to bardzo ciekawe muzeum odzwierciedlające historię miasta i jego mieszkańców. [...] Chmielnik [cel drugiej wycieczki] też robi wrażenie. Dawniej zamieszkały głównie przez Żydów stanowił ośrodek ich kultury, a i dziś jeszcze kultywuje pamięć tamtych czasów. Piękna jest synagoga, odrestaurowana, zamieniona na muzeum, ale jednocześnie przystosowana do odprawiania nabożeństw, co ma tam miejsce od czasu do czasu. Okazały jest kościół katolicki, a także rynek, przy którym jest wiele odnowionych starych kamieniczek.

To były atrakcje turystyczne [pomija Stefan Kurozwęki i Sandomierz odwiedzane i opisane przezeń dawniej], nie licząc literackich. Chyba

wszyscy uczestnicy pleneru mieli swoje prezentacje, czytali wiersze albo prozę. Prozaicy byli w mniejszości: Elżbieta Strzałkowska, Jan Chruśliński, Włodzimierz Kłaczyński [również Emilia Tesz, Bogusław Wiłkomirski]. Ale dla wszystkich starczyło czasu.

A ja byłem wyróżniony specjalnie. Staszek Nyczaj zorganizował dwugodzinne spotkanie jubileuszowe z okazji pięćdziesięciolecia mojego debiutu poetyckiego. Opowiadałem o sobie, o wierszach, które czytałem. [...] To jubileuszowe spotkanie poprowadził Stanisław Nyczaj, który zaproponował, by niektóre moje wiersze interpretowali obecni na spotkaniu poeci. A więc z dużym wyczuciem i powodzeniem czytali «mnie» Joanna Rzodkiewicz, Janusz Siek, Janusz Szot. Świetny podkład muzyczny dał Kamil Kondek, który dodatkowo zrobił mi wzruszającą niespodziankę. Oto zaimprovizował muzykę do mojego wiersza *Pocztówka do ciebie* (z tomu *Studnie Andersena*). Świetnie zaprezentował to wokalnie, wszystkim się bardzo podobało. Mam nadzieję, że utwór ten wejdzie do jego repertuaru. Kondek to wyjątkowo utalentowany, nieprzeciętny artysta muzyk. Małgorzata Siemieniec, pieśniarka towarzysząca tym plenerom, odśpiewała kilka pieśni, co podkreślało klimat liryczny spotkania.

Następnego dnia na prośbę Staszka Nyczaja poprowadziłem spotkanie z Benedyktem Koziętem, świetnym poetą, daleko wykraczającym poza granice Połańca, gdzie mieszka, i Staszowa, gdzie pracuje. Wydał był właśnie polsko-bułgarski wybór wierszy, tłumaczonych przez Łyczczara Seliaszki. I to była okazja do promowania i zaprezentowania bogatej twórczości Kozięta. Mówiłem o jego poezji, musiałem też poetę aktywizować, bo Benek jest niezwykle skromny i nie lubi opowiadać o sobie”.

Prócz wymienionych przez Stefana Jurkowskiego, wystąpili w znakomitym duecie recytujący i śpiewający swe poezje z towarzyszeniem skrzypiec, gitary i harmonijki ustnej Joanna Babiarczyk-Szot i Janusz Szot z Nowego Sącza, Joanna i Włodzimierz Kłaczyńscy z Mielca, Jan Lechicki, Kazimiera Szczykutowicz i Maria Włodno z Kielc, Anna Błachucka z Małogoszcza, Irena Stopieżyńska-Siek, Ewa Białek i Krystyna Guranowska-Stolarz z Warszawy, Zofia Walas z Ostrowca Św.,

Monika Mazur-Mitrowska z Radomia jako poetka oraz malarka i graficzka. Wszyscy poza tym podczas gali zespołowych w Staszowskim Ośrodku Kultury i w Rytwianach, gdzie ostatniego dnia dołączyły Beata Kępińska i Irena Paździerz.

Niemal każde spotkanie rozpoczynaliśmy niczym hymnem pieśnią poetycką *Gdy nam wyrosną skrzydła* do słów Joanny Babiarcz-Szot z melodią skomponowaną przez Janusza Szota:

### **Skrzydła**

Gdy nam wyrosną skrzydła  
znikniemy gdzieś w przestworzach  
nikt nas nie będzie szukał  
i nikt nie będzie płakał

Gdy nam wyrosną skrzydła  
znajdziemy takie drzewo  
gdzie zbudujemy gniazdo  
wysoko aż po niebo

Gdy nam wyrosną skrzydła  
szczęścia będziemy szukać  
a może jest gdzieś blisko  
może już do nas puka

Gdy nam wyrosną skrzydła  
w ramionach świat zamkniemy  
spijemy naszą wolność  
na zawsze zostaniemy

Zorganizowanie plenerowego Staszowskiego Lata Literackiego było możliwe przy wsparciu:

– staszowskiego Starostwa Powiatowego (dziękowaliśmy staroście Michałowi Skotnickiemu),

– Urzędu Miasta i Gminy (dziękowaliśmy burmistrzowi Leszkowi Kopciowi),

– Stowarzyszenia Inicjatyw Twórczych „Talent” przy Staszowskim Ośrodku Kultury (wyraziliśmy wdzięczność współdziałającym z nami blisko od lat dyrektor Katarzynie Ciepeli i Dominikowi Rożkowi – przewodniczącemu Rady Miejskiej),

– Zespołu Szkół im. S. Staszica – dziękowaliśmy za stałe corocznie miejsce w jego internacie na zakwaterowanie i wyżywienie niemałej grupy pisarzy w każdy pierwszy tydzień wakacji, jak i troskliwą opiekę dyrektorowi Izidorowi Grabowskiemu oraz kierownik internatu Ewie Maj),

– Miejsko-Gminnej Biblioteki Publicznej (z podziękowaniem za osobiste zaangażowanie się dyrektor Ewie Cygan).

Zyskaliśmy też przychylność – już nie pierwszy raz – Centrum Kultury w Rytwianach, dyrektora Roberta Wyrazika, który nas zaprosił ostatniego dnia na plenerowe literacko-artystyczne spotkanie do malowniczego parku przy zabytkowych ruinach zamku, gdzie interludia muzyczno-wokalne pomiędzy naszymi występami wykonali Viktoria Pikul i Kamil Kondek (z programu poezji śpiewanej Benedykta Kozieła) oraz Małgorzata Siemieniec (głównie z programu Anny German), Niepublicznej Szkoły Muzycznej I Stopnia (z grupą uczniów pod kierunkiem Antoniego Drozda), Artura Garbackiego (darczyńcy albumów podczas gali w Staszowskim Centrum Kultury).

Za sprawną koordynację niełatwego przedsięwzięcia serdecznie dziękujemy kol. Benedyktowi Koziełowi – wiceprezesowi naszego Oddziału ZLP.

*Red.*



Fot. Monika Mazur-Mitrowska

## Pomost literacki Kielce–Rzeszów

Były i są ważne powody do naszego zbliżenia. W drugiej połowie lat 60. ubiegłego wieku kilkakrotnie przebywałem po parę dni w Rzeszowie, będąc w dobrych kontaktach z kilkoma kolegami z tamtejszego ośrodka Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy „Gwoźnica”, któremu przewodził poeta Tadeusz Kubas (od 1980 w ZLP): Emilem Granatem, Marianem Berkowiczem; nawiązałem kontakt z filologami-polonistami: Stanisławem Frycie, Józefem Nowakowskim; współpracowałem z miesięcznikiem „Profile”, gdzie opublikowałem kilka dłuższych recenzyjnych szkiców dot. almanachu KKMP *Gwoźnica*, tomów poetyckich Ernesta Brylla, Jerzego Hordyńskiego, Tadeusza Śliwiaka. Niewiele brakowało, bym na rzeszowskiej WSP został po studiach w Opolu (1966) asystentem w Zakładzie Literatury, ale nie gwarantowano mieszkania dla mnie i rodziny (akurat urodził się mój pierwszy syn Radosław), toteż... Koleżeńskie kontakty pozostały – również z Tadeuszem Piekło, który, choć mieszkał w Przemyślu, bywał w warszawskim „Domu Chłopa” na KKMP-owskich seminariach (przebijał nas czytaniem w nowościach wydawniczych, połykając na poobiedni deser np. grubą powieść, o której umiał się pod wieczór wypowiedzieć). Znałem dobrze Andrzeja Żmudę współredagującego KKMP-owskie „Okolice” (spotykaliśmy się w warszawskiej redakcji), Jasia Tulika (próbowałem przekonać kielecki teatr do wystawienia jego sztuki, po latach wspomógł swym krytycznoliterackim komentarzem ważny w dorobku Doroty Kwoki tom poetycki *Wodospadem*), z przelotnych kontaktów Aleksandra Migo, który potem związał się na trwałe z Opolem. Wiele pomogłem jako konsultant i wydawca borykającej się z kłopotami zdrowotnymi Krystynie Bęczkowskiej z Tarnobrzega (w OW „STON 2” ukazało się kilka jej książek poetyckich i o literaturze dla dzieci i młodzieży umożliwiających przyjęcie do ZLP). Na zjazdach krajowych ZLP spotykałem się m.in. z Adamem Decowskim, Wiesławem Zielińskim, Martą Pelinko (współpracowaliśmy potem kilka lat na stresujących posiedzeniach Komisji Kwalifikacyjnej...).

Upłynęły lata, aż do 2007 czy 2008 (?), kiedy – dzięki Włodkowi Kłaczyńskiemu z Mielca

należącego do województwa podkarpackiego – przybyła grupa poetów z Rzeszowskiego Oddziału ZLP, by zaprezentować się na naszym plenerze w Sandomierzu. Przyjechali wówczas Wiesław Zieliński – prezes Oddziału (z Martą Pelinko, Adamem Decowskim).

Tak się następnie złożyło, że z Oddziału Rzeszowskiego do Kieleckiego przeniósł się Włodek Kłaczyński, do naszego wstąpiła (mieszkająca w Rzeszowie) Dorota Kwoka i nadszedł rok 2011, od którego dzięki nawiązaniu bliższej współpracy z rzeszowianinem Mieczysławem Arkadiuszem Łypem (wielbicielem poezji Juliana Przybosia i fanem liryki Uty Przyboś) wspieram tego ambitnego poetę i edytora komentarzami do jego tomów: o *Orbis pictus* zamieszczonym w *In Arcadia* (2011), o *In Arcadia w Panta rhei* (2012), z kolei o zbiorach *Dalekie światy Radomska* (2013), *Rozmowy z Julianem Przybosiem* (2015). Byłem w Rzeszowie na publicznej promocji jego poezji (2012) w auli Uniwersytetu Rzeszowskiego, uczelni ceniącej sobie współpracę z pisarzami, której biblioteka pozyskuje ważniejsze pozycje naszej Oficyny „STON 2”.

Uczyniłem, jak widać, duży i ważny krok na tym pomoście współpracy, nie chybczącym się, a coraz mocniejszym, prawie stabilnym. Nic też dziwnego, że wiosną tego roku w drugim plenerze literacko-plastycznym na Żeromszczyźnie w Ciekotach (8-11 maja) wzięło udział z Rzeszowa dwoje twórców z RSTK (tj. Regionalnego Stowarzyszenia Twórców Kultury): Jadwiga Kupiszewska i Józef Pałac. Na tyle spodobał im się przebieg tego pleneru i wieńcząca go gala uczestników z wystawą prac plastycznych, w której uczestniczyli, że przyobiecali już w Ciekotach rewanż w Rzeszowie.

Rewanż w dniach 31 lipca – 3 sierpnia, gorących (dosłownie, bo przy temperaturze ponad 30 st., aż w hotelu powitalnie zawołałem porównaniem z wiersza *Skwar*: „Którędy idę/ skwar tak dotkliwy/ że woda usycha z pragnienia!”), nazwany został „Ogólnopolskim spotkaniem literacko-artystycznym”. Zainaugurowany w rzeszowskim WDK-owskim Klubie „Turkus” – z okazałym benefisem 50-lecia twórczości Stefana

## II plener literacko-plastyczny na żeromszczyźnie

Pierwszy plener o takim charakterze zorganizowany przez Kielecki Oddział ZLP wspólnie z gminą Masłów odbył się w 2008 roku i przyniósł w rezultacie prócz utworów literackich kilkanaście obrazów malarzy z różnych stron kraju powstałych z myślą o planowanym w Ciekotach Szklanym Domu. Gdy Dom już powstał w 2010, obrazy te zostały wyeksponowane jako nasz dar.

Po dłuższym czasie z pomocą wójta Tomasza Lato zorganizowaliśmy drugi taki plener w dniach 8 – 11 maja br. Uczestniczyli w nim nasi twórcy (Jan Chruśliński, Bożena Gniazdowska, wokalista Maciej Jóźwik, Beata Kępińska, Włodzimierz Kłaczyński, Benedykt Kozieł, komisarz pleneru Stanisław Nyczaj, Kazimierz Ryk, wokalistka Małgorzata Siemieniec, Kazimiera Szczykutowicz, Emilia Tesz, Ewa Wojtasik, artysta malarz Piotr Porębski; ze skarżyskiego Klubu „Wiklina” Elżbieta Jach, Anna Zakrzewska, Barbara Obara. Oprócz nich wzięli udział pisarze i plastycy z Rzeszowa (Jadwiga Kupiszewska i Józef Pałac), z Warszawy (Ewa Białek, Krystyna Guranowska-Stolarz, Grażyna Kowalska, Jan Rychner), Gdyni (Barbara Pasierb-Jeziarska, Elżbieta Strzałkowska).

Znakomicie wypadła gala w Szklanym Domu wieńcząca plenerowe dokonania z prezentacją utworów literackich, malarstwa i rzeźby. Gościliśmy na niej obok wójta Tomasza Lato i dyrektora GOK Krystyny Nowakowskiej kierownictwo Departamentu Promocji, Edukacji, Kultury etc. w osobach: dyr. Jacka Kowalczyka, z-cę dyr. Małgorzatę Kowalińską i kier. Małgorzatę Rudnicką, wspomagających nasze przedsięwzięcie.

Twórcy z Rzeszowa zachwyceni przebiegiem spotkań zaprosili nasze grono na podobne plenerowe spotkanie do Rzeszowa.

*Red.*

1. Od lewej: Stanisław Nyczaj, dyr. Jacek Kowalczyk, Tomasz Lato
2. Dyr. Jacek Kowalczyk wręcza Włodzimierzowi Kłaczyńskiemu pamiątkowy emblemat pn. „Świętokrzyskie trzyma formę” (który otrzymali też inni) w obecności prezesa Stowarzyszenia „Biegacz Świętokrzyski” Jacka Wiatrowskiego
3. Józef Pałac wręcza Stanisławowi Nyczajowi płaskorzeźbę swojego autorstwa
4. Uczestnicy pleneru przed publicznością zebraną w Szklanym Domu

Zdjęcia: *Bartłomiej Bitner*



## Plener literacko-plastyczny – Rzeszów 31 lipca – 3 sierpnia 2017



Stanisław Nyczaj na spacerze z Tadeuszem Nalepą



Stanisław Nyczaj prezentuje grupę świętokrzyskich literatów



Gratulacje dla Mieczysława A. Łypa Fot. arch. ŚKL



W WDK dopisała frekwencja Fot. Mieczysław A. Łyp



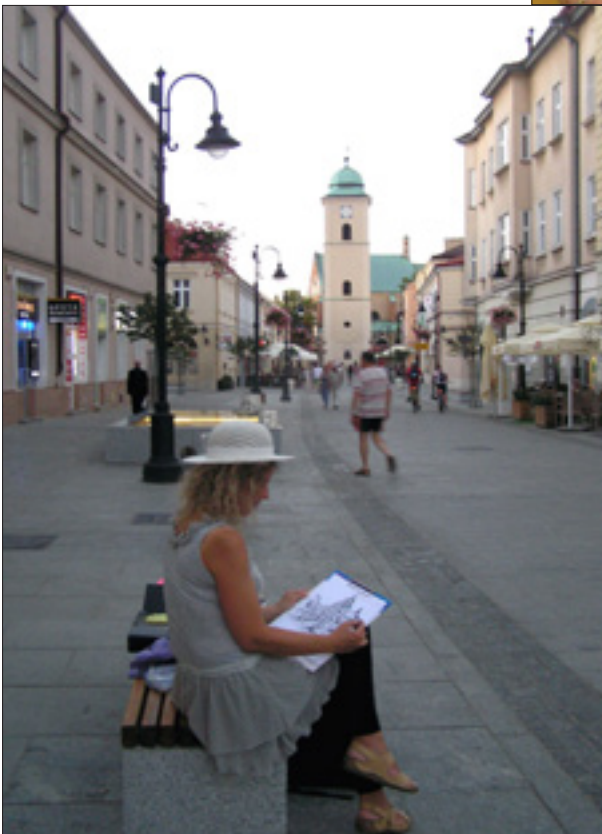
Rys.  
Monika  
Mazur



Od lewej: jubilat Stefan Jurkowski, Adam Decowski, Małgorzata Żurecka, Stanisław Nyczaj, Ryszard Mścisz

Fot. Mieczysław A. Łyp

Od lewej: Monika Mazur-Mitrowska, Dorota Kwoka, Stanisław Nyczaj, Jadwiga Kupiszewska na uroczystym podsumowaniu pleneru w Klubie „Zodiak”



Monika Mazur szkicuje architekturę Rzeszowa



Spotkanie literatów uatrakcyjnił występ chóru seniorów  
Fot. Mieczysław A. Łyp

Jurkowskiego (który zasiadł w fotelu na scenie, a my czytaliśmy w wypełnionej słuchaczami sali wiersze dedykowane jubilatowi) – oraz podsumowany wernisażem malarstwa, grafiki i rzeźby (przede wszystkim Józefa Pałaca) z towarzyszącym sztuce słowem poetyckim w Klubie Kultury „Zodiak”. Brylowały Jadwiga Kupiszewska (na tych łamach we wzruszeniowej refleksji odwołuje się do poezji Stefana Jurkowskiego) i nasza poetka (z wyboru organizacyjnej przynależności) Dorota Kwoka, autorka szczególnego, wyprzedzającego teraźniejszość *Zegara spełnień*:

Jestem tylko sekundą  
w zegarze naszych spełnień  
Wskazówkami swoich warg  
zatrzymuję czas jeszcze na jutro

Obydwie prowadzące każdej uczestniczącej osobie umożliwiły efektowny popis:

– Oto Maria Gibała z Przemyśla w wierszu *Fotografia z Rzeszowa* próbuje zestawić w jednym panoramicznym obrazie klimat dawnego i współczesnego miasta. Czytamy pod koniec: „pogodny tłum ludzi/ ubranych w koszulki z herbem miasta/ i z anglojęzycznymi sloganami/ na środku studnia/ nad wszystkim króluje ratusz/ gwar kupców sprzed wieków/ miesza się z kawiarnianym śmiechem”.

– W oczach Bożeny Gniazdowskiej z Ostrowca Świętokrzyskiego „Na Rynku z pędzlami/ tańczą nimfy/ w sukienkach zwiewnych/ z księżycowych nitek/ paletą barw/ rzeźbią koronki/ metafory snów”. Podczas spaceru wzruszona notuje: „dotykam oczami uroku miasta/ zatrzymuję w zakątku duszy/ przechowuję piękno// Gród nad Wisłokiem/ szumem wiatru legendy opowiada/ jak Król Kazimierz Wielki/ serce pannie ofiarował/ a nurt rzeki wierny/ Królową Jadwigę bronił/ klimat rozbudza zmysły/ mierzy się z historycznym podaniem// Labirynt piwnic starych/ skrywa czar tajemnicy/ Żyd na portrecie/ do ściany przytulony/ rycerz zbrojny stoi/ jak duch poety/ uwieczniony milczeniem czasu//

Deptakiem Nalepa/ bluesmen zadumany/ idzie gdzie strumienie wody/ tańczą w rytm muzyki/ o zachodzie słońce blednie/ w czerwieni i szkarłacie/ gwiazdy łamią wieczorną ciemność// Nad perłą Podkarpacia/ zapada cisza”.

– „W Rzeszowie Przyszłość, Teraźniejszość, Przeszłość/ nie są skłócone ze sobą” – konstatuje, jakby w nawiązaniu do słów Doroty Kwoki, Ewa Danuta Białek z Warszawy.

– Krystyna Guranowska-Stolarz, malarka i poetka również z Warszawy, wskazuje inspirujące ją do pastelowych sztychów miejsce: „Tam gdzie fontanny tryskają barwą/ błękitne,/ w żółci,/ w różu,/ w czerwieni”.

– Tam właśnie w oczach Kazimiery Szczykutowicz z Kielc rozgrywa się cały spektakl przykuwający uwagę dorosłych i dzieci: „woda światło muzyka/ o zmierzchu biorą się w tany/ [...] strumieni las wystrzelił/ klaskają wodne kaskady/ [...] W kropelkach mgielny parawan/ to unosi się to opada/ w rytmie melodii powtarza”. I nagle niespodzianka: „ciemność przestrzeń chwyciła/ [...] zgąsto światło”.

– Monika Mazur-Mitrowska dopełnia uczuciowy obraz na swej „poetyckiej sztaludze”:

Dotknęłam cię pastelowo  
gdy dzień przetapiał się  
ze zmierzchem  
snułam się myślami  
zaułkami  
by zapamiętać wszystko  
przed nocą  
Twoim światłocieniem

– A rzeszowianka (wspomniana już) Jadwiga Kupiszewska w swoich „opowieściach wierszem/ o nowym Rzeszowie” dodaje: „coraz więcej kolorów/ na sztalugach malarza” oraz – pamiętając o śpiewnym rodowodzie poezji – proponuje jeszcze akcenty melodyczne: „Jak wiolinowym/ kluczem utulić/ rozległy pejzaż/ [...] i poukładać na pięciolinii/ nutki szumiące/ refrenem nowym”. Przecież „melodia nocy” nie tylko „wygładza/ wspomnienia/ zaciera ślady/ twarzy i zdarzeń”, ale też wprowadza w inny, najbardziej intymny świat, gdy „życie całe/ wydaje się snem/ który pozwala/ jedynie/ pomarzyć”.

– Warszawianka Maria Bednarek w dniu 1 sierpnia przeżywa wymowną, wiele znaczącą nie tylko dla niej sytuację:

Przy placu Armii Krajowej  
idziemy w sztandarowym poczcie  
i nagle ten chłopiec  
speszony nieco  
w opasce biało-czerwonej  
pod okiem czujnej matki  
stanął za szeregowcami  
centymetr po centymetrze  
zmniejszając do nich dystans  
– Jesteś odważny

złóż kwiaty przed pomnikiem  
razem z nami –  
zachęcił Patriota  
z naszej grupy  
Chłpiec szedł dumnie  
dotrzymując kroku  
a potem jak wszyscy  
skłonił głowę  
oddając cześć  
Poległym za Warszawę  
Gdy salwy karabinów ucichły  
pobiegł z innymi zbierać łuski  
nasz przyjaciel mały  
na wojaczka pasowany

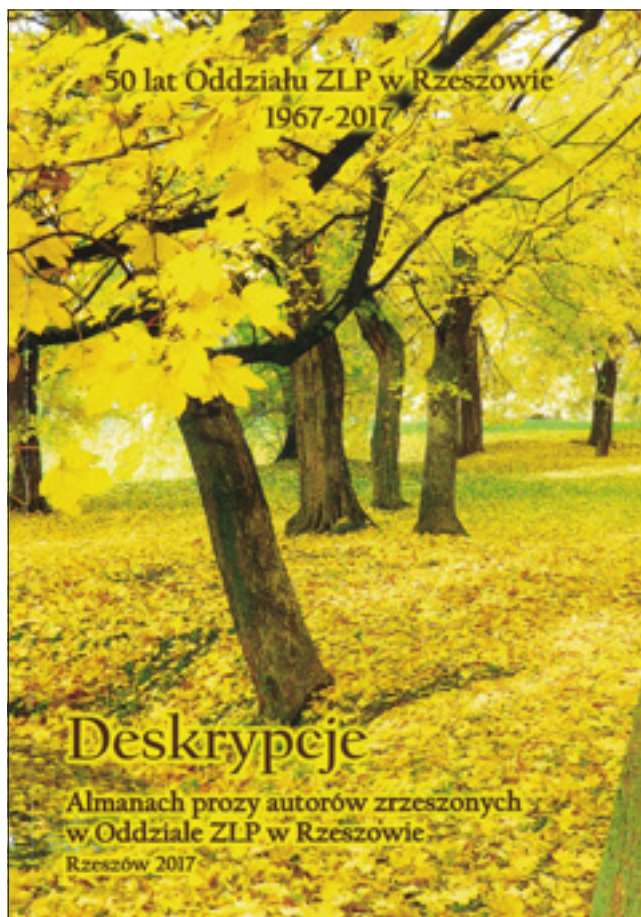
Dopisali z grona członków świętokrzyskiego Oddziału ZLP i kręgu jego przyjaciół (prócz mnie z żoną Ireną i synem Pawłem jako wspierających Oddział wydawców z OW „STON 2”), Janem Chruślińskim z żoną Izą, Andrzejem Piskulakiem, Kazimierzem Rykiem z Weroniką Sabat, Zofią Walas, cytowani wyżej: Bożena Gniazdowska, Monika Mazur-Mitrowska, Kazimiera Szczykutowicz.

Poznaliśmy bliżej odnowiony Rzeszów, rozkwitający pod okiem prezydenta Tadeusza Ferency, który ufundował to kilkudniowe ogólnopolskie spotkanie rzeszowianom, nam, i także jeszcze grupie pisarzy i plastyków z Warszawy, reprezentującej Klub „Nasza Twórczość” Stowarzyszenia Wspólnota Polska pod przewodnictwem Jana Rychnera.

Ważne ponadto, iż – pomiędzy inauguracją a finałem – gościliśmy w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej, kierowanej przez Barbarę Chmurę, gdzie zajmującą mówić o sobie i swojej twórczości Jan Chruśliński. Są w tej księżnicy, podobnie jak we wspomnianej uniwersyteckiej, nasze książki!

Niezwykle wzajemnie satysfakcjonujące, umacniające nasz pomost było to, że mogliśmy także wyrazić uznanie dla prezesa Mieczysława Arkadiusza Łypa i członków Zarządu Rzeszowskiego Oddziału ZLP za osiągnięcia twórcze w minionym 50-leciu i wysoki poziom obecnych publikacji antologijnych i indywidualnych (wybrane przez nich wiersze znajdzie Czytelnik w dziale *Twórczość*).

*Stanisław Nyczaj*





## Patronując jubileuszowi...

Patronując jubileuszowi 50-lecia Rzeszowskiego Oddziału ZLP (liczącego 40 pisarzy) przedstawiamy Czytelnikom „SKL” wiersze członków jego Zarządu wybrane przez nich specjalnie dla tych łamów.

Adam Decowski

### Ten ból głęboką raną wiersza

*siostrze Teresie*

jest we mnie ten ból  
łagodny i cichy jakby zdjęty z ptaka  
mającego jeszcze w oku  
obraz i zaplątane ścieżki do gniazda

jeszcze kaleczy mój sen  
dom coraz bardziej odległy  
jakiś krzew jabłoń mała uliczka  
wszystko to trwa we mnie  
jak szelest krwi wychwycony w tym miasteczku  
jak cień zdobyty pierwszym krokiem dziecka

skąd ten żal  
i nagle rozkruszona gruda  
na ziarna dni ostygłe w oczach  
skąd ten ciągły deszcz  
przyszywający do ziemi moje ciężkie stopy  
jakby tlił się jeszcze we mnie lęk powrotu  
w pejzaż utracony raz na zawsze

jest we mnie ten ból  
jak ostrze światła wbite w popiół nocy  
jątrząca głęboka rana wiersza  
niegojąca się nigdy

Ryszard Mścisz

### Ocalanie dobra

dobrze że kolej rzeczy jeszcze się nie wykoleiła  
ludzie wciąż oddychają swym nieczystym  
[powietrzem  
wszystko przemieszcza się po zwykłych torach

Pan nie włączył jeszcze żółtego ostrzegawczego  
[światła

owszem jest trochę zaśmieconych ulic oraz sumień  
nie każdy wrzuca do kosza to co niepotrzebne  
czasem ktoś się potyka łamiąc nogę lub duszę  
ale to jeszcze nie powód by straszyć dniem gniewu

ludziom zdarzają się przebudzenia ze zbyt miłych  
[snów  
śmierć wciąż nie potrafi powstrzymać narodzin  
bywa że biel nie czernieje pozostając bielą  
a świadek prawdę zeznaje choć wcale nie musi

jeszcze złość widzi powód by skończyć ze sobą  
samotność się panoszy ale szuka klęski  
natura ma swój oddech choć czasem zepsuty  
i parę serc bije nie dając się zabić

Małgorzata Żurecka

\* \* \*

wyjmujesz pozapadane  
klawisze chwil z przeszłości  
bez jęków pamięci  
przerdzewiałe struny  
wspomnień  
dawno odpadły

przerobiliśmy już lekcję  
gam i pasaży lojalności  
poprawności przymusu  
czas na improwizację  
wolnych myśli i słów  
bez strachu  
ślepej przyszłości

Mieczysław A. Łyp

### Czytanie ikony

W błękit wchodzę  
przez rozłożyste drzewa gaju oliwnego  
i kolumny świątyń  
wiszących u szumiącego morza  
na białych skarpach

Mój szept  
i moje słowa  
świt wyprowadza  
pod koronę niebios

A niebios  
jak u Nowosielskiego  
– całe w błękitach  
łagodnych jak modlitwy aniołów  
i nimby Świętego Cyryla i Świętego Mikołaja

Ciągle widzę  
to piękno to światło  
to nasycenie  
życia i śmierci  
zdrady i grzechu  
przebaczenia i pokuty  
świętą barwą nadziei  
świętą barwą naszych imion  
w przepastnych otchłaniach świata

31.03.2016

Wacław Turek

### Pamięć o dziadku

Dziadek z kopalni złota na Syberii  
przywiózł tylko wspomnienia

Ożywiały go jako wiertacza  
skrzypienia wież naftowych  
podkarpackich kopalń

Kiedy wrócił na swoje pod Duklę  
życie podarowało mu dach  
tu na ruskiej harmonii  
wygrywał swoje przeznaczenie

Kiedy dopadły go ostatnie boleści  
wysłał mnie po piwo  
do pobliskiej spółdzielni  
– czas dokonał swego

Miniatura szybów wiertniczych  
z kałamarnicą  
łuska z wojny austriackiej  
lampa naftowa z wesela  
– nie myślał  
że to będą  
relikwie naszej wspólnoty

### Myśląc o Kresach

Móc cofnąć rolkę filmu,  
zanim ruszy ku zabijaniu...  
Nim przestrzelą obłoki,  
rozbebeszą pola,  
a różowe panny  
trafią do szarych fotografii...  
Zanim tłumy spakują tobołki  
i w pośpiechu,  
w osłupieniu,  
w obłędzie  
wsiądą do bydlęcych wagonów.

Zdążyć przed schyłkiem.  
Przed tym, co przyjdzie  
na wyniosłe katedry,  
na płaską codzienność.  
Niechby pozostali  
w pozycji przed zdradą,  
przed torem kuli,  
przed ciosem siekiery...

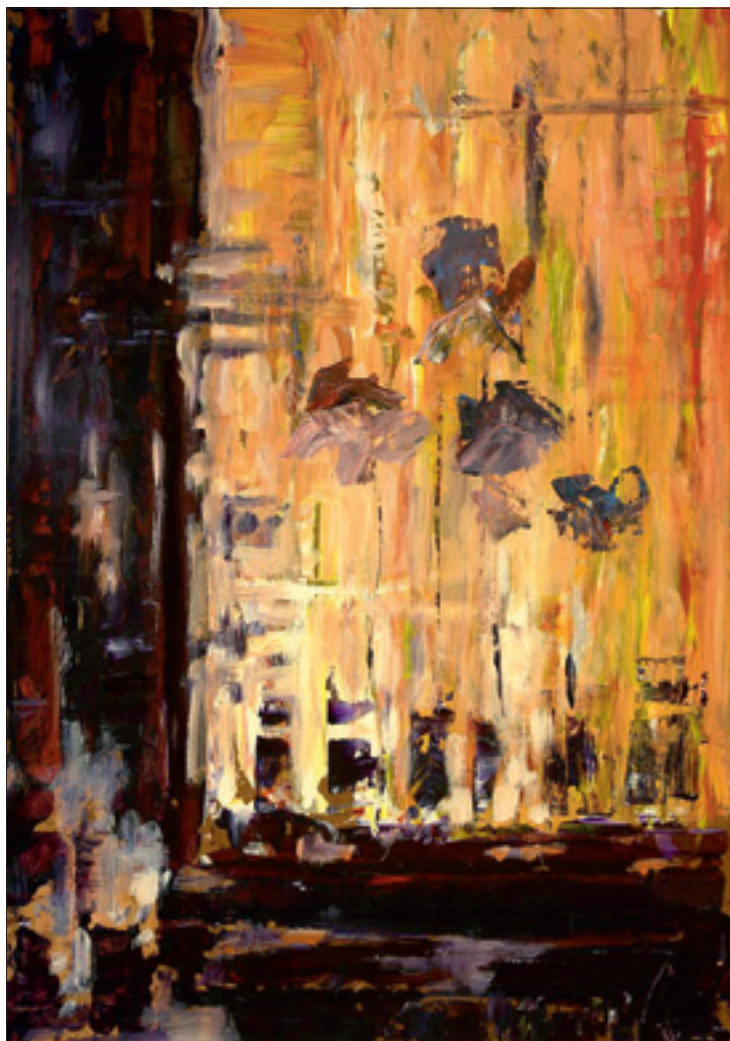
Odsunąć bolesne dekady,  
zanim kamienne lwy  
zawyją na trwogę.  
Nim wytoczy łzę  
gorzkie wniebozwątpienie...



Rys. Irena Nyczaj

## TWÓRCZOŚĆ ARTYSTÓW Z GALERII „ZIELONA” W BUSKU-ZDROJU

Noty o artystach na s. 140–142



Beata Borek: *Storczyki 2*, akryl, papier, 70 x 50 cm, 2016



Piotr Kaleta: *Sache 1*, fotografia, 60 x 90 cm, 2017



Barbara Wnuk-Spirowska: *Z cyklu Kontrola – tryptyk, akryl, płótno, 3 x 30 x 30 cm*



Bogdan Władysław Kowalczyk: *Indywidualność, rzeźba, marmur polerowany, 130 x 48 x 50 cm*



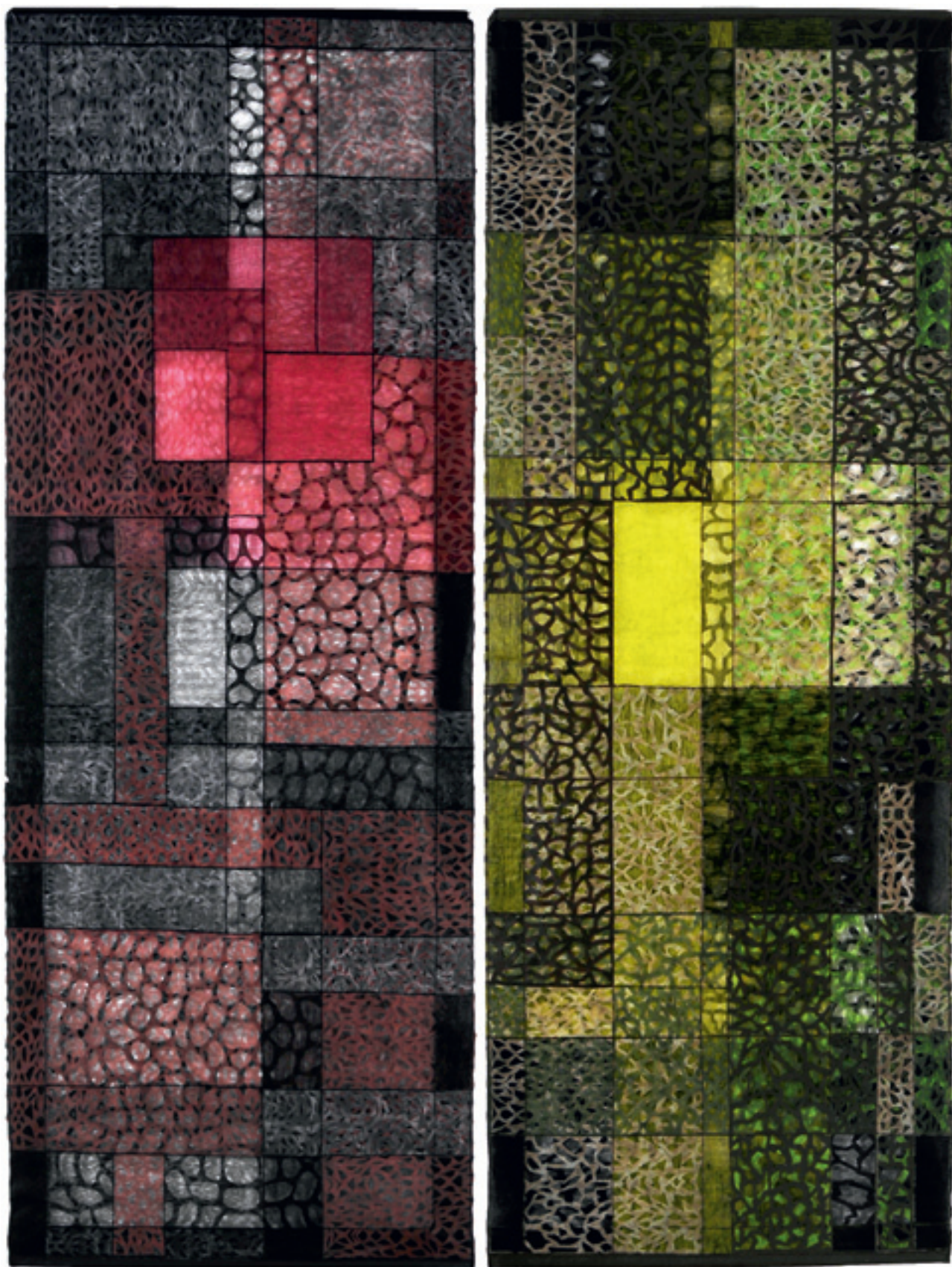
Adam Wawszczyk: *Ponidzie, fotografia, 30 x 45 cm, 2016*



Bogdan Ptak: *Latający dywan donikąd*, akryl, płótno, 68 x 83 cm, 2016



Stanisław Przodo: *Struktury natury*, akwarela, tusz, 29 x 42 cm, 2016



Tamara Maj, z cyklu *Przenikanie* – *wiśniowy kwadrat*, *limonkowy prostokąt*, tkanina autorska, dwustronna, 2 x 280 x 105 cm, 2016

## Napięta struna poezji

Wystarczyło, że otworzyłam pokaźny tom poetycki Zdzisława Antolskiego, by przemówiła do mnie „ojczyzna papierowych żołnierzyków”. Opowiedzieć swój świat z oddali, sprzed 4 i 5 dekad, gdy się było dzieckiem, i jednocześnie z samego środka nagiej dziecięcej czułości może chyba tylko poeta. Wszak chodzi o pobudzenie dawnej wrażliwości i uwzględnienie tamtej perspektywy jeszcze nienacechowanej dorosłością. Autor „ojczyzny papierowych żołnierzyków” odszukał je w sobie, by „napisać świat od nowa” z precyzją poetyckiego dokumentu.

Znana to prawda, że wspomnienia lgną do wierszy. Język poezji jest znaczeniowo bardzo pojemny. Minimum słów i ogrom obrazu otwartego na wielowymiarowość i niedopowiedzenia. A one szybciej przybliżają do sensów niż domykanie jakiegokolwiek przestrzeni. Wszystkie te zasady zna Zdzisław Antolski, zna i po mistrzowsku korzysta z nich. I jakby bez wysiłku kreuje światy. Tym razem jest to rekonstrukcja „podwórka” dziecka (potem młodzieńca) wraz z jego zabawkami i lękami. Ożywają wspomnienia usnute wokół szczegółów.

„Ojczyzna papierowych żołnierzyków” poruszy każdego. Młodym czytelnikom przybliży świat ich ojców i dziadków. Starszych nakłoni do spojrzenia wstecz. Nieco późółkłe obrazy zwykle szarpiają w nas dziwne struny, jakiś sentyment i żal za utraconą część naszego życia, może „Zapomniane/ szczęście / w miniaturze” (*dzieciństwo*). A sepia oprócz swojej barwy posiada własność dodatkową – nostalgiją.

Pamiętki z rajy  
zanim wypędzono nas  
w dorosłość

(*pudełko po butach*)

Już na szóstej stronie „ojczyzny” Antolskiego zobaczyłam swoją. Zaczęły biec równolegle do siebie. Tornister. Mój był wielki i twardy jak tekturowe pudło zawieszane na małych plecach. Ławka szkolna. Ta, w której siadałam, była zielona i o blacie zrytym wzdłuż i w poprzek linii papilarnych drewna. Jeśli były inicjały – to niewinne

jak rumieniec dziewczynki. No i proszę, coś co było codziennością, zostaje zapomniane na długie lata, by po czterdziestu mogło znów przyjść do mnie wraz z książką Antolskiego. Miał więc tornister i ławkę szkolną podobne do moich. Miał swoją wieś, trawę, bzy. Miał wiosny i zimy. I swoją wyobraźnię. Dla niego całym światem był wtedy dom rodzinny, matka, ojciec, czworonogi, jak okiem sięgnąć pejzaż Poniidzia i śnieżne zasy – „podwórkowe himalaje”.

ale wiosną lodowe szczyty  
zaczęły niebezpiecznie  
maleć

na próżno znosiłem śnieg  
z najdalszych zakątków  
naszego obejścia

góry znikły  
został tylko mokry  
śląd na ziemi  
jakby ktoś płakał

(*podwórkowe himalaje*)

Dorosłość, w którą zostaliśmy strąceni, niesie brzemień, w tym i świadomość, że nawet pamięć nie wróci szczęsnego czasu, choćby wykonała na ocenę najwyższą „pracę domową”. Z uśmiechem spojrz na zabawy w „niebo i piekło” i przytaknie, że już wtedy rozpoczęły się pierwsze manewry; „później oglądała mojego siusiaka/ gładziła go i pieściła// a potem straszyla piekłem/ jeśli powiem dorosłym”. Strach wielki jak ten na wróble. Ale tamci ONI w drodze do inicjacji „jeszcze nie wiedzą, że człowiek wytrzyma/ wszystko zdradę i śmierć/ i opuszczenie// popełni najgorszą/ zbrodnię o jakiej teraz/ boją się pomyśleć”. Tak napisać może tylko dojrzały poeta i jak klamrą połączyć dwa czasy w jedno życie.

Kolejne utwory prowadzą nas od stoczonych bitew „pod Telewizorem” do śmierci pod kuchenną płytą prywatnej papierowej armii, od pierwszego zapalonego papierosa do pierwszej miłości. Tytułowy wiersz „śmierć żołnierzyków” jest metaforyczny, przeobrażeniowy – to opuszczenie dzieciństwa i wejście w dorosłość.

Stwierdziłem ze zdziwieniem  
 że są martwi a jeszcze wczoraj  
 biegaliśmy razem do ataku w bitwie

teraz zastygli w nienaturalnych  
 pozach jakby śmierć zaskoczyła ich  
 w czasie mojego snu  
 (śmierć żołnierzyków)

W licznych miniaturach, które przeplatają się z nieco dłuższymi zapisami (niektóre prozą), autor potrafi zmieścić chwilę z całą jej odstoną i konsekwencjami. Tu nawet szczegół, a może przede wszystkim on, otwiera na przestrzeń i czas. Na sumę naszych doświadczeń. Tak pracuje wielowymiarowość tej poezji.

Wiersz przy Antolskim był chyba zawsze. Przy lekturze tego tomu ma się nieodparte wrażenie, że z nim dorastał. Że gnieździł się w nim i rozprzestrzeniał. Dawał i zabierał oddech. A on w zamian ofiarował mu swoją myśl i wrażliwość. Taka swoista symbioza, jakby żywili się sobą. Ale czytelnik zyskuje na tym najwięcej, przede wszystkim poezję czystą najwyższego lotu.

Polecam wszystkim, młodym i starszym, „ojczyznę papierowych żołnierzyków”. Znajdą w niej we wspomnieniach świat Autora, w którym być może przejrzy się i ich własny.

*Elżbieta Musiał*

Zdzisław Antolski: *ojczyzna papierowych żołnierzyków*,  
 Wydawnictwo Nowy Świat, Warszawa 2016, s. 104.



## Moim wszystkim P.

rozerwij węzły zależności  
 omijaj kłody rzucaj pod nogi  
 możesz ułożyć je  
 w poprzek rzeki  
 by przejść na drugą stronę  
 nie bój się deszczu  
 do wiatru odwracaj się tyłem  
 a gdy chłód będzie się wzmagał  
 zamknij oczy  
 nie zrywaj kwiatów  
 one też chcą przez chwilę  
 poczuć promienie słońca  
 nie rozdeptuj żuka  
 na swej drodze  
 on jest dla ciebie towarzyszem  
 idź tak  
 jakbyś znał drogę  
 nawet jak zbłądzisz  
 dojdiesz do celu  
 nie wierz godzinom  
 zepsutego zegara  
 patrz na słońce  
 zaufaj księżycowi  
 przeglądaj się w lustrze chmur  
 każda ich chwila  
 jest niepowtarzalna  
 rozwieś żagle pokory  
 wobec gniewnych  
 nie zaprzeczaj rozjuszonemu  
 w błahych sprawach  
 nie warto kruszyć kopii  
 pomiń milczeniem  
 tyrady głupców  
 wysłuchaj dobrego przyjaciela  
 może on wyprostuje  
 twoje zmarszczone czoło  
 idź przed siebie  
 dąż do rzeczy niemożliwych  
 bo wszystko co najlepsze jest  
 zawsze przed tobą...

## Może zdążysz

a kiedy wyskoczę z okna  
 wprost pod koła



pędzącego pociągu  
 być może zdązysz  
 zapytać mnie  
 jak mi się wiedzie

bufetowa  
 poda nam wódkę  
 więc łyček po łycku  
 wykrwawię się  
 do wewnątrz

### Budzenie manekina

tak napisać wiersz  
 aby manekin usłyszał

tak wymilczeć  
 aby człowiek się w nim  
 obudził

jakim słowem  
 przebić się przez mur  
 obojętności  
 a jakim zanurzyć  
 w pęknięte serce

Joanna Babiarz



W duecie wokalnoinstrumentalnym z Januszem Szotem

### Czego nauczyłam się w Ciekotach, nieopodal Dworku Stefana Żeromskiego?

Siedzę na ławce nad zalewem w Ciekotach. Jest wczesne majowe popołudnie 2017 roku. Za mną dworek Stefana Żeromskiego i Szklany Dom – Centrum Edukacyjne. Nad głową ćwierkające ptaki, anonsujące swoje istnienie w przestrzeni między niebem a ziemią.

Moją uwagę i wrażliwość badacza rozprasza odgłos piłowania drzewa w bliskiej odległości. Gdyby nie on, byłabym absolutnie szczęśliwa. Wydawałoby się, że w tej spokojnej okolicy cisza jest częścią życia, jego istotą.

Potrzebuję ciszy, niczym spragniony pielgrzym wody. Kilka dni spędzonych z ludźmi wypełniło mnie gwarem rozmów. Jestem w tej chwili przesycona. Potrzebuję to wyciszyć, zintegrować w sobie, aby tworzyć.

Uwielbiam ciszę, z której wychodzę do świata, gdy jestem gotowa, aby potem zanurzyć się z powrotem w mój wewnętrzny, przebogaty świat. W taki właśnie sposób utrzymuję wewnętrzną równowagę jako introwertyk. Wtedy żyję pełnią – doświadczam siebie i świata w całej ich okazałości, ale jednocześnie harmonizuję „mnie ze mną” i „mnie z nim”. Mogę potem wyrażać tę harmonię w swój wyjątkowy, wrażliwy sposób – kobiety czującej, odbierającej świat w całej jego różnorodności i doskonałości.

Po mojej lewej stronie – pomost prowadzący w głąb zalewu; po prawej – biała kapliczka ozdobiona kwiatami. Przedem falująca powierzchnia wody. Jej właśnie teraz dedykuję moją uwagę. Jakaż jest inna od bijących o brzeg morskich fal w Rewalu, które niedawno oglądałam. To odmienna forma natury. Tam słychać jedynie szum morza i przebijający się momentami przeraźliwy krzyk mew.

Dzisiejsze pytania, które sobie stawiam, dotyczą form wyrażania natury, w tym także własnej. *Czy i jak jest to ważne, aby pokazywać siebie? Czy przyroda potrzebuje także różnorodnych środków wyrazu do pokazania siebie, jej ważności, poprzez swoje przejawy „bycia”? Czego uczyć się od niej, w jej emanacji „bytu”? Czy ona także cierpi z powodu braku widoczności – bycia widzianą? Może być bowiem albo dostrzegana i chronio-*

na, jak też niszczone. A więc – czy *przyroda ma takie same problemy jak człowiek, a szczególnie introwertyk, który nie potrafi „krzyczeć głośno” i to nie tylko o sobie, aby być dostrzeżonym, ale także o nią samą, zadbanie o jej dobro? Czy ona potrafi „krzyczeć” w swojej obronie, w potrzebie dostrzeżenia bogactwa jej walorów: piękna, różnorodności barw, form, środków wyrazu?*

W mojej bliskości odezwał się ptak. On także chciał zaznaczyć swoją obecność własnym głosem.

W tej chwili zalew mieni się różnymi barwami i wydaje się, że stale płynie. Zastanawiam się, skąd wzięła się w nim czerwień, jedno szerokie pasmo czegoś, co także wydaje się w ruchu. Przyglądam się z ciekawością i dostrzegam, że to pasmo stoi jednak w miejscu.

Gdy spoglądam w głąb zalewu, widzę, że ta czerwoność to odbicie w wodzie dachu pobliskiego domu. Ale dostrzegam jedynie dach. Jednak chwilę potem, kontemplując ten widok, zauważam w wodzie także biel ścian domu i czerń okien.

W tym momencie dostrzegam odbicie w lustrze wody całego domu wraz z podwórkiem, a nawet jakąś postać, przechodzącą wzdłuż, choć z mojej ławki zupełnie jej nie widzę na prawdziwym podwórku.

Teraz też coraz bardziej dostrzegam cały otaczający mnie krajobraz odbity w wodzie, jakby włączyła kolejne – dwuogniskowe soczewki lub otworzyła oczy dwa razy szerzej. Poprzednio widziałam jedynie wszystkie obiekty na brzegu – dom, drzewa oraz wodę, jakby oddzielone od siebie. W tej chwili zauważam wszystko połączone w całość – jakby przedłużenie w wodzie tego, co jest nad jej powierzchnią.

To jest ciekawe, a wręcz fascynujące dla mnie, jako wnikliwej obserwatorce życia, a jednocześnie badaczki głębi jego emanacji – naukowca duszy. Siedzę stale w ten sam sposób, na tej samej ławce. Raz widzę wszystko oddzielone – osobne, a potem, momentami, wszystko tworzące jedną całość. Teraz np. znikł z wody biały dom, a pozostała tylko czerwoność na wodzie. Podobnie jest z drzewami: zagubiła się ich ciągłość z wodą, a może precyzyjniej – powstała przerwa pomiędzy wodą a pniami drzew i ich w niej odbiciu.

Tym razem znowu wszystko powraca do wody. *Czyżby punkt widzenia zależał od punktu skupiania uwagi – bo przecież nie tylko od „punktu siedzenia”?* To ciekawe dla mnie pytanie.

Teraz jednak chciałabym wrócić do początku i połączyć pierwszy opisywany wątek – wyrażania się przyrody i człowieka – z tym drugim – odbiciem wszystkiego w wodzie. *Czy moja ostatnia opowieść o ciągłości ma coś z tym wspólnego?*

Zależy mi na odnalezieniu odpowiedzi w sobie. Jeśli powstało we mnie pytanie, tam także musi znajdować się odpowiedź. Skoro więc jestem częścią przyrody, to powinnam w niej znaleźć korelacje do siebie i swojego odbicia w innych formach w ludziach. A więc: *Czy muszę „wołać głośno” jak te mewy? A może tylko „odbijać się” w innych, tych, co są blisko mnie, w zasięgu mojego wzroku czy oddziaływania? Czy w nich mogę znaleźć rezonans tego, o czym piszę i mówię, tak po prostu, normalnie, bez fanfar i nagłośnienia?*

Już wiem: to właśnie w nich znajduję swoje odbicie i *vice versa*. Oni odbijają w sobie swoją prawdę, przyglądając się sobie i słysząc moją prawdę.

Dwa dni wcześniej obserwowałam Basię Obarę, jak utrwałała na płótnie stojące przed nią polne kwiaty ułożone w bukiet. Powiedziała: ja nie robię zdjęcia kwiatów, malując, ja odczytuję w sobie to, co one wywołują we mnie – zachwyt dla cudu świata. Tym cudem jesteśmy też my, cuda natury i ich wspaniałe emanacje. Szukamy tylko środka wyrazu, aby je poprzez siebie pokazać innym ludziom. Jesteśmy dla nich ich lustrem, niczym to opisane wcześniej odbicie w wodzie. Jedynym warunkiem jest uchwycenie istoty tego przekazu i znalezienie jej wyrazu w sobie. A wtedy obiekt i jego obraz stają się tożsame, zjednoczone w całość, odebraną dzięki indywidualnej wrażliwości twórcy, niezależnie od środka wyrazu, którego używa.

I jeszcze jedna ważna dla mnie refleksja. *Czy miał w tym moim doświadczeniu „tu i teraz” swój udział Stefan Żeromski i jego „odbicie” na tej świętokrzyskiej ziemi? Czy była to emanacja jego ducha we mnie – na metafizycznym planie, na subtelnych, kwantowych poziomach informacji? To odbicie, jego „ślad” informacyjny jest przecież częścią świata w nieograniczonej jedności tego, co było, jest i będzie poza czasem i przestrzenią. Jest więc częścią tego miejsca i mnie – teraz, w tej właśnie chwili, siedzącej na ławce, grającej „melodie” na strunach swojej duszy.*

*Wszyscy wrażliwi „do potęgi” czują te połączenia poprzez siebie – jedność siebie z ŻYCIEM jako całością.*

Ewa Danuta Białek

## Owoce wojny

W okienku małego ekranu  
dokument walk I wojny

krw sptywa Mozela  
barwi winogrona

Verdun – klątwa wojny  
parady  
w pantomimie niemego filmu  
irytuję groteską

tamte dni  
kąpię się w zieleni  
złocąc słońcem  
cierpki owoc walk

*Bernkastel-Kues, 2.09.2014*

## Oczami Polaka

75. rocznica II wojny –  
gazeta Trierischer Volksfreund  
zanurza się w tragedii  
wyzwala refleksję  
w Polaka głowie  
układ  
Ribbentrop-Mołotow  
nie zaciska pętlę  
na państwie Polaków  
nie strzela im w plecy

wydaje się –  
garstka faszystów wywołuje wojnę  
i podbija Świat

a napadniętych i Niemców  
przeżycia?

kto wrzeszczał  
i podnosił rękę w geście wymownym  
naciskał cyngiel i bombardował  
bezbronność  
w rodzinnym Zaklikowie

*Sefferweich, 1.01.2014*

## Früchte des Krieges

Im Fensterchen eines Schirmleins  
des 1. Weltkrieges Dokumente

das Blut fließt in der Mosel  
und färbt Weintrauben

Verdun – Kriegsban  
Paraden  
in der Pantomime eines Stummfilms  
ärgern mit Groteske

jene Tage  
baden im Grüne  
vergoldend mit Sonne  
die säuerliche Frucht der Kämpfe

*Bernkastel-Kues, den 2.09.2014*

## Mit Augen eines Polen

Der 75. Jahrestag des 2. Weltkriegs –  
die Zeitung Trierischer Volksfreund  
versinkt im Drama  
erweckt Nachdenken  
im Köpf des Polen  
der Geheimvertrag  
Ribbentrop – Molotow  
drückt nicht die Schleife  
auf den Polenstaat zusammen  
schießt nicht in den Rücken

es scheint –  
eine Handvoll Faschisten erklärt den Krieg  
und erobert die Welt

der Angegriffenen und der Deutsche  
Erlebnisse?

wer schrie  
und hob die Hand in ausdrucksvoller Geste  
drückte den Abzug und bombardierte  
die Abwehrlosigkeit  
in heimischem Zaklikow

*Sefferweich, den 1.01.2014*

Wiersze z polsko-niemieckiego tomu *Wiatraki w Sefferweich / Windmühlen in Sefferweich*. Przekład: Józef Majta

## „Objęci czułym rozumieniem uczuć”

Romuald Bielenda pisze na ogół krótkie, zwięzłe wiersze liryczne. Nieomal esencjonalne. Dbą przy tym, by były one obrazowe i wymowne, co jest bardzo ważne i znaczące w przypadku ambitnej realizacji postulatów oszczędności słowa. Takim dobrym przykładem okazał się w jego wielotomowym dorobku np. zbiór *Tabu* z ubiegłego roku, w którym jakby odtajnia religijno-obyczajową tradycję społeczności żydowskiej, przywracając wrażliwie jej – nie dość dziś obecne w poezji i, szerzej, w naszej społecznej świadomości – kluczowe motywy obrazowo-pojęciowe. Symbolem przywołań jest światełko menory.

Niniejszy zbiór, z kolei, przekazuje dla konfrontacji współczesnemu czytelnikowi – doświadczającemu dzięki otwarciu granic więcej międzynarodowych kontaktów niż bywało dawniej – te obserwacje i refleksje, jakie nagromadziły się w wyobraźni i dociekliwych przemyśleniach poety z kilkakrotnych odwiedzin Niemiec i Luksemburga.

Autor po swojemu oprowadza nas po tych krajach, wyrażając kwintesencjonalnie w spontanicznych zapisach ciekawe spostrzeżenia nie tylko w odniesieniu do współczesności, ale też wracając do przeszłości, od której nie sposób uciec czy też wskutek natłoku wiedzy i widm pamięci się uwolnić. Poeta pochylony nad niemiecką gazetą (artykułem poświęconym 75. rocznicy II wojny) zapytuje retorycznie: „Kto wrzeszczał Sieg Hail!?! i podnosił rękę w geście wymownym/ naciskał cyngiel i bombardował/ bezbronność/ w rodzinnym [jego – SN] Zaklikowie”. Z kolei w wierszu *Luksemburg* czytamy:

tylko Mozela – niczym wierna busola  
znaczyła chmurnych dziejów  
zgubiony trop

Obecna w tym mieście na każdym kroku pamięć „niesie echa/ niezatapialnych wojen” (z wiersza *Mozelą pamięć*). Dziś wspomina filmem dni krwawych walk spod Verdun „kąpią się w zieleni/ złocąc słońcem/ cierpki owoc walk” (z wiersza *Owoce wojny*).

Tak więc poeta delikatnie nawiązuje do ostatnich wojen, skutkujących spustoszeniem nie tylko natury czysto fizycznej, ale i w sferze duchowej, rzutując także na psychikę samych Niemców. Są w tej mierze i „granice przeżyć”, o których jego teść, będący w Niemczech na przymusowych robotach w czasie

wojny, „nigdy nie chciał/ opowiadać”, wyrażając sens przemilczenia mową oczu (por. *Granice przeżyć*).

Zaznaczam wyżej o nawiązywaniu „delikatnym”, bo w reminiscencjach poety dominują wrażenia czułości, którym zdaje

się sprzyjać obecność spokojnych wiatraków. Ten spokój udziela się mieszkańcom. Josef kocha kurki i króliki, „rozmawia z nimi czule”. Innym *constans* pogodnego generalnie nastroju jest tchnąca z zabytków „potęga/ w architektonicznej obudowie/ wiary”.

Istotnym przesłaniem wierszy Romualda Bielendy jest przebijająca z nich jego osobista wiara w ludzi, pomimo wiadomych dotkliwych zaszłości w ich okrutnym postępowaniu, których historia nie potrafi tak rozliczyć, by móc w samym sobie zacząć wszystko inaczej bez wstrząsów pamięci.

może walec nasz za lekkie  
by wyrównać  
i zacząć od nowa?

– czytamy pod koniec wiersza *Dlaczego?*

Innym przesłaniem jest ciągłe utwierdzanie się w niezbywalnej, wartościującej człowieczeństwo potrzebie wzajemnego wspomagania się, jakie przecież objawiało się i występuje nadal choćby w stosunku-postawie Niemców do podyktowanej ekonomicznym przymusem emigracji zarobkowej Polaków. Dziś w Niemczech „praca/ stawiana jest/ ponad przyjemności/ a przyjemności po pracy” – puentuje wiersz pod koniec tomiku – rozbudzającego wyobraźnię i skłaniającego do refleksji.

Stanisław Nyczaj

Romuald Bielenda, *Wiatraki w Sefferweich / Windmühlen in Sefferweich*. Przekład: Józef Majta, Oficyna Wydawnicza „STON 2”, Kielce 2017, s. 92.



## Szachulec

Tę szopę dobrze zapamiętałem, a najbardziej pewnie zapamiętał ją Julek. Czternaście lat wtedy miałem, więc on pewnie jedenaście albo dwanaście. Do wsi przybył nowy wikary. Bardzo go lubiliśmy. Organizował mecze piłki nożnej, potrafił grać na organkach i miał zawsze fajne pomysły do zabawy. Jeden z jego projektów przewidywał budowę malutkiej szopy na „sprzęt” do zabawy. Ulubionym miejscem wygłupów był duży plac za księżym ogrodem. Tam rozgrywaliśmy różne wyścigi. W szopie mieliśmy zgromadzić fajerki do wyścigów, kamienie do wytyczania szlaków, pęki piór do zabaw w Indian, jakieś kije, strzały, łuki swojej roboty, kołatki... Corocznie wiosną odbywał się wielki konkurs dzieci posiadających umiejętność toczenia fajerek przed sobą. Były kategorie wiekowe i trzy rodzaje konkursu. Pierwszy polegał na biegnięciu po prostej aż do wypadnięcia koła z prowadzącego druta, drugi bieg przypominał slalom narciarski, a trzeci rzut fajerką. Zaangażowani byli w to rodzice. Ojcowie przygotowywali specjalne druty do popychania fajerek, a mamy piekły bułeczki na poczęstunek. Było z tej okazji kakao. Fajerkę każdy posiadał, czasami wykradziona była prosto z kuchni i taki umorusany złodziejasek natychmiast został złapany na przestępstwie. Toteż ksiądz chciał zgromadzić „sprzęt sportowy” w jednym miejscu, żeby jakaś mama nie goniła dziecka ze ścierką. „Zabawa na cztery fajerki” – była dla nas faktem, a nie przysłowiem.

– Chłopakii! Zbuduję szkielet takiej szopy z drewna, a wy tylko przyniesiecie kilka worków sieczi – zachęcał. – Gliny nakopimy w pobliskim bajorku, wody mamy w strumyku pod dostatkiem. Nie będzie już więcej ksiądz proboszcz na nas narzekał, że mu bałaganimy w obejściu.

Wszyscy byli tej budowli bardzo ciekawi. Co to za chata z gliny i sieczi? Wiesiek Grzędów przywiózł furmanką stare drzwi, a Maciek wyprosił na ojcu wykręcenie poszycia dachu ze słomy. Maciek przywiózł na plac budowy całą stertę gotowych „kiczek”. Jeszcze wtedy niektórzy ludzie zboże kosili kosą, więc taki dach był możliwy do zrobienia. Zbliżała się sobota i wszystkie chłopaki szykowały się do budowania. Śmieszny to był widok. Przez wieś szła swarliwa gromada podrostków ze starymi miednicami i wiadrami. W miednicach mieli urabiać glinę

z sieczką. Dołączyły też dziewczyny. Miały deptać glinę bosymi nogami. To dopiero będzie zabawa!

I była. Julek też przyszedł. Obok księdza czuł się dobrze. Zawsze dostał jakieś zadanie na swoje możliwości. Dziś też. Podtrzymywał konstrukcję drewnianą. W szkole był tylko pośmiewiskiem. Zaczęło się już w pierwszej klasie. Nie umiał zasznurować butów ani zapiąć guzików. Niezręczny w ruchach o wszystko zawadzał. Nie widział linijek. Pisał te swoje kulfony byle jak. On sam chyba jedynie wiedział, co napisał, bo nauczyciele nie. A może i nie wiedział, bo sprawdzić go było trudno. Brak mu było przyspieszenia. Na jego wypowiedź trzeba było czekać. A kto miał czekać na jego wypowiedź? Koledzy na pewno nie, nauczyciele nie mieli czasu. Lekcja jedna, a dzieci prawie trzydzieści. W domu tak samo. Ojcu pomagali dwaj sprawniejsi bracia. Matka też w kuchni wołała bardziej pracować z siostrą, niż z nim. Strach takiemu dać nóż do ręki. Wodę z miednicy zawsze wychlustał na podłogę, zawadził tymi dwiema lewymi nogami o krzesło albo o stół, ledwie się przewinął, a już czynił hałas potłuczony talerz albo kubek...

Zaczęliśmy się w drugiej klasie sprawdzać w sporcie. Tam Julek nie liczył się wcale. Wielki i niezborny wszędzie zawadzał. Do tego ta jego śmieszna fryzura. Jakby jenota na głowie nosił. Tu nie zdążył, tam się przewrócił... Może to przez tę fryzurę się przewracał, bo niewiele widział przez opadające na czoło kłaki. Niektórzy specjalnie podkładali mu nogę. Śmiechu było wtedy co niemiara. Rzadko kiedy nauczyciele wytropili winowajcę. Zresztą, on sam wiele razy zaplątał się w sznurówki swoich butów i wykładał się jak długi. Założenie i zasznurowanie trampków przerastało jego możliwości. Może by to zrobił, ale godziny potrzebował na przebranie się w strój sportowy, a tu trzeba wszystko zrobić w czasie przerwy. W żadnej dyscyplinie sportu nie mógł się pokazać. Za wolno biegał, za wolno reagował, za późno uskoczył, nie trafił... Zawsze na wuefie znalazła się sytuacja, aby Julka obryzgać kpinami. On rósł i niby mężniał, ale jakoś dziwnie. W trzeciej klasie był już najwyższy i najpotężniejszy, ale sztywny i kanciasty jak betonowy słup. Przeważnie stał albo siedział, bo jak się poruszył... Na niego zwała się też klasowe psoty. Na jego konto szły potłuczone doniczki z kwiatami, urwane zawiasy

drzwi, rozsnute brzożowe miotły, urwane klamki, przewrócone kosze ze śmieciami, złamane styliska grabi czy rydli, połamane ołówki, pokruszona kreda... On nie wybronił się nigdy. Łapał i łapał to powietrze i ciągle go miał za mało, żeby zacząć właściwe zdanie. Stara woźna brała go nie raz w obronę, ale to niewiele pomagało.

Pamiętam, jakby to było dziś sytuację, kiedy to nauczycielka zapytała nas o ulubione zajęcie. Każdy coś tam podawał, a kiedy przyszła kolej na Julka, ten wydukał:

– Ja najbardziej lubię patrzeć na psa.

– Bardzo ładnie, Julek. Rozwiń myśl, powiedz, co twój pies potrafi zrobić.

– On bardzo lubi robić dzieci. Lubię patrzeć, jak on robi dzieci.

Klasa gruchnęła śmiechem. Wszystkie chłopaki podpatrywały takie rzeczy, wszyscy mieli zbereżne skojarzenia, ale każdy już wyczuwał, co można na lekcji powiedzieć, a co nie. Julek nie wyczuwał. Mówił prawdę. Teraz rój docinków atakował go ze wszystkich stron. On taki pożądlony skulił się w sobie i nie bronił się. Zdenerwowana nauczycielka nie mogła opanować rechotu chłopaków i popiskiwania dziewcząt. Odbiła sobie na Julku.

– Ty jesteś nienormalny. Po prostu świntuch!  
– krzyczała.

Ksiądz go jednak lubił. Właśnie ksiądz miał do niego cierpliwość. Bronił go przed paplaniną dziewcząt, przewidywał jego wpadki i potrafił im zapobiegać. Wyraził się nawet do matki o nim bardzo ciepło:

– To dobry chłopiec, ale jego rozwój jest nieharmonijny. On bardzo dobrze liczy. On umie matematykę.

– Może i dobry, ale co z tego. Cóż z tego, że liczy, jak na niego liczyć nie można. Tak tylko ksiądz mówi. W szkole na ostatnim miejscu, w domu wyręki żadnej. Jak co napisze, to tylko płakać. Jak kura pazurem. Ani go gdzie postać, ani mu co dać do roboty. Dwie lewe nogi i marchwiane ręce... – biadoliła matka.

Prace przy budowie szopy nabierały tempa. Chłopaki zalepiali kolejne pola. Dziewczyny umazane gliną po same kolana gnioły nóżkami kolejne porcje budulca. Szczuplutka Iza o giętkim kręgosłupie ryby wyginała się na wszystkie strony. Chłopaki pryskali ją wodą po długich, patykowatych nogach, a ona mając stopy uwięzione w gęstej mazi nie mogła nawet uciec. Inne dziewczyny też poddane były pomysłom zachwaszczonej wrażliwości chłopców. Zośka z ananasowym czubem włosów na głowie paradowała dodatkowo jeszcze z wiechciem słomy przyczepionym na plecach. Wyczuła „ozdobę”.

Piszcząca i skarżyła się księdzu. Ziutka bez przerwy narzekała. Marszczyła to swoje owągrzone czoło i jazgotowała, że glina za ciężka, sieczka za ostra... Wielki zielono-umysłowy i ruchomy żywopłot był wszędzie, gdzie nie był potrzebny i narzekał. Wiesiu, najspokojniejszy chłopak nie wytrzymał i pacnął jej kulką glinianą prosto w buzię. A że miała prawie zawsze otwartą...

Prace trwały kilka dni. Na podeschniętej warstwie formowano następne. Dach pomógł zrobić ojciec Maćka. Julek pomagał, jak umiał. Pchał ciężkie taczki z gliną, podtrzymywał wiadra z zaprawą glinianą, podawał snopki ojcu Maćka.

– Wiecie, jak się nazywa taka drewniana konstrukcja, którą zrobiłem? – pytał się nas ksiądz, który to każdą sytuację wykorzystywał do nauczania nas nowego słowa.

Nikt nie wiedział. Ksiądz opowiedział o takim sposobie budowania domów i budynków gospodarskich. U niego we wsi jeszcze kilka takich budynków stoi. Okazało się, że dziadek księdza był stolarzem i nauczył wnuka składania takiego drewnianego rusztowania na ciapkę z gliny.

– To jak się nazywa taki drewniany szkieletor? – zapytałem.

– Szachulec.

Nazwa podobała się wszystkim. Wywołała docinki i śmiech. Ktoś tam krzyknął szachulec-krzywulec, bo faktycznie szopa była trochę krzywa, nie za bardzo trzymała pion. Ale ktoś inny skojarzył tę nazwę z Julkiem. Do dziś pamiętam kto.

– Julek-szachulek! – wykrzyczała cieniutkim głosem Kazia rozkwitająca jedynie młodzieńczym trądzikiem. Ta królowa prześmiewców znów wysunęła swój zmijowaty język. Julek stał obok tej szopy i faktycznie swoją posturą tę szopę przypominał.

Ogólny rechot rozbrykanej czeredy przypieczętował trafność skojarzenia. Jeden ze starszych chłopców, Tadek, nosiciel szpanerskiej rogatej czapki – dogadywał:

– Z niego prawdziwy szachulec. On w głowie ma sieczkę, a może i glinę ma, bo ciężki! Słyszałem, jak tak o nim mówił...

Ksiądz krzykiem musiał uspokoić naszą grupę, grupę dziecięcych sadystów. W tym względzie mieliśmy nieskończone pomysły i wyjątkową wytrzymałość. Pierwszy raz ksiądz krzyczał na nas. Mało krzyczał, walił jakimś drutem w blachę, żeby przebić się przez ten śmiech. Uspokoił się zaraz, pomny słów swoich wielkich nauczycieli. Uczono go, że krzyk jest oznaką niemożności radzenia sobie

z tematem. Tak głośił na ambonie, a sam? Tak, tu sobie nie poradził. Wyraźnie sobie nie poradził... Ale kto wie, jak sobie w takiej sytuacji radzić? Nie przerwać naśmiewania? Czekać, aż się dzieciom skończą pomysły na wyzywaniu się na słabszym? Dzieciarnia zamilkła, dalej niby wszystko było w porządku, ale po kilku dniach już każdy wiedział, że wszystkie dzieci wołają na Julka Julec-szachulec albo tylko Szachulec. Nikt już do niego nie mówił po imieniu.

Młody ksiądz czuł się winny. Matka Julka poskarżyła się proboszczowi. Na drugi rok wikary zburzył szopę. Nic to nie pomogło. Julek przestał przychodzić na zajęcia. W szkole było coraz gorzej. Powtarzał piątą klasę. Wikary nijak nie mógł odwrócić tego dnia. Po roku od tego zdarzenia zmarła matka Szachulca. Pamiętam, jak szedł za trumną. Wielki, niezdamy, w kurtce zapiętej na jeden guzik, choć wiał mocny, jesienny wiatr.

Po śmierci matki zajęła się nim ciotka z Francji, siostra matki, która wyjechała tam kiedyś za chlebem. Zlitowała się nad Szachulcem i zabrała go po pogrzebie ze sobą. Szachulec przysłał nam nawet jeden list i zdjęcie w samolocie. Szachulec leciał samolotem. Takie szczęście go spotkało. Myśmy tylko mogli oglądać samoloty na niebie, a Szachulec leciał.

Józek trawiony zazdrością, bo on zawsze marzył o lataniu, odbił sobie żartem: – Nie słyszał kto o wypadku? Przecież taki samolot musiał mieć przeciążenie, jak Szachulec usiadł.

Ale nikt się jakoś nie śmiał. Pani nam czytała list drugi raz i nawet dziwiła się, że ładnie napisał, ale zaraz zaprzeczyła tej pochwałę, dodając, że zapewne ciotka mu napisała, bo on sam tak by nie dał rady. Faktycznie, pewnie ciotka napisała. Jego jedno zdanie zajmowało przeważnie całą tablicę. Tak samo było w zeszytach. Nie widział linijek czy co innego... Każda litera innej wielkości, każda zniekształcona, każda poturbowana jak żołnierz po walce.

Miejscowość, w której teraz mieszkał nazywała się Arras. Zapamiętałem, bo akurat pan od historii mówił o Wawelu i o arrasach wspominał.

Nie odpowiedzieliśmy mu. Pamiętam, że mieliśmy nawet zadane na pracę domową napisanie listu do Szachulca, ale nie wszyscy się z tego wywiązali. Niektórzy tylko jedno albo dwa zdania sklecieli. Ja zacząłem czytać:

– W pierwszych słowach mojego listu zapytuję cię o to, czy już jadłeś żabę.

Pani przerwała mi po tym zdaniu. Doczepiła się do słowa "zapytuję cię", a potem odniosła się do tych żab. Mówiła, że nie wypada tak go pytać. Nikt potem nie chciał czytać. Prawie wszyscy pytali go o te żaby. Tyle tylko chyba wiedzieliśmy wtedy o Francji. O czym tu pisać do takiego Szachulca? Jeszcze Napoleon chodził nam po głowie, ale historię do listu wtrącać?

Po roku zapomnieliśmy o nim. Po siedmiu klasach rozeszły się drogi całej naszej klasy. Chłopaki szli do zawodówek, dziewczyny do szkół gastronomicznych, dwie poszły do liceum pedagogicznego, jedna do szkoły kolejowej, a kilkoro zostało na wsi.

W 1995 roku zaczęły się u nas w kraju dzieła nieprzyjemne sprawy. Zakłady zaczęły upadać. Szukaliśmy zarobku za granicą. Ja i taki drugi z naszej wsi wyładowaliśmy we Francji, właśnie w Arras. Miała być robota na budowie. Była, ale krótko. Pieniądze kończyły się. Braliśmy każdą fuchę. Nie znaliśmy języka. To bardzo utrudniało sprawę. Błąkaliśmy się po ulicach bezradni jak bezpańskie psy, ale i zdesperowani jak one. Ja wypatrzyłem jakąś pizzerię. Tam podkradałem resztki pizzy. Jeśli ktoś zostawił kawałek, dosiadałem się i zjadałem. Obsługa przeganiała mnie kilka razy, a raz podczas takiego „posiłku” zobaczyłem obok siebie wielkiego, szerokiego niby szafa mężczyznę. Pewnie ochrona – pomyślałem. Zaraz złapie mnie za kołnierz i wyrzuci. Koniec darmowego jedzenia. Skuliłem się i zbierałem do wyjścia. O dziwo, nikt mnie nie szarpał. Usłyszałem za to:

– To ty? Dobrze pamiętam? To ty, Wojtek?

Spojrzałem ku górze tej „szafy”. Coś wgniało mnie w ławkę. Nie byłem w stanie nic zrobić. Nie mogłem się ruszyć ani nic odpowiedzieć. Nade mną stał Szachulec. Spurpurowiałem. Byłem pewien, że to on.

– Tak, to ja...

Nie byłem zdolny nic więcej powiedzieć. Nie trafiłem żadnym zdaniem spłycić swojej nędzy i beznadziei. Byłem bardzo głodny. Usiadł obok mnie. Z trudem nakreślałem mu swoją sytuację. Słuchał. Pytania stawiał krótkie i rzeczowe. W międzyczasie dwóch kelnerów o coś go pytało. Zauważyłem, że pracownicy zwracają się do niego jak do szefa. Czyżby nim był?

Zaproszenie na kolację było dla mnie prawdziwym cudem. Kolacja w jego domu przyprawiła mnie o zawrót głowy. Dom duży i zadbane. Urodziwa żona i rezolutny synek. Żona niewiele umiała po polsku, za to synek rozumiał wszystko. Okazało

się, że Szachulec jest właścicielem trzech pizzerii. Teraz będzie otwierał czwartą. Słuchałem i... nie wierzyłem. Słuchałem i... zazdrościłem. Jadłem niewiele, bo było mi głupio. Oni nałożyli sobie po dwa plasterki sera i jakieś warzywa. Męka. Tyle jedzenia, ja wygłodzony, a jakieś śladowe resztki honoru wymogły na mnie powściągliwość.

Nie wypadało zapytać, jak wydobyto z niego człowieka. Mówił po francusku, radził sobie jako szef. Szachulec szefem! Ironia losu. Przecież u nas uchodził za półgłówka. Taki Szachulec podejmuje mnie u siebie w domu wystawną kolacją. Palił mnie wstyd. Przypomniało mi się wiele moich szczeniackich wygłupów. Czy on to pamięta? Też pytanie. Jeśli ja pamiętam, to on tym bardziej. Pewnie teraz mnie wyśmiej. Pokazał mi swój dom, swoje ustabi-

lizowane życie, nakarmił... Tylko patrzeć, jak teraz zakpi ze mnie i wyrzuci z domu.

A jednak pomógł mi. Zatrudnił przy remoncie lokalu, udostępnił za darmo pokój na miesiąc. Potem skontaktował mnie z kierownikiem budowy dużego obiektu. Pomógł również mojemu koledze. Pomimo że był dla mnie bardzo opiekuńczy, chciałem jak najszybciej przestać korzystać z jego dobroci. Byłem u niego później kilka razy. Nigdy nie wspominaliśmy szkolnych czasów. Wyglądało na to, że mi przebaczył, ale nie zapomniał.

Nie nauczył się jednak sznurować butów. Pojechałem. Wszystkie buty miał na rzepy. Nawet kurtka miała takie zapięcie.

Anna Błachucka

## Żywoтник małogoski Anny Błachuckiej

Rozmowa Ireny Paździerz z Autorką

**Irena Paździerz** – Jak wiesz, jestem z zawodu ekonomistką, więc od liczb zaczniemy. Ile napisałaś sonetów?

**Anna Błachucka** – Nie wiem, trzeba policzyć. Tych ułożonych w zbiorki jest ponad 250.

**I.P.** – Zaczęto się od podróży do Jałty?

**A.B.** – Rzeczywiście. Ty też doświadczyłaś wyjątkowości tego wyjazdu. Wspomniały plener literacki zorganizowany przez Stasia Nyczaja w 2008 roku. Rozpisało się potem towarzystwo. Ja wydałam pierwszy zbiór sonetów *Niepodzielne jak łaża*. To była składanka tematyczna, kilka rozdziałów, w sumie blisko 100 wierszy.

**I.P.** – Ale było ciekawe również to, co napisałaś potem.

**A.B.** – Dwa następne zbiorki są rozmową z malarstwem. Zafascynowana obrazami Tomasza Olbińskiego wydałam zbiorek zatytułowany *Listy do wyobraźni*. Poruszona do głębi środkami artystycznymi i wymową obrazów Jerzego Świątkowskiego zestawiałam swoje refleksje w zbiorku *Piać do podświadomości*. I teraz *Żywoтник małogoski* przyjął dużą ilość tekstów. Z pomocą sonetów dotykałam tajemniczego świata malarstwa i fotografii. W tym zamyśle wspierała mnie szczególnie Zosia Korzeńska. Bo tak łatwo się nie napisały. Były chwile zwątpienia. Kilka lat wpatrywania się i przybliżania do tajemniczego obrazu czy fotografii. A „luzaków” pewnie będzie około 50. Razem ponad 300.

**I.P.** – Dlaczego sonety?

**A.B.** – Bo rytm i rym. Tym sposobem szukam, błędzę i staram się dojść do związków między słowami. Rym dla mnie jest zjawiskiem zaskakującym. Nad podziw ciekawie i sprytnie przyciągają się wzajemnie wyrazy, obopólnie się wzmacniają bądź uzupełniają, czy wręcz dopełniają myśl. Są takie możliwości w krainie poezji, aby zorganizowaniem prawie matematycznym wypowiedzieć się, wędrować w świat myśli ludzkiej, choć język sonetu skrótowny. Ha, ha, ha... Nikt nigdy mi nie powiedział, abym tekst skróciła. Sonet to silna konstrukcja.

**I.P.** – Prawie wyczułaś moje pytanie. Nie za ciasno ci w tym „gorsecie”?

**A.B.** – I tak, i nie. Toteż sięgam po inne formy wyrażenia tematu. Eksperymentuję też z samym sonetem. Mam piękne kontakty z poetami realizującymi się poprzez tę formę. Sonet może być pytaniem, zaprzeczeniem, rozterką, zachwytem, negacją...

**I.P.** – A jak widzisz wiersz biały?

**A.B.** – Dobrze widzę i sama takie piszę. Toteż niepokoją mnie głosy, że wszystko, co zrymowane jest staroświeckie albo nic niewarte. Materią wiersza jest słowo i tylko od wrażliwości, możliwości, wiedzy i zaangażowania zależy takie zorganizowanie wiersza, aby poruszał pięknem, zachwycał prawdą, promieniował przekazem. Wiem, że łatwiej wiedzieć, niż napisać, toteż mam świadomość, że moje 300 tekstów ma różną wartość. Może kiedyś pokuszę się o wybór. Mam też kogo poprosić o pomoc. O moich sonetach wypowiadali się: L. Abraham-Zubińska,



P. Chmielewski, S. Chyczyński, S. Jurkowski, Z. Korzeńska, R. Koziej, A. Nogaj, W. Szproch, Z. Szwaja, B. Wtorkiewicz, S. Żak.

Anna Błachucka

**I.P.** – Czekam na taki wybór, choć tematyka powodowała, że gromadziłaś je już wcześniej według jakiegoś klucza. To nie będzie łatwe.

**A.B.** – Zobaczymy. Przyjrę się jeszcze raz swoim tekstom. A może znajdę klucz do zebrania i wydania tych, które nie pasowały do wcześniejszych zamysłów? Może moje „luzaki” znajdą wspólny mianownik?

**I.P.** – 300 sonetów... Czy znasz rekordzistę w tym gatunku?

**A.B.** – Nigdy tak nawet nie myślałam. Nie znam rekordzisty i nigdy nie pisałam po to, aby ustanowić jakiś rekord. Były tematy, które w moim rozumieniu można było odjąć, przybliżyć, zauważyć sonetem, to zagarniałam skojarzenia w tekst i zaznaczałam swoje zdanie. Rymy ustawały się same, jak harcerze na zbiórce. I tak zebrała się taka gromadka tekstów.

**I.P.** – Były jakieś szczególnie miłe momenty na sonetowej drodze?

**A.B.** – Były. Choćby głosy krytyczne, pisane spontanicznie przez krytyków i literaturoznawców, analizujące całe zbiorki i poszczególne sonety, a także żywa reakcja publiczności, dyskusje. Ciepłutko poruszyły mnie słowa licealistki, która powiedziała, że czeka na to, aby sonety te znalazły się w spisie lektur szkolnych.

**I.P.** – A przykre były?

**A.B.** – Oczywiście, że były. Tych chyba nawet więcej, nie chyba, ale na pewno więcej. Co raz słyszałam, że dziś już się tak nie pisze, że rymy, że zwrotki, że staroświeckie itd. Jeden z wydawców podkreślał, że widzi, iż mam coś do powiedzenia, ale ta forma...

**I.P.** – Jak reagowałaś?

**A.B.** – Przekornie. I moje sonety mi w tym pomagały. Zapraszały mnie z powrotem na swoje pola.

**I.P.** – I niech tak czynią dalej. Najlepsze życzenia dla ciebie, Aniu, i jeszcze życzę sonetom miejsca na półkach księgarń i bibliotek.

**A.B.** – Dziękuję. Czas pokaże, Irenko. Nie będzie to łatwe, ale jeśli się zdarzy, będzie miło.

**I.P.** – Dziękuję za rozmowę.

## Jak o tych czasach opowiedzieć?

Kto i jak ma prawo opowiedzieć o Polsce w czasach transformacji ustrojowej? Uważam, że każdy, kto żył w tym okresie, komu daty i wydarzenia wyryły w pamięci ślad, jedyny i niepowtarzalny zapis tamtych dni.

Włodzimierz Kłaczyński w książce zatytułowanej *Wnuczek* wydanej w 2017 roku przez wydawnictwo PROFI-MED w Mielcu, decyduje się przedstawić nam specyficzne zestawienie zdarzeń, faktów z tych lat, podanych przez leciwą staruszkę, babkę Dzwoniatkową, ze wsi Łążek położonej gdzieś tam w południowo-wschodniej Polsce. Ten głos to nie dzwon, nawet nie sygnaturka, ale dzwoneczek, pojedynczy, acz na takich tonach, że kto książkę przeczyta, to dzwonięcie w sobie odczuje i o spokój wewnętrzny będzie mu trudno. Będzie reanimował swoje przeżycia, będzie sobie wyrzucał, zarzucał, będzie szukał usprawiedliwienia dla siebie i bliskich, będzie się zastanawiał, co powinien wtedy zrobić, a na co się zdecydował „dla świętego spokoju”, a co przyjął jako słabszy, jako ten niżej stojący w hierarchii społecznej.

To bardzo mądre i ciekawe wspomnienie jest monodramem pisany językiem gwarowym podgórza z okolic Dynowa. Jednak nie jest to li tylko fascynacja gwarą, jej zaśpiewem, humorem, specyficzną składnią zdania, swobodą słowotwórczą, emocjami i tym wszystkim, co nas teraz dopiero w gwarze urzeka. To wszystko jest jakby na deser. Przesmaczny humor i zadziwiająco trafne słowa, które babka Dzwoniatkowa ma na każdą okoliczność i niezręczną sytuację, świadczą o bogactwie języka, o jego akuratności do sytuacji. Pół strony by trzeba napisać, aby rozwinąć sens choćby takiego słowa jak „nieźrało”.

Zasadniczy cel tej książki autor odkrywa w postawie.

„Pisarz nie może być tabula rasa i przeżycia, jakie były jego udziałem, wywierają na nim (przynajmniej na mnie) niezatarte piętno”.

Wnuczek pani Dzwoniatkowej – Sylwek, „sodomski rezykant”, szuka w tych czasach miejsca dla siebie. A spryt do tego ma nie byle jaki, sam o sobie mówi, że „życie chce przeskoczyć”. Zaczyna od ORMÓ, potem zostaje łowczym wojewódzkim, a następnie...

Cała gama zawodów, stanowisk, by wreszcie „...z takim jednym do Mongolei jechać”.

Będzie tam pracował jako „zastympeca ambasadora Mongoleji do spraw finansowych”.

Jego drogę do tak wielkiego stanowiska państwowego opowiada babka Dzwoniatkowa, która znajdzie usprawiedliwienie dla każdego niecnego kroku wnuczka.

A drań to wyjątkowy. Przechodzimy w tych opowieściach kawał czasu, od Gomułki, Gierka, Jaruzelskiego, przez czas Wałęsy, rząd Buzka, Millera... A babka się myli, niedostyszy, nie dopowie, nie wymówi, zapomni co zechce. Nic tylko słuchać, przepraszam, czytać.

Bezgraniczna i ślepa miłość babki do wnuczka emanuje wprost wielkim przebaczeniem. A grzechy, które popełnia wnuczek, są wielkiego kalibru, wszystkie przeciw ludziom, obyczajowi i wierze, w której się wychował: kradnie, kłamie, donosi, niszczy, marnotrawi, przekupuje, nie szanuje...

„Pukownik” Stasiu, mistrz ustawiania się w życiu, niczym kameleon przechodzi przez ten czas do „godnej” emerytury, na której to jeszcze „dużo może”.

To książka wielowątkowa. Tacy Derenie, którzy zawsze wiedzą, komu „podpłacić” trzeba, żeby coś dla siebie załatwić albo niewygodnego ze stanowiska strącić.

A Barański, symbol totalnej bezmyślności, który przyjmuje na swoją działkę z Niemiec beczki z jakimś „świństwem”, od którego tryk zdechł, a ptaszki i rybki truły się śmiertelnie. Kłopotu z tym było na cały kraj. Nic to Barańskiego nie nauczyło. Niedługo potem za przyzwoleniem ustawy wyciął swój las w pień.

A ksiądz Jarosław? Jakie czasy, taki i ksiądz. Duchowny, choć nazwa brzmi nieziemsko, cudownie z nieba nie zstąpił. Jego fałszowanie zasad wiary i zwykłej ludzkiej poczciwości szczególnie drażni i boli. Władza i pieniądze to niebezpieczna mieszanka dla każdego. Historia zaginionego obrazu jest tak wymowna, że nic, tylko słuchać, co w tym temacie ma do powiedzenia taka kobiecina, jak babka Dzwoniatkowa.

Jest to książka o głupocie ludzkiej, o niewiedzy, o wielkiej krótkowzroczności i świadomości narodowej. Wyraźny brak elit politycznych powoduje, że druga władza, która formuje się po upadku PRL, ma tak wiele wspólnego z poprzednią, iż tylko nazwiska się przetasowały, a zasady dojścia do władzy i sposób jej sprawowania był nadal przeciw ludziom i przeciw Polsce.

*Anna Błachucka*

## Jeździłto uciekających domów

(Fragment powieści)

Cofam się ze starego sadu z ostalnikami starych jabłoni do obejścia. Ogarniam wzrokiem otoczenie i przez otwarte drzwi garażu widzę stary rower z małymi kółkami. No tak, cóż mi pozostało, pod połamaną śliwką wpadłem w zamęt wewnętrzny, z którego tylko za pomocą kółek i pedałów mogę się wynieść. Po deszczu płynęła tu nieraz woda, prywatna rzeczka. Tylko tu zapamiętałem dziadka Pawła, bo na naszym polu wymówił sobie morgę ziemi jako dożywocie, nieraz zwane wycugiem. Stryj końmi orał albo siał, albo bronował, a spacerował z rękami założonymi do tyłu powoli, szczipły, całkiem siwy, nigdy nic nie robił, tylko patrzył taki osobny, daleki, jakby skądinąd. Nie rozmawiał z nami, nie pamiętam, żeby siedział na jego kolanach, żeby mnie pogłaskał po słomianej czuprynce. Już dorostemu siostra mi wyjaśniła, że miał lekkie wylewy, że lekko utykał na prawą nogę, a może miał wadę wymowy. Nikt wtedy o zdrowiu nie rozmawiał, a broń Boże, żeby się skarżył. Ale! Nigdy. Po minie rozpoznawano, że się słabo czuje i zostawiano go w spokoju. Przy bólach zębów to całą noc siedział na stołeczku, kiwał się i czekał, jak mu próchniały. Ale dziadek był jakiś taki ważny, ani słowa nikt mu nie przygadał.

Może dopowiem, że zmarł dla nas dzieci zupełnie niespodziewanie i nie w porę. Akurat gdy front do nas przyszedł, gdy kupa żołnierstwa, podobno z samej dywizji Goeringa zwała, różnych betów nazwozili, druty telefonów na drzewach rozwiesili, wrzeszczeli na siebie jak jasna, o przepraszam, i byliśmy odcięci od kościoła, od cmentarza, bo tam to już były artyleria, okopy, do wszystkich strzelali. My mieliśmy nakaz za tydzień wynieść się do diabła, najpierw pod puszcę, potem za puszcę, ale najpierw pozabijali krowy, świnię, kury, do kuchni polowej wielgachnej jak fura siana spędzili kobiety może z dziesięciu domów, żeby im obierały całe wory kartofli, nasypali tam grochu, do tego mięsowa, pół dnia to gotowali, potem nam dzieciakom chochlę tej grochówki dali i myśmy wtedy krótkie na pacierz chwile zasmakowali, bo nic pysniejszego się w życiu nie próbowało. Ale dla dorosłych to był gwóźdź w czaszkę. Wynieść się. No. Z wielkiego domu, z wielkiej obory, z wielkiej stodoły, z pola na którym zebrane było tylko zboże, ale w sierpniu,

wrześniu wszystko inne do zbioru, do wykopków, do ścinania. Jeszcześmy chyłkiem po to i owo wracali z drogi, to do nas strzelali. Te pociski nie wybuchały, ale nieraz odbijały się jak piłki i przerażały ludzi jak jadowne węże.

No i właśnie w dni takiej wojennej przypadłości wziął dziadek Paweł umarł. Coś podobnego. Jak nam mógł to zrobić. I to bez ceregieli. Położył się raz i drugi. Za trzecim razem coś powiedział o pożegnaniu i za chwilę nie żył. Żadnych jęków, skarg, wzywania pomocy. Tak zwyczajnie jak żył. Może wiedział o kłopotach, ale cóż mógł poradzić. Trzech synów, czyli stryjowie i ojciec się naradzili, a głowy mieli nie od parady, bo jeden już po prawie, drugi to gdzieś w sztabie partyzantów, ojciec też miał mir na całą okolicę. Popołudniem w stodole zebrał się do zbijania trumny, a nie mieli z czego. Ściągnęli z buntu, gdzie się siano układa, podkłady, ociosali i nieheblowane zaczęli przycinać i zbijać jak skrzynię. My pomagaliśmy wyszukiwać gwoździe, gdzie tylko sterczały w starych dylach i płotach, a robiliśmy to zręcznie, bo były takie drażki metalowe, siekiery nacinane, obcęgi duże i małe. Prostowali je na kamieniach, że się nawet świeciły. O północy wyszła skrzynia, wysłana sianem i wyłożona kilimem barwnym, wełnianym, zwanym dywanem, wyglądała ładnie i dziadek spoczął bardzo dostojnie, bardzo dumnie i podobny był do świętego Józefa na obrazie, tyle że bez brody, u nas się nie lubiło brody, wręcz jej brzydziło. Najstarszy stryj go starannie nawet mydłem i brzytwą ogolił. Następną radą, już z kobietami, co dalej. I stanęło, że się go pochowa pod gruszką, nie pod tą wielką, bo tam ogromne jak kamień korzenie, ale pod małą, żeby wiadomo po wojnie, gdzie ten polny grób. Wspomnę od razu o tym drugim pochówku, żeby młodych ludzi pocieszyć, że to nic straszego.

Odbył się już wczesną wiosną, kiedy gleba rozmarzła. Bo wróciliśmy w trzaskający lutowy mróz, jako pierwsi, bo ojciec wynalazł konia i jakiś furgon, sprzęt to i przez las, kopny śnieg byliśmy w domu. No może za dużo powiedziane, domy stały, ale wyszabrowane z okien, drzwi, nieraz sufitów, płyt kuchennych. Niemcy wkopali się w ziemię. Wykopali sobie bunkry, wyłożyli je balami, deskami i koczowali. Na szczęście w naszej piwnicy, przerobionej na bunkier, to może mieszkał oficer, bo elegancko były wykończone dwa pokoje, był metalowy cygan, prycza, można było mieszkać. Wszędzie rozkopane, na naszym pastwisku, to sobie wypalali węgiel drzewny, żeby im w okopach potem nie

dymił. Dosłownie stosy, kupy, zwaliska granatów, tych jajkowych i pałkowych, dużych i małych pięści przeciwpancernych, min czołgowych i piechotnych, pocisków moździerzowych. Dla nas dzieciarni było trochę raj na ziemi, szybko nauczyliśmy się wykręcać sprzężynki, dobierać się do prochu, do trotylu, który się palił jak słońce, starsi zdobyli karabiny, którym dla łatwego przechowania upitowali lufy, mieli pistolety, raketnice. Nauczyli się wysadzać miny, do tego potrzebna była spłonka i te małe rurczki z błyskiem w środku były w największej cenie. Potem nam powiedziano, że gdzieś leżały trupy, bo w taki mróz nie można było ich pochować. Zakopano ich w sosnowym zagajniku przy dukcie i potem baliśmy się po nocy. A tam nad Radomką, gdzie była większa bitwa, to opowiadali nam świadkowie, że konie ciągnęły długą linę, na niej były pętłe, te pętłe zakładano na nogi zabitych i kiedy już zaczepy się wypełniły, wlekli ich do wykopów na skraju puszczy. Teraz tam jest mogiła obwiedziona płotkiem metalowym i Niemcy dbają o nich, płacą za sprzętanie, oczyszczanie napisu i krzyża. U nas też nie obyło się bez ofiar, choć nas pędzili i tłukli po łbie, to dwóch kuzynów zginęło, jeden od miny, jeden od granatów. Bandziorów pod lasem się namnożyło, każdy miał broń, napadali, pod ścianą stawiali, gdzie macie pieniądze albo wartościowe przedmioty, zawziętość wielką się rodziła, znęcali się, donosili, wszystko mięso mi od kości odbili.

Przyszła wiosna, synowie się naradzili i dzień pogrzebu na cmentarzu wyznaczili. Trzeba było najpierw mogiłę pod młodą gruszką rozkopać. I rozkopali. Wydobyli skrzynię z nieheblowanych desek i wedle niepisanego prawa zaczęli wieko podważać. I pamiętam swoje przerażenie, ale wy nie bójcie się. Zdawało się, że zajrzę do piekła, e tam, do czegoś stokroć straszniejszego, bo piekło na obrazkach to pełne życia, ognie, diabły, gesty, miny. A tu coś spod piekła, coś spod wyobrażeń, spod bajek o Babie Jadze, co piekła dzieci w piecu, żeby je schrupać z lubością. Zamknąć oczy. Nie zamykać, bo to muszę zobaczyć. Ale nie wytrzymam, zapadnę się pod ziemię. Tu się ma spotkać ta zmarła koleżanka ze szkoły, tak piękna w białej trumience i welonach, blada, ale zbawiona, i ten święty z bocznego ołtarza, obdzierany żywcem ze skóry, ociekający krwią, ten Chrystus z wielkanocnego grobu, taki słodki i dobry, ale szybko ożywiony, bo co dalej, i te oczy padłego konia w odrąbanej głowie. Deski zaskrzypiały, gwoździe pisnęły i dziadek leżał przed nami taki sam. No nie, był teraz bardzo, bardzo daleko,

ale wszystko było na swoim miejscu, ubiór i twarz, i ręce. No nie, była jedna różnica, ale łagodna. Na zamkniętych powiekach mierzwiły się dwie kępki pleśni jasnej, delikatnej, przyjaznej. Nie wydawało się teraz, żeby jak w czas frontu i wypędzenia chciał sprawić jakiegokolwiek kłopoty.

Tam obok mamy będzie mu lepiej. No zapewne, jeśli wyszła za niego podobno najzamożniejsza i najładniejsza panna, a on był znad bagienka, niebiedny i niemający. Coś tam było, dopiero później się domyśliłem co.

Wracam do śliwki przy drodze. Zobaczyłem ją rozdartą na połowę, jedna część zeschła, wsparta się na ziemi, druga owocowała, i było to żałosne. To ją sadziłem, bo pasjami sadziłem drzewa owocowe, teraz nie mogłem na to patrzeć, i pierwsza myśl powstała – idę po siekierę, rozrąbię, odciągnę, porąbię do spalenia, pień wygładzę. Ale po dwóch krokach przypomniałem sobie, jak za życia mamy zacząłem zbierać obcięte zeschłe gałęzie, a mama zareagowała dość gwałtownie: zostaw, nie ruszaj tego. Nie dodała, to nie twoje, bo to wszystko już z zapisu nie moje i jeśli coś robię bez uzgodnienia, to jakbym się wtrącał. Rzeczywiście, czasem nam się wydaje, że pomagamy, że wychowujemy, że ulepszamy, że bronimy, a tu się okazuje, że zwyczajnie to nie nasza sprawa. Tu w korytarzowcu naszym w środku stolicy jakaś dziewczynka wybiega z mieszkania, wrzeszczy jak opętana. Żona wychodzi, co ci jest, dziecko, czy możemy pomóc, a ta smarkata jak nie wrzaśnie, ty stara głupia babo, czemu się wtrącasz w nie swoje sprawy. Cofnąłem się od tej śliwki, bo to by była taka przymówka, nie umiecie, nie chce się wam posprzątać, dopiero ja wam pokażę co i jak. Ale spostrzegłem, że co krok będzie tu taka przymówka przy kamieniu i dzikiej jabłonce.

Cofnąłem się w obejście i wypatrzyłem jeździ-dełko, takie z małymi kółkami, może zapomniane, bo obok stoi samochód, traktor, motocykl.

Brudne, ale ja mam sposób, bo tłusta szmatka szybko przywraca mu błysk i kolory. Jak stanąłem na pedale, przypomniałem sobie, że jak jeździłem tu po spadku ścieżki ku zachodowi, to domy szły w przeciwną stronę. Do tego każdy był sobą tylko.

Skręciłem na zachód, ku dolince, a to, co to. Wielkie na parę pięter, dach stromy, wysokachny, jak góralski, ale nie jak w chatach podhalańskich, ale jak w domach wypoczynkowych, w kaplicach. Tu bokiem do ulicy stała wielgachna chata słomą kryta, z solidnych bali zbudowana, szpary gliną wytkane, wapnem farbkowanym pobielone. Mieszkały

dwie rodziny, dwóch braci ożeniło się z dwiema siostrami. Starszy to był w komendzie partyzantów, z małą maturą. W wojnę raz w tygodniu w pędzie zajeżdżał trzykołowy motocykl, żeby go schwycić, bo się ukrywał. Jak pojawiał się w domu, to czatowali domownicy, żeby nie dać się zaskoczyć. Żartów nie było, bo jak innych złapali, to po dwóch miesiącach z Oświęcimią przystali prochy i wyjaśnienie, że na anginę zachorowali. Raz w nocy usłyszał warkot, to przez okno w koszuli skoczył i w krzaku tarniny się schował doraźnie, a potem do lasu, gdzie przy wjeździe, na nowej szosie była tablica: ACHTUNG BANDITEN.

Ten drugi brat to miał mało ziemi, ale strasznie dużą rodzinę. Żeśmy się gubili, może dziewięć, może jedenaście dzieci. Któreś z tych dzieci wyrzuciło pod chmury to domisko z balkonami, tarasami. Bo dobrze im się działa, kiedy ojciec dostał pracę woźnego szkolnego, w nowym budynku z salami, pracownikami, toaletami, basenem. Miał tam dodatki, deputaty, kolonie, obozy. Okropna zazdrość nas gryzła wobec wujenki, bo mówiło się jeszcze stryjna, wujna, chrzestna, bo u nich żniwa były jeden dzień, a u nas kilometry do obrobienia, zwierząt nie mieli, tylko jakieś zabawki, króliki, gołębie, kury i było tak, że wchodził ojciec czy ktoś i mówił: a do Jadwigi to bocian przyleciał i dziecko przyniósł w nocy.

Ale nie myślcie, że to jakieś stado bachorów umorusanych. Wszystkie były przystojne jak z obrazka. Panny jak malowane. Kawalerka, to tylko na ekranie pokazywać. Chodziły do szkoły w białych kołnierzykach. Tam też najładniejsze były choinki, najsmuklejsze palmy i najbogatsze wianki na Zielną.

Przedostatni syn Janek, inżynier od budowy, to miał rozgłos za granicą, bo zdobył go jak projektował, przerabiał, doskonalił strojne domy. A matka Jadwiga miała jakieś przekazy z zaświatów, w snach, w przeczuciach dziwne rzeczy się jej objawiały. Kiedyś mijałem ją, przywitałem, zapytałem o najśliczniejszą Anusię. Jużeśmy się rozchodzili, a ona spojrzała na mnie tak jakoś inaczej, jakby biało, i mówi: a tata wasz do mnie przyszedł w nocy. A ja go lubiłam i bardzo się ucieszyłam, bo pomyślałam sobie, że on mi na pewno powie, co jest na tamtym świecie. Od razu go wyraźnie zobaczyłam w całości. A to dobrze, żeście przyszli, Janie. Czemu, Jadziu. Powiecie dokładnie prawdę, co tam jest dalej, coście widzieli. A on się zasępił, jakby nie chciał odpowiedzieć, ale wreszcie przemówił: Jańdziu, bo tak mnie wołali, nic tam nie ma, jeno mgła i mgła. I tak zawsze to samo, i w ty mgle trza błędzić. Zaczął się rozptywać,

ale jeszcze powtórzył: mgła i mgła. A to się odbiło echem dokoła i z góry, i ze wszystkich stron.

Z tego wielkiego domu pochodziła podobno moja druga babka. Pod ogromnym orzechem włoskim przy wejściu przesiadywał w późnym wieku jej ojciec, co narobił niezłego bigosu, co tu określano jako „zerwał się z uwięzi” albo „zestrochał się”, a złośliwcy – „pogził się”. Dostał bzika na punkcie SPOŁEM. Nic się nie liczyło, tylko ta jakaś sekta, jakaś ewangelia. Przy pracy, przy zabawie, przy procesji, przy szkole, przy rodzinnych fetach. Nie dał spokoju tym rozmowniejszym, aż w końcu się dokończyło, czyli się zaczęło tym, że w pięciu zakupili sobie kieraty, czyli konny napęd na dwa, trzy, nawet cztery konie i wspólny siewnik i młocarnię, jeszcze prostą, czyli „targaną”. Oj się działo. Nie z płachty zamachem, ale rurkami, redlinkami, rządzkami można nastawić rzadziej i gęściej. Konie sprzęgają, bo każdy ma po jednym, jeden prowadzi ze lejce, jeden kieruje przednimi kółkami za pomocą długiej prowadnicy. W jeden dzień objadą całe pole. Baby podglądają zza węgła, zza płota. Dzieciaki jak się urwą od krów, owiec, gęsi, biegają, a potem opowiadają. Cały worek do wielgachnej skrzyni, tryby wciągają ziarno, wysypuje się do kręconych rurek, zagrzebuje się w ziemi, z tyłu koliska wielkie, a z przodu małe na szerokich obręczach, a kierować łatwo, dali mi potrzymać, oj mamu, żebyś ty to zobaczyła.

Z młocarnią, co wielkim warczącym bębniem wewnątrz ziarno wytrzepuje, to się porobiły całe uroczyska. Tryby z coraz większych na mniejsze się przekładają, aż drąg metalowy się kręci jak zwariowany. Przecież tak też wyciągali z ziemi naftę. Cztery konie ciągną wielgachną belkę, znów dzieciaki się przepychają, żeby te konie poganiać. A w stodole na podeście stoi ten najważniejszy, co dostaje snopki i promieniami, dużymi garściami tę słomę wrzuca do warczącej jak smok czeluści. Tam chrzęst i łomot, i wypada słoma zmierzwiona, a na klepisko sypie się ziarno. Zaraz, ale tam musi działać taśma. Na wysokości czwartego piętra, pod buntem, ktoś te snopki wyrzywa z rzędu. No kóżby tam wlaź i nie spadł, jak nie chłopaki, takim w to graj, jak koty wdrapią się po słupku, po słomie, od nich ktoś przejmuje piętro niżej i spuszcza dokładnie pod nogi temu z pierwszego piętra. Ten rozwiązuje i kładzie dokładnie na prowadnicy. Potem wyrzuconą słomę trzeba odebrać, odgarnąć, stąd ktoś ją przenosi ku układanej stercie.

*Jan Zdzisław Brudnicki*

## Ja i morze

Plaża zbyt jeszcze poranna  
 że prawie pusta  
 jesteście tu sami  
 ja i morze  
 tak dziś do siebie podobni  
 pełni gniewu i buntu  
 zamętu i szumu  
 patrzymy na siebie  
 przenikamy się niecierpliwie  
 czując że możemy sobie pomóc  
 morze jeszcze się waha  
 czy nie wystąpić ku mnie z brzegów  
 i objąć całą  
 stoję bezbronna ufna  
 gotowa przyjąć  
 ten wezbrany przyptyw

*Kuźnica Helska, 2017*

## Jeśli nie znajdę sposobu

Czekam na twoje słowo  
 jak skazaniec na łaskę  
 przeklinam miłość  
 co uwięziła mnie w klatce

czy świat jest jeszcze dla mnie  
 i czy ja jestem jeszcze dla świata

\*

Raz już wybudziłeś mnie z letargu  
 rozum ocknął się pierwszy  
 i momentalnie otrzeźwiał

ciało błogo zniewolone  
 wlokło się leniwie  
 ciągnąc za sobą  
 nieskrywany żal

tak łatwo oddzieliłeś duszę od ciała  
 a przecież miały być jednością

\*

Grzęzną w nadmorskim piasku  
jak w tej miłości nieutulonej  
obłoki pławią się w morzu  
i coraz to bliżej podpływają

czy wyrzucą mi na brzeg  
zbawienną muszlę  
ukojenia

\*

Nie chcę uciekać się do Czasu  
i wierzyć że zaleczy ranę  
jeśli już nie znajdę sposobu  
niech ta miłość we mnie pozostanie

będę ją hołubić a nawet rozpieszczać  
aż stanie się tak kapryśna  
że sama odejdzie

### Spowiedź liryczna

Z popełnionych wierszy  
spowiadam się sobie samej  
jak z grzechów

nie wiem  
które są lekkie które ciężkie  
ale wszystkie mogą być śmiertelne

czy umrą wraz ze mną  
i dołączą do tych  
co tak łatwo i bez echa

przemienęły

### Klaustrofobicznie

Po cóż te góry  
aż tak się wypiętrzyły  
zamykając dookolnie  
błękitny horyzont

odpycham je wzrokiem  
usilnie oddalam  
skalnym pięknem osaczona  
otwartej przestrzeni szukam

po cóż te góry  
aż tak się wypiętrzyły

Krystyna Cel

## Thriller o terrorystycznym zagrożeniu

Powieść Bogusława Wilkomirskiego *Piektło w dolinie Pandżu* wpisuje się w krąg tej literatury, także i fabularnej, która podejmuje tematykę najistotniejszych wyzwań stojących dziś przed światem – walkę z narastającym ciągle zagrożeniem terrorystycznym. Rynek księgarski obfituje w wiele tego typu wydawnictw; przyciągają one barwną fabułą, zaskakującą akcją oraz niezwykłą wyobraźnią, jak też i fantazją autorów. Rzadziej jednak zdarza się, by wydanie takiej książki poprzedziły wieloletnie badania naukowe, przerażające się w pasję. Mam tu na myśli nie tyle badania nad samym zjawiskiem terroryzmu, czym przecież zajmują się socjologia, psychologia i inne powołane do tego dziedziny. Chodzi o broń, jaką posługują się terroryści albo jaką mogą się posłużyć – broń biochemiczną, śmiertcionośną, mającą ogromny zasięg.

Autor *Piektła w dolinie Pandżu*, profesor nauk biologicznych Uniwersytetu Warszawskiego i Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, od lat zajmuje się problemem zwalczania biochemicznego terroryzmu. Wydał takie publikacje, jak *Toksyczny świat* oraz *Uzależnienie całkowite*. O ile pierwsza o charakterze popularnonaukowym przybliżyła wiedzę z toksykologii, to druga jest już powieścią



z wartką akcją pełną zaskakujących wydarzeń i, co ciekawe, wprowadza jako głównego bohatera agenta Interpolu IPADO, Polaka Bogusława Oksymowicza.

W *Piekle w dolinie Pandżu* ten właśnie bohater raz jeszcze podejmie się niebezpiecznej akcji – jego zadaniem będzie zniszczenie laboratoriów terrorystów ulokowanych w niewidocznych, ale rozległych jaskiniach w dolinie rzeki Pandżu na terenie... Tadżykistanu. Początek powieści rozpoczyna się w Salt Lake City – tu dwaj terroryści użyją śmiertelnej trucizny, a ofiarami staną się w przeważającej liczbie dzieci. Ten wątek sugerować może czytelnikowi, że będzie to tzw. thriller medyczny. Nieoczekiwanie akcja przenosi się do Polski i pojawia się postać profesjonalnego agenta, wspomnianego wyżej Oksymowicza, który znów powraca do służby, czyli do tego, co umie robić najlepiej. Czytelnik ma teraz przed sobą niezwykle ciekawą podróż do Tadżykistanu, bądź co bądź egzotycznego kraju, a po drodze Uzbekistan, a w nim Taszkient. Autor doskonale zna opisywane regiony Azji, jako że prowadził tu liczne badania środowiskowe, a w roku 2011 otrzymał tytuł doktora honoris causa Narodowego Uniwersytetu Uzbekistanu w Taszkencie. W *Piekle w dolinie Pandżu* zręcznie łączy fabułę z podawaną tu i ówdzie, jakby mimochodem, wiedzą z historii i kultury tych regionów.

Polem do dyskusji może być w tej książce konfrontacja Bogusława Oksymowicza i jego współpra-

cowników, amerykańskich agentów z terrorystami, których głównym celem jest zniszczenie cywilizacji amerykańskiej. Padają tu różne argumenty, różne racje. Autor nie ocenia ich. Nadrzędną jednakże zawsze pozostaje idea bezwzględnego przeciwstawienia się złu, jakim dla świata jest terroryzm.

*Piekle w dolinie Pandżu*, które może być zaliczane do gatunku powieści sensacyjnej przynosi, jak wskazuje też i tytuł, dużo napięcia, emocji, scen mrożących krew w żyłach. Autor potrafi jednak dać odpocząć czytelnikowi kierując jego wzrok ku malowniczym krajobrazom albo też kusząc go jakąś niezwykłą tadżycką potrawą.

Promocja kielecka tej książki potwierdziła nieślabnące zainteresowanie nie tylko tematem, ale też powieściową formą niosącą ze sobą prócz fachowej wiedzy ekscytujące sytuacje, które dzięki prezentowanym slajdom z terenu akcji pozwalają w wyobraźni ułożyć się w niemal filmowy thriller. Akcja przecież zmierza do punktu najwyższego napięcia, wątki składające się na fabułę spiętrzają się dając mocne przeżycie, jakbyśmy w tych zdarzeniach uczestniczyli. Identyfikujemy się z bohaterami, czując, jak trudna i pełna ryzyka była ich walka.

Bogusław Wiłkomirski, *Piekle w dolinie Pandżu*. Poślowie Stanisława Nyczaja, Oficyna Wydawnicza „STON 2”, Kielce 2017, s. 280.

## Utwory sceniczne Włodzimierza Kłaczyńskiego

Najnowsza książka Włodzimierza Kłaczyńskiego, znanego pisarza, autora głośnego *Popielca* dotąd chętnie oglądanego w telewizji, nosi tytuł „*Oficyna i inne utwory sceniczne*”. Tytułowa *Oficyna* ma znaczący podtytuł: komedia nieoptymistyczna. Znaczący, bo autor przedstawia w niej trudny, zważywszy na skutki, fragment naszej historii, a mianowicie kształtowanie się nowego ustroju przyniesionego przez sowiecką władzę. Autor pokazuje początek owego procesu, czyli zaprowadzanie nowego porządku poprzez brutalne niszczenie tego, co stare, a tym samym wrogie i zagrażające nowej władzy. Odsłaniając prawdę tamtego czasu



rozbudza w czytelniku mieszane uczucia: z jednej strony współczucie np. dla hrabiostwa przeniesionego z odebranego im pałacu do oficyny, zwłaszcza dla hrabiny ciężko pracującej w polu w rękawiczkach, co śmieszy chłopów (przypominają się mimo woli szlachcianki z dobrzyńskiego zaścianka), z drugiej zaś strony akceptację dla dziejowej sprawiedliwości, jaką było oddanie ziemi tym, którzy od wieków na niej ciężko pracowali. Nastąpiła tu jakby zamiana ról. Służąca Marysia staje się teraz dla hrabiny postacią nader ważną. Ze swoją chłopską zaradnością pomaga jej przetrwać ten trudny czas.

W. Kłaczyński w niezwykle trafny i obrazowy sposób, niekiedy dosadny, a zarazem komiczny ukazuje zderzenie mentalności pańskiej z mentalnością chłopską. Ten utwór sceniczny to jakby dramaturgiczne „podsumowanie” albo raczej nieoptymistyczny finał tego, co autor zawarł w pięciotomowej fabularnej prozie zatytułowanej *Miejsce*.

Myślę tu szczególnie o tych tomach, które opisują czas wojny i okupacji. W *Oficynie* pojawiają się niektóre postacie z tej niezwykle fabularnej kroniki tamtego czasu, tak trudnego dla Polaków.

Dwa następne utwory *Moralność pani D.* i *Inspektor* są ciekawym literackim pomysłem na ukazanie zmian, jakie zaszły w naszej świadomości i mentalności współcześnie, w dobie tzw. transformacji. Autor sięgnął po dwa znane klasyczne dzieła: *Moralność pani Dulskiej* Gabrieli Zapolskiej i *Rewizora* Mikołaja Gogola. Dokonał ich adaptacji do polskich współczesnych realiów. W ten sposób nakładając na znane nam już postacie ich nowe współczesne kostiumy czy maski nie tylko ożywił te już może trochę zasiedziałe w tradycji utwory, ale pokazał, że pewne zjawiska, takie jak dulszczyzna, kołtuństwo, karierowiczostwo, hipokryzja nadal funkcjonują i nawet nieźle sobie radzą posługując się nowymi, innymi już rekwizytami.

Czytelnik mając możliwość porównania pamiętanych dzieł z adaptacjami może zadać sobie pytanie – czy w dobie obecnej zasięg tych negatywnych zjawisk nie jest znacznie szerszy. Czy np. współczesna Dulka nie przerosła tamtej w zakłamaniu i obłudzie, a Mela to przy Andżelice niemal niewinna istotka.

Ostatni dramat sceniczny *Ciotka* przenosi nas na polską wieś, kiedy to w niej mieszkali jeszcze chłopcy, jak w podtytule zaznaczył autor. Wydawać by się mogło, że po „strasznych mieszczanach” w ich „strasznych mieszkaniach” odpoczniemy w tej naturalnej oazie ciszy i spokoju. Początek dramatu nie zdradza jeszcze, że w tej swojskiej przestrzeni chłopskiej zagrody pojawi się aż tak duży ładunek psychologiczny wydarzeń. Postacie bohaterów prawdziwe i wyraziste zarysowują się już po kilku zaledwie dialogach, by w miarę rozwoju akcji nabrać klarownej, właściwej sobie osobowości, jak to jest np. w przypadku *Ciotki* – postaci tytułowej. I chyba w tym utworze najbardziej widać, jak autor konsekwentnie buduje dramaturgię, jak starannie waży emocje doprowadzając je do zaskakującego finału.

Wspomniana wyżej *Moralność pani D.* była już grana przez zespół amatorski Centrum Kultury w Biłgoraju. Może pokuszą się o ten utwór, także i o adaptację *Rewizora* inne, większe teatry. Jeśli przyjmujemy, że teatr pełni odwieczną funkcję *katharsis*, to wybór tych właśnie utworów byłby całkowicie trafiony.

Krystyna Cel

Włodzimierz Kłaczyński: „*Oficyna*” i inne utwory sceniczne. Przedmowa Janusz Termer. Oficyna Wydawnicza „STON 2”, Kielce 2017, s. 224.

## Jubileuszowy tom Stefana Jurkowskiego

Nakładem Oficyny Wydawniczej „STON 2” ukazał się jubileuszowy tom Stefana Jurkowskiego *Spacer do siebie*. Książka wydana z okazji 50-lecia debiutu prasowego autora, zawiera 54 premierowe wiersze.

*Spacer do siebie* – podobnie jak cała liryka Stefana Jurkowskiego – jest ironiczny i refleksyjny. Jurkowski to poeta-filozof, który patrzy na świat uważnie i podejrzliwie, stawia ważne pytania i szuka na nie odpowiedzi – nawet jeśli dotyczą one spraw, które dla człowieka muszą pozostać tajemnicą. Uparte dążenie do prawdy, do wiedzy o rzeczywistości realnej i metafizycznej jest celem i sensem tej poezji.

Prof. Ignacy S. Fiut zauważa, że poeta *sytuuje się względem świata jako obserwator jego nieustającego rozpadu, degradacji, ale i powstawania z niczego nowych alternatyw istnienia. Hołduje bowiem myśleniu (...) „religii księgi”, wedle którego zawsze na początku było słowo, które stawało się ciałem tylko po to, by ulec unicestwieniu.*

Poetka Elżbieta Musiał pisze o *Spacerze do siebie*: *Podmiot liryczny nawet nie sprawia wrażenia, że prowadzi rozmowę ze sobą. On uczestniczy we własnej myśli, która jest i w nim, i nim, i obok. (...) Dzieje się bez pośpiechu, (...) w jedności z czasem i przestrzenią, z trwaniem i przemijaniem. W tych wierszach dokonuje się wszechogarnianie. Lecz nie jest to spowiedź, a „ważenie” siebie, mierzenie odległości między „mną tu” a „mną wtedy” i bez dostawiania miarki, bo przecież to jest spacer, bo przecież do siebie.*

Red.





## Poetyckie i malarskie impresje

Krystyna Guranowska-Stolarz, z którą pod koniec sierpnia przebywałam w Kuźnicy na Helu, jest nie tylko malarką, ale i poetką. Będąc u niej w domu, w Warszawie-Międzyzlesiu, miałam okazję zapoznać się z jej artystycznym dorobkiem. Mam tu na myśli przede wszystkim obrazy, które przyciągają wypracowanym poprzez lata własnym stylem i klimatem. Mocną stroną jej malarstwa jest architektura, i to ją artystka ceni sobie szczególnie.

Wiersze Krystyny znałam już wcześniej, niektóre prezentowane były w antologiach (*Nadmorskie spotkania literackie*, Kielce 2016 i *Kazimierskie spotkania literackie*, Kielce 2017).

To, co szczególnie wyróżnia jej twórczość, to bajki dla dzieci. Wszyscy wiemy, jak wymagającymi czytelnikami są najmłodsi. Bajka, mająca niemal odwieczną tradycję, jest tylko z pozoru gatunkiem łatwym, tym bardziej bajka dziecięca.

Tematyka bajek Krystyny Guranowskiej-Stolarz jest różnorodna. Pośród utworów, gdzie bohaterami są zwierzęta, drzewa, rośliny, ogrody bywają i takie, w których ciekawym pomysłem jest nietypowa dla tego gatunku sytuacja narracyjna wypływająca np. z wojennej przeszłości. Takim utworem może być tu bajka pt. *Dobosz* ukazująca dzieciom postać nieznaną, a barwną i ważną. Dobosz, słowo już dziś zapomniane, ożywa pod piórem autorki jako symbol odwagi. Grając na bębnie i werblach, zagrzewa żołnierzy do boju w zagrożeniu życia, a jednocześnie w poświęceniu i poczuciu własnej misji. Jego postać ukazana dynamicznie i obrazowo zapadnie dzieciom w pamięć. Oto fragment tego utworu:

Podczas bitwy Dobosz  
Gra na instrumencie  
Zagrzewa do marszu  
Z muzyki zakłębem

Nie stchórzy – odważnie  
Trzyma pałki w ręku  
Dziarsko się przesuwają  
Wśród bitwy odmětu

[...]

I rzekł – będziesz ze mnie dumna  
Po śmierci – matęko  
A gdy to wypowiedział  
To w duchu przyklęknął

Wracając do liryki osobistej, na uwagę zasługują krótkie poetyckie impresje łączące malarskie spojrzenie ze słowem. Mają walor pejzażowy wsparty nutą refleksji. Przybliżam je czytelnikom konfrontując z grafiką ukazującą miejsce, gdzie powstały:

### Gasnące lato

Słodkie owoce jeżyn spadały  
żdzbla traw gubiły nasiona  
oddech gasnącego lata  
mieszał się z zapachem morskiej fali  
rudziłote słońce już żegnało się z nami

### Pióro poezji

Płótna kolorowych lotni  
falowały w chmurach  
zatoka lśniła plejadą gwiazd  
czy chciały powiedzieć  
że pióro poezji  
już dotknęło Helu

### Pożegnanie

Zanurzone w wodzie stopy biegły  
urwisty brzeg uciekał  
kosmate sosny jak rozdęte parasole  
chyliły się w ukłonie  
wirujący krajobraz zapadał w pamięć



Rys. Krystyna  
Guranowska-Stolarz

## Złapcie go...

### Rozdział VI

Czas płynął wartko, wiedzę wojskową na szczeblu wyszkolenia pojedynczego żołnierza przyswajano sobie z łatwością. Odnotowano nawet pewne osiągnięcia. Na przykład podporucznik Leszek Zasada prowadził zajęcia z wyszkolenia strzeleckiego. Doskonale znał wszystkie tajniki broni. Z takim nie było żartów. Trzeba się było do zajęć dobrze przygotować. Na pierwszy ogień poszedł szeregowy Janek Jaworski. Miał opisać współdziałanie części pistoletu maszynowego wz.43. A ten nic, tylko walił słowo w słowo, zgodnie z tekstem instrukcji. Podporucznik nie dał się tak łatwo nabrać. Przerwał mu z oburzeniem, przekonany, że Jaworski czyta. A przecież mówił z pamięci! Podporucznik upewnił się ostatecznie, gdy stanął obok niego, uniemożliwiając ściąganie. I wtedy postawił Jaworskiemu piątkę, podkreślając, że jeszcze mu się nie zdarzyło coś podobnego w praktyce instruktorskiej. Zgodnie z planem szkolenia, na strzelnicy co najmniej dwa razy w tygodniu odbywały się ostre strzelania.

Ciepło listopadowego słonecznego dnia rozcieńczyło się wodnistym chłodem, kiedy wyruszyli na strzelnicę. Budynek koszar pozostały w tyle za nimi, tylko z prawej strony na poligonie brązowię się kępy małych bezlistnych zagajników, muśnięte delikatnie po brzęgach kadmem jesieni.

Z lewej otwierała się monotonna równina łąk i ugorów. W oddali widać było przyczajone wśród drzew, centrum miasta i kościelny krzyż połyskujący złościście w niskim słońcu. Zawiewało stamtąd gorzkim dymem wydobywającym się z kominów. Na czele plutonu maszerował kapral Nowak.

W czasie marszu na strzelnicę był cały komplet ćwiczeń i komend. Na maszerujących żołnierzy, z uporem zagryzających z wściekłości wargi aż do krwi, wylatywał co chwila „lotnik”, z prawa i z lewa szturmowały czołgi, siekły ich krzyżowy ogień karabinów maszynowych, przed którym wcisnąć się trzeba było głęboko w ziemię.

Kapral był czujny i od razu wyłapał, że komenda „padnij, powstań” w jego ocenie jest źle wykonywana.

– Zapomniato już wojsko, jak wykonuje się komendy, co? – to co pokazaliście trudno nazwać wykonaniem komendy „pad-

nij”, wyglądało to jak powalenie się na plaży. A tu nie plaża! Tu poligon wojskowy! Jednym słowem, jest to karykatura wykonania tak prostego rozkazu – choć zauważyłem, że kilku wykonało go poprawnie i szybko. To są właśnie te plusy dodatnie, na których mi zależy. Sprawdźę tylko, czy było to przypadkowe, czy świadome działanie.

– Padnij!... Powstań!... Padnij!... Powstań!...  
Biegiem – marsz!

W plutonie zapanowało zamieszanie, bo nie każdy właściwie rozumiał komendę, ale po chwili za przykładem tych, co zrozumieli, cały pluton dreptał w miejscu, starając się robić to jednocześnie.

– Ruchy! – ruchy! – ruchy!

Kapral wnerwiony, z posępną miną odwrócił się w stronę dowódcy plutonu.

– Ta banda chujopłotów to chyba najgorsze lebiegi w całym wojsku, jakie nam się trafiły. Chyba wybierali ich specjalnie!

– Kapralu Nowak! Dosyć tego rodzaju komentarzy – przerwał mu w pół słowa podporucznik Zasada uważnie obserwując żołnierzy. Wiecie, co macie wykonywać?

– Tak jest! – Kapral Nowak nie był zadowolony z przywołania go do porządku przed frontem plutonu.

– Pluton! Padnij! Powstań!

– Słuchajcie, żołnierze. Powiem wam, że moja stara ciotka chora na reumatyzm robiła to sto razy szybciej i dokładniej od was – skomentował ich bezowocne próby dowódca plutonu, uśmiechając się ironicznie i jednocześnie dając znak kapralowi, że starczy już tego pokazu, bo już zobaczył to co chciał.

– Pluton! Bacność!

Kapral przespacerował się przed frontem plutonu, uważnie obserwując zachowanie żołnierzy, czując, że to samo robi druga strona.

– Żołnierze! Wyjaśniam, abyście na przyszłość wiedzieli, o co chodzi. „Padnij!” i „Powstań!” macie wykonywać w tym samym momencie. Jeśli klaśniemy w dłoń pierwszy raz, to jest padnij, klaśniemy drugi raz – powstań. I to nie może być rozlazły dźwięk jak sranie w kiblu w waszych rodzinnych domach i mieszkaniach. Jesteście wojskiem, czyli jednym organizmem, a więc chcę słyszeć jeden dźwięk. Zrozumiano?

– Tak jest!

– Dowódcy drużyn zadbają później, abyście osiągnęli w tym biegłość.

Na strzelnicę przyszedli potwornie zmęczeni, przysięgając Nowakowi zemstę, a wśród słów, które wypowiadali w duchu pod jego adresem, „zupak” należało do najtańszych.

Strzelnica. Ostatnich instrukcji udzielił dowódca plutonu. Jako pierwszy daje lekcję celności podporucznik Zasada. Mruży lewe oko. Powoli, z lekkim wysiłkiem ściąga spust. Jest! W celu! Drugi, trzeci! Po nim próbują celności oczu kaprale: Fluder i Nowak.

Na linii wyjściowej stanęła pierwsza zmiana. Żołnierzy ścinała trema. Właśnie przed chwilą szef kompanii, starszy sierżant Blaszkowski, wydał ostrą amunicję.

Padła komenda. – Zmiana na linię ognia marsz!

Teraz potrzebny był spokój. Drżała ręka. Przecież to ostre strzelanie na ocenę. Od oceny zależało pójście na przepustkę. Kapral Nowak leżał pierwszy z prawej. Ostre komendy. Trzask ładowanej broni. Wymierzone w cel lufy pistoletów. Przez szeregi przebiegł elektryzujący dreszcz. Dowódca plutonu uniósł rękę i krzyknął: – Ognia!

Pierwsza dziesiątka nie miała żadnych problemów z zaliczeniem strzelania. W następnej dziesiątce kapral Fluder bezbłędnie i bardzo szybko rozprawił się ze swoim celem, skończył już dawno strzelanie, podczas gdy inni dopiero się do niego przymierzali.

– Zajebiecie! – stwierdził porucznik klepiąc kaprala po ramieniu. – Takiego pokazu to już dawno nie widziałem. Na wojnie mógłbyś być snajperem.

Obok na komendę starszego sierżanta Blaszkowskiego kolejna zmiana żołnierzy ruszyła na stanowiska ogniowe. Szybkie zajęcie pozycji, zmiana magazynka, odbezpieczenie broni, przeładowanie i tuż przed podaniem komendy „ognia”, niespodziewanie usłyszeli nie pojedynczy strzał, ale całą serię.

– Co to się kurna wydarzyło?! – porucznik odwrócił się, żeby sprawdzić co się stało. W tym momencie usłyszał krzyk sierżanta Blaszkowskiego:

– Mrówka, co się z tobą dzieje, co ty gadzisz jeden wyrabiasz?

– Melduję, obywatelu sierżancie – odezwał się błędnym głosem Mrówka, że nie wie, chyba za wcześnie pociągnąłem za spust i poszła od razu cała seria.

– Obywatelu poruczniku, z tym Mrówką kurwicy można dostać, stale coś wywinie. Otworzył ogień

bez rozkazu. Wydałem komendę zająć stanowiska ogniowe, a ten położył się i od razu wywalił całą serię.

– Szeregowy Mrówka! Tak było? – spytał podeńwiany porucznik.

– Mniej więcej tak – odpowiedział Mrówka i uśmiechnął się do porucznika spod opadającego mu na oczy hełmu. – Niechcący zawadziłem palcem o spust i poszła cała seria. Lufę poderwało mi do góry; z wrażenia zamknąłem oczy i nie wiem gdzie wystrzeliłem...

– Ludzie, trzymajcie mnie. On, kiedy strzela, zamka oczy! Czy ja dobrze słyszę?

– Tak jest, obywatelu poruczniku. Najpierw wyceluję, a jak mam nacisnąć spust, to zawsze z wrażenia zamykam oczy. Mam taki impuls...

– To może mi, kurwa, powiecie, Mrówka, jakim cudem zaliczaliście do tej pory strzelanie?

– Melduję, że do tej pory udało mi się tylko raz zaliczyć – odparł szczerze Mrówka, nie przestając się uśmiechać.

– Kapralu Fluder, zabierzcie tego żołnierza na strzelnicę obok – niech ja go nie widzę – i postarajcie się, nauczyć go celowania i oddawania strzałów. Trenujcie z nim, aż do skutku.

– Tak jest, obywatelu poruczniku! Już ja go odpowiednio przeszkolę, będzie strzelał jak snajper.

Mimo wpadki Mrówki, pluton strzelanie wykonał na ocenę dobrą.

– Dziękuję wam w imieniu służby – rzekł na zbiórce dowódca plutonu. – Spełniliście swój bojowy obowiązek. Wierzę, że wasze szkolenie nie pójdzie na marne. Dziękuję wam także od siebie.

Uśmiechnął się nagle jakoś inaczej niż zwykle. – Czołem, żołnierze!

– Czołem, obywatelu poruczniku! – odskrzyknęli chórem.

W pobliżu, w podgrupie szkoleniowej odbywały się zajęcia z minierstwa. Prowadził je starszy sierżant Franciszek Ugorski. Umiejętności minerskich nie musiał pozorować, przeszedł dobre przeszkolenie, jeszcze przed wybuchem drugiej wojny światowej w 3 Pułku Saperów Wileńskich. Teraz podczas pokazu wziął kostkę trotylu do rąk, szczególnie delikatnie, pedantycznie. Ostrzegł:

– Nie zbliżajcie się. I tak wszystko zobaczycie. Słup ognia i strumień ziemi wytrysnął w górę na kilkanaście metrów. Pokaz ten dla młodych żołnierzy był nie lada przeżyciem. [...]

Jan Chruśliński  
12 VII 2017

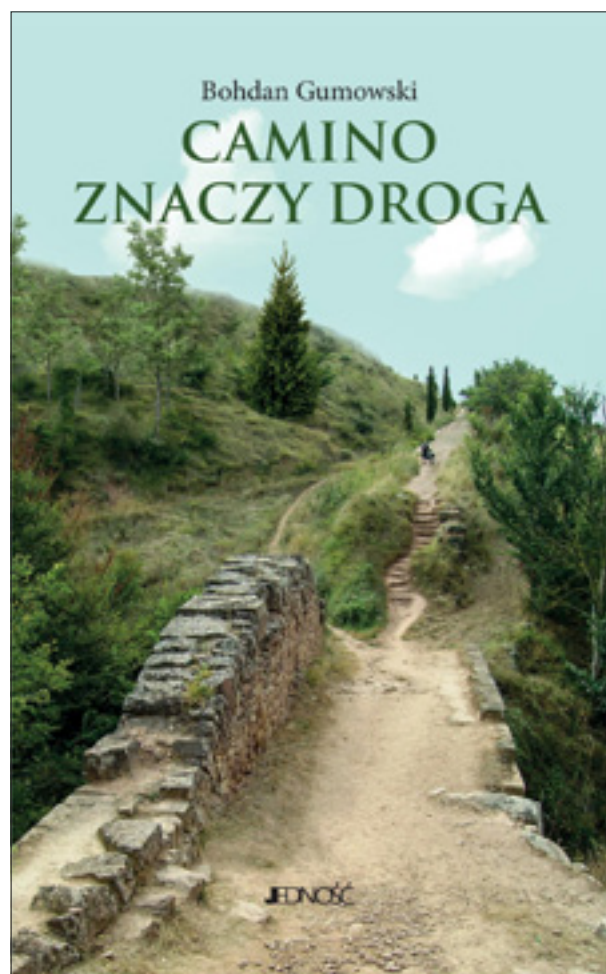
## Anna

(Fragment książki *Camino znaczy droga*)

Samolot wzbił się w ciemność. Za Janem pozostały w dole najpierw światła pasa startowego, a potem miasta. Była piąta rano i wrześniey świt miał dopiero nadejść. Jan leciał na zachód i nie był pewien, czy świt dogoni go przed lądowaniem. By ukryć przed samym sobą zdenerwowanie lotem zaczął liczyć. W tym miejscu ziemia, gdyby odkroić plasterki tak, jak odcina się skorupkę jajka, miała obwód o połowę mniejszy niż na równiku. Przy prędkości, jaką podał pilot podczas lądowania też powinno być ciemno. Czym ja się zajmuję – pomyślał. Spojrzał przez okienko. Gdzieś z tyłu niebo było zdecydowanie jaśniejsze. No tak. Na wysokości kilku tysięcy metrów wschód jest dużo wcześniej, niż tam, na dole. Ciągłe wznosili się. W samolocie było, tak mu się wydawało, gorąco. Gdy rozległ się dzwonek oznajmiający, że można rozpiąć pasy, zdjął sweter i wrzucił do schowka nad głowę. Miał na sobie polo z krótkim rękawem. Sięgnął po gazetę i zagłębił się w czytaniu. – Gdzie pan leci? – z lektury wyrwał go kobiecy głos? Spojrzał na siedzącą obok dziewczynę z laptopem na kolanach. Zadała to pytanie nie odwracając głowy od wypełnionego tekstem ekranu. – Tam, gdzie i pani, jak sądzę? – odparł. – Chyba że pilot się rozmyśli – dodał po chwili. Żuła gumę. – Ja na studia do Pau. Właśnie odrabiam lekcje. – Zaśmiała się do siebie. – To pan też na studia?

– Niezupełnie – odpowiedział i pomyślał, że zarówno pytanie, jak i dalszy tok jej rozumowania należał do kategorii „inteligentna blondynka”. Co pani studiuje? – Literaturę francuską. – W Pau? – Pewnie się pan zdziwi, ale tam jest uniwersytet. – Dlaczego tam? – Proza życia. Mam ciotkę, która wyszła za Francuza mieszkającego w Pau. Mam więc mieszkanie, wikt i opierunek za friko. A przy okazji ćwiczę swój francuski. Złożył gazetę i dyskretnie przyjrzał się sąsiadce. Miała na sobie szary sweterek, wyplówałe dzinsy i takie same włosy rozsypane w nieładzie. Była raczej bez makijażu, przynajmniej na pierwszy rzut oka tak się wydawało. Pomyślał, że jest w wieku, który jeszcze nie wymaga ukrywania działania czasu. Czy była ładna? Nie umiał tego określić. Miała regularne rysy. Teraz wyglądała na szarą myszkę,

ale gdyby choć trochę się postarała... Co jest ze mną? Cały facet. Przecież mogłaby być moją córką. No to co, nie mogę popatrzeć na nią jak na kobietę? – Czemu mi się pan tak przygląda? – kokieteryjnie przechyliła na bok głowę. Kobięca intuicja – pomyślał i dodał także w myśli – a ona cała kobieta. – Przepraszam, przypomina mi pani kogoś. – Wspomnienia? – Nie, raczej współczesność. – Córkę? – Naprawdę wyglądam tak staro? – Przepraszam, nie chciałam pana urazić. – Nie uraziła pani. Raczej przywołała do rzeczywistości. Zamilkli. Odwróciła głowę w stronę okna i próbowała dojrzeć ukryte gdzieś za ogonem boeinga dopiero co wzeszłe słońce. – W końcu nie powiedział mi pan, jaki jest cel pańskiej podróży – rzuciła nie odwracając głowy. – Zdziwi się pani – północno-zachodnia Hiszpania. – Rozumiem. W Pau ma pan przesiadkę. – W pewnym sensie. Przesiadam się na pociąg. – Nie dało



się od razu do...? – Pewnie by się udało, ale tu nie o to chodzi. – A o co? – Wybieram się na przechadzkę. – Po pociągu? – Też. Ale nie tylko. – W takim razie mógłby pan zdradzić choćby to, jaka jest końcowa stacja pańskiego pociągu. – Saint Jean Pied de Port. – Że też od razu nie wpadłam na to. Człowiek z plecakiem. Peregrino – pielgrzym. Teraz wszystko jasne. – Przyjrzała mu się uważniej. – Skoro już pani wie... Wróćmy do pani studiów. Jak sądzę, jest pani jedyną Polką na uniwersytecie w Pau. Nie czuje się pani samotna wśród Francuzów? – Samotna? Skąd, mam mnóstwo przyjaciół. Było coś nienaturalnego w pośpiesznym zapewnieniu. – Nostalgia – pomyślał. W końcu dopada każdego. – Czy pani ciotka jest jedyną osobą, z którą może pani porozmawiać po polsku? Nie licząc oczywiście telefonów do kraju. – Mniej więcej. Czasem, jak mam dołek, wsiadam do samochodu i jadę do Lourdes. To tylko 45 kilometrów. A jadę głównie po to, by posłuchać polskiej mowy. – Aż tyle pielgrzymek z kraju? – Aż. Nagle samolotem rzuciło. Dziewczyna chwyciła kurczowo podłokietnik, na którym spoczywała jego ręka. Laptop zsunął się jej z kolan. – Co to było? – Nic. Turbulencja. W tej samej chwili zapaliły się światełka z oznaczeniem „zapiąć pasy”, a uspokajający głos stewardesy oznajmił, że znajdują się w strefie turbulencji. Do czasu zgaszenia światełek należy pozostać z zapiętymi pasami. Samolotem znów rzuciło. Spojrzał w okienko. Pociemniało. Czyżbyśmy wlatywali w jakąś burzową chmurę? Na tej wysokości to już nie powinno być groźne. Nagle poczuł, że samolot wali się w dół, a po chwili jakaś siła rzuca go z powrotem w górę. – Tyle ton jak piórko? – przecież mógł ominąć te chmury. – Co się dzieje? – dziewczyna była wyraźnie przestraszona. Bezwiednie mocniej ścisnęła jego przedramię. – Nie wiem. Po prostu turbulencji ciąg dalszy. Gdyby to było coś groźnego, to pewnie by nas ostrzeżono. Po kilku jeszcze wstrząsach lot uspokoił się. Silniki pracowały równo. Dziewczyna uświadomiła sobie, że ciągle ściska jego rękę. – Przepraszam pana. Nie chciałam... – Nie szkodzi. Moglibyśmy częściej wpadać w takie turbulencje. Nie miałbym nic przeciwko temu. – Podniósł laptop i chciał położyć na jej kolanach, ale rozmyślił się i powiedział – Może uruchomi pani ten stolczyk z siedzenia przed panią? – Tak, oczywiście. Dziękuję i jeszcze raz przepraszam. – Zajęła się sprawdzaniem laptopa. Powrócił do

czytania, ale ta chwila, gdy poczuł dotknięcie jej ręki, nie dawała mu spokoju. Ciekawe, jak bardzo ten moment różnił się od codziennych kontaktów z innymi dłońmi. To było jak wspomnienie dzieciństwa, zapomniany smak magdalenki. Zamyslił się i zatęsknił. Znów miał osiem lat i jechał z matką zdezelowanym autobusem do stryjków. Kręta droga prowadziła przez las, wznosząc się coraz to wyżej.

– Przejedziemy przez przełęcz, potem już tylko kawałeczek w dół i jesteśmy na miejscu – powiedziała. Cieszył się na tę wizytę. Syn stryjków, o rok starszy, imponował mu, a poza tym lubili mieć wspólne przygody. Autobus przetoczył się przez szczyt wzniesienia i coraz szybciej zaczął się staczać w dół. Już w pierwszy zakręt wjechali z piskiem opon. Rozległy się głosy: – Co się dzieje? To nie wyścigi. Niech pan zwolni! – w głosie matki i podróżnych wyczuł lęk. – Nie mogę, hamulec szlag trafił. Wypadli z lasu. Na następnym zakręcie z jednej strony wznosiła się skarpa, z drugiej było strome urwisko. Samochód przyspieszał. Ludzie zaczęli krzyczeć. Wtedy matka chwyciła go za rękę. Na zakręcie koła zaczęły piszczeć. Potem coś pękło. Autobus wzbijając tuman kurzu wjechał na skarpe, zarył w ziemię, przechylił się i runął na bok. Sunął jeszcze chwilę w krzyku i odgłosie dartych blach i wreszcie zatrzymał się. Zapadła cisza, a po chwili rozległ się jeden wielki krzyk. Matka trzymała go za rękę. A potem coś mówiła, łzy spływały jej po policzkach i gładziła go po ręce. Wreszcie dotarło do niego. – Nic ci nie jest? Jesteś cały? Nie, nic mu nie było. Tylko ta troska, ta obawa, niepokój i miłość. Wszystko było w tym dotknięciu matczynej dłoni.

– Uwaga, podchodzimy do lądowania. Proszę zapiąć pasy i wyłączyć urządzenia elektroniczne – głos stewardesy przywrócił go rzeczywistości. W chwilę później samolot z piskiem dotknął pasa. Dziewczynę z laptopem zobaczył jeszcze raz przy wyjściu z lotniska. – Przepraszam, może choć dowiem się, jak pani ma na imię? Uśmiechnęła się – Anna. Buen Camino – powiedziała wsiadając do taksówki.

*Bohdan Gumowski*

Bohdan Gumowski, *Camino znaczy droga*, Wydawnictwo „Jedność”, Kielce 2017, s. 120.

## Z prędkością światła

stoję  
oparty o drzewo –  
z prędkością światła  
oddalam się od niego  
(wszyscy widzą  
że stoję tam bez ruchu)  
przeszyty aż do pnia błyskawicą czasu  
zamieniam się w drzewo  
po jego ścięciu w arkusze  
na których pisano wiersze  
albo wołania o pomoc  
(na jedno wychodzi)  
byłem drewnianym domem  
sprzętem  
niepotrzebną książką płonąca w kominku  
pękniętą planetą  
popiołem wszechświata

i znowu jestem tym drzewem  
sobą  
opartym o jego pień

wszyscy widzą  
że wciąż stoję bez ruchu

w niekończącej się nigdy podróży  
z prędkością światła – –

## Stwarzanie

pytam cię o wiersz – czy napisałaś  
nasze ocalenie – nas nowych  
w tych samych a innych miastach  
w ostrym a nie oslepiającym świetle  
spełniających się w oczekiwaniu

może nie pisz wiersza  
raczej mów – słowa  
nas otaczają  
bolesny kordon  
poza który nie ma ucieczki

wiersz mocniej osacza  
wymilczmy więc nasze ocalenie

jesteśmy  
nową księgą genesis  
(inne nam niepotrzebne)

los nam powiedział  
„niech się staną”

i zaniemówił – –

## Spacer do siebie

powiedziała:  
– słucham wichury  
może tam znajdę odpowiedź

powiedział:  
– są tylko pytania  
okraczają nas coraz ciasniej  
– trawy gałęzie twarze  
odciśnięte w bryłach węgla  
światło w nas  
otwarte do ciemności –

idą w milczeniu  
wśród spojrzeń drzew i trawy  
jakby wytyczali drogę

wokoło gęstnieją pory lat  
a oni ciągle idą poprzez wichurę

poprzez siebie – –

## Apokalipsa prywatna

nareszcie nadchodzi noc  
nikt nie zadzwoni  
nie przedrze się żadna wiadomość  
zła czy nawet dobra  
obrazy łamią się kruszą odchodzą  
w granat lub w czerń –  
to nie ma znaczenia

wszystko nierozpoznawalne  
niczym cienie po zgaszeniu światła

nareszcie znikają ludzie  
wyparowuje świat

Z tomu *W środku tajemnicy* w j. polskim i bułgarskim

### Szedłem pustynią

Nie dla postu  
i nie z gaju Hesperyd  
szedłem pustynią

gdy wyrosło drzewo  
złamała się przestrzeń  
zawarta w każdym śladzie  
napęczniał cień

w naciągniętym płótnie bezkresu  
słońce zamknęło wyobraźnię

szukałem początku  
rozpinałem ramiona drzewa

łączyłem  
niebo z ziemią

### Wiosna

Pola jak ludzie  
z przebolałych krzyży  
odrywają  
resztki białych plam  
chowanych odcisków

niewiadome  
już przeszło  
w rozłożyste dęby  
rozkroiło rzeki

znów przekleństwo muchy  
powita jaskółkę  
zasiądzie bocianem  
pokornym zmilczeniem  
schowa się  
przed burzą

podniosą się z kolan  
kwieciste nadzieje  
wydeptane ścieżki  
poprowadzą  
w niebo



### Вървах през пустинята

Не заради постите  
и не от градината на Хесперидите  
вървах през пустинята

когато дървото израсна  
пространството се счупи  
съдържащо се във всяка следа  
сянката наедря

в опънатото платно на безкрайността  
слънцето затвори въображението

търсех началото  
разтварях ръцете на дърветата

свързвах  
небето със земята

### Пролет

Полетата като хората  
от прежалените кръстове  
откъсват  
остатъците от бели петна  
от скритите отпечатьци

неизвестното  
вече премина  
в клонестите дъбове  
пресече реката

отново проклятието на мухите  
ще поздрави лястовицата  
ще седне със щъркела  
със смирено мълчание  
ще се скрие  
от бурята

ще се изправят  
цветните надежди  
отъпканите пътеки  
ще поведат  
към небето

## Liryki z tomu *Reliefy serca*

### **Bezdomna miłość**

bezdomnej miłości  
drzwi należy otwierać  
na oścież  
przytulić do serca  
jak sierotę

bezdomna miłość  
nie może ginąć tragicznie  
pod kołami cywilizacji

bezdomna miłość  
musi mieć swój kąt  
w każdym ludzkim  
sercu

### **Bez wzajemności**

kochać bez wzajemności  
to toczyć kamień Syzyfa  
pod stromą górę niespełnienia

myśli samobójcze atakują  
ze wszystkich stron

zakazana brama zamknięta  
na zamek do którego klucz  
w niepamięci

sznur wisielczy  
czeka niecierpliwie  
na niespełnione marzenia

### **Podróż**

nie mówmy o przemijaniu  
lecz o wiecznym trwaniu  
w czasoprzestrzeni

w podróży nie zbaczajmy  
z wybranego kursu

droga bez drogowskazów  
prowadzi donikąd

wąska ścieżka nad przepaścią  
może być czasem  
jedynym wyjściem  
z życiowej pomyłki

### **Bieg całozyciowy**

biegniesz zdyszany  
po drodze krętej i kamienistej

meta daleko  
może w przestworzach  
może w środku ziemi  
nie wiesz

biegniesz  
sił ci brak – biegniesz  
bieg to całozyciowy

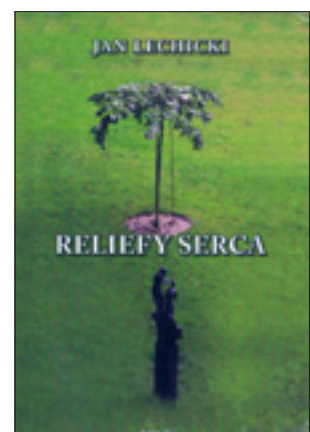
a na finiszu stajesz się  
nic nieznaczącym punktem

### **Bezsenne noce**

bezsenne noce  
i bezsenne myśli  
w mgłę podświadomości  
wędrują po zaułkach  
życia minionego  
i nadchodzącego

bezsenne noce  
w apokaliptycznej wizji  
budują chore marzenia  
i złudny raj  
na nieistniejącej  
planecie

bezsenne noce  
męczą boleśnie  
jak katorżnicza praca





Nika Mitrowska (Monika Mazur-Mitrowska)

twoja pełnia  
na dzień dnia  
hangary serc

\* \* \*

Spinozie  
a jeśli naprawdę  
bóg nie potrzebuje  
byśmy go kochali  
i przestał w nas wierzyć

lawiny dni  
anioły bliskie łez

spójrz  
niebo drapieżnych ptaków

wolna samotność  
niebotyczne piekło

\* \* \*

miłość podaje się za nic  
weroną uszyta wenus ma w oczach  
od białej gorączki do białego małżeństwa  
weneckie lustro wody  
zabierają przezroczystość ciała  
pełnego myśli  
gdybyśmy byli pewni  
nie musielibyśmy wierzyć że jest  
odchodzi przychodząc  
z końca świata  
jak czarodziej piątej kategorii  
w kieszonkowym wydaniu  
szóstym zmysłem

\*

może nie wszystko jeszcze stworzone  
miłość udaje niebo  
ponad wszelką samotność  
chmury  
w dole nowiu  
wozy wielkie i małe  
psie gwiazdy  
płynność ciała  
w zakłęciach  
sens urojeniem  
moja przezroczystość  
ciała pełnego myśli

\* \* \*

upuściłam kilka miłości motyle wyrwały mi duszę  
chmury na pustyniach  
pijane słońcem  
świtu nie będzie  
kto pierwszy rzucił na wiatr kamienie edenów  
gwiazdy w drobny mak  
wyparowały ciepłym szeptem fragmenty baśni  
zakończenia poniosło do tysiąca nocy  
na skraju świata płoną ogrody  
dmuchawce odlatują do rajów

\*

umierałam z miłości w landszaftach  
anioły śniące i widzące poemą samotności  
obcowałam z rzeczami pozostawionymi  
po obu stronach iluzji  
z popiołu światła  
nikt inny tylko ja pełna widm i obłędu  
mówię przez sen sheherezady  
tysiąc nocy myśli przybiera formy  
w ideach  
baśnie weszły na czarodziejską górę  
zachodzą mgłą na graniach

znów otrząsam się z igieł metafizycznych  
w zwyczajne pejzaże



Obraz Moniki Mazur-Mitrowskiej

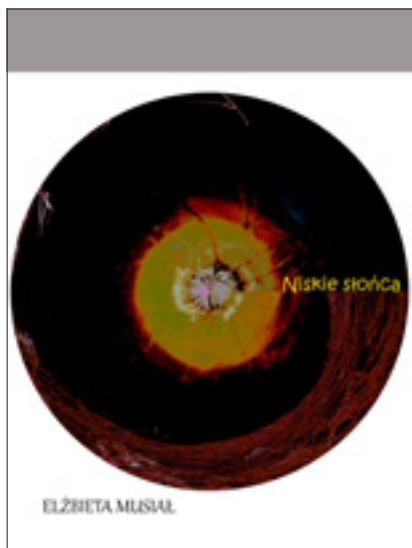
**Niskie słońca**

Niskie słońca chodzą moją doliną.  
 Sennym trawom wydłużają cienie.  
 Cienie, ach! właśnie. Ustalmy  
 coś wreszcie, gdy tak równo  
 obok siebie  
 leżą.  
 I żaden  
 nie wywyższa się ponad inny.  
 Są inaczej i czym innym niż odbicia w lustrze.  
 Już prędzej wahadłem zegara wychylonym  
 w tamte strony. Ustalmy. Najpierw  
 rozważmy ten lot lazurów zmieszanych z piaskiem.  
 Potem niech będzie jabłko, które przestało się  
 [toczyć  
 i wsiąka teraz w ziemię.  
 Wsiąka czy już z podglebia wyłazi?  
 Co do tego nie ma pewności.  
 Dlaczego więc martwi martwość cienia?  
 On istnieje, jakby  
 spamiętał czas, który ma nastąpić.  
 Jakby naraz skleił w jedno oba światy.

Pora niskiego słońca,  
 w przededniu i nieco samotna.  
 Zrywam w dolinie gałązkę,  
 a cień mój niesie cień piołunu.

Pora niskiego słońca;  
 ze świetlnych pór przedostatnia.

7 września 2008

**Ниски слънца**

Ниски слънца преминават през моята долина.  
 Удължават сенките на сънените треви.  
 Сенките, ах! точно така. Да установим  
 най-сетне нещо, щом така равномерно  
 една до друга  
 лежат.  
 И никоя от тях  
 не се издига над другите.  
 Присъстват другояче и са различни  
 [от отраженията в огледалото.  
 Вече по-бързо от махалото на часовника,  
 [наклонен  
 към онези страни. Да установим. Най-напред  
 да измерим този полет на лазурите,  
 [примесени с пясък.

След това нека да бъде ябълката, която  
 [престана  
 да се търкаля и сега изчезва в земята.  
 Потъва или вече пониква?  
 За това няма сигурност.  
 И защо безпокои мъртвилото на сянката?  
 Тя съществува, сякаш  
 е запомнила времето, което трябва да настъпи.  
 Сякаш изведнъж е слепила в едно двата свята.

Време е за ниското и малко  
 самотно в навечерието слънце.  
 Откъсвам клонче в долината,  
 а моята сянка носи сянката на пелина.

Време е за ниското слънце,  
 предпоследно от светлинните времена.

7 септември 2008

Z tomu *Niskie słońca* w j. polskim i bułgarskim

## Węzły Gordyjskie poezji

### O poezji Teresy Nietykszy

*Stacja węzłowa* Teresy Nietykszy jest doskonałym przykładem poszukiwań sposobu rozwiązania pewnego dylematu współczesnej poezji polskiej. Kłopot ten dotyczy większości twórców, chociaż być może nie zdają sobie nawet z tego sprawy. A jednak każdy z nich mniej lub bardziej świadomie dokonuje wyboru tematyki, odpowiedniego języka oraz formy wypowiedzi. Są to zaledwie trzy z długiej listy problemów, które poeta próbuje rozwiązać w trakcie swojej twórczości, lecz i tak nie jest to zadanie łatwe.

Tematy, w zetknięciu poety z życiem, na ogół rodzą się same. Niektórzy piszą o wszystkim, co dotyczy egzystencji człowieka, inni są monotematyczni trzymając się wytrwale np. mniej lub bardziej zagmatwanych meandrów poszczególnych faz miłości. Temat jak rzeka, uprawiany przez wieki, przy czym o ile poezja kobiet na ogół jest delikatna i uduchowiona, erotyki mężczyzn bywają przepętnione fizycznością. Najważniejsze jednak, by wiersz trafił do odbiorcy, przemawiał, wzruszał, zmuszał do przemyśleń i głęboko zapadał w pamięć. Większość twórców pragnie jak najszerszego odbioru, część decyduje się jednak na poruszenie spraw dostępnych jedynie wąskiej grupce wtajemniczonych, co niejako automatycznie ogranicza grono potencjalnych czytelników, ale chyba wiedzą, co czynią.

Na szczęście Teresa Nietyksza, jak kilku innych doświadczonych poetów, trzyma się tematyki bliskiej każdemu człowiekowi – od wspomnień rodzinnego domu poczynając (*Stacja węzłowa*), poprzez okres studiów w Krakowie (*Młodość*), przypadkowe spotkanie prowadzące do stwierdzenia, że „To już nie ten chłopak co dla mnie skakał z mostu...”, miłe chwile obcowania ze sztuką i przyrodą (*Wędrownka, Koncert, Sonety nadmorskie*), ból ostatecznych rozstań, gdy nagle „twój cień już nie był przy tobie”, a „zasiany w ogrodzie ból/ kwitł już mi co roku” (*Pierwszy dzień lata*), po świadomość nieuchronności przemijania i godzenie się z faktem, że „Ludzie żegnają się szybciej niż muszka...” (*Elizjum*), co jest szczególnie trudne, gdy umiera członek rodziny. Pustka wokół uświadamia stratę i staje się wprost niemożliwa do zniesienia, bo jak wytrzymać, gdy „Wszystko milczy/ krzesła i stół/ fotel milczy/ milczenie wypełnia pokoje...”? (*Trudny czas*).

Język, jakim autorka się posługuje jest w swojej prostocie elegancki i komunikatywny. I obojętnie czy jest to wiersz wolny, czy rymowany widać panowanie nad warsztatem, wielki dystans do siebie, a nawet powiedziała bym poczucie humoru, o czym świadczy zakończenie wiersza *Zyski i straty*: „Kiedy ja w końcu w podróż tę dłuższą wyruszę – / Zostaną wiersze, źdźbło smutku i... kapelusze”. Każdy ma jakąś słabość, najwidoczniej ona do tego szczególnego nakrycia głowy. Teresa nie epatuje czytelnika nadmiarem karkołomnych metafor, które często przykrywają fakt, że autor nie ma nic do powiedzenia, nie stara się też upodabniać swojego języka do prozy. Postanowiła najwidoczniej nie poddawać się wpływom, zachowywać umiar oraz własny, wypracowany i od lat sprawdzony styl wypowiedzi.

Pozwala sobie jednak na eksperymenty dotyczące formy. Tomik *Stacja węzłowa* zawiera wiersze bezrymowe, ale także oktostychy i sonety. I o ile te ostatnie pojawiały się już w jej twórczości, nowością są urokliwe, subtelne wiersze zainspirowane prawdopodobnie debiutanckim tomikiem Jarosława Iwaszkiewicza *Oktostychy*, pisany przez niego w latach 1917–18 podczas pobytu na Ukrainie. Jak sugeruje nazwa, oktostych to wiersz o budowie wersyfikacyjnej, składający się z czterech dystychów. Utwory te mają charakter liryki osobistej, cechuje je malarskość obrazowania i artyzm kompozycji, co najwidoczniej zachwytiło Teresę u Iwaszkiewicza do tego stopnia, że postanowiła iść w jego ślady. I w pełni jej się to udało, jest to bowiem obok sonetów najlepszy rozdział *Stacji węzłowej*. Najbardziej wzruszyła mnie refleksyjna *Zima*:

Marzną ręce i głowy kryjemy w nakryciach  
Coraz więcej chłodu, a coraz mniej życia.

Coraz dłuższy kir czarny wlecze się za nami  
Rozglądamy się wkoło, coraz bardziej sami.

Chciałoby się podbiegnąć, ale niebezpiecznie  
Łzę otrzeć, lecz zamarzała, aby trwać już wiecznie.

Coraz ciszej marzymy, że odpłyną lody –  
Coś zakwitnie i wróci świat pełen urody.

Pisanie trzynastozgłoskowcem, trzymanie się formy, układu rymów, a przy tym przekazanie uczuć oraz nastroju nie jest łatwe, ale mamy do czynienia z wytrawną poetką, dla której reguły sztuki są jedynie wyzwaniem, a nie ograniczeniem. Teresa Nietyksza nie od dzisiaj eksperymentuje z formą, ma bowiem w swoim bogatym dorobku m.in. tomik *Sonetów opolskich* (2006), *Małe opowiadania* (2011) oraz *Sto dwadzieścia sześć haiku* (2013).

*Sonety nadmorskie* zawarte w *Stacji węzłowej* są dowodem na to, że autorka najwidoczniej bardzo lubi tę formę wypowiedzi. Być może nie pobiła rekordu Szekspira ani tym bardziej Petrarcki, jeśli chodzi o ilość, ale jakości nie musi się wstydić. Świadczą one o jej wrażliwości na otaczającą przestrzeń, gdzie granice wody i nieba łączą się w jedno, szum wiatru i fal, zmienność pogody, kształtów chmur oraz ich barw porusza i zachwyca jej wyczulone oko, Teresa pasjonuje się bowiem również malarstwem. W związku z tym nie dziwi obrazowość jej opisu krajobrazu w sonecie *Po burzy*: „Sosny po tańcu z wiatrem stoją jeszcze drżące./ Trawy wydm rozczochrane, mokre mają głowy/ I łódki w piasku stoją...” czy obłoków: „Chmur orszak prowadzą skrzydlate cherubiny;/ Za nimi dwoje ludzi jakby spory wiodą./ Ale już wiatr figlarz zmienia w pannę młodą/ Postać, co chciała przybrać wiotki kształt dziewczyny// Obok rozsiadł się Budda i uśmiech niewinny/ rozciąga na niebie na wszystkich z wysoka...” (*Nad horyzontem morza*).

Najpiękniej jednak opisowość strof czterowersowych łączy się z refleksyjnością trzywersowych w sonecie *Gdy fale obmywają stopy*:

Niebo pieści dwie chmurki, lazur się wyzłaca.  
Stopy łaskocze fala dobra i łagodna,  
Ale nim je obejmie, sięga pierwej do dna,  
Którego piasek, muszle, kamyki przewraca.

Następnie strugą ciemną zamki z piasku znaczy.  
Dzieci na wszystkich plażach wciąż zamków są głodne.  
Gdy nasze już dawno życia fala zwodna  
Zmyła. Im pięknej bramy wciąż strzegą trębacze.

Z jakich głębin powracasz znowu, myśli falo?  
Z jakich dróg dzisiaj pragniesz obmyć moje stopy?  
Jestem wdzięczna i nie żał mi, i nie żał mi wcale,

Nawet, gdybyś zechciała, może zbyt zuchwale,  
Zabrać drogi Odysa do stóp Penelopy.  
Obmyj mą pamięć, falo! Obmyj moje żale.

Jak z powyższego wynika, Teresa Nietyksza od czasu do czasu sięga po klasyczne formy tworzenia,

jakby współczesna swoboda pisania przestała jej wystarczać. Być może z jakiegoś powodu zapragnęła coś zmienić, a nie mając pomysłu na stworzenie czegoś nowego, sięgnęła po stare, sprawdzone wzorce. Nie tylko ją to spotkało. Łatwo zauważyć, że wielu znanych współczesnych poetów woli stosować się do ścisłych reguł, niż poddać się ogólnemu pędowi. Piękne sonety pisze np. była dziennikarka radiowa z Białegostoku Krystyna Konecka, kierująca się według Andrzeja Waśkiewicza tęsknotą za harmonią. W regionie świętokrzyskim z kolei słynie z tego Anna Błachucka, autorka ponad dwustu sonetów, częściowo wydanych w kilku tomikach. Można byłoby się zastanowić, co je skłania do tak kurczowego trzymywania się wielowiekowych zasad tworzenia, wydawać by się przecież mogło, że nie ma to jak poczucie swobody. Czyżby to była kwestia charakteru? A może świadomy wybór lub konieczność, ponieważ tylko tak potrafią wyrazić siebie?

Poeci to ludzie kreatywni, od zawsze eksperymentują. Teraz także nie ustają w poszukiwaniach. *Stacja węzłowa* Teresy Nietykszy jest dowodem, że zdaje sobie ona sprawę z potrzeby zmian. Urozmaicone formy przekazu powodują, że czyta się ją z wyjątkowym zainteresowaniem, tym bardziej że dzięki pięknym ilustracjom Ludmiły Małgorzaty Sobolewskiej, książka w pewnym sensie staje się galerią sztuki.

Wanda Nowik-Pala

Teresa Nietyksza, *Stacja węzłowa*, Wydawnictwo Miniatura, Kraków 2016, s. 55.



Na promocji tomu *Stacja węzłowa* w opolskiej MBP (12 maja 2017) Fot. Romana Więczaszek

## Haiku

Na łące krowy  
śpiewa im pean ziemia  
w nas duch odnowy

\*

Ogrom niebieski  
kulę światłem otulił  
poeci wzeszli

\*

Pór roku barwy  
w pięknie pieśni zakłęte  
usta zamarły

\*

O szarym mroku  
myśli sprzątam po kątach  
zabawki kotu

\*

Nieznany wnuku  
w technoświecie jak dziecię  
kroczysz w munsztuku

\*

Blask czarnej plaży  
słońce zgaśnie gdy zaśniesz  
już nikt nie marzy

\*

Za chmur woalem  
cienie rzuca natchnienie  
Pegaz już stary

\*

Królestwo małe  
jak cię kochać wskaże nam  
psyche i ciało

\*

Losu kaprysy  
pory roku też w życiu  
marzenia krzyczą

\*

Dziwny jest ten świat  
czy zmienisz go gdy zmierzysz  
ile on jest wart

\*

Jesienny odlot  
w morzu zdarzeń marzenia  
przeskakujmy płot

\*

Królowa śniegu  
butki szyje w zawieję  
pieski do biegu!

\*

Nożyczki małe  
a tną nici poglądów  
niech żyje siła

\*

Małe kałuże  
bez perspektyw na trwanie  
trudno być morzem

\*

Małość & Próżność  
za progiem w czarnym dronie  
nieproszony gość

\*

Chyba coś znaczę  
przecież więzę słowika  
dajcie mi władzę!



Kolaż: Irena Nyczaj

### W bezkres wyruszam?

Gdy świat przemierzasz  
poprzez wód bezkresność,  
gdzie pusta przestrzeń  
wokół cię otacza,  
poczujesz Boga.  
Jego wszechobecność.  
Stąd swą potęgę  
nad światem zatacza.

To tutaj niebo  
jedynym obrazem,  
nad oceanów  
szarością wiszące.  
Tu lęk z odwagą  
mieszają się razem.  
Druhami twymi  
księżyc tu i słońce.

I jeszcze gwiazdy  
na nieba fartuchu,  
szarżując blaskiem,  
znać o sobie dają.  
Królowe nocy –  
w narcyzim odruchu –  
hołdów dla siebie  
wciąż i wciąż żądają.

Wkrótce wyruszę  
w krainę bez końca.  
W obszar względności  
przez Stwórcę chronionej.  
Bez szumu morza,  
blasku gwiazd i słońca,  
w nicość potężną  
Wielkiej Niewiadomej.

### Li tylko spokój

Tylko w ciszę i spokój,  
w ciszę i spokój  
chcę iść!  
Albo w morzu obłoków,  
w morzu obłoków,  
wciąż żyć!

Rosę z łąki zielonej,  
z łąki zielonej,  
chcę pić!  
Leżeć w trawie skoszonej,  
świeżo skoszonej  
i śnić!

Ptaku, zabierz sny wszystkie,  
zabierz sny wszystkie  
i leć!  
Zanieś gdzieś w Świętokrzyskie,  
gdzieś w Świętokrzyskie,  
het gdzieś!

Stamtąd głos Twój usłyszę,  
głos Twój usłyszę,  
skądś hen...  
W nocną wtopiony ciszę,  
wtopiony w ciszę,  
... jak w sen.

### Złudne marzenia

Marzenia moje  
wciąż się wymykają,  
cynicznie szydząc  
z długich oczekiwań.  
Mknąc w piruetach  
z podmorską głębiną,  
giną oszalałe  
w bezdennych archiwach.

A może w słońcu  
w popiół się zmieniając,  
dryfują wkół,  
od żaru zwęglone?  
I potem gasną  
pośród innych rojeń --  
marzenia moje  
czekane, wyśnione.



**Noc***Danielowi*

Ktoś śpiący obok. Noc  
w noc.  
Niepotrzebna przestrzeń rozszerzającego się  
[wszechświata.  
Ciepła miękkość ciała wbrew szyderczej natarczywości  
[kości.

Obok ufne oddanie drogom snu  
(śpiąc jest się każdym i nikim,  
bez wad i grzechów  
i tylko ciało składa w ofierze powierzchownej).

Cicho przytulić się nie budząc, połączyć ciepło.  
Delikatnie się ukryć – jak oni w raju przed czasem –  
przed rozpaczą.

**Tym razem***Pamięci Konrada*

Tym razem  
była jak wyrwa w ludziach:  
strzaskana twarz żony,  
stępienie spojrzenia dzieci,  
spustoszone mieszkanie z odłamkami ubrań  
utkwionymi w szafach  
i szczoteczka do zębów  
jak cierń wbitą w szklankę.

Spokój ociążałej trumny  
ujmował wagi spojrzeniu w martwe oczy prawdy  
jeszcze niepojętej.

Z tomu *Odłamki* w języku polskim i bułgarskim w przekładzie Ł. Seliaszki

**Ноц***На Даниел*

Някой спящ до мен. Ноц  
подир нош.  
Ненужното пространство на разширяващата се  
[вселена.  
Топлата мекота на телата, въпреки предизвикателното  
[натрапничество на костите.

Около доверчивата отдаденост на съня  
(спящият е всеки и никой,  
без пороци и грехове  
и само тялото принася в повърхностна жертва).

Да се притисна тихо, без да те събуждам, да съединя  
[топлината.

Нежно да се скрия, както те в рая:  
преди времето, преди отчаянието.

**ТОЗИ ПЪТ***В памет на Конрад*

Този път  
е била като яма в хората:  
сломеното лице на жената,  
отъпелия поглед на децата,  
опустошеното жилище с късове от дрехи,  
натъпкани в гардеробите,  
и четката за зъби,  
забита като трън в чашата.

Покоят на тежкия ковчег  
отне значението на погледа в мъртвите очи на истината,  
все още непонятна.



**Haiku**

Bywa udręką  
gdy baca kury maca  
niewprawną ręką

\*

Robota stoi  
bo baca lecząc kaca  
owiec nie doi

\*

Dręczy sumienie  
gdy więzi na uwięzi  
więźnia więzienie

\*

Chora teściowa  
zjadła z rana szatana  
i już jest zdrowa

\*

Oświadczył Lechu  
nie chcem ale muszem mieć  
Order Uśmiechu

\*

Stać było Kraj Rad  
na to gdyby nie NATO  
żeby podbić świat

\*

Gacha przechowa  
najlepiej mocna nocna  
szafa trzydrzwiowa

\*

Znam wierne panie  
inne ciche niewinne  
w zakonnym stanie

\*

Rosja Putina  
mocna jak Rzym chce mieć Krym  
i Ukrainę

\*

Pycha nas gubi  
nawet pawia nie zbawia  
nikt jej nie lubi

\*

Kowalczyk jak chart  
pędzi goni w sto koni  
przykuta do nart

\*

Gejów parada  
że homo już wiadomo  
im odpowiada

\*

Nie do ukrycia  
że Bóg mękę i krzyż zmógł  
miłością życia

\*

W asyście księży  
kto się lęka ten klęka  
albo się pręży

\*

Ci najwierniejsi  
fani odkryli pani  
jej nowe piersi

\*

Drogą perswazji  
teraz Rosja dociera  
narody Azji

\*

Wszystko przez Chama  
że nago łażą plażą  
w stroju Adama

\*

Chłop nie ma plonu  
zboże o Boże wpadło  
w oko cyklonu



Kolaz  
Irena Nyczaj



światło słońca rozrywa pieśń  
łatwo jest odebrać nadzieję

## Przyjaciel

Uwierz kochany chłopaku  
że wszystko nie jest prawdziwie proste  
że wymyśliłeś mnie w złej godzinie  
że spróbuję zrozumieć więcej  
i unieść swoje wątpliwości

Proszę niech tak pozostanie  
przyjaciel zawsze może powiedzieć nie  
nie walczę z losem co nie krzywdzi mnie

Cokolwiek zrobię będzie źle  
nie chcę płakać za sumienie  
za codzienność co nie ma dna  
za ciebie gasić światła

Więc niech tak pozostanie

## Wyraz

Takie są nasze tajemnice  
jakie ja  
mam dziś wspomnienia  
tak jak dawniej otwarte i dojrzałe  
gdy płaczę po co masz słyszeć  
tobie nie opowiem że się boję  
że coraz częściej milczę  
i rozmawiam z ciszą  
nie przeszkadzaj proszę  
potykam się o własne słowa  
i nie jestem w stanie odczytać  
wydarzeń z twojej twarzy  
jest jak papier bez wyrazu  
kamienne serce tkwi w tobie  
nie widzę sensu życia  
o chwilę dłuższą niż miłość

## Nadzieja w tle

Już wiem że jutro będzie dziś  
że pójdę pustą ścieżką  
cisza zagłuszy krzyk  
oddech ziemi już nie mój  
w marzeniach które niosę  
ciemne tło

Gdy wielką sztuką jest żyć  
tak trudno odmierzyć swój czas  
gdy nie można mieć wszystkiego  
tak łatwo z człowieka kpić

## W miłość uwikłani

W modlitwie chaos moich myśli cichnie  
O co mam prosić Stwórcę o godne życie  
Gdy ono pełne już tylko zmęczenia  
O chwilę by dłuższa była niż mgnienie  
O drogę na której wygaśnie piekło ziemi  
A ja wątłymi słowami powitam pielgrzymia  
I pójdziemy razem gdzie jedna strona nieba  
Gdzie nie ma innych – ani inności winnych  
Tylko wszyscy w miłość uwikłani

## Płonać

*Elżbiecie Sitnickiej*

Jakże cudownie jest żyć gdy  
W rozmowie płonie miłość  
Umieć w ciszy jej zazdrościć  
Umieć dotykać jej głębi  
Podążać za nią  
Niewidzialnym śladem

## Los

Dał mi los wiele wad  
pusty wielki wóz  
siedem milczących gwiazd  
kamień zimniejszym spodem  
przytulony  
miłość co może zranić  
ufność co może zaszkodzić  
i życia niepewność  
tętnem serca mierzoną

**Fikołki**

niebo pokruszyło się  
i opadło na dno rzeki  
zaplątane w wodorosty  
wybrzusza błękitne górotwory

ryba łapie zdumione oddechy  
pomiędzy różnymi stanami skupienia

wielki ptak wylatuje z wody  
dziobem przecina szare tło kosmosu

bliźniaczym okiem ryba i ptak świdrują  
centrum aktu

planety nanizane jak koraliki  
przesypują się nad horyzontem  
omijają dostojnego nielota  
który na szczudłach przecina wodoląd  
i obserwuje z boku

fikołki wszechświata

**Alter ego**

co bardziej realne

czy drzewo  
przynależne niebu  
żywiłowe w prostych modłach  
wybijałe soczystym zapewnieniem  
pogodzone z łamliwością ramion  
i kaprysami pór roku

czy drzewa cień  
który dotyka stóp  
gładzi ramiona  
czoło ubiera w relikwie  
lecz pozostawia toksyczne drzazgi  
ciemnymi smugami pokrywa  
nasłonecznione wrzosa  
dławiając śmiech

sięga głębiej

na orbicie namacalnej skończoności  
noszę garsonkę na miarę  
niczym embrionalną muszlę

kieszonka na serce  
z postrzępionym ścięciem  
pulsuje układem krwiopoetyckim  
w rękawy upchane daty kwaśne jabłka  
między szwami chilli miodne wrzosa  
godzę sprzeczności w plisach tkaniny  
wiatrochron stroszę z kołnierza

płynna geometria ciała  
projektuje przestrzeń  
otwieram ramiona  
na odgłos pękającej skorupy

ślimaczy dom  
pełźnie za mną  
po doczesnej trajektorii

**Zmiana dekoracji**

ostatnią łzę releguje balonem  
w niepowroty  
dokuczliwe obrazy zamroziła w szczelinie  
do której już nie zajrzy

wyczulona na znaki  
okazuje wdzięczność  
i z radością wita nowe rekwizyty

pastelowe szczyty wykluwają się nieuchronnie

w podróż zabierze uważność  
i wiatr do wygładzania myśli

**Motyl nie boi się latać**

nauczony mozolnego pełzania  
nie zna fenomenu skrzydeł

odcina się od świata  
budując klasztor  
na krawędzi liścia  
a kiedy kończy mantry  
po prostu frunie

to wielkie męstwo  
szybować w przestworza

Julia tworzy własne mandale  
nie przeczuwa że jest aniołem  
ograniczenia odcinają od nieba

Danuta Perier-Berska

### „13” to dla Joasi Rzodkiewicz szczęśliwa cyfra

Nawet patio restauracji „Pod Katarynką” było przychylne, użyczając miejsca dla poezji Joanny Rzodkiewicz. W jesiennych klimatach, pod gołym niebem, zgromadzili się przyjaciele, znajomi i miłośnicy jej poezji. Joasia to osoba pełna serdeczności, obdarzona ujmującym uśmiechem. Na zaproszenie autorki przyjechali na krakowski Kazimierz Joanna Babiaryz i Janusz Szot (małżeństwo) z Nowego Sącza oraz Leszek Lisiecki z odległego krańca Polski – Skwierzyny. Zaprzyjaźnieni z nią od lat poeci i wykonawcy poezji śpiewanej urozmaicili spotkanie przygotowanym przez siebie repertuarem (m.in. piosenkami do tekstów bohaterki spotkania, własnych oraz B. Leśmiana).

Przepytana profesjonalnie przez prowadzącą spotkanie Beatę Annę Symoń poetka przybliżyła nam swoją twórczość, nie zapominając wymienić tych, którzy stanęli na tej drodze w odpowiednim dla jej rozwoju poetyckiego miejscu i czasie. Wspomnienia same nasuwały się autorce przy prezentacji wierszy ze swoich pierwszych tomików. W tym roku poetka obchodzi dwudziestolecie pracy twórczej. To piękny dorobek, oby chęć tworzenia, na równi z inspiracją odkrywania świata, wydała kolejne owoce w postaci nowych tomów, czego z całego serca jej życzę.

Nie omieszkałam dodać, że gościnne progi restauracji „Pod Katarynką” przy ul. Brzozowej 15 kolejny już raz nie zawiodły naszych oczekiwania i za to serdeczne przyjęcie, żegnając się z publicznością, dziękowała Joasia Rzodkiewicz i prowadząca spotkanie Beata Anna Symoń gospodarzom restauracji pani Wioletcie Jaros-Cichoń i jej mężowi Markowi.

Joanna Babiaryz i Janusz Szot

jedynie w snach unosi się nad ziemią

lecz nadal nie wie co czuje motyl  
który bezgranicznie ufa Bogu

Joanna Rzodkiewicz



Beata Anna Symoń prowadzi spotkanie z Joanną Rzodkiewicz w krakowskiej restauracji „Pod Katarynką” (13.09.2017)



Obraz Doroty Cieślik – inspiracja dla wiersza *Fikołki*



## Kot

Zaczęło się od odrętwiałych, ślamazarnych poranków. Budziła się około siódmej, ale na myśl o opuszczeniu łóżka chciało się jej krzyżeć. Po upływie godziny wstawiała i z zaciśniętymi zębami wkomponowywała się w rytm dnia. Potem było coraz gorzej. Przeciągała czas wstawania do kilku godzin. Po kilkuminutowym pobycie w łazience pośpiesznie wracała do łóżka jak do bezpiecznego schronu. Podciągała kołdrę pod brodę, próbując odgradzić się jej ciepłym kokonem od pełnących ze wszystkich stron lęków. A przecież tylko pozornie płynęły ze świata zewnętrznego. Wykluwały się w niej samej. Po pewnym czasie zmuszała się do przyjęcia pozycji półleżącej. Włączała telewizor i błędziła palcami po przyciskach pilota. Mechanicznie i obojętnie przesuwała kolejne obrazy, nie zatrzymując się dłużej przy żadnym z nich. Potem znów zanurzała się w ciepłe kołdry, czasem przysypiała. Około dziesiątej, pokonując niechęć do wszelkich form aktywności, wychodziła z łóżka. Zjadała skromne śniadanie w postaci jednej kanapki, gdyż nie mogła przełknąć niczego więcej. Jedzenie rosło jej w ustach. Potem snuła się po domu w podomce zarzuconej na nocną koszulę, próbując wyłonić z codzienności coś, co sprawiłoby jej przyjemność. Nadaremnie. Kiedyś lubiła wracać do dawnych lektur. Teraz tylko bezmyślnie obracała w dłoni zdjętą z regału książkę, po czym odkładała ją na miejsce. Podobny los spotykał albumy z fotografiami. Wyciągane z szuflady, po chwili lądowały w jej mrocznym wnętrzu. Mrok. Najczęściej towarzyszył domowym zakamarkom, takim jak szuflada czy czelusć otwartej szafy, ale czał się także za oknem, wywołując paroksyzm lęku. Dawał się odczuć nie tylko w niepogodę, ale też w słoneczny, podekscytowany urodą natury dzień. Stawała za firanką, próbując ogarnąć świat dawnymi oczami. Nie mogła. Pejzaż z dorodnymi drzewami owocowymi jakby się skurczył, pociemniał, stracił wyrazistość. Miała wrażenie, że jej pole wzrokowe uległo ograniczeniu, zwężeniu. Około południa brała prysznic, zmuszając się ze wstrętem do czynności higienicznych. Potem ubierała się i siedziała przy stole w kuchni, przytłoczona melancholią. Odczuwała ją także fizycznie. Była jak zła akupunktura, kłusająca ułtuciami całe jej ciało, nie dając nadziei na wyzdrowienie. Istnienie bolało

niczym otwarta rana, którą ktoś okrutny posypywał kryształkami soli, dozowanymi systematycznie i skrupulatnie. Dopiero około piętnastej odczuwała pewną ulgę. Przygotowywała sobie prosty obiad. Czasem sprzątała swoje trzy pokoje z kuchnią, uruchamiała pralkę automatyczną. Co kilka dni zmuszała się do wyjścia do sklepu. Zdarzało się, że ktoś przychodził. W krytycznej porze przyjmowała rzadkich gości w podomce i, zaciskając zęby, uśmiechała się, częstowała herbatą jakby nigdy nic. Mówiła, że chwilowo poczuła się źle, ale tak w ogóle to nic jej nie jest. O dobrym stanie swego zdrowia zapewniała przez telefon przebywającą w Szwecji córkę i siostrę z Krakowa. Od kilku miesięcy nie miała kontaktu wizualnego z bliskimi. Korzystali z tradycyjnych telefonów, a podczas burzy spalił się jej niewyłączony z sieci komputer, więc nie mogła widzieć się z rodziną za pomocą Internetu. Ociągała się jednak z zakupieniem nowego sprzętu elektronicznego, bo na myśl o przygotowywaniu się do nieomal bezpośrednich kontaktów z najbliższymi wprawdzie, ale mogącymi zauważyć zmiany w jej wyglądzie osobami, przeszywał ją tępy ból zniechęcenia. Wieczory były całkiem znośne. Naturalny zmierzch nie wywoływał lęku. Jego czerń ciepło i łagodnie przyprószała świat, owijała obolałe nerwy bandażem ukojenia. Melancholia i poczucie splątania chowały pazury. Władzę nad domem przejmowała kojąca normalność. Kolacja, program telewizyjny, książka łudziły obietnicą pogodnego jutra. Niestety. Ponury poranek wyciągał po kobietę swe obezwładniające macki, lwią część dnia była prawie skasowana.

Ludzie musieli coś jednak zauważyć, bo pełna niepokoju Lucyna złożyła matce nieplanowaną wizytę. Ni stąd, ni zowąd powiadomiła Teresę, że za kilka dni będzie w kraju. Dobrze, że nie przywozła ze sobą Ali i Piotrusia. Teresa kochała swe dwujęzyczne wnuki, chociaż czasami wkradało się w jej świadomość poczucie obcości. Jakby nie były tak do końca swoje, prawdziwe. Teraz, kiedy świat odpychał ją od siebie, nie zniostaby ich obecności. Kiedy żył Sławek, razem fetowali pobyt dzieciaków w kraju, organizowali im rodzinny raj, planując zestaw atrakcji na każdy dzień. Zwłaszcza odkąd zostali emerytami, podejmowali wnuki po królewsku, hojnie dysponując wolnym czasem. Nauczyciel matematyki w technikum i główna księgowka w urzędzie gminy mieli powody, by cieszyć się z życiowych osiągnięć, kształtować idylliczną wizję wspólnego trzeciego wieku. Przyszłość córki

lekarce i zięcia z tej samej profesji nie budziła obaw. Pełna energii i optymizmu Teresa nie dopuszczała do siebie myśli, że coś może nagle zburzyć porządek i bezpieczeństwo jej istnienia. Śmierć nie była sentymentalna. Po odejściu Sławka nawet miłość do córki i wnuków stała się inna, bo nie była już dzielona z kimś najbliższym, podobnie czującym. Nad wszystkim, co stanowiło ich uczuciową wspólnotę, rozciągnął się cień smutku.

– Ale schudłaś, mammo! – przeraziła się Lucyna na widok matki. – Musimy wybrać jakiegoś dobrego lekarza. Mów, tylko szczerze, co ci jest, bo ja się domyślam, ale to chyba nie będzie mój obszar...

Psychiatra postawił diagnozę. Depresja. Wyписаł leki. Lucyna przez tydzień troskliwie zajęła się matką, jednak obowiązki rodzinne i zawodowe upominały się o swoje. Teresa przyjmowała leki. „Asertin” nie wywołał jednak błyskawicznej rewolucji w jej psychice. Poranki i godziny przedpołudniowe były nadal półzaczadzone, naszpikowane kolcami lęków. Za oknami dojrzałe lato wyciągało do niej ciepłe, szczodre dłonie, a ona zaszywała się w chłodzie i półcieniu mieszkania, rezygnując nie tylko z wycieczek, do których zachęcały ją koleżanki, ale nawet z leżakowania pod ulubioną barczystą gruszą w ogrodzie. Któregoś dnia, kiedy z przymusu jadła w kuchni swoje małe śniadanie, usłyszała dobiegające sprzed frontowych drzwi domu przeraźliwe miauczenie. Morduje kto tego kota czy co... – pomyślała i zmusiła się do włożenia kolorowej sukienki, chociaż nie był to jeszcze czas jej codziennego ubierania się. Przewinęła się przez ciemnawy korytarz, otworzyła drzwi. Słońce bryzgnęło jej w oczy gorącymi falami światła, aż się wzdrygnęła i chciała wrócić do mieszkania. Jednak miauczenie nasiliło się. Zobaczyła wlepione w nią błagalnie zielone ślepie. Czarno-białe futerko bez połysku, rozpięte na zaznaczających się pod nim kościach, było świadectwem nędzy i wyniszczenia zdesperowanego gościa.

– Poczekaj no, kiciu, poczekaj – powiedziała poruszona. Weszła do kuchni. Wyjęła z lodówki spory kawałek chudego, smakowitego boczk. Wkrótce kot z pośpiechem pałaszował swoje śniadanie na najwyższym stopniu schodów. Pomyślała, że może chce mu się pić, bo przecież jest gorąco. Napełniła mlekiem drugi szklany spodeczek.

– Niby teraz mówią, żeby mleka nie dawać – mruzczała do siebie – ale przecież dawniej koty odżywiały się głównie mlekiem i tym, co upolowały. Chyba mu nie zaszkodzi.

Kot zjadł boczek, wyżył mleko, ale gdy chciała go pogłaskać, czym prędzej zeskoczył ze schodów i zwiął za ogrodzenie, znikając na poletku czarnej porzeczeki, położonym za dróżką ciągnącą się obok oddalonego od szosy domu Teresy.

Odtąd przychodził codziennie. Miauczał przeraźliwie, sygnalizując swoje przybycie. Powoli oswajała się z tymi wizytami i przygotowywała się do nich, przebudowując dawny harmonogram dnia. Częściej wychodziła do sklepu, bo należało gościowi zapewnić karmę na kolejne dni. A wcinał z apetytem. W markecie nie brakowało torebek z kocimi galaretkami i suchymi rarytasami. Komponowała też dla niego tradycyjne menu: boczek, kiełbasę, czasem skrawki szynki. Zauważyła, że wychodzenie do sklepu stało się dla niej mniej przykre, a czasem wywoływało nawet dreszczyk emocji, kiedy pomyślała o wyszukiwaniu na półkach smakołyków dla ulubieńca. W jej domu od wielu lat nie było kota. Preferowali z mężem psy. Odkąd padł dziesięcioletni labrador Tytus, a stało się to wkrótce po śmierci Sławka, Teresa nie zdecydowała się na adopcję następnego psa. Bała się, że może pieska nie da się wychować, że zwierzę przedwcześnie zakończy swoje życie, co będzie dla niej kolejnym ciosem po odejściu najbliższego człowieka i ulubionego stworzenia. Lęk przed kolejnym atakiem śmierci był zbyt silny. A teraz skonstatowała, że wtargnięcie w jej życie drobnej, pozornie nic nieznaczącej istoty zaczęło przebiegać paraliżujący ją pancerny zubożenie, stagnacji, ośpienia emocjonalnego. I działało się to poprzez samo zaistnienie potrzebującego jej pomocy kota. Nie robił przecież niczego, aby się jej przypodobać. Nawet po wielu wizytach nie dawał się pogłaskać, chociaż palce Teresy coraz mocniej pragnęły kontaktu z jego miękkim, teraz już połyskującym jak czarno-biały welur futerkiem. Wciąż pośpiesznie zjadał podane mu smakołyki, wypijał mleko (w wodzie nie gustował), po czym natychmiast wycofywał się z pachnącej jakakolwiek intymnością sytuacji. Czasami trochę zwlekał z odejściem. Pocierał łebkiem o murek przylegający do prawego boku schodów, owijał się wokół podstawy barierki. Potem z wdziękiem akrobaty przemykał przez podwórko. Teresa opierała się na barierce, by go śledzić. Przystawał przy siatkowej ścianie przylegającego do domu ogródka, ostatnio zaniedbywanego przez gospodynię. Przez chwilę bawił się gałązkami przeciskającej się przez oka w siatce drobnej wisienki, wreszcie znikał w porzeczkowych chaszczach. Teresa zastanawiała się, dlaczego wybierał martwe obiekty do wyrażania

swej kociej czułości. Pewnie dlatego – odpowiadała sobie w duchu – że one nie żądały od niego niczego w zamian. Nie czyhały na jego miłość i nie pragnęły ograniczać jego wolności. Gwarantowały mu nie-naruszalność kociego świata samotnika i włóczęgi. Któregoś dnia minęła zwykła pora miauczenia, a on nie miauczał. Zaniepokojona wystawiła głowę na dwór. Był. Siedział na tylnych łapkach i wlepił w nią zielone latarenki oczu. Uradowana, zakrzętała się wokół kociego posiłku. Tym razem jadt powoli, a potem oddalił się z ociąganiem. Odtąd miauczał rzadko. Widać nasycił się już swą sytuacją pożądanego gościa, nabrał pewności siebie. Zjawiał się nadal codziennie, choć nie zawsze punktualnie. Zmuszało to Teresę do wychodzenia na dwór i oczekiwania na ławeczce na podopiecznego. Celebrowała w duchu to oczekiwanie, jakby była Lisem spodziewającym się ujrzeć Małego Księcia. Z ulgą zauważyła, że późnoletnie słońce przestaje być jej wrogiem. Jego dotyk był łagodny, blask nie drażnił. Najeżony świat poza mieszkaniem stał się nieomal przyjazny, obiecujący. Czasem kot pojawiał się na podwórku Teresy także po południu. Zdarzało się, że zawracała z drogi do sklepu, by przygotować zwierzątku podwieczorek. W dżdżyste dni podejmowała próby zwabienia kotka do domu. Uciekał się wówczas do alarmującego miauczenia, chcąc przywołać gospodynię w mokry czas. Nie łamał jednak swych zasad. Połykał posiłek pod osłoną rozpiętego nad schodami daszka i uciekał szybciej niż zwykle, nie reagując na zapraszające „kicanie” opiekunki.

Tego dnia było wyjątkowo ciepło i ładnie. Teresa siedziała na ławce w swej ulubionej sukience – błękitnej w białe grochy – i niebieskich balerinach. Nawet zdobyła się na lekki makijaż. Nie wiedziała, czy wystroiła się dla kota, czy może po to, by fetować słoneczny dzień, a może jeszcze dlatego, że jakiś przechodzień ją zobaczy, pozdrowi, uśmiechnie się przyjaźnie. Dziwiła się tym odczuciom, które wydawały się jej jakieś nowe, jakby nigdy wcześniej ich nie doświadczała. Przyszedł. Spojrzał na nią wyczekująco i cicho miauknął. Wyniosła z domu spodeczki z jedzeniem i piciem. Kiedy się posilał, przykucnęła na stopniu schodów, a potem pośpiesznie przejechała dłonią po kosmatym łebku i ciepłym od słońca grzbiecie. Nie przerwał konsumpcji. Powoli i ostrożnie, by go nie sproszyć, dotarła do stojącej nieopodal schodów zbitej z żerdeł ławki. Najadł się i napił, ale nie odchodził. Kilka minut poświęcił toalecie z użyciem łapki i języka, po czym rozciągnął się na murku pod barierką ze spokojem i godnością

turysty bawiącego w nadmorskim kurorcie. Teresa uśmiechnęła się. Oparta o poręcz ławki, przymknęła oczy, by delektować się ciepłymi muśnięciami słonecznych promieni oraz leciutkim masażem wiatru, który nagle ujawnił swą obecność. Kiedy podniosła powieki, czworonożny plażowicz nadal pogrążał się w błogostanie wypoczynku.

– Kici, kici, kici – wyszeptwała nieśmiało, z niewiarą w powodzenie zaklęcia.

Podniósł głowę.

– Kici, kici, kici – odezwała się głośniej.

Poderwał się z murku jakby zaniepokojony, ale nie uciekł. Podszedł do ławki, wbił pazurki w jej żerdziowane podłoże i wylądował na chyba nieco dla niego niewygodnej powierzchni. Niezrażony dyskomfortem, rozciągnął się tuż obok otulonego bielą i morskim błękitem uda swej pani.

– Kiciuś, jak chcesz mieć na imię? – Teresa próbowała nawiązać dialog z futrzakiem, głaszcząc coraz śmieiej czarno-białe pole kociego boku. Leniwie wymamrotane „miau” było jedyną odpowiedzią na jej umizgi.

– Może „Melon”, co? Słońce jest dzisiaj jak melon – powiedziała, delikatnie drapiąc kota pod brodą. – Chyba mi zupełnie odbiło – mruknęła jeszcze, chichocząc jak podlotek. Patrzyła na odzyskany świat, jakby w swym mocno dojrzałym wieku zobaczyła go po raz pierwszy. Zielone jeszcze liście na drzewach rosnących za porzeczkową miniplantacją furkotały jak drobniutkie proporczyki. Po szklistym lazurze nieba ślizgały się białe obłoki przypominające stada dzikich gęsi, które szykują się do odlotu. Świat jest dzisiaj jak skrzypce, po których złotym smyczkiem przeciąga słońce – pomyślała, przypominając sobie, że w młodości pisała wiersze, a później ukończyła prozaiczne studia ekonomiczne, po których podjęła prozaiczną pracę. Przypomniała sobie również słowa lekarza, ostrzegające ją przed perspektywą depresji jesiennej, lecz zdusiła w sobie lęk. To paradoksalne, ale ja zdrowieję właśnie teraz – myślała, chłonąc pyszne barwy świata, które muszą wkrótce ustąpić miejsca szaroburości, a potem czerni i bieli. Ale wtedy w jej domu na dobre rozgościł się kot. A może kocie kolory na zewnątrz pomogą jej skryzalizować poczucie bezpieczeństwa... Miała ochotę jeszcze raz wygłaskać futrzaka, jednak cofnęła dłoń. Uświadomiła sobie, że nie powinna osaczać zwierzątko zaborczością. Przecież koty kochają wolność i rozległe terytoria – pomyślała.

*Danuta Skalska*

## W pogoni za szczęściem

Moja córeczka była wymarzonym dzieckiem. Pamiętam, jak siedzieliśmy z mężem pewnego pięknego dnia w lesie, na skarpie i patrzyliśmy na urokliwy krajobraz nad rzeką Kamienną. Nadal mam ten obraz w oczach. Byłam w zaawansowanej ciąży i mówiłam głaskając wydatny już brzuszek.

– Wiem, że na pewno urodzi się nam dziewczynka. Będzie miała blond włosy i niebieskie oczy – marzyłam. – Będzie piękna i przez wszystkich kochana.

Jednak na jej urodziny, jak się później okazało, nie bardzo byłam gotowa. Była upragniona, ale ja dopiero rok temu skończyłam maturę i sama byłam jeszcze trochę dzieckiem. O niemowlętach wiedziałam tylko tyle, że trzeba je tulić i całować. Od początku stałam się matką nadopiekuńczą. Poświęcałam jej cały swój wolny czas, zawładnęła mną absolutnie. Dawałam z siebie wszystko. Jej uroda zniewalała ludzi. Gdy patrzyłam na nią, czułam w sobie ocean miłości. Rozpieszczałam ją bardzo. Musiała być najmodniej ubrana, kupowałam dla niej tylko najdroższe rzeczy i modne gadżety.

Mała Anetka potrafiła sobie okręcić wszystkich wokół małego palca. Zachwycali się nią sąsiedzi oraz bliższa i dalsza rodzina. Miała dużo szczęścia. Zawsze dostawała to, czego chciała. Była naszym małym skarbem i całym światem... [...]

Tak nam się w życiu ułożyło, że córka została jedynaczką. Wiązaliśmy z nią duże nadzieje.

Mijały lata i teraz właśnie skończyła maturę. Przeżywała pierwsze miłosne rozczarowanie. Zerwanie kontaktów ze swoim chłopakiem okazało się prawie niemożliwe i było bardzo bolesne. Przeżywałam cierpienie razem z nią. Współczułam jej i ją wspierałam. Nie chciała dłużej tutaj mieszkać, więc żeby szybciej zapomnieć postanowiła wyjechać gdzieś daleko, najlepiej za granicę. Wybrała Włochy. Pomogła jej w tym koleżanka. Obiecała załatwić pracę w Rzymie. Próbowaliśmy ją powstrzymać, ale na próżno. Gdy się pakowała, miałam złamane serce, a ona nadzieję na jeszcze lepsze życie niż w rodzinnym domu. Bałam się o jej dalszy los panicznie. Teraz wszystko mogło się zdarzyć.

Na początku rozmowy telefoniczne były sporadyczne. Nie było telefonów komórkowych, więc kontakt był utrudniony. Kiedyś zadzwoniła bardzo późnym wieczorem z automatu na ulicy. Słychać

było wyraźnie szum przejeżdżających aut. Poczulałam się irracjonalnie. Tak jakbym się przeniosła w przestrzeni i w czasie. Ja tam przez chwilę z nią byłam. Słuchałam tego, co mówiła, jakbym przeczytała o jakiejś dziwnej opowieści i ją sobie teraz właśnie wyobraziłam. Widziałam nawet wyraźnie, jak stoi w budce telefonicznej, płacze i jest cała roztrzęsiona, ale najgorsze było to, że nie mogłam jej pomóc. Moja niemoc była przerażająca, tym bardziej że byłam świadoma rychłego końca rozmowy i urwania się tego nierealnego, choć prawie fizycznego połączenia. Na chwilę umarło mi serce, ale chciałam ten moment zatrzymać... Byle tylko słyszeć ją i mentalnie widzieć... Przez cały czas był we mnie lęk przed utratą jakiejś części siebie... Iluzja się szybko skończyła. Pozostało we mnie drżenie w dźwięku tego głosu na zawsze. Mam wciąż w sobie tamte urywane słowa. Zachwył mieszał się w nich z rozpaczą.

– Mamo, tu jest bardzo pięknie. Mieszkam w książęcym pałacu i czuję, jakbym chodziła po muzeum. Ale czasem o tym zapominam... Mam ciągle dużo pracy. Opiekuję się trójką dzieci w różnym wieku, a wiesz, że nie mam żadnego doświadczenia. Porozumiewam się ze wszystkimi po angielsku. Właścicielka bardzo się ucieszyła, że znam ten język i że mówię w nim do jej dzieci. Pracodawcy obydwój są ze mnie bardzo zadowoleni, chcą mnie zatrzymać na stałe, ale ja nie wiem, ile wytrzymam... Jestem bardzo zmęczona i niewyspana, bo wstaję też w nocy do najmłodszego dziecka. Utulam je, gdy płacze i czekam dotąd, aż zaśnie... Codziennie wieczorem padam z nóg. Więc rozumiesz, dlaczego mnie nie cieszy piękny wystrój tego ogromnego domu ani wypielęgnowany ogród. Przebiegam obojętnie wzrokiem po obrazach przodków w marszczonych krynolinach. W holu ze złością omijam ich popiersia na marmurowych podestach. Jest higroskopijna czystość. Oprócz mnie są sprzętaczki i lokaje. Właściciele są bardzo grzeczni, ale wykorzystują nas bez litości. Zapisali mnie na kurs języka włoskiego. Cieszę się z tego, ale nie mam w ogóle czasu na naukę... Tylko do południa jest trochę luźniej, jak zawiozą starsze dzieci do szkoły, a ja z najmłodszym wychodzę na spacer. Łapię oddech, poznaję w pobliżu miasto.

Gdy skończyła mówić, długo nie mogłam wyjść z szoku. Żal mi było, że tak ciężko pracuje, ale cieszyłam się też, że jest taka dzielna – moja mała córeczka tak szybko wydorosła – myślałam i podziwiałam. Strasznie za nią tęskniłam, ale wciąż byłam dumna. Im więcej czasu upływało, tym bardziej narzekała, ale o powrocie nie chciała słyszeć. Była pewna, że jakoś da sobie ze wszystkim radę. Ja wciąż się o nią martwiłam. Mówiła, że dzieci jej nie słuchają, bo są wychowywane bezstresowo, nie bardzo więc może je strofować czy upominać. Pewnego dnia zwierzyła mi się tajemniczym głosem, że poznała na wykładach zjawiskowego mężczyznę.

– Amar jest wysokim, bardzo przystojnym i romantycznym facetem z wielkimi czarnymi oczami, ale jest Egipcjaninem muzułmańskiej wiary... – mówiła. – Codziennie przed wykładem na moim biurku leży czerwona róża, i on przyznał, że to od niego, i ciągle uśmiecha się do mnie zalotnie... Ma na sobie pełno złota, więc na pewno jest bogaty. Chyba jest nieśmiały, ale wczoraj podszedł i powiedział po angielsku, że jestem piękna i zaproponował mi spacer. Grzecznie odmówiłam...

Zanim skończyła opowiadać, krzyknęłam:

– Nie! Cóрко, proszę cię, tylko nie to... Nie wierz mu i go nie słuchaj... On mógłby cię wywieźć do swojego kraju i może musiałabyś wyrzec się nas rodziców i swojej wiary... Tacy mężczyźni zniewalają kobiety! Miewają po kilka żon, więc nie możesz być pewna tego, co on o sobie mówi!

– Nie martw się, mamo – odpowiedziała spokojnie. – Nie pozwolę mu się uwieść ani skrzywdzić, nie jestem naiwna i aż tak głupia.

Potem nie dawała znaku życia ze dwa tygodnie. Odchodziłam od zmysłów, nie wiedziałam, czy się z nim spotyka. Już się zastanawiałam, co mam zrobić w takiej sytuacji, jak zacząć jej szukać. Nie jadłam i nie spałam. Nie chciałam z nikim rozmawiać, bałam się, żeby nie płakać. Pewnego dnia zadzwoniła. Powiedziała tylko, że uciekła od tamtych ludzi z pałacu i że bym się nie martwiła, bo mieszka z Polakami. Zadzwoni, jak znajdzie pracę i trochę się urządzi. Cóż, nie miałam wyboru, postanowiłam cierpliwie czekać. Trochę się uspokoiłam, ale nadal co wieczór odmawiałam długie modlitwy, a w dzień popłakiwałam po kątach. Zaczęłam też coraz częściej chorować. Po upływie dłuższego czasu znów się odezwała. Powiedziała, że możemy dzisiaj porozmawiać dłużej i opowie mi, co się wydarzyło.

*Małgorzata Anna Spychaj*

## O książce Kazimierzy Szczykutowicz pt. *Poezja profiluje człowieka*

Prezentowana książka porusza ważne aspekty rozwoju człowieka, poprzez słowa poezji, modlitw i pieśni patriotycznych, uwrażliwiając na rolę myślenia refleksyjnego. Tego rodzaju myślenie jest bowiem wyjątkowo słabo rozwijaną umiejętnością np. w dzisiejszych szkołach, a tak bardzo istotną w życiu każdego człowieka. Autorka posługuje się przy tym zarówno własnymi wierszami, dając je jako przykłady, jak i wybranymi wierszami innych, znanych szerokiemu gronu czytelników poetów.

Książka jest obrazem szerokiego oddziaływania poezji na przeciętnego czytelnika, ukazuje jej bogaty wachlarz możliwości, jeśli pozwolimy, szczególnie młodzieży, na szeroki z nią kontakt.

Książka jest o tyle interesująca, że pisana jest prozą przez poetkę. Ujawnia się to zarówno w jej poetyckim często języku prozy, używaniu metafor, dzieleniu się środkami jej wyrazu i pokazywaniu drogi jej powstawania w niej samej. Autorka dzieli się też własnymi doświadczeniami prezentowania swojej poezji uczniom w szkołach





czy na spotkaniach autorskich. Szczególnie wtedy, w trakcie tych indywidualnych kontaktów, poetka stara się pobudzić słuchaczy do refleksji, prowokuje też dyskusję przez zadawanie pytań – zawartych często już w wierszach i pisanych wierszowanych bajkach. Tym samym poddaje pod rozagę słuchaczy usłyszane strofy, daje im szansę na wypowiedzenie się w kwestiach własnego ich odbioru i indywidualnej interpretacji.

Zaprezentowany przez Autorkę szeroki wybór publiczności lub potencjalnych odbiorców w sposób wiarygodny unaocznia to, co poetka pragnęła osiągnąć, pisząc tę książkę – „profilowanie człowieka”.

W moim przekonaniu Autorka wykazała, jak ważny jest kontakt z poezją każdego człowieka, prowadząc do poszerzania jego świadomości, budowania skojarzeń z własnym doświadczeniami, pobudzania jego wyobraźni, tworzenia metafor, wreszcie kontaktu z własną sferą kreatywności. Dokonuje się to chociażby poprzez żywy kontakt z Autorką i jej rzemiosłem twórczym. Daje to też „lustro” wewnątrz siebie, rezonans, poprzez budzenie tych przestrzeni w sobie, które są przecież związane z własnymi wartościami, dostrzeganiem drugiego człowieka i otoczenia, dbałości o nie.

Poprzez wielość środków wyrazu Autorka budzi do rozwoju pełni człowieczeństwa w człowieku, wydobywając z niego to, co ludzkie, prawdziwe, dobre, szczerze. Dzięki temu np. młody słuchacz czy czytelnik uruchomi w sobie proces własnego rozwoju, stawania się w pełni człowiekiem, z jego wrażliwością na innych i otoczenie. Będzie w stanie, poprzez odbicie w „lustrze” – rezonować poprzez siebie, tworząc sam środek własnej ekspresji, ofiarowując go światu w służbie innym.

Książka pokazuje wyjątkową wrażliwość poetki, która zajrzawszy w swoje wewnętrzne „lustro”, opisała swój proces tworzenia poezji, która „uprofilowała” ją samą na to, co jest ważne w życiu każdego człowieka.

Zachęcam do sięgnięcia po tę istotną dla rozwoju każdego człowieka lekturę.

Ewa Danuta Białek

Kazimiera Szczykutowicz, *Poezja profiluje człowieka*, Wydawnictwo Poligraf, Brzezia Łąka 2017, s. 136.

## IX plener literacki w Międzywodziu (17–31 sierpnia 2017)

Tegoroczne spotkanie zgromadziło ponad dwudziestu piszących z różnych regionów Polski. Podstawową formą zajęć były spotkania autorskie, które w tym roku prowadziła znana poetka Alicja Patey-Grabowska. Wprowadzono też do programu wykładów literaturoznawczych, które miałem zaszczyt zainaugurować podejmując temat: „Poezja współczesna – dylematy z odbiorem i edukacją”.

Piotr Dumin z Warszawy – poeta, krytyk o sporym i uznanym dorobku – przedstawił swoje wiersze z dwu ostatnio wydanych tomików. Szczególne zainteresowanie wzbudził tom *Zmieniamy się w aniołów*, zawierający wiersze dotąd niepublikowane.

Ewa Dumin z Warszawy – dziennikarka i redaktorka, przeczytała fragment debiutanckiej powieści z kluczem pt. *Zamknięci w klatce*, która ukazuje w bardzo krytycznym świetle warszawskie środowisko dziennikarskie.

Wystąpiły poetki: Irena Grabowiecka i Grażyna Cylwik (obie z Białegostoku) oraz Krystyna Henczel (Poznań) i Hanna Fołtyn (Warszawa). Wszystkie mają za sobą kilka wydanych książek poetyckich, a Irena Grabowiecka również publikacje krytyczne w formie recenzji i wprowadzeń do tomików.

Poetki z Warszawy: Irena Łukszo, Maria Celej – o pokaźnym dorobku, znane już z wielu plenerów i debiutantka w wieku senioralnym – Antonina Marcinkiewicz, która swój dorobek literacki (wiersze, humoreski, opowiadania) zgromadziła w tomiku o wyraźnie zaznaczonym w tytule przesłaniu: *Człowiek śni o miłości*. „Tosia” podbiła publiczność swoimi monologami estradowymi, znakomicie aktorsko wykonanymi, których bohaterką jest „statystyczna wdowa na emeryturze”.

Debiutantka – Ewa Bułgajewska-Grygiel (Olsztyn) zebrała swój życiowy dorobek poetycki w książce o tajemniczym tytule *Ucieczka Bezgrzesznej*.

Ewa Blicharz (Opole) i tym razem zaprezentowała swoje erotyki z tomiku o obiecującym dla zainteresowanych tytule *Czarownica w sypialni*. Książeczka starannie wydana, z interesującą okładką i kilkoma reprodukcjami wewnątrz.

Teresa Ostrowska (ze Świętokrzyskiego) sugestywnie zaprezentowała urokliwe książeczki dla dzieci, zawierające wierszyki inspirowane autentycz-

nymi sytuacjami, kiedy to wnuczeta z Warszawy wakacyjnie zjeżdżały do ich gospodarstwa i dochodziło do niebanalnych zdarzeń.

Barbara Białowąs (Warszawa) zaprezentowała nagrania piosenek z jej tekstami. Poetka uprawia poezję rymowaną, zrytmizowaną, ma lekkie pióro i jej teksty znakomicie sprawdzają się jako poezja śpiewana. Współpracuje m.in. z zespołem „A my tacy”.

Elżbieta Strzałkowska (Gdynia) przeczytała z przejściem spore fragmenty prozy powieściowej oparte na wątkach autobiograficznych.

Kazimierz Ryk (Kielce) dał się uprosić i przeczytał jeden wiersz, ale chętnie ulegał entuzjastycznym reakcjom damskiej części publiczności i kilkakrotnie jeszcze bisował.

Wystąpiły dwie panie lekarki z Kołobrzegu, uprawiające z powodzeniem i medyczną determinacją poetycką ekspresję – Alicja Kajzer i Grażyna Perlińska-Siuda. Spotkaliśmy się tu z poezją emocji: wzruszeń, tęsknot, marzeń, oczekiwań i wspomnień wypływających z pogłębionej i przepracowanej introspekcji. A to wszystko wyrażone językiem oszczędnym, pełnym ciepła i subtelnego liryzmu.

Marian Jedlecki (Kołobrzeg) zaskoczył nową formą werbalizacji poetyckiej, którą próbowano zakwalifikować w dyskusji jako „poemat rozkwitający”, „traktat” bądź „esej poetycki” ze względu na swoją szeroką frazę zdaniową i metapoetyckie inklinacje.

Leszek Luty (Sosnowiec) i Mieczysław Siemieniec (Kielce, mąż Małgorzaty, która urozmaicała swoim śpiewem prezentacje autorskie) ujawnili się jako zwolennicy znacznie prostszych w wyrazie lirycznych zwierzeń.

Wszystkie spotkania kończyły komentarze zebranych – z reguły o afirmującym wygłosie. Zdarzyło się też kilka dygresji o ogólniejszym charakterze, np: „Czy wiesz ma płeć?”, „Niebezpieczeństwa nadużywania tzw. metafor dopełniaczowych”, „Nurt lingwistyczny jako dobra szkoła dyscypliny językowej”, „Peiperowska metafora dalekoskojarzeniowa i jej wpływ na kreatywność odbioru wiersza”.

Co by nie powiedzieć o formie, programie i strukturze plenerów w ogóle, mają one niebagatelną wartość jako możliwość bytowania ze sobą przez jakiś czas grona osób zafascynowanych literaturą, chyba najsubtelniejszą ze sztuk semantycznych, i próbujących w miarę swych sił witalnych i intelektualnych, wrażliwości, wyobraźni wyrazić to, „co im w duszy gra”.

Tegoroczny plener w Międzywodziu to także rozmowy, wspólne spacerowanie, plażowanie, poranna

gimnastyka nad Zatoką Kamieńską, dywagacje przy kawie, lodach czy piwie w tutejszych kawiarniach, tawernach, dancingu i tańce na wolnym powietrzu. To wszystko cieszyło nas, urozmaicało pobyt, zacieśniało przyjacielskie więzi i otwierało na nowe.

Wyjeżdżaliśmy wypełnieni radością i beztróską, mając w pamięci delikatny plusk morza, miękkość bałtyckiego wyjątkowego piasku, szum nadbrzeżnych, dramatycznie rozcapierzonych sosen i krzykliwe pozdrowienia mew...

*Tadeusz Sznerch*



## Bukiety

Dobrze mieć przyjaciela. Ja mam, i to o połowę młodszego ode mnie. Czuję się prawie jak Szymborska – ona miała swojego Michała, ja mam Jarka. Nie kupuje mi butów, nie wybiera sukienki na spotkania, za to służy pomocą jako przewodnik w trudnym świecie Internetu. Kiedy Jarek wchodzi do mieszkania, to jakby stado rozćwierkanych wróbli krążyło nad głową.

– Jak się masz, kochana? Co u ciebie słychać? Co się dzieje? Czy może odezwał się już twój uczeń z Wietnamu?

Pytania padają jedno po drugim, w nieprzerwanym ciągu, w radosnym nastroju. Odpowiadam, a potem zabieramy się do pracy. Słodzimy sobie czas czekoladkami, przy czym mój młody przyjaciel najpierw zakłada sobie blokadę na słodycze, następnie pokonuje wewnętrzny opór i sięga po kolejną kostkę czekoladowych delikcji. Przy dłuższych posiedzeniach wzmacniamy twórczy nastrój piwem lub drinkiem. Kiedy nie ma czekoladek ani innych słodyczy, a nie chce mi się wychodzić do cukierni, piekę w błyskawicznym tempie racuszki z jabłkiem. Są wyśmienite! Jarek zawsze dostaje kilka do domu – dla mamy. Istnieje między nami też coś takiego, jak wymiana towarowa: ja mu daję racuszki, on mi przynosi smakowitości, jeszcze gorące, z rodzinnego grilla, za czosnek niedźwiedzi, przywieziony z Kudowy, otrzymuję od przyjaciela, i towarzyszącego mu czarnego psa Tymka, śledzie przyrządzone przez szwagra Jarka. W ubiegłym roku zapytałam:

– Jarku, czy u ciebie w ogrodzie kwitnie jeszcze bez?

– Muszę zobaczyć, kochana. Może jeszcze na wyższych gałęziach, bo te na dole już przekwitły, albo są oberwane.

Po dwóch godzinach, późnym wieczorem, gdy już nikogo się nie spodziewałam, dzwonek do domofonu. Jarek! Otwieram drzwi: widzę tylko olbrzymi bukiet białego pachnącego bzu. Jarek stoi niżej, na schodach.

– Kochana, zobaczyłem w twoich oknach światło, więc postanowiłem ci dzisiaj przynieść bez.

– Ale jak ty go rwałeś, tak po ciemku?

– Wdrapałem się na drabinę, bo bałem się, że do jutra całkiem przekwitnie.

Znów jest wiosna. Wróciłam ze Świąt Wielkanocnych, które wraz z dziećmi spędziłam w Krakowie. Dzwonię do Jarka, bo odezwał się Nguyen Thanh To i potrzebna mi pomoc przy komputerze.

– Dziękuję ci kochana za słońce, które przestałaś z Kudowy, ale jak widzisz, nie starczyło na długo. A jak było w Krakowie?

– Trochę wiatru, trochę deszczu i dużo słońca. Sylwia powiedziała, że Kraków mógłby całą Polskę obdarzyć słońcem. Wystarczyłoby dla wszystkich miast i wiosek. Kiedy wiał wiatr, żałowałam, że nie wyciągnęłam zimowej kurtki z pawlacza, kiedy świeciło słońce, przysiadłam na ławce, zdejmowałam kurtkę, podziwiałam latarnie, które mi przypominały dzieciństwo w Lubawce. Wieczorem chodził tam latarnik i zapalał gazowe latarnie, świecące niebiesko, rano je gasił. Lubiłam patrzeć, jak to robi, czasami specjalnie wybiegałam z domu i szłam jego śladem, śledząc cały cykl zapalania lub gaszenia świateł. Dziś mieszkańcy Lubawki nawet nie pamiętają, że kiedyś były w ich miasteczku latarnie gazowe.

W lany poniedziałek nikt nie polał mnie wodą, więc kiedy rozpadał się deszcz, a ja nie miałam parasolki, pomyślałam: Ktoś w górze pamięta, że ten rytuał zapewnia pomyślność na cały rok. Mogę się nie martwić o losy niewydanych książek.

– A chociaż przyjemnie spędziłaś czas?

– Wawel, Rynek krakowski, Sukiennice, Planty, kościoły, Kazimierz, uliczne koncerty. Nasz apartament mieścił się w starej kamienicy, około 150 m od Wawelu. Większość czasu spędzaliśmy na spacerach, zwiedzaniu, przypominaniu sobie znajomych miejsc. Na Rynku koncert jazzowy, pod kościołem św. Piotra i Pawła na zmianę: koncert wiolonczelowy i wokalny, bardzo wzruszający, w wykonaniu anonimowej artystki. Na ulicach ludzie o różnych kolorach skóry, mówiący różnymi językami. Najchętniej kupowaną pamiątką były zimowe czapki. Widok mieszkańców Afryki czy Azji w góralskich czapkach przestał mnie zaskakiwać. Otwarte sklepy z pamiątkami nie cieszyły się zbyt wielkim powodzeniem, za to kawiarnie, restauracje i Sukiennice zapelnione były na ful. Cukierenka oferująca lody, usytuowana tuż przy chodniku, nie wabiła, przechodnie spoglądali na pojemniki napelnione kolorową masą i z żalem szli dalej – za zimno. Kolejki ustawiały się przy

gorących pączkach. Uliczne kawiarnie przyciągały wzrok wiosennym ukwieceniem, ale nikt nie odważył się przysiąść choć na chwilę przy stoliku na wolnym powietrzu. Cieszę się, że spędziłam Święta inaczej niż co roku – rodzinnie, ale aktywnie.

Uczestniczyłam w mszy świętej w katedrze na Wawelu, podziwiałam znów, po latach, ołtarz Wita Stwosza w kościele Mariackim. Śniadania i kolacje jedliśmy w apartamencie, obiady w restauracji gruzińskiej. Sylwia jeszcze w Kudowie nagotowała białego barszczu na kielbasie, ja z pomocą Igora upiekłam klops. Były jaja, ćwikła, wędliny, papryka konserwowa własnej roboty, ostry chrzan od kolegi Marka – prawdziwe tradycyjne śniadanie wielkanocne. Z napojów wyskokowych – wino w restauracji gruzińskiej i piwo w piwiarni na Rynku.

Wszystkie te rewelacje wystrzeliłam w błyskawicznym tempie, bo przecież czekała nas praca i... otwarta bombonierka. Przed wyjściem Jarek zatrzymał się na chwilę w kuchni, popatrzył przez okno na pokryte śniegiem krzewy i trawniki.

– Kochana, nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie zakwitnie bez i będę ci mógł przynieść bukiet...

Nie spieszy mi się: wiem, że wkrótce otworzę drzwi i zobaczę – najpierw kwiaty, a później Jarka.

Uwielbiam bez. I tulipany. Pierwszy imieninowy bukiet dostałam od sąsiadki: bez i tulipany. Sąsiadka dawno nie żyje, nie ma już naszej ulicy i Kaczki – dzielnicy Tomaszowa. Przy rodzinnym domu był ogród, a w nim wszystko; nazwane i niemające nazw kwiaty, od róż do „kaszki” i „studentów”, pietruszka, rzodkiewka, pomidory, buraki, sałata, ogórki, fasola szparagowa, białe i czerwone porzeczki, jabłka, wiśnie, śliwki. Wiosną pierwszy zakwitła bez. Kwiatów było dużo i często sąsiadki przychodziły do mamy z prośbą o bukiet do kościoła lub na imieniny, bo mama tak pięknie umiała układać bukiety... Pytały zawsze, ile płacą, a mama na to: – Za kwiaty? Ja nie biorę pieniędzy za kwiaty. Niech cieszą oko!

Ogród był piękny, ale wodę do podlewania trzeba było nosić wiadrami i konewką ze studni. Ojciec chciał założyć pompę, ale sąsiad się nie zgodził, bo studnia była wspólna. Może się bał, że dla niego zabraknie wody? Nic dziwnego, że matka, kiedy padał deszcz, mówiła: – Skarby lecą z nieba!

Ocembrowana studnia przykryta była drewnianym daszkiem. Wpuszczało się wiadro, umocowane na łańcuchu, kręciło korbą i wiadro, objając się niekiedy o cembrowinę, wracało napełnione wodą. Trzeba je było ostrożnie wyjąć, żeby nie rozchlapać, nie marnować trudu. Dla równowagi brało się

w jedną rękę wiadro, w drugą konewkę i grządka po grządce piła życiodajną wodę, tylko ręce coraz bardziej wyciągały się ku ziemi. Rosły kwiaty i warzywa, rosły nieproszone chwasty. Lubiłam plewienie, a ogród dziękował za podlewanie.

Kto chciał upiec dobry jabłecznik, dziś zwany szarlotką, przychodził do nas po jabłka, kto nie miał w ogrodzie agrestu, mógł go narwać w naszym ogrodzie do woli. Byli też zwolennicy białych porzeczek, sałaty, która urodą przypominała kapustę. Przed wysiedleniem zasiałam dwie redliny fasolki szparagowej. Coś trzeba było siać, sadzić na polu, które rodzice kupili pod budowę domów dla dzieci. Rozbudowywał się Wistom, więc wstrzymano pozwolenia na budowę i działki budowlane stały się polem. Fasola urosła jak nigdy przedtem – wysoka, obwieszona strąkami. Sąsiedzi przychodzili z wiadrami, a fasolki nie ubywało, wciąż pojawiały się nowe strąki, a ja, zamiast się cieszyć, byłam bliska płaczu. Zaprosiłam koleżanki z pracy na zbiory – przyjechały raz i na więcej nie miały ochoty, przecież nie można co dzień karmić się fasolą. Patrzyłam, jak pierwsze przymrozki ścinają krzewiny, liście i strąki.

Ulica pustoszała, coraz to któryś sąsiad otrzymywał mieszkanie w bloku, przeprowadzał się z całym dobytkiem „do miasta”. Opustoszałe domy rozbierano, ulica wyglądała jak usta staruszki wiejskiej, której zostało już tylko kilka zębów. Aż i na nas przyszedł czas... Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że zakład, który był przyczyną wysiedlenia całej dzielnicy, zrównania domów z ziemią, sam kiedyś zostanie zlikwidowany, a jego ruiny długo będą straszyć mieszkańców miasta.

Mój dom kupił ktoś ze wsi na rozbiórkę. Zabrał, co było najlepsze, zostawił gruzy. Dostałam wezwanie z Urzędu Miasta do uporządkowania terenu. Pojechałam na miejsce, gdzie jeszcze niedawno tętniło życie, miejsce mojego urodzenia. Było mi tak samo smutno, jak dwu jabłoniom, posadzonym przed laty przez ojca. Próbowалам coś uporządkować, dźwigałam fragmenty muru, przerzucałam pojedyncze cegły. Ruina pozostała ruiną. Wynajęłam koparkę i już nie wracałam do miejsca, gdzie był mój dom. Mam go w pamięci, widzę go w snach.

Kupuję w sklepie pomidory, wącham – nie czuję nic, a moje pomidory pachniały. Pachniały róże i bzy. Kiedy Jarek przynosi mi bukiet bzu ze swojego ogrodu, znów czuję radość taką, jaką miałam, kiedy przed moim domem zakwitła bez.

*Emilia Tesz*

## Piekło w dolinie Pandżu

(Fragment powieści)

Będzie trudna przeprawa – natychmiast przyszła refleksja – trzech przeciwko siedemnastu. Ale to my wygramy. Po pierwsze, po naszej stronie jest element zaskoczenia. My ich widzimy, oni nawet nie wiedzą o naszej obecności. Po drugie, jesteśmy zawodowcami i mamy świetnego snajpera. A po trzecie, oprócz tego, że mamy przewagę wyszkolenia i sprzętu, mamy jeszcze rację.

Na moście z każdej ze stron było tylko po trzech bandziorów. Reszta była niewidoczna. Zniknęli wewnątrz budynku albo stali za nim, niewidoczni z tej strony. Mijały kolejne sekundy.

Jeśli wszystko ma pójść zgodnie z planem, Johny powinien już zaczynać, najwyższy czas – rozważał w myślach Bogusław – żeby tylko któryś odszedł na bok. Jakby spełniając to życzenie, jeden z Tadżyków przeszedł za ciężarówką. Może chciał coś sprawdzić? I to była ostatnia rzecz, której chciał w życiu. Ze swojego stanowiska za głazem Oksymowicz zobaczył, jak bandyta nagle rozłożył ręce i padł na most, na szczęście niewidoczny dla pozostałych. Pozostało szesnastu. Następnym był Afgańczyk, który po przeciwnej stronie zszedł na brzeg rzeki i zatrzymał się pod mostem. Przyczyna była prozaiczna, chciał się wysikać. Ledwie zaczął oddawać mocz, gdy padł nagle na twarz. Zachrobotał potrącony kamień, ale chyba nikt na moście tego nie usłyszał, bo nie dało się zauważyć żadnego poruszenia. Jeszcze piętnastu.

Teraz wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Kolega zastrzelonego Tadżyka zawołał go po imieniu. Nie było żadnego odzewu. Ruszył więc za ciężarówką. Stał nad ciałem kompana. Trwało to zaledwie sekundę, jak krzyżąc odwrócił się na pięcie i chciał pobiec w kierunku budynku. Pocisk trafił go w lewą stronę pleców, wychodząc z przodu, po drodze niszcząc serce. Trafiony zwał się na ziemię, nie wydawszy nawet jęku. Pozostało czternastu.

Ale jego krzyk zdążył zaalarmować kamratów. Dwóch wszczęło alarm, biegnąc do zabitego. Nie dobiegli. Kolejno upadali na ziemię.

Został was tylko tuzin skurwysynów, szanse się wyrównują, teraz moja kolej – Bogusław położył palec na pierwszym detonatorze. Po moście biegło teraz dwóch Afgańczyków.

Zupełny brak profesjonalizmu – rozważał Bogusław – wiedzą, co się stało, a mimo to zamiast się schować, wystawiają się na strzał.

Jeden z Afgańczyków oddał w kierunku gór długą serię z kałasznikowa. Właściwie bez sensu, chyba żeby jej celem miało być ostateczne ogłoszenie alarmu. Teraz Bogusław wcisnął pierwszy detonator. Wybuch nie był zbyt głośny, jednak oba dźwigary zostały przecięte. Most nieco osiadł, ale jeszcze się trzymał. Teraz drugi detonator inicjujący wybuch płaskiego ładunku poderwał nawierzchnię mostu. Razem z nią wyleciała w powietrze ta dwójka, która biegła do zabitych. Fragmenty ciał otoczone chmurą ognia i dymu zwały się do rzeki.

Trzeci wybuch dwóch pozostałych ładunków C4 dokończył dzieła zniszczenia. Most od strony tadżyckiej był teraz tylko kupą pogiętego żelastwa przemieszanego z połamanymi drewnianymi belkami. Powoli opadał kurz. Nikogo jednak nie było widać, pewnie cała pozostała dziesiątka schroniła się w budynku. Zapewne trwa tam teraz gorączkowa narada – wyobraził sobie Bogusław. Zastanowił się, co on sugerowałby, gdyby znajdował się w tych konkretnych okolicznościach. Z ich punktu widzenia sytuacja jest niezwykle trudna – snuł w myślach dalej swoje rozważania. – Przede wszystkim, zupełnie nie spodziewali się ataku. Jak dotąd, byli królami wybranych nocy na przeprawie, nikt zapewne nawet nie śmiał zbliżyć się do mostu. Po drugie, stracili już siedmiu ludzi, a zupełnie nie wiedzą, przez kogo i skąd zostali zaatakowani. Nie mogą się zatem skutecznie bronić. Jedynym logicznym wyborem wydaje się ucieczka ciężarówką na stronę afgańską. Gdyby tak się stało, cała nadzieja w Johnym.

Jakby na potwierdzenie tych słów z budynku wybiegła grupa ludzi, pakując się do samochodu. Bogusław czekał na strzał snajpera, ale Acidic zagrał po mistrzowsku. Ze swojego stanowiska musiał doskonale widzieć szoferkę. Nie strzelał do wskakujących w panice na pakę samochodu, zaczekał kilka sekund, pozwalając jednemu z uciekających zasiąść za kierownicą. Zanim tamten zdążył uruchomić silnik, pocisk kalibru 0,308 Winchester wystrzelony z niezawodnego Sig Sauera wbił się w prawą skroń niedosłatego kierowcy. W ten sposób

ciężarówka została praktycznie unieruchomiona. Każdy następny chętny musiałby najpierw uporać się z ciałem zabitego, dopiero potem zasiąść za kierownicą. Musieli zdawać sobie sprawę, że przez tak długi czas byliby na muszce snajpera. Na razie wszyscy padli plackiem na pakę, chroniąc się za burtami pojazdu. Bogusławowi wydawało się, że do ciężarówki nie wskoczyła cała pozostała przy życiu dziewiątka. Kilku zatem musiało pozostać w budynku. Logicznie rzecz biorąc, prawdopodobnie dla odmiany będą chcieli uciec na stronę tadżycką. Przedostanie się przez zrujnowany most było trudne, ale nie niemożliwe. A nawet ruiny mostu zapewniały jakąś ochronę. Tak zapewne kombinowali bandyci. Nie wiedzieli tylko, że gdzieś przy drodze czai się Poacer.

Minęła kolejna minuta. Ani na moście, ani na ciężarówce nie było widać żadnego ruchu. Nagle z budynku wybiegło czterech mężczyzn. Wszyscy w rękach trzymali kałasznikowy. Błyskawicznie doskoczyli do początku wysadzonego fragmentu mostu, który tworzył płataninę stalowych konstrukcji przemieszanych z potężnymi belkami z impregnowanego kreozotem drewna. Ta swoista barykada dobrze chroniła przed snajperskimi kulami.

Zatem na ciężarówce kryje się pięciu; gdyby wszyscy jednocześnie rzucili się do ucieczki, Johnny nie zdąży wszystkich zastrzelić. Nie ma szans. Bogusław postanowił działać. Wyciągnął pistolet i wysunął się z kryjówki. Ci w samochodzie byli mniej groźni. Nie wychylali głów ze strachu przed ogniem strzelca wyborowego. Bez problemu mogli go jednak zauważyć bandyci chroniący się w załamach zniszczonej konstrukcji. Byli co prawda częściowo widoczni dla Oksymowicza, ale dystans dzielący go od mostu był zbyt duży na skuteczny ogień z pistoletu. Postanowił ich sprowokować. Przedpole bliżej mostu było pozbawione większych odłamów skalnych. Wyjątek stanowił duży kamień o charakterystycznym, do złudzenia przypominającym żółwia, kształcie. Od głazu stanowiącego dotąd kryjówkę Oksymowicza dzieliło go dziesięć metrów. To jakieś półtoręj sekundy. Nawet jak go zauważą, nie zdążą skutecznie strzelić. A właśnie mają go dostrzec. Gdyby tak się nie stało, skapują się po chwili, gdy Bogusław zacznie strzelać z nowego, bliższego mostu stanowiska.

Wyskoczył zza głazu, kierując się do kamiennego żółwia. Zauważyli. Jednak zgodnie z przewidywaniami czasowymi, seria pocisków z kałasznikowa zabębniła w sylwetkę kamiennego gada, gdy Bo-

gusław już się za nią skrył. Bandyci na moście mieli zlokalizowanego jednego wroga. Ponieważ nie mogli mu nic zrobić, tym bardziej powinni szukać schronienia na stronie tadżyckiej. Oksymowicz postanowił im w tym pomóc. Wychylił się minimalnie zza kamienia i nacisnął dwukrotnie spust pistoletu. Jarygin plunął ogniem, posyłając dwa wzmocnione pociski, które uderzyły w stalowy, pogięty dźwigar, o czym świadczył charakterystyczny dźwięk. Jeden z pocisków musiał zrykoszetować, gdyż rozległ się wrzask trafionego bandyty. Oksymowicz natychmiast schował głowę, chroniąc się przed serią pocisków karabinu maszynowego. Jak trafnie przewidział, schowane na zniszczonym moście zbiry postanowiły nie kontynuować bezproduktywnego pojedynku z dobrze ukrytym przeciwnikiem. Zaczęli, wykorzystując naturalną osłonę zniszczonych fragmentów mostu, przesuwając się w kierunku drogi. Trzech robiło to całkiem sprawnie, czwarty ze zdruzgotaną przez rykoszet łydka pozostał w tyle. Trudno mu było przeskakiwać z belki na belkę. Oksymowicz przypatrywał mu się przez chwilę. Był on teraz doskonale widoczny, próbował mimo rany przeskoczyć na płaski fragment stalowego legara oddalonego o metr. Był praktycznie nieruchomy. Szykując się do skoku bujał się lekko w tył i w przód. Bogusław oparł rękę uzbrojoną w pistolet o grzbiet kamiennego żółwia. Wstrzymał oddech i wycelował starannie. Dziewięćmilimetrowy pocisk potrzebował zaledwie jedną dziesiątą sekundy na przebycie dystansu między wylotem lufy a ciałem rannego bandyty, wżerając się między żebra i dokonując masakry lewego płuca. Kolejny bandzior z mostu zakończył życie. Trójka jego kompanów nawet nie zareagowała, gdyż właśnie dotarła do drogi.

Za pobliskiej skały huknął strzał pistoletowy. To Poacer włączył się do walki. I znowu jeden z bandytów został wyeliminowany. Pozostała dwójka z uciekającej grupy zdążyła ukryć się za ciężarówką stojącą na placyku przed zrujnowanym mostem. Bogusław widział ich leżących na ziemi. Znowu byli zbyt daleko na pewny strzał pistoletowy, ale można było ich przynajmniej wypłoszyć. Bogusław nawet nie celując zbyt starannie dwukrotnie nacisnął spust. Dwa obłoczki piasku uniosły się tuż obok leżących. Nie wytrzymali nerwowo. Poderwali się i zaczęli biec po drodze. Zza skały wyskoczył Jason z pistoletem w dłoni. Zanim przerażeni bandyci zdążyli unieść karabiny, wielkokalibrowe kule z Hecklera & Kocha rzuciły ich na ziemię. Jeden znieruchomiał natychmiast, drugi jeszcze usiłował skierować kałasznikowa

w stronę Jasona. Kolejny pocisk trafił go w gardło wyrzucając w powietrze fontannę krwi.

Bogusław wysunął się z za swojej ochrony. Jason zauważył go i pomachał ręką. Oksymowicz wyciągnął w górę lewą dłoń z pięcioma rozcapierzonymi palcami, a prawą uzbrojoną w pistolet wskazał na afgańską stronę przeprawy. Poacer zrozumiał ten gest, jeszcze pięciu bandytów pozostało przy życiu. Zaczął ostrożnie przesuwając się w stronę zniszczonego mostu. Przez chwilę lawirował w płataninie drewna i pogiętego żelastwa. Doszedł do budynku i schował się za jego ścianą. Dał znak Bogusławowi. Ten zrozumiał go w lot i pobiegł w kierunku rzeki. Teraz zadaniem ich obu było wypłoszenie piątki pozostałych gangsterów z chroniącej ich paki ciężarówki. Dałoby to szansę ataku ogniowego całej trójki agentów.

Bogusław dotarł do niezniszczonej części mostu pod budynkiem. Wszedł pod most tuż przy nurcie wody. W tym miejscu był praktycznie bezpieczny, ale i pozbawiony możliwości strzelania. Sięgnął do pasa, odczepiając granat zaczepny. Teraz dwa z nich miał Jason, a on trzymał w ręku właśnie ten trzeci. Wyciągnął zawleczkę i wychylając się spod konstrukcji rzucił go na most. Granat musiał upaść gdzieś między budynkiem i ciężarówką. Huk

wybuchu stłumiony konstrukcją mostu wydał się Oksymowiczowi zaskakująco cichy. Dla siedzących na ciężarówce był on jednak wystarczająco głośny i groźny, aby odebrać im jakąkolwiek chęć działania. To umożliwiło Jasonowi podejście na odległość skutecznego rzutu. Jego zamysłem było wrzucenie granatu wprost na pakę. Zamachnął się, ale rzucił dosłownie kilka centymetrów za blisko. Granat uderzył w krawędź skrzyni samochodu, ześlizgnął się na ziemię i potoczył kilka metrów. Wybuch nie był w stanie zabić kryjących się mężczyzn, ale nie wytrzymali nerwowo. Gromadnie rzucili się do ucieczki, zeskakując z paki.

Jason rzucił ostatni z posiadanych granatów. Trójka mężczyzn upadła, dwóch biegnęło dalej. Pocisk Sig Sauer'a posłany za nimi przez Johny'ego zakończył życie kolejnego bandyty, jednak ostatniemu udało się dopaść skał na zakręcie drogi i zniknąć. Akcja eliminacji gangsterów była zakończona. Powiodła się prawie w stu procentach. Prawie, gdyż z siedemnaście przybyłej na most graniczny ocalał tylko jeden. Ale ten jeden mógł przysporzyć jeszcze kłopotów, a przyszłość pokazała, że nie była to tylko teoria.

*Bogusław Witkomirski*



Prof. Bogusław Witkomirski na spotkaniu w kieleckiej WBP im. W. Gombrowicza, które prowadził Stanisław Nyczaj (23 lutego 2017), prezentuje fragmenty najnowszej powieści *Piekło w dolinie Pandżu* i opowiada o swoich licznych podróżach do Azji Środkowej.

Zdjęcia: Andrzej Piskulak



## Duch Wikingów

Już wschodzą gwiazdy nad domem, a ja przyniosłam wysuszone pranie.

Pościele pełne wiatru północnego od rana wydymały się jak żagle na pełnym morzu.

Chciały zerwać sznury i odlecieć. Teraz w sypialni pachną wielkim światem, czystością, energią i przygodą.

## Wołanie o cud

Stoję otoczona rodziną zamknięta między górami a Morzem Czerwonym. I wszyscy razem nie mamy wyjścia.

Uzbrojony wróg z wielką armią depcze mi po piętach.

Skąd się wzięłam w tej pułapce mimo wielkich zabezpieczeń? I kim jestem, że ten nienawistnik wciąż mnie ściga?

Wyteżam wzrok, czy nadejdzie wybawienie? Gniewne niebo rzuca mi w twarz garść gradu jak depezę. Nie do wiary!

To Ten, który jest silniejszy niż tajfuny zwabił mnie tutaj. Ważą się nasze losy, lecz On przecież nas widzi!

Dlaczego to zrobiłeś, Panie?

Już wiem. Chciał, żebym udowodniła miłość i ufność do Niego wśród kryzysu. Więc wołam o cud i rozwierają się mokre paszczęki żywiołu.

Krzyczymy z radości jak dzieci wpadając w śnieżnobiałą pianę.

Wyptywamy wysoko na piętrowej fali i lądujemy na drugim brzegu Morza, patrząc jak wróg tonie w odmętach.

Zamek Krzyżtopór w Ujeździe widziany z lotu ptaka – kosmiczna pieczęć odcisnięta w ziemi opatowskiej.

Trzysta sześćdziesiąt pięć okien podobnych dniom otwartym na perspektywy przyszłości.

Pięćdziesiąt dwa pokoje – i tyleż miejsc świętowania minionych niedziel.

Dwanaście sal, dwanaście sezonów – liczba przeobrażeń świata. Nowe dekoracje, zmiany czasu, odzieży i uciech, fortuny toczącej się kołem.

Cztery wieże, cztery wysokie klimaty wiosny, lata, jesieni i zimy.

Czas mrozów i czas ociepleń. Czas siania i czas zbierania. Czas pieszczot i czas wstrzymywania się od pieszczot. Czas sadzenia i czas wrywania,

terminy pokoju i niepokoju.

W tych murach tkwi zasobność wielkiej myśli zrodzonej w rytmie codzienności. Ta myśl przetrwa wieki.

Lecz koncepcja gminna dwudziestego pierwszego [stulecia

beztrosko ocieżyła i szpetna otacza popospolitością wyniosłe stare mury.

## Hiob

Teraz jest ci dobrze,  
gdy siedzę chory,  
na wpół obłąkany  
z powodu  
mojej  
miłości,  
Boże!



## Tobie

To ciebie wybrałam  
byś był mi opoką  
lecz jesteś tylko  
ruchomym piaskiem  
pożerającym duszę

\* \* \*

W życie zapadłam  
Jak kamień w wodę  
moment

## Szczęśny Wroński

### Bitwa

Było dwóch obcych wodzów, w dwóch obcych krajach. Jeden nazywał się Cjankiel, drugi Szankiel. Jeden baki miał o trzy milimetry krótsze, drugi włosy bardziej rude. Kiedyś poznali się przy partyjce w oko. Cjankiel przegrywał do Szankla, Szankiel do Cjankla. W lot połapali się w oszustwie. Jankiel porwał się od stołu zielony ze złości. Szankier podniósł się purpurowy z gniewu. Potem jeden nadwyrężył drugiemu ucho, a drugi pierwszemu naderwał baki. Wojna był nieunikniona.

Armia Szankla zjawiała się w czerwonych strojach, Cjankla – w zielonych. Wodzowie stanęli na dwóch przeciwległych wzgórzach w rozkroku. Na dany sygnał rozgorzała bitwa. Wkrótce krew lała się obficie, a trup padał gęsto. Czerwień splotła się z zielenią, zdawać by się mogło, że to kwiaty zaścielają łąkę, tylko błysk szabel, co jak skrzydła os z brzękiem pruty przestrzeń, świadczył, że to nie przelewki. Około południa żołnierze byli już tak słabi, że sami rzucali się na ostrza szabel, bo dłużej nie chcieli się męczyć.

Pod wieczór został tylko jeden żołnierz, tak utyłtany we krwi, w błocie i kurzu, że jego autentyczną barwę nie sposób było odgadnąć. Żołnierz krążył po pobojowisku potykając się

## Gwiazdy

to gwoździe  
którymi Bóg przybił  
ludzki los  
do zimnej pustki nieba

## Pies

Mała ruda iskierka  
łączy ze światem  
przywraca wiarę  
w miłość

o trupy, stanął wsparty na szabli i chwilę pomyślał. Potem podniósł szablę, wbiegł na wzgórze i ciął na pół rozkraczonego Szankla. Cjankiel wniósł z tego, że to jego żołnierz przybliżył się, żeby go uściskać, ale żołnierz ciął go też na pół. Potem gonił od ziemi do ziemi i nie spotkał tam żywego ducha, w wyniku czego zawył strasznie i przebił się na wylot.

\* \* \*

### *Rysiovi Rodzikowi*

napisałem kilkaset wierszy  
no, może kilkadziesiąt  
gdy jeszcze trochę się posrozę  
to będzie ich może kilkanaście  
A jak jeszcze bardziej  
to może kilka, trzy, dwa  
zgoła jeden

A jak nie napisałem żadnego  
który przetrwałby to zniechęcenie  
tę niewiarę w słowo pisane psia go mać  
to czy warto żyć  
bez jednego chociażby wiersza za pazuchą?

## Nie spóźnij się, tato...

Ocknął się na chwilę, a wtedy w jego niebieskich oczach zobaczyłam moje dzieciństwo. Pajdy chleba posypane cukrem, choinkę wyciętą w lesie, złote pierścionki, samowar i kakao przywiezione z byłego Związku Radzieckiego, kiedy pracował tam na budowie. To wydarzenie z kakao z mamą i rodzeństwem wspominamy do dziś.

W latach osiemdziesiątych ojciec, poczciwy gospodarz, przy pierwszej próbie handlu kilkunastu paczek kakao na wiejskim bazarze, wpadł. Nim zdążył rozpakować towar, stanął przed nim mundurowy i dwóch cywilów. „Pozwolenie na handel! A więc zabieramy do depozytu”. Rewizja osobista. W portfelu trzymał ruble. Jest potwierdzenie. Waluciarz, handlarz, spekulant. Oniemiały patrzył w oczy funkcjonariusza rozkładając bezradnie ręce. – Panie, to jest moje, ja sprzedaję swoje bez zysku, na wesele syna. Chyba swoje mogę sprzedawać, a te ruble to moja ciężka praca. Na nic się zdały tłumaczenia. W domu przeszukanie, przerażone oczy mamy. Zaprowadziłam milicjanta nawet do piwnicy, niech tam sobie szuka, czego chce. Oprócz bańki z mlekiem i ziemniaków w piwnicy nic nie było, ale z bożej łaski handlarz, mój ojciec wyszedł na kombinatora i szachraja. Po kilku miesiącach sąd umorzył sprawę ze względu na niską szkodliwość czynu. Od tamtego czasu nigdy już nic nie zrobił, co by było wbrew prawu. Od zawsze, jak sięgam pamięcią, fajek nie palił, wódki nie pił, nigdy o nikim nie mówił źle.

Po ukończeniu liceum nie dostałam się na studia. Żeby mieć jakikolwiek kontakt nauką, zdecydowałam się kształcić w studium medycznym, co bardzo ucieszyło, szczególnie dziadka i tatę, bo liczyli w przyszłości na opiekę. Nie pracowałam ani dnia jako pielęgniarka, od dziecka chciałam zostać nauczycielką. Bez żalu, że zostawiam w Tarnobrzelskim rodziców i czworo rodzeństwa, spakowałam się i wyjechałam z koleżanką do woj. białkopodlaskiego, gdzie zatrudniano nauczycieli bez kwalifikacji. Za Lubartowem zatrzymałyśmy się w pierwszej gminie Działyń obok szkoły. Dyrektor nakarmił nas i zaproponował uczenie dzieci we wsi Amelin. Uwierzyłam, gdy dostałam pismo „O ile obywatelka nie zmieniała zdania, czekam 19 sierpnia 1980 roku w Zbiorczej Szkole w Siemieniu w celu podpisania umowy o pracę”. Tam zastał mnie stan wojenny.

Przyjechałam do rodziców w środku nocy. Oboje spali w dużym, małżeńskim łóżku w przedzielonej zieloną kotarą kuchni.

– To ty? – mama po prawie roku rozłąki mnie nie poznała. Z moich długich brązowych loczków fryzjer tak jak chciałam wyrzeźbił króciutką z rudymi włosami na sztorc fryzurkę.

– Ojciec, ojciec, obudź się, zobacz, co ona z siebie zrobiła. Żałoba w kraju, a ta wygląda jak k... spod latarni.

– Połóż się, Haniu, spać, odpocznij dziecko – usłyszałam tatę.

Na drugi dzień napisałam o nim wiersz: Tato jest czarodziejem / spojrzeniem dzieli pole, kołyskę potomnym chce wyhuścić / Twarda ziemia / go nie przestraszy / Czas omija i siebie, / a do mnie mówi: / dziecko...

Ciągnęło mnie do taty, mamy, siostry i trzech braci. Po siedmiu latach rozłąki wróciłam w rodzinne strony.

\* \* \*

Ponad dwadzieścia lat później przy szpitalnym łóżku nie mogłam od niego oderwać oczu. Kiedy podszedł ordynator, ojciec uczynił znak krzyża.

– Nie jestem Bogiem – usłyszałam od lekarza.

– Nie odchodź, tato, tak bardzo cię kocham – objęłam go mocno.

– I ja was kocham...

Jeszcze do tej pory słyszę te słowa. Choć wtedy spuściłam oczy, wstydząc się egoistycznego wyznania. Tato kochał nas wszystkich, a ja chciałam mieć jego miłość na wyłączność.

W autobusie tłok, zwinęłam się w kłębek na siedzeniu przy oknie.

– Zabierz mi, Boże, tyle lat, ile chcesz, ale nie zabieraj mi jego albo daj mi czas, bym przygotowała się na rozstanie – łkałam bezgłośnie.

Za kilka dni miałam wrócić do pracy.

– Proszę przedłużyć mi urlop, tato jest w szpitalu, stan ciężki, dopóki, sytuacja się nie wyjaśni, powinnam być z nim – wydukałam do przełożonego.

– A ile ojciec ma lat? Osiemdziesiąt osiem? Piękny wiek, no cóż, rodzice chorują, umierają, taka jest kolej rzeczy, a my musimy pracować – podkreślił z naciskiem.

A ja nie byłam w stanie normalnie pracować.

Wysłałam z gabinetu ze ściśniętym gardłem. Jeszcze tego samego dnia lekarka psychiatra wypisując mi zwolnienie na trzy tygodnie powiedziała: – ojciec rzecz święta.

Szpital, dom, badania, rozmowy z lekarzami o nadwyrężonym sercu, kłopotach z nerkami. Czuliśmy przy jego łóżku na zmianę. Dzieci, wnuczki, synowe. Przez kilka tygodni odmawiał jedzenia, nie smakowało mu ani domowe, ani szpitalne. Podłączony do kroplówki, cewnika, ciągnął za plastikowe rurki zadając sobie ból.

– Jak mnie stąd nie zabierzecie, pójdę na piechotę do domu, przez ten las – krzyczał na mnie i brata spoglądając przez szpitalne okno. W głębi serca czułam, że przetrwa, wróci i usiądzie na swoim drewnianym krześle.

\* \* \*

O historii tego krzesła wyrzucanego, a to raz do śmietnika, a to na strych wspominała mi mama.

– Nie wiem, co was tak ciągnęło do tego stołka. Każdy chciał na nim siedzieć, nawet zabierał go na podwórko i rzucał nim w kury i gęsi. To Wiesiek najczęściej wymyślał z tym krzesłem różne zabawy. Pewnego razu podstawił go siostrze Ewie z tyłu i wydawał komendy: wstań, usiądź, wstań, usiądź. W pewnym momencie odsunął krzesło i gruchnęła na podłogę. A że była pulchniutka, długo nie mogła się podnieść. „Jak mu nie dasz nauczki, to ja ci spuszczać lanie” – mama wpadła w szał, krzyżąc do ojca. Trzęsącymi rękami wyciągnął ze spodni skórzany pasek i z całych sił walił metalową sprzączką w... ścianę. Wiesiek postawił siostrę na nogi, pogłaskał ją po głowie i schował się pod pierzynę.

Matka widocznie nie mogła patrzeć dłużej na krzesło, wyrzuciła go do śmietnika, miało być na opał. Zapomnieliśmy o jego istnieniu.

Tato przytargał to samo krzesło ze strychu do kuchni, kiedy zaczęło szwankować mu zdrowie. Zniszczone, niepasujące do nowych mebli.

– Nie spaliłem go, ma tyle lat, co ja, żyje i ma się dobrze, niech stoi w kącie, to moje krzesło – usłyszeliśmy.

Krótko potem, po remoncie i malowaniu domu, krzesło zawędrowało na poddasze, a schorowanego ojca zabrało pogotowie do szpitala.

Napisałam wiersz o tym krześle: Upominam się o niego / pragnę oparcia / bratniego siedziska / o mocnych nogach / drewnianym obliczu / ko-

chającego dotyk. / Wiem, że jest obok / położę na nim rękę / uwolnię ze strychu / choć jego nazwa / rodzajem nijakim / uginąć będę kolana / przyniosłam, jak swoje / zostanie na służbie / do nowej historii / uszu, języka i oczu /.

\* \* \*

– Możecie ojca zabrać do domu – powiedział lekarz.

Usadowiliśmy tatę na jego drewnianym krześle przy stole z talerzem zupy. Gdy zatrzymał wzrok na łyżce, wstrzymałyśmy oddech. Kiedy trzęsącymi rękami podniósł ją do ust i przełknął zupę – rozplakałyśmy się ze szczęścia. Swoim zwyczajem nie zapomniał połamać chleba. Nie minął tydzień, siostra wezwała karetkę pogotowia na ratunek. W szpitalu nie mógł się podnosić o własnych siłach, nieobecne oczy wpatrywały się najczęściej w sufit. Nie rozumiał, co się do niego mówi. Raz tylko, kiedy stanął przy jego łóżku Michaś, najmłodszy wnuczek, jego pomarszczone powieki zadrżały, otwały się szeroko, z oczu popłynęły łzy. Na jego ustach pojawił się dawno niewidziany uśmiech.

Pojawił się też cień nadziei. Lekarz powiedział, że tylko operacja może mu przedłużyć życie. Najstarszy brat Wiesiek przekonywał czworo swojego rodzeństwa i mamę, żeby nie skazywać go na ból. Ja chciałam ratować go za wszelką cenę, byle był z nami. Rzuciłam się w wir pracy, ale myśli o ojcu leżącym jak kłoda w szpitalu, nie dawały mi spokoju.

– Proszę księdza, co mam zrobić, tato leży śmiertelnie chory w szpitalu, 60 km dalej od mojego domu i pracy.

– Odwiedzaj go jak najczęściej, możesz krócej pracować, na to szef powinien się zgodzić...

Prawie codziennie w samo południe wsiadałam do busa. Szybko podbiegałam do jego łóżka, ścisnęłam z całej siły rękę, szczyptałam delikatnie policzki, aż na jego twarzy pojawiał się grymas bólu. Upatrywałam w tym powitaniu dobry znak, nie cierpi. Z dnia na dzień był jednak coraz słabszy i tracił siły. Odmawiał jedzenia, nie rozumiał, co się do niego mówi. Wierzyliśmy w moc kroplówki, jakby trochę glukozy i soli fizjologicznej mogło go uzdrowić. Pierwsze odleżyny, kłopoty z sercem, nerkami. Zapadał w głęboki sen, a jego charczący oddech doprowadzał nas do paniki. Przy próbie kolejnego budzenia usłyszałam: – zostaw, bo cię kopnę... Było to pierwsze grubiaństwo, które usłyszałam od ojca. Bo tato nie obciążał nas brudnymi słowami. Tak,

tato, ponieważ użycie słowa ojciec jest niefortunne, pamiętamy go jako tatę. Nigdy żadne z nas też nie powiedziało: – tatusiu, mamusiu.

Nie godziliśmy się na jego umieranie. Najpierw go-  
lenie przez siostrę lub brata, potem trójka lub czwórka  
jego dzieci usadzała go na wózek. W łazience myłam  
go, jego ręce głowę, pupę i nogi. Pachniał życiem.

Dwudziestego szóstego września 2008 roku tuż  
przed godziną 9 zadzwoniła do mnie siostra.

– Ordynator powiedział, że dziś tato umrze.

Bez pukania wpadłam do gabinetu mojego szefa.

– Muszę teraz jechać do szpitala, z tatą jest  
bardzo źle.

– A co będzie ze stroną internetową? Miałaś  
napisać informacje.

– Mam gdzieś stronę internetową.

W busie znajomy kierowca:

– A co dziś tak wcześnie do szpitala?

Odwrociłam głowę w stronę okna.

\* \* \*

Nie pamiętamy tego wydarzenia, nie było nas  
jeszcze na świecie, wspomina go tylko mama.  
W upalny dzień lata brat, kilkuletni wówczas Wie-  
siek, od rana uganiał się w zagrodzie za żrebakiem.  
Przy kolejnej próbie złapania go za ogon młody koń  
uderzył go kopytem w sam środek czoła. Nikt tej  
sytuacji nie widział, ale we wsi słyszeli rozdzierający  
krzyk skrzywdzonego dziecka. Dotarł też do ojca,  
który kosił żyto w polu. Nie zastanawiał się. Tak  
jak stał, wziął krwawiącego syna na ręce i niósł  
pięć kilometrów do najbliższego ośrodka zdrowia  
w Bogorii. To cud, że uratowano Wieśka; do dziś na  
jego czole widać ślady kopytka. Śmiejemy się, że  
już w latach pięćdziesiątych koń nauczył go rozumu.

Na tej drodze znaczonej krwią dziecka wsią-  
kającą w piasek ojciec własnymi rękami postawił  
kapliczkę, która stoi do dziś.

Ojciec nigdy nie podniósł ręki na nikogo, nie  
chciał zabijać małych kociąt, które rozmnażały się  
przy płotach, tak jak to było w zwyczaju na wsi.

– Zrób wreszcie coś z tą kocicą, bo jej sama łeb  
ukręcę – mama wrzeszczała na całe podwórko.  
Mruknął pod nosem, schował kocicę pod kapotę  
i wywiózł kilkadziesiąt kilometrów do Sandomierza,  
gdzie pracował. Jeszcze tego samego dnia kocica  
wróciła do domu. Obolała, spuchnięta położyła się  
przed progiem. Już nie podniosła się z tego miejsca.

\* \* \*

Otoczyliśmy go szczelnie ciałami, wzrokiem.  
Żona, wnuki, dzieci. Jakieś poprawianie przeście-  
radła, poduszki, pacjentkę z sąsiedniego łóżka  
oddzielono kotarą. Najbardziej szlochała mama.  
On umierał po jednej stronie, my rozpaczaliśmy  
po drugiej. Mijały godziny, oddychał głęboko i co-  
raz głośniej.

– Mam coś do załatwienia, przyjadę zaraz –  
pierwszy odezwał się brat Wiesiek.

– To i ja na chwilę... – powiedziała jego żona.

– Chmurzy się, pierzyny wietrzą się na podwórku  
– usłyszałam od mamy.

– Jedźcie, będę dzwonić... – odparłam.

Zostałam z tatą sama, zegarek wskazywał kilka-  
naście minut po szesnastej. Wyciągnęłam z torebki  
obcinacz do paznokci, pilniczek.

– Jak cię zabol, to krzyknij na mnie, tak jak  
zawsze to robiłeś – powiedziałam mu do ucha.  
Dotykałam każdy palec, po palcu, najpierw u rąk,  
potem u nóg. W pewnym momencie skrzywił się,  
to ten ostatni paznokieć przy małym palcu nagle  
zsiniał. Obejrzałam się, za moimi plecami stał ksiądz.

– Tak, tato ma ostatnie namaszczenie – po-  
kazałam święty obrazek na półce. – Chcę zostać  
z nim sama...

Zadzwoniłam do mojej siostry – gdzie jeste-  
ście?...

– W pobliżu szpitala.

Wyciągnęłam różaniec. Gdy skończyłam się  
modlić, on przestał oddychać.

Mój ojciec nie żyje / Ale uwierzę w to naprawdę,  
/ kiedy Matka przestanie Go szukać / przez łzy  
i bezsenne noce / i kiedy nie będzie pytać: / Gdzie  
tak długo byłaś...? / I że trzeba Go przyprowadzić,  
/ bo tu jest Jego miejsce/.

\* \* \*

Był grudniowy, śnieżny powszedni dzień. Nie  
pamiętam dlaczego akurat mnie ojciec zabrał, by  
odwiedzić matkę, która leżała na porodówce, gdzie  
urodziła piąte dziecko – trzeciego syna. Droga do  
oddalonej od domu o prawie pięć kilometrów Bo-  
gorii wiodła przez lasy i pola. Choć miałam dopiero  
dziewięć lat, zapadła mi już głęboko w pamięć. Co  
niedzielę bez względu na pogodę mama wyprawia-  
ła czwórkę rodzeństwa do znajdującego się tam  
parafialnego kościoła. Nie czułam z tego powodu  
żadnej radości. Bałam się zarośli, wybiegających

z nich psów, potykałam się o własne buty, a przy przeskakiwaniu wijącego strumyka z kamienia na kamień zazwyczaj wracałam do domu ubabrana błotem po pachy.

Tamtego zimowego dnia, kiedy ojciec miał ujrzeć po raz pierwszy kolejnego potomka, a ja brata, nogi same mnie niosły tą drogą. Potykałam się o własne nogi próbując go dogonić, ale to nie było łatwe. Wreszcie uchwyciłam poły jego lichej jesionki.

– Nie martw się, tato, jak dorośniemy, będziesz bogaty. Wiesiek da ci stówkę, Ewa też, ja, Adam i braciszek, który się urodził – wyliczałam na palcach.

Mocno przytulił mnie do siebie, pogłaskał po głowie i wziął za rękę. Nagle stał się radosny i zaczął pogwizdywać. Od tamtej pory kolejny potomek rodu Zielińskich stał się oczkiem w głowie ojca. I wyróżniał go przy każdej okazji.

Ojciec nadal, niezależnie od mojej woli, przychodzi do mnie wierszami, inspiruje, z każdym nowym wersem poznaję go na nowo. Trzymam jak talizman lusterko, które znalazłam w jego marynarce, noszę przez niego podarowane złote pierścionki przywiezione z Węgier. Ten mały sygnecik miałam wymienić na kolczyki w kształcie gwiazdek, przy trzecim podejściu u jubilera zrezygnowałam. Chyba taka jest Twoja wola, tato.

Nigdy nie podpowiadał, jak ma wyglądać nasza przyszłość, ale mieliśmy żyć uczciwie, poszukiwać prawdy i mądrości.

Nasza prawda mieszka  
dalej, niż się wydaje.  
Pragnienie jej poznania  
oddycha dzieciństwem,  
zabawą w chowanego.  
Szukanie siebie nawzajem  
przetrwą w cieniu  
podwórkowych wspomnień.

Dobrze byłoby z nią iść,  
tak ramię przy ramieniu.  
Zostajemy w tyle,  
otaczają nas lęki o jutro,  
dzień dobry, dobranoc.  
Pragniemy uwolnić się  
od składanych życzeń  
nie do spełnienia.  
W wędrówce ziemi do nieba  
wyciągnięta pomocna dłoń,  
ciepła od dobrych uczynków  
jest o krok od prawdy.  
A zaciśnięta pięść  
biegnie do nas na skróty.

Jak was odróżnić nim  
przybieracie jakiś kształt?

(*Nasza prawda*)

Mama przy każdej okazji powtarza, że małżeństwa, które są ze sobą tyle lat, powinny umierać razem. Ostatnio zapytałam najmłodszego brata, co najbardziej utkwilo mu z kontaktów z tatą.

– Miałem może sześć lat, kiedy tato z samego rana odbierał mnie ze szpitala w Staszowie. Trzeba było iść kilka kilometrów na przystanek, gdzie raz na dzień kursował autobus w stronę domu. Obaj z tatą byliśmy bardzo z siebie zadowoleni, bo udało nam się dotrzeć do domu na obiad. Najstarsza córka Ewa wspomina ojca często, to ona przez wiele lat była przy nim najbliżej, opiekowała się nim najlepiej, jak tylko potrafiła. Mama nie miała cierpliwości, trudno jej było pogodzić się z tym, że jej żwawy Józek o krzepkich nogach z dnia na dzień tracił pamięć i większość czasu przesympiał. Ojciec od mamy był starszy o piętnaście lat; kiedy podupadał na zdrowiu, ona, urodziwa Jagódka, gospodarzyła na ośmiu hektarach ziemi za dwoje, żeby dzieci wykształcić.

\* \* \*

W rodzinnym domu nadal rzeczy taty leżą w zasięgu oczu; często wkładam jego czapkę z daszkiem, siadam na jego drewnianym krześle: Zmrok się tu gdzieś kręci, / a ty tam za górą w lesie. / Bez dachu nad głową, / choć niebo zaraz pęknie. / Znów przyjdiesz mokry, / od tych moich łez. / Noc pochrapuje ciepła, / pod pierzynką dobre sny / A rano ma oczy czyste, / jak pacierz, chleb i woda, / którymi mnie karmiłeś. / Do wczoraj tak było. / Nie spóźnij się tato, / na me narodziny.

*Anna Zielińska-Brudek*

Cytaty poetyckie pochodzą z tomów wierszy Autorki: *Gorzkie owoce* i *Tymczasowi*.

## Siostry (Fragment powieści)

Przeczekwała na dworcu do szóstej rano. Wsiadła w autobus do Zakopanego i w południe była już u cioci Aliny, która, choć trochę zdziwiona tą niespodziewaną wizytą, nie pytała o nic. Miała nadzieję, że Teresa wszystko jej opowie, jak tylko dojdzie do siebie. Biedactwo było takie wymizerowane. Ciocia Alina nakarmiła ją pierogami, które zostały z wigilii spędzonej razem z sąsiadką. Teresa wypita dwie filiżanki mocnej herbaty, której smak u cioci Aliny był najlepszym ze wszystkich smaków na świecie.

– Takiej dobrej herbaty to nawet Anglicy nie pijają – powiedziała Teresa przymilnie i poprosiła o trzecią filiżankę.

Po czym położyła się na gościnnej kanapie i zapadła w kamienny sen. Spała długo. Nie słyszała, kiedy ciotka Alina wyszła z mieszkania, udała się do kościoła na popołudniową mszę.

Myśl, co też mogło się wydarzyć u Krajewskich, nie dawała jej spokoju. Niestety, nie miała możliwości kontaktu z Joanną, do tej pory w ich domu nie było telefonu. Pozostało jej tylko czekanie, może Tereska coś powie, jak się obudzi.

Tak się jednak nie stało. Dziewczyna była milcząca, a ściągnięta bólem twarz niczego dobrego nie wróżyła. W milczeniu zjadły kolację, Alicja nie spodziewała się gości, dlatego nie przygotowała świątecznego obiadu. Niestety, Teresa przy kolacji, do której ciocia nakryła stół białym obrusem i przyzdobiła świerkowym stroikiem, też nie zdobyła się na wyjaśnienie, dlaczego tak niespodziewanie, niczym jaki duch, zjawiała się w Krakowie? Gawędziły przyjaźnie, ale o niczym, rzecz można o pogodzie. Wielka szkoda, że Alina nie usiłowała nakłonić siostrzenicy do zwierzeń.

\* \* \*

A potem było to najgorsze, o czym Teresa nie zdążyła opowiedzieć Ewie, a może nie chciała... Jeszcze przyjdzie na to czas, i aż się skuliła na wspomnienie tamtych mrocznych chwil.

Prawie nigdy nie wracała do tamtej zimy, a jeżeli, to zawsze wspomnienie o niej było ciem-

nością. Przymknęła oczy i powrócił do niej obraz z jakże bardzo już odległej przeszłości. Nieraz zastanawiała się, dlaczego ten styczniowy dzień tak ją prześladowuje, czemu zapamiętała aż tyle i to tak beznadziejnych szczegółów?

Jest końcówka stycznia. Zmierzch o tej porze roku zapada szybko. Być może, to dlatego widzi do dzisiaj tę scenkę tak mroczną, że prawie nieczytelną. A jednak...

Nad podjęciem decyzji nie zastanawiała się zbyt długo, tak naprawdę, to już nie miała zbyt wiele czasu, ponieważ ten naglił! Od tej okropnej wigilii minął niespełna miesiąc, ale wiadomości z domu nie przychodziły. Iza milczała, a co najważniejsze – Michał też się nie odezwał, telefon w mieszkaniu jego rodziców milczał. I chyba właśnie ten fakt rozstrzygnął o jej decyzji. Nie urodzi tego dziecka! Nie da sobie rady, jest młoda, chce skończyć studia, a przede wszystkim jest to dziecko Michała. Dziecko będzie go zbyt boleśnie przypominało. A jej ojciec! – jak się zachowa jej głęboko wierzący ojciec, kiedy się dowie, co ona zrobiła?

Przejdzie mu kiedyś z pewnością, z czasem się pogodzi z moją decyzją – pomyślała Teresa.

Podniosła się z łóżka, w którym spędziła całe przedpołudnie, przygotowując się do bardzo trudnego zaliczenia ze „Wstępu do badań historycznych”. Wybrała spółdzielnię lekarzy przy ulicy Boya-Żeleńskiego. Była stosunkowo blisko położona od akademika, więc nie będzie musiała oglądać się za taksówką w drodze powrotnej. Jej umysł pracował szybko, sprawnie, nie dała sobie ani chwili na emocje, na zawahanie się.

Musi to zrobić! Inaczej jej cała przyszłość runie w gruzach. Z ojcem jakoś sobie poradzi – myślała gorączkowo.

Jakże się myliła! Ojciec nigdy nie zaakceptował jej wyboru, wykreślił młodszą córkę ze swego życia definitywnie. Ale to miało przyjść później. Teraz Teresa zdeterminowana aż do bólu, prawie biegiem dotarła do przystanku tramwajowego.

– Byle szybciej tam się znaleźć! Byle mieć to już za sobą! – szeptała do siebie.

Wszystko się układało nieźle: koleżanki z pokoju nie było w Łodzi, gdyż wybrała się po wałówkę

do rodzinnego domu w nie bardzo odległych Rokicinach. Miała zatem swobodę ruchu. Mimo niewielkiego mrozu, tramwaj przyjechał, o dziwo – punktualnie, nawet nie zdążyła poczuć styczniowego ziąbu. Tylko wszędzie ten mrok: na ulicach, w spółdzielni i chyba również w jej duszy.

Poczekalnia, do której dotarła około siedemnastej, tonęła w półmroku, tylko rejestracja była nieco lepiej oświetlona. Jakże dobrze pamięta rozkład pomieszczeń: na prawo od wejścia gabinet okulistyczny, dalej, na lewo, trochę w głębi tuż za recepcją drugie drzwi – pediatra, a za nimi – ginekologia: wybawienie dla takich jak ona, pogubionych dusz.

W tej drugiej poczekalni siedziały już trzy Cyganki. Jedna z nich wyjęła butelkę, chyba coli, a może to był inny napój? – nie, ten szczegół wyleciał jej z pamięci. Cyganka upiła kilka łyków, a potem zanurzyła ręce w falbaniastych spodniach i wytarła je rąbkiem którejś tam warstwy. Teresę zaniepokoiła biel koronek. Nie pojmowała, dlaczego skojarzyły się jej z dziecinnym becikiem – takim, w jaki ubierali jeszcze u nich na wsi niemowlęta do chrztu.

Co za brednie przychodzą mi do głowy! – otrząsnęła się z ponurych myśli.

Nawet przez moment nie przeszło jej przez myśl, że może to jakiś znak z góry, by zastanowiła się jeszcze, i by natychmiast opuściła tę ponurą poczekalnię, tę fabrykę aniołków.

Czyżby tamta też? – przeleciała jej ta myśl przez głowę.

Najbardziej upokarzające było zamówienie wizyty. Na wpół już rozebrana, w rannych pantoflach, bez pończoch, miała uczucie, że jeżeli nie zapadnie się pod posadzkę, to zaraz umrze. Nic jednak się takiego nie stało. Po wstępnym badaniu i rozmowie z ginekologiem, musiała do ceny wizyty lekarskiej dopłacić za sam zabieg. Stała przy okienku, czuła na swoich plecach spojrzeń tych, co czekali w kolejce do okulisty i ich nieme obelgi pod swoim adresem. A rejestratorka głośno, zbyt głośno ze względu na intymność zabiegu, wypytywała dziewczynę o nazwisko, adres, datę urodzenia. Starła się jak najciszej udzielać odpowiedzi na zadawane pytania, ale zdawała sobie sprawę, że to wszystko na nic. Miała wrażenie, że każdy wie, po co tutaj przyszła, że nikt dla jej krzywdy nie ma zrozumienia.

Do akademika na Lumumbowie wróciła jednak taksówką. Była znużona, słaba, i choć jeszcze

działało znieczulenie, bardzo obolała. Na szczęście Elka zamarudziła dłużej w Rokicinach, więc miała cały pokój i noc dla siebie. Nikt jej o nic nie będzie pytał.

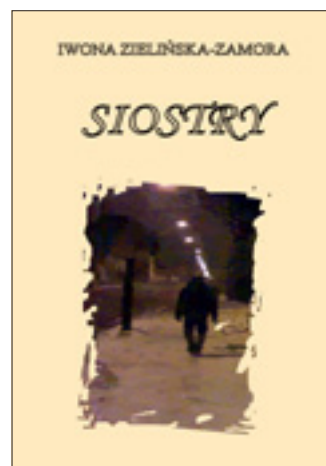
– Spać, położyć się spać i o niczym nie myśleć – bełkotała, zakopując się w pościeli.

Było jej potwornie zimno, zęby dzwoniły tak głośno, że obawiała się, by któraś z koleżanek z pokoju obok nie usłyszała i nie zechciała zainteresować się tym, co dzieje się w dwudziestce. Obudziła się zrana potem w środku nocy i pomyślała, że chyba ma gorączkę. Przeraziła się, czy aby na pewno ten doktorek dobrze wykonał zabieg. Obawy były niepotrzebne, rano było już znacznie lepiej. Ustąpił gdzieś ten mrok, który towarzyszył jej przez cały poprzedni dzień. Spojrzała przez brudną szybę na świat za oknem, zza chmur wynurzało się zimowe, blade słońce.

– To nic, że takie blade jak ja – mimo wszystko to dobra dla mnie wróżba. Razem z tym wschodzącym słońcem, ja też zacznę nowe życie – bredziła dalej, chociaż już nie miała gorączki, a i nocny lęk gdzieś się zapodział.

Jak pomyślała, tak zrobiła. Trochę pomógł jej w tym gorący okres sesji egzaminacyjnej. Nie miała już czasu roztkliwiać się nad sobą, skoro chciała iść wytyczoną jeszcze w październiku drogą. Jeden egzamin zdała w zerówce, ale przed nią był jeszcze ten najtrudniejszy w zimowej sesji, z historii starożytnej, który niewielu studentów zdawało za pierwszym podejściem. Ona chciała być najlepsza, nie hańbić się poprawkami. Chciała dorównać Izie, bowiem zawsze, choć często nieświadomie, ale jednak rywalizowała ze starszą siostrą. Pragnęła, by rodzice i z niej byli dumni.

Iwona Zielińska-Zamora, *Siostry*, Oficyna Wydawnicza „STON 2”, Kielce 2016, s. 182.



## Chaos

Człowiek do niczego nie jest mu potrzebny  
sam sobie władcą  
i królestwem bez końca

naśląć tornado – proszę bardzo  
powódź niewielka albo całkiem spora – a czemu  
[by nie

pustynię przesunąć – jak machnąć ręką  
morowe powietrze – robi się już

a czuje się pewnie  
jak mało kto  
wsparcie ma mocne  
fizyka na przykład  
chwytą się za głowę  
od jego nadmiaru

a już szczególnie  
upodobał wojnę  
na jej zapach  
strzyże uszami  
i rusza z kopyta

## Ład

Wymaga nieustannych zabiegów  
koszenia trawnika  
czyszczenia butów  
ustawienia książek na półce  
według określonego zamysłu  
wyraźnego zaznaczenia granic  
a i tak jest wyjątkowo nietrwały

Jego silniejszy brat  
mnoży się sam z siebie  
bez przykładania ręki  
i jakiegokolwiek wysiłku  
spuszczony na chwilę z oka  
chętnie wypełnia każdą przestrzeń

Wszystkie rzeczy dodane zostaną odjęte  
Taki na przykład związek rządu  
Istotny nie tylko w składni  
Przyda się na nic  
O przynależności nawet szkoda wspominać  
Uroczę czasowniki poznać rozumieć tworzyć  
W pierwszej osobie i we wszystkich czasach  
Zaszeleszczą jak opadłe liście  
Tragedie Sofoklesa dzieła Leonarda mazurki

[Chopina

Nie będą dostępne  
Wszelka wiedza odejdzie w podskokach  
Samotność o ta nie zostanie odjęta  
Mówi się że miłość że zgoda  
Będą policzone  
Ale to się okaże

## Rzeczy równoległe

Zamach stanu biegnie  
obok paktu o nieagresji  
wiosna niesie zieleń  
w tym samym czasie  
rzeka występuje z brzegów  
widzi się ludzi i zwierzęta  
w małych łódkach  
albo nawet tonące  
podczas kolacji  
między jednym a drugim kęsem sera  
drobnym łykiem wina  
wybucha wojna  
niekoniecznie na antypodach

i taki na przykład porządek  
istnieje  
równoległe do chaosu





## Nagroda za osiągnięcia w dziedzinie twórczości dla Ireny Paździerz

Jak co roku z okazji Święta Kielc zostały wręczone nagrody za osiągnięcia w dziedzinie twórczości artystycznej oraz upowszechniania i ochrony kultury w roku 2016.

Uroczystość odbyła się 23 czerwca 2017 o godz. 18.00 w Kieleckim Centrum Kultury. W wypełnionej po brzegi dużej sali KCK, w świetle jupiterów i przy dźwięku fanfar prezydent Kielc Wojciech Lubawski i przewodniczący Rady Miasta Dariusz Kozak wręczali bukiety kwiatów i nagrody Laureatom.

W dziedzinie literatury nagrodę II stopnia otrzymała Irena Paździerz. W części artystycznej uroczystości wystąpił Kielecki Teatr Tańca oraz uczniowie Szkoły Tańca KTT w spektaklu *Alicja w Krainie Czarów*. Przedstawiono I akt baletu w choreografii Elżbiety i Grzegorza Pańtaków. Kostiumy przygotowała Małgorzata Słoniowska. Była to wspaniała feeria światła, kolorów, ruchu i muzyki. Oczarowana i wzruszona publiczność rzęsiłymi brawami nagrodziła artystów.

Wracając do naszej laureatki, wypada powiedzieć kilka słów o niej samej i jej twórczości. Jest wielokrotnie nagradzana, że wymienię kilka jej sukcesów. Posiada order i odznaczenia: Zasłużony dla Kultury Polskiej (2008), Świętokrzyska Nagroda Kultury (2008), Nagroda III stopnia za osiągnięcia w dziedzinie kultury za rok 2010, Srebrny Krzyż Zasługi (2012).

Irena Paździerz jest prozatką, pisze również wiersze, recenzje i artykuły dla prasy.

Debiutowała w 1988 r. w tygodniku „Rzeczywistość” opowiadaniem *Kawiarniane nastroje*. Do Związku Literatów Polskich należy od 2002 roku. Komisja kwalifikacyjna pozytywnie zaakceptowała jej kandydaturę po ukazaniu się dwóch książek beletrystycznych: *Marzeń zielone migdały* oraz *Urok tajemnicy*. Jest autorką ośmiu książek. Oprócz dwóch wcześniej wymienionych są to: *Biały koń z chęcińskiego zamku*, *Kiedy zwierzęta mówią*, *Witaj Europo!*, *To się zdarza*, *Nie jestem Megi* i *Trauma Ewy*.

Wielokrotnie była nagradzana na konkursach literackich. Ważniejsze nagrody to:

– w I ogólnopolskim konkursie im. St. Żeromskiego za powieść *Witaj Europo!* otrzymała wyróżnienie

– w II ogólnopolskim konkursie im. St. Żeromskiego za powieść *Ucieczka w dorosłość* otrzymała I nagrodę, a za zbiór opowiadań *Okna III* nagrodę.

– ogólnopolskim konkursie im. L. Staffa za opowiadanie *Kawiarniane nastroje* została wyróżniona III miejscem, a następnego roku zajęła 2 miejsce za opowiadanie *Zabij psa*.

Twórczość Ireny Paździerz jest różnorodna. Pisze książki dla dzieci, młodzieży jak i dla dorosłych. Nie pomija też tematów związanych z regionem świętokrzyskim. Trudno się dziwić, wszak jest przewodnikiem świętokrzyskim przeszło trzydzieści lat. W jej twórczości często pojawiają się motywy związane z przyrodą, przede wszystkim z górami, z którymi, jak twierdzi, łączą się jej najmilsze wspomnienia.

Silnym elementem prozy Ireny Paździerz jest psychologiczne zagłębianie się w zawiłą strukturę człowieka. Przez to konstruowane przez nią postacie są wielowymiarowe i zróżnicowane. Choć autorka jest z wykształcenia ekonomistką, to zainteresowanie psychologią i kondycją współczesnego człowieka nie przestaje jej fascynować. Ich zakres poszerzyła uczestnicząc w rocznym kursie przygotowującym do pomocy psychoterapeutycznej w Instytucie Terapii Gestalt w Krakowie. Co prawda nie zmieniła profesji, ale wiedza w zakresie psychologii stała się pomocna w pisaniu.

Irena Paździerz pisze również wiersze. Ukazały się one w wielu antologiach, a także były tłumaczone na język serbski i angielski.

Dotychczas współpracowała z takimi czasopismami, jak „Ikar”, „Dedał”, „Radostowa”, „Świętokrzyski Kwartalnik Literacki”. Recenzje zamieszcza również w Internecie.

Od 2002 do 2011, jako członkini Zarządu kieleckiego Oddziału ZLP, była skarbnikiem i angażowała się w pracę daleko wybiegającą poza zakres przynależny tej funkcji. Obecnie współpracuje z Zarządem, pomagając przy wypełnianiu wniosków o przyznanie dotacji oraz przy ich rozliczaniu.

Irena Paździerz należy do tego rodzaju twórców, którzy – w opinii krytyków literackich – nie ograniczają się w swoich książkach do powielania utartych schematów, nie opisuje zasłyszanych historii, ale z twórczą inwencją sięga do spraw ogólnoludzkich. Jednak wszystkie pozycje, szczególnie beletrystyczne, w podtekście zawsze mają obraz Kielc są silnie związane z regionem świętokrzyskim, jak np. *Biały koń z chęcińskiego zamku*. Na kanwie historycznych zdarzeń autorka stworzyła opowieści, które chętnie są czytane przez dzieci. Nauczyciele wykorzystują tę książkę na lekcjach języka polskiego przy omawianiu regionalnych legend, a przewodnicy opowiadają je wycieczkom.

O jej drodze literackiej napisała książkę Liliana Abraham Zubińska w cyklu „Portrety literackie” pod tytułem *W drodze do siebie*. Zawiera ona ciekawą i wnikliwą analizę literackich dokonań autorki. Zarówno tych książek, które już ukazały się na rynku wydawniczym, jak i tych, które czekają na wydanie.

W roku 2016 ukazała się jedna z najciekawszych książek Ireny Paździerz pod tytułem *Trauma Ewy*. Spotkała się z życzliwym przyjęciem czytelników, a znany krytyk literacki, Stefan Jurkowski, napisał, że jest to książka ważna i znacząca wśród wydanych w tym roku.

*Trauma Ewy* to powieść psychologiczna o zmaganiach kobiety chcącej uwolnić się od silnego

urazu, którego doznała, gdy została zgwałcona przez chłopaka, z którym się spotykała. O gwałcie najczęściej mówi się wtedy, gdy sprawcą jest ktoś nieznan, ale zgodnie ze statystykami psychologów, do nadużyć seksualnych dochodzi najczęściej w zaciszu domowym, podczas spotkań towarzyskich, gdzie wszyscy się znają, może nawet są przyjaciółmi, a także gdy mąż domaga się „świadczania usług seksualnych”, bo w jego mniemaniu do tego zobowiązała się kobieta przysięgając mu przed ołtarzem.

O takich sprawach się nie mówi. Kobiety nie przyznają się do tego, że zostały zgwałcone przez mężów, partnerów, kolegów. To wciąż temat tabu.

Bohaterka książki Ireny Paździerz też się do tego nie przyznaje. Cierpi, stale pamięta o tym, co ją spotkało, tym bardziej że wynikiem gwałtu jest dziecko. Jej oprawca pojawia się po kilku latach. Ewa usiłuje mu przebaczyć, ale to jest bardzo trudne.

Książka Ireny Paździerz porusza temat, który najczęściej jest zamiatany pod dywan, ale co przeżywają zgwałcone kobiety, nikt nie wie.

Pani Ireno, wierni czytelnicy serdecznie gratulują pani kolejnej ważnej nagrody i niecierpliwie czekają na następne książki.

Kielce, 27.06.2017

Anna Klonowska

## Grupa Literacka „Wiklina” w 60. rocznicę śmierci Leopolda Staffa

Dnia 31 maja 2017 r. odbyliśmy wycieczkę na Cmentarz Powązkowski w Warszawie. Celem naszego wyjazdu było odwiedzenie grobu Leopolda Staffa i złożenie hołdu poecie w 60. rocznicę jego śmierci, który u schyłku życia często gościł w Skarżysku-Kamiennej i w naszym mieście też zmarł 31 maja 1957.

Organizatorką naszego wyjazdu była nasza opiekunka Ela Jach, ale tak się złożyło, że nie mogła z nami pojechać ze względów zdrowotnych. Uczestnikami naszej wycieczki byli nie tylko członkowie grupy literackiej „Wiklina”, ale też przedstawiciele Miejskiego Centrum Kultury z panią dyrektorką Katarzyną Michnowską-Małek na czele. Już na zbiorce przed Miejskim Centrum Kultury przywitało nas wietrzyisko i zasiało niepokój, czy nie zakłóci nam zwiedzania zabytkowej nekropolii. Ciemne chmury na niebie też nie za-

powiadały się obiecująco. W drodze na szczęście niebo się roz pogodziło.

Już na miejscu zapoznaliśmy się z planem Powązek, bowiem cmentarz ten ma powierzchnię ok. 43 ha. Zwiedzanie rozpoczęliśmy od Alei Zasłużonych, gdzie pochowany jest Leopold Staff. Poprowadziła nas tam pani Basia Pardela, żona kolegi z „Wikliny”. Samo przejście aleją pełną pomników zacnych ludzi onieśmiało nas. Na początek złożyliśmy wieńce i kwiaty, zapaliliśmy świeczki. Uczciliśmy pamięć poety chwilą zadumy i modlitwy. Nastrój był poważny. Podekscytowani emocjami zaczęliśmy recytować wiersze Staffa. Na cmentarzu dużo było ludzi zwiedzających i oglądających. W tym właśnie momencie nadeszła liczna i głośna grupa młodzieży, chyba z gimnazjum. Na nasz widok zatrzymali się i jakby zastygli. Nasza koleżanka Bożenna Kiełkiewicz recytowała właśnie jeden z bardziej znanych wierszy Leopolda

Staffa *Deszcz jesienny* z tomiku *Dzień duszy*. Opiekun grupy wychwycił ów moment i potoczyła się spontaniczna rozmowa o Staffie i o nas, kim i skąd jesteśmy. I tak w sposób zupełnie nieplanowany odbyła się „żywa lekcja ze Staffa”. Koleżanka Ania Zakrzewska przypomniała jeszcze *Most* z tomiku *Wiklina*, który powstał właśnie w Skarżysku-Kamiennej, a Marzanna Kruk wyrecytowała *Ars Poetica* z tomu *Barwa miodu*. To były piękne chwile zarówno dla nas, bo nas słuchano, jak i dla młodzieży, gdyż miała okazję usłyszeć wiersze Staffa recytowane z wielką miłością, na żywo i... z pamięci! W niebywalej scenerii, bo przy grobie Leopolda Staffa, jakby w obecności poety. Myślę, że wszystkim nam pozostaną w pamięci te chwile.

Gdy ochłonęliśmy, poszliśmy zwiedzać dalej. Zatrzymywaliśmy się przy grobach i pomnikach znanych osobistości życia publicznego. Najbliższe naszemu sercu były jednak pomniki artystów, pisarzy, poetów, m.in. niedawno pochowanego Wojciecha Młynarskiego, Czesława Niemena, Marii Dąbrowskiej, Ady Sari, Jadwigi Smosarskiej i wielu innych... Zapaliliśmy też znicz na grobie Jerzego Waldorffa, by uczcić jego zaangażowanie w ratowanie Powązek. Jerzy Waldorff był bowiem założycielem Społecznego Komitetu Opieki na rzecz Ochrony Starych Powązek. Z Alei Zasłużonych przeszliśmy dalej i podziwialiśmy piękne nagrobki, wzruszające epitafia, niezwykle rzeźby czy też mogiły zbiorowe, m.in. młodych ludzi, którzy zginęli w Powstaniu Warszawskim.

Chmury gdzieś odpłynęły, wiatr się wyciszył, a naszym zachwytem nie było końca. Podbudowani na duchu wracaliśmy do Skarżyska. W drodze przekazywaliśmy swoje świeże i gorące wrażenia naszej opiekunce Eli Jach. Wysyłałaliśmy zdjęcia, by mogła wspólnie z nami cieszyć się z udanej wycieczki. Nawet z tego, że rozpędziliśmy ciemne, burzowe chmury; wszak pojechaliśmy w zacnym celu i dobrej intencji.

Małgorzata Biela



Zdjęcia z archiwum MCK Skarżysko-Kamienna

## Andrzej Piskulak – trzykrotnie nagrodzony

Andrzej Piskulak – członek Związku Literatów Polskich i Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej na początku tego roku nagrodzony został: Nagrodą Miasta Kielce 20 lutego br. w KCK, Brązowym Medalem Zasłużony Kulturze *Gloria Artis* 6 kwietnia br. w Staszowie, Nagrodą Menora Przyjaźni 28 kwietnia w Kielcach.

### Nagroda Miasta Kielce

Podczas uroczystej gali w Kieleckim Centrum Kultury prezydent Kielc Wojciech Lubawski w swej wypowiedzi podkreślił, że tegoroczni laureaci zaszczytnej Nagrody Miasta Kielce należą do osób, którym nie jest obojętny wizerunek swojego miasta i dlatego warto o nich mówić i im za to podziękować.

Andrzej Piskulak nagrodzony został za całokształt dorobku dziennikarskiego i literackiego. W 2016 obchodził 35-lecie pracy twórczej, literackiej oraz 30-lecie pracy dziennikarskiej. Jest korespondentem z regionu świętokrzyskiego Katolickiej Agencji Informacyjnej.

### Brązowy Medal Zasłużony Kulturze *Gloria Artis*

Podczas obchodów Światowego Dnia Poezji UNESCO w Staszowskim Ośrodku Kultury Andrzej Piskulak otrzymał Brązowy Medal Zasłużony Kulturze *Gloria Artis* za osiągnięcia literackie i dziennikarskie. W imieniu ministra kultury i dziedzictwa narodowego uhonorowania dokonał Paweł Lubieniecki – dyrektor generalny Świętokrzyskiego Urzędu Wojewódzkiego w Kielcach.

### Nagroda Menora Przyjaźni

Na zakończenie Kieleckich Spotkań Chrześcijańsko-Żydowskich, które odbywały się w Instytucie Kultury Spotkania i Dialogu w kamienicy przy ul. Planty 7 Andrzej Piskulak otrzymał Nagrodę Menora Przyjaźni przyznaną przez Stowarzyszenie im. Jana Karskiego, którą wręczył prezes Bogdan Białek.

Laureat od wielu lat dokumentuje w swoich depeszach do KAI działalność naszego Stowarzyszenia. Jest też „strażnikiem pamięci” o tych, którzy odeszli, a tworzyli historię regionu świętokrzyskiego – podkreślił prezes.

W swoim wystąpieniu nagrodzony podkreślał wagę tematu, jakim są relacje chrześcijańsko-żydowskie i wszelkie inicjatywy zmierzające ku budowaniu pojednania.

Menorę Przyjaźni otrzymują publicyści i dziennikarze, którzy w swojej pracy realizują przesła-

nie *Pana Cogito* z wiersza Zbigniewa Herberta: „Żebym zrozumiał innych ludzi inne języki inne cierpienia”, ze szczególnym uwzględnieniem twórczości poświęconej ocaleniu od zapomnienia społeczności żydowskiej.

Andrzej Piskulak opublikował następujące książki: (tomiki wierszy) *Kluczem do baśni może być wytrych* (1980), *Po trzeciej zmianie* (1985), *Z gwiazdozbioru oczu* (1989), *Dąb jak chłop* (2003), *Poezjoborze* (2004), *Li@tania* (2005), *Eremyk* (2009), *Lirobranie* (2015) oraz powieść *W imię ojca* (2007).

Jest współautorem publikacji książkowych: katalogu *Agwazaja* (1981), albumu *Milenium Świętokrzyskie – cywilizacja Krzyża* (2008), dodatku pt. *Losy poetów Gołoborza* (2006) do reprintu *Gołoborze z 1938*. Napisał słowa do utworu muzycznego: *Maryjo, do Syna Swojego Nas prowadź* – Hymnu na okoliczność Peregrinacji Obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej w Diecezji Kieleckiej, który opublikowany został m.in. na płycie CD (2007) i w kilku wydaniach książkowych modlitewników i mszałów oraz śpiewany był przez cały rok we wszystkich kościołach diecezji kieleckiej.

Był i jest redaktorem gazet i publicystą zajmującym się problematyką kulturalną.

Od stycznia 2010 do stycznia 2012 był sekretarzem redakcji w dwumiesięczniku „Wici.Info”, wydawanym w Kielcach. Od stycznia 2011 jest redaktorem naczelnym „Gazety Zagnańskiej”, od kwietnia 2001 jest społecznym sekretarzem redakcji „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego”. Od 2003 publikował teksty publicystyczne m.in. w miesięczniku krajoznawczym „Nasza Baba Jaga”, w ilustrowanym miesięczniku społeczno-kulturalno-artystycznym „Radostowa” i „Świętokrzyskim Kwartalniku Literackim”. Od 2004 był redaktorem naczelnym Magazynu Kulturalno-Artystycznego „Dedał”.

Od 2006 pracuje w Katolickiej Agencji Informacyjnej, pisząc codziennie depesze dziennikarskie o tematyce religijnej z regionu świętokrzyskiego.

Jako pisarz, krytyk literacki publikował m.in. recenzje w miesięczniku „Nowe Książki”, teksty publicystyczne w miesięczniku „Inspiracje”, utwory literackie w miesięczniku „Okolice”. Pod patronatem „Okolic” był organizatorem w latach

1989–1990 w Kielcach ogólnopolskich warsztatów literackich.

W latach 1997–1999 był redaktorem wydań kieleckich „Kuriera Polskiego” oraz dziennikarzem wydań ogólnopolskich „Kuriera Polskiego”. Efektem wieloletniej współpracy ze środowiskiem literatów polskich w Kanadzie jest publikacja „Owocny trud scalania” w tomie esejów „Mosty z papieru”, w 2010 w Toronto. O Andrzeju Piskulaku napisał prof. Jerzy Korey-Krzeczowski z Kanady w książce pt. *Powracam tutaj z własnej woli* (2006).

Wydana została w Kielcach w 2009 na płycie CD oraz opublikowana w Świętokrzyskiej Bibliote-

ce Cyfrowej, staraniem i nakładem Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Witolda Gombrowicza w Kielcach *Bibliografia podmiotowo-przedmiotowa w 50. rocznicę urodzin Pisarza. Andrzej Piskulak*.

Pełnił funkcję sekretarza Zarządu Kieleckiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Należy do organizacji dziennikarskich: Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej (pełnił funkcję sekretarza w Zarządzie Kieleckiego Oddziału SDRP) i Międzynarodowej Federacji Dziennikarzy, z siedzibą w Brukseli, IFJ (International Federation of Journalists).

*Red.*

Z Medalem Zasłużony Kulturze *Gloria Artis*

U dołu: wśród laureatów Nagrody Miasta Kielce

Zdjęcia z archiwum Laureata



## Noty o buskich artystach z Galerii „Zielona”

**Beata Borek**

e-mail: beataborek@op.pl



Absolwentka Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Kielcach. Ukończyła studia pedagogiczne w zakresie fizyki, studia podyplomowe w zakresie plastyki w Instytucie Wychowania Ar-

tystycznego oraz studia podyplomowe z wychowania fizycznego. Pracuje w Zespole Placówek Oświatowych Nr 1 w Busku-Zdroju. Tworzy w dziedzinie wikliny artystycznej, malarstwa i rysunku. Uczestniczy w plenerach malarskich, wikliniarskich i fotograficznych. Wiele jej prac znajduje się w galeriach i zbiorach prywatnych w kraju i za granicą. Swoje prace prezentowała na wystawach indywidualnych, konkursowych i poplenerowych. Brała udział w licznych aukcjach charytatywnych. Należy do Polskiego Stowarzyszenia Edukacji Plastycznej, Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Twórczego „Wiklina”. Nagradzana i wyróżniana w wystawach konkursowych, nagradzana nagrodami Burmistrza i Świętokrzyskiego Kuratora. Odznaczona Srebrnym Krzyżem Zasługi, odznaką „Za Zasługi dla Turystyki”, Medalem KEN.

**Piotr Kaleta**

e-mail: kaleta.fv@gmail.com



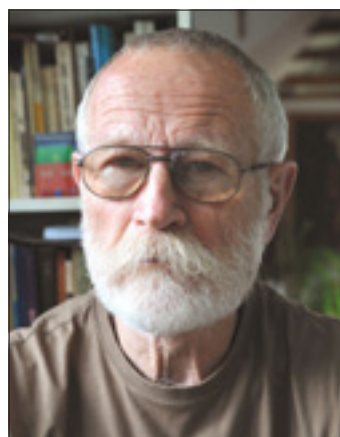
Ur. w 1945 w Busku-Zdroju, gdzie mieszka. Zajmuje się fotografią artystyczną oraz filmem i fotografią reportażową. Przez wiele lat pracował jako instruktor w Buskim Domu Kultury.

Z wykształcenia jest nauczycielem

i w zawodzie, w placówkach oświatowych pracował 20 lat. Efektem kontaktów z kieleckim środowiskiem fotograficznym jest wielokrotny udział w Biennale Krajobrazu Polskiego (nagrody i wyróżnienia) i zaliczenie do tzw. Kieleckiej Szkoły Krajobrazu.

Jest organizatorem Ogólnopolskiego Przeglądu Fotograficznego „Ponidzie” i plenerów fotograficznych przy współudziale Buskiego Samorządowego Centrum Kultury. Członek związku ZPAF.

**Bogdan Władysław Kowalczyk**



Ur. w 1937 w Zborowie. Uprawia malarstwo i rzeźbę. W 1956 ukończył Liceum Sztuk Plastycznych w Kielcach, kierunek rzeźba. Władze PRL uniemożliwiły mu z przyczyn politycznych ukończenie formalnych

studiów artystycznych („wilczy bilet”). W 1986 r. uzyskał uprawnienia Ministra Kultury i Sztuki do wykonywania zawodu artysty plastyka w zakresie malarstwa. Od 2004 należy do ZPAP O/Kielce. Prowadzi Pracownię Rzeźbiarsko-Malarską „ARTEMIS” od 1978. Brał udział w wielu krajowych i zagranicznych wystawach malarstwa i rzeźby oraz dokonał wielu realizacji w zakresie konserwacji, renowacji zabytków oraz projektowania wnętrz. Ważniejsze realizacje: prace rzeźbiarskie i malarskie w neoklasycywnym wnętrzu Sanatorium „Marconi” w Busku-Zdroju (rzeźbiona fontanna w pijalni, detale architektoniczne, freski, plafony, sztukaterie), rekonstrukcja kamiennych detali architektonicznych zabytkowego Pałacu w Mokrzyszowie k. Tarnobrzega; obrazy przedstawiające postacie św. Józefa, bł. Bernardyny-Marii Jabłońskiej – do Kaplicy Zgromadzenia Sióstr Albertynek w Kaplicy Pałacu Radziwiłłów w Słupki k. Pacanowa oraz w Krakowie; Pomnik Żołnierzy poległych na przyczółku Magnuszewskim; obraz przedstawiający postać Jezusa Miłosiernego do Prokatedry Miłosierdzia Bożego w Gdańsku; Sta-

tua z postacią Chrystusa Ukrzyżowanego w brązowym piaskowcu – Rauenberg (Niemcy). Jego prace znajdują się w zbiorach w kraju i za granicą: Niemczech, Szwecji, Francji, we Włoszech.

### **Tamara Maj**

e-mail: tamara.maj@gmail.com



Ur. w 1962 w Kielcach. Mieszka w Busku-Zdroju, gdzie od 1993 pracuje w Galerii BWA „Zielona”. Zajmuje się malarstwem, tkaniną i wikliną artystyczną.

Należy do ZPAP, Polskiego Stowarzyszenia Edukacji

Plastycznej oraz do Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Twórczego „Wiklina”. Swoją twórczość prezentowała na 63. wystawach indywidualnych oraz ponad 200. wystawach konkursowych, zbiorowych i poplenerowych w kraju i za granicą (m.in. we Włoszech, w Norwegii, na Krymie). Brała udział w licznych aukcjach charytatywnych. Uczestniczyła w 35. plenerach wikliniarstwo-tkacko-malarskich organizowanych przez OST „Wiklina”, PSEP i BSCK. Jest laureatką wielu nagród i wyróżnień, jej prace znajdują się w zbiorach państwowych (BWA Kielce, BWA Olkusz, Centrum Wikliniarstwa Rudnik n/Sanem, Ośrodka Kultury Leśnej w Gołuchowie) jak też zbiorach prywatnych: w Polsce, Anglii, Australii, Francji, Niemczech, Włoszech, USA, Kanadzie.

### **Stanisław Przodo**

tel. 668 246 861



Absolwent Studium Nauczycielskiego w Radomiu, kierunek – plastyka i wychowanie techniczne oraz WSP w Kielcach na kierunku pedagogika pracy k.o. Pracował

w szkole podstawowej, następnie w Powiatowym Domu Kultury w Busku-Zdroju (obecnie BSCK). Jako instruktor ds. plastyki prowadził zajęcia z dziećmi i młodzieżą oraz zajmował się upowszechnianiem plastyki na terenie powiatu buskiego.

W 1985 zapoczątkował Przegląd Twórczości Plastycznej „Ponidzie”. Organizował plenery malarskie: „Barwy mojego miasta”, „Moje miasto i ja”, „Moje miasto w czterech porach roku”, w których również uczestniczył.

Brał udział w licznych wystawach zbiorowych w BSCK, w Kielcach (WDK i Klubie „Słoneczko”), DK w Rudniku n/Sanem. W 2014 z okazji 50-lecia Domu Kultury w BSCK zorganizował wystawę indywidualną malarstwa „Notatki z podróży”. Autor i wykonawca dekoracji scenicznych, okolicznościowych i plenerowych dla miasta i powiatu Busko-Zdrój.

### **Bogdan Ptak**

e-mail: bpbusko@wp.pl



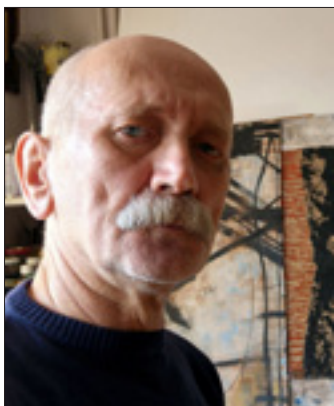
Ur. w 1952 w Opolu. Mieszka w Busku-Zdroju, gdzie od 1989 prowadzi Galerię Sztuki „Zielona” Filii kieleckiego BWA. Uprawia malarstwo sztalugowe, rysunek i fotografię. Zajmuje się również grafiką wydawniczą.

Od 1996 jest członkiem Stowarzyszenia Państelistów Polskich. Od 1998 należy do ZPAP. Odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi (2005), Brązowym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” (2008). Otrzymał Statuetkę Siewcy jako Buskowiec Roku 2014.

Swoje prace prezentował na 39. wystawach indywidualnych i 121. zbiorowych. Zaprezentował malarskie cykle tematyczne zatytułowane: *Malarstwo; Strefa ciszy; Zabawa w zielone; Cienie światła; Déjà vu; Dwa światy; Sugestie; Czas3 przeszłość, teraźniejszość, przyszłość; Pomiędzy śladami*. Uczestniczy we wszystkich ważnych wydarzeniach artystycznych, jak konkursy, wystawy środowiskowe i aukcje charytatywne.

### **Marek Wawro**

www.marekwawro.com, e-mail: wawro1953@gmail.com



Ur. w 1953 w Busku-Zdroju. Mieszka w Kielcach. Uprawia malarstwo, rysunek, art video, foto/environment. Trzykrotny stypendysta MKiDN (2000, 2005, 2007). Członek ZPAP oraz Stowarzyszenia Paste-

listów Polskich. W latach 1980–2017 brał udział w wielu wystawach zbiorowych, w tym w „Przedwiośniu” – nagradzany 25-krotnie (4-krotnie nagrodą Grand Prix). Zrealizował 47 wystaw autorskich, wielokrotnie w Kielcach (BWA), Busku-Zdroju (BWA), ponadto w Gdyni, Krakowie, Warszawie, Londynie, Gorzowie Wlkp., Olkuszu, Belgradzie, Dringenberg, Paderborn (Niemcy).

### **Adam Wawszczyk**

e-mail: adamwawszczyk@wp.pl



Ur. w 1968 w Busku-Zdroju, gdzie mieszka.

Od 1991 fotografuje; z wielką pasją przedstawia Ponidzie z jego krajobrazem, świątkami i przyrodą. Od wielu lat uczestniczy w wystawach foto-

graficznych, m.in. w kolejnych edycjach Ogólnopolskiego Przeglądu Fotograficznego „Ponidzie”, które jest prezentowane cyklicznie w Galerii BWA „Zielona”, Galerii BSCK w Busku-Zdroju oraz Muzeum Regionalnym w Pińczowie. Nagrodzony w konkursie „Busko-Zdrój, Portret Miasta 2016”.

### **Barbara Wnuk-Spirowska**

tel. 785 579 360, e-mail: b.spirowska@interia.pl

Mieszka i pracuje w Busku-Zdroju. Ukończyła PLSP im. J. Szermentowskiego w Kielcach (specjalizacja – ceramika artystyczna).



Studiowała na UJ. Ukończyła studia podyplomowe na WSP w Kielcach (specjalność – plastyka). Tworzy w dziedzinie malarstwa, rysunku, grafiki. Uczestniczyła w plenerach malarskich organi-

zowanych przez BSCK, PSEP, ŚCDN. Brała udział w 64. wystawach m.in. w Busku-Zdroju, Chicago (USA), Gołuchowie, Jędrzejowie, Kielcach, Końskich, Krakowie, Milwaukee (USA), Pińczowie, Radomiu, Sandomierzu, Solcu-Zdroju, Specchii (Włochy), Warszawie oraz w licznych aukcjach charytatywnych w Polsce i USA.

### **Marian Żywczyk**

tel. 692 501 380



Ur. w Łęczakowie (woj. świętokrzyskie). W latach 1952–1958 studiował na Wydziale Architektury Politechniki Krakowskiej. W latach 1958–1992 pracował jako architekt

w budownictwie. Był kierownikiem budowy w Rzeszowie i Krakowie, a potem architektem powiatowym i rejonowym w Busku-Zdroju. Najdłużej pracował w Biurach Projektowych w Kielcach.

Od 1992 na emeryturze. Zajmuje się malarstwem i fotografią. W przeszłości uprawiał liczne techniki plastyczne (drzeworyt, linoryt, rzeźba w drewnie, witraże). Obecna twórczość akwarelowa jest efektem dawnych nauk i dzisiejszych zainteresowań. Od 2008 należy do Polskiego Stowarzyszenia Edukacji Plastycznej w Kielcach.

Bierze udział w licznych wystawach zbiorowych, poplenerowych i aukcjach charytatywnych, jak również w plenerach fotograficznych i malarskich organizowanych przez BSCK i PSEP.



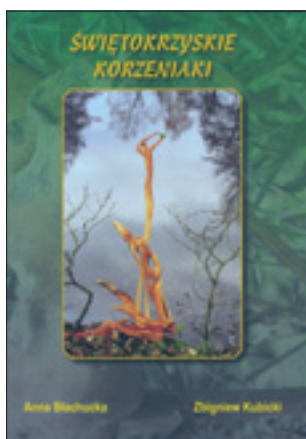
## Nowości wydawnicze

Oprócz książek wydanych w bieżącym roku, omówionych bądź anonsowanych już w tym numerze:

- tomu poetyckiego Zdzisława Antolskiego *ojczyzna papierowych żołnierzyków*,
- tomu poetyckiego Romualda Bielendy *Wiatraki w Sefferweich*,
- powieści Jana Chruślińskiego *Starość zaczęła się wczoraj...*, wyd. trzecie,
- tomu opowiadań Bohdana Gumowskiego *Camino znaczy droga*,
- tomu poetyckiego Stefana Jurkowskiego *Spacer do siebie*,
- powieści Henryka Kawiorskiego *Wizja*,
- wyboru wierszy Benedykta Koziela *W środku tajemnicy* (w jęz. polskim i bułgarskim)
- zbioru Włodzimierza Kłaczyńskiego „*Oficyna*” i inne utwory sceniczne oraz opowieści *Wnucek*,
- zbioru wierszy Jana Lechickiego *Reliefy serca*,
- wyboru wierszy i poematów Elżbiety Musiał *Niskie słońca* (w j. polskim i bułgarskim)
- tomu poetyckiego Uty Przyboś *Odłamki* (w j. polskim i bułgarskim),
- tomu eseistycznego Kazimierzy Szczykutowicz *Poezja profiluje człowieka*,
- powieści Bogusława Wiłkomirskiego *Piektło w dolinie Pandzu*,
- powieści Iwony Zielińskiej-Zamory *Siostry* polecamy uwadze Czytelników następujące tytuły:

**Anna Błachucka, Zbigniew Kubicki**, *Świętokrzyskie korzeniaki*, Kielce 2017, Katolickie Stowarzyszenie „Civitas Christiana”, s. 112.

Wydana w bieżącym roku książka pt. *Świętokrzyskie korzeniaki* – pisze w *Słowie krytycznym* Władysław Szproch – to praca zbiorowa i na swój sposób wyjątkowa. Składają się na nią wiersze poetki Anny Błachuckiej i korzeniorzeźby artysty rzeźbiarza Zbigniewa Kubickiego, które nie są tylko ilustracjami poezji, ale tworzą z nią spójną jedność. [...]



Autorzy zbioru mocno wierzą w to, że ich wspólna praca stanie się jedną z dydaktycznych metod kształtowania społecznie pożądanых postaw dzieci i młodzieży, a starszych przeniesie w czas, kiedy świat realny przeplatał się z bajkowym, bo prawdą jest i to, że każdy dorosły człowiek ma w sobie dorosłe dziecko.

*Kazimierskie spotkania literackie. Antologia twórczości uczestników plenerów literacko-plastycznych*, Kielce 2017, Oficyna Wydawnicza „STON 2”, s. 96, liczne zdjęcia.

Antologia obejmuje grono 25. pisarzy i artystów malarzy, którzy w ciągu wielu minionych lat gościli w Kazimierzu Dolnym na ciekawych i owocnych twórczo plenerach. Książka poświęcona jest pamięci Marii Kuncewiczowej i wiele w niej odniesień do życia i twórczości pisarki, m.in. we wspomnieniu Edwarda Balaweidera. Większość utworów to reminiscencje z pobytów w malowniczym grodzie nad Wisłą. Rozmaitość spojrzenia na przyrodę i architekturę, jak również stylów, czyni lekturę bardzo zajmującą.



**Stanisław Nyczaj**, *Wśród pisarzy 2. Rozmowy i wspomnienia*, Kielce 2017, OW „STON 2”, s. 272, liczne zdjęcia i fotokopie rękopisów.



Kontynuacja cyklu wspomnieniowego, jaki autor rozpoczął pod tym samym tytułem w r. 2010 z mottem „Sprawiedliwa pamięć jest naszym moralnym obowiązkiem”. Wtedy przywoływał z zapamiętanych osobistych kontaktów i rozmów sylwetki m.in. Stanisława Grochowiaka, Jerzego Harasymowicza, Jarosława Iwaszkiewicza, Jana Koprowskiego, Piotra Kuncewicz, Marii Kuncewiczowej, Tadeusza Nowaka, Juliana Przybosia, ks. Jana Twardowskiego, a spośród nieodżałowanych literatów regionu świętokrzyskiego Bolesława Garbosia, Wiesława Jażdżyńskiego, Jana Krzysztofczyka, Zbigniewa Nosala, Józefa Ozgi Michalskiego.

Tym razem lista nazwisk pisarzy obejmuje prócz wspomnień m.in. o Stanisławie Barańczaku, Gustawie Herlingu-Grudzińskim, Julianie Kawalcu, Kazimierzu Kowalskim, Edmundzie Niziurskim, Tadeuszu Różewiczu, Wisławie Szymborskiej, Andrzeju K. Waśkiewicz, pożegnanych niedawno w kręgu najbliższego otoczenia Henryka Jachimowskiego, Bożenę Piastę, Ryszarda Miernika, Henryka Morawskiego, Stanisława Pająka.

**Stanisław Stanik, Izabela Zubko, *Mały pisarczyk z Małoszyc. Album artysty***, Warszawa 2017, Studio Graficzne AGAT, s. 394, liczne zdjęcia.



Anonsowana fragmentami w „Gazecie Kulturalnej” rozmowa rzeka Stanisława Stanika z Izabelą Zubko w wydaniu książkowym urosła do obszernego zapisu losów biograficznych poety, krytyka literackiego i publicysty (od lat najmłodszych,

oddziaływań w rodzinie z podopoczyńskich Małoszyc nad Pilicą, poprzez lata szkolne, studia na KUL-u w Lublinie, pracę w redakcjach czasopism kieleckich, radomskich, po ustabilizowaniu się w Warszawie, gdzie od wielu lat mieszka przebywając na emeryturze), jak i przebiegu drogi twórczej – od debiutu tomikiem poetyckim *Objęcia* w 1991 – uwieńczonej aktualnie wydaniem 21

książek, w tym monografii o Jerzym Szaniawskim *Samotnik z Zegrzynka*, za którą otrzymał Nagrodę im. Witolda Hulewicza. Zdobył też nagrodę Stowarzyszenia Artystycznego „ZA” oraz nagrodę im. Gustawa Herlinga-Grudzińskiego za najlepszą książkę roku 2014. Obecny w antologiach poezji w j. rosyjskim, białoruskim, czeskim, litewskim. Od 1991 członek Warszawskiego Oddziału ZLP.

Poetka Izabela Zubko skłania go licznymi pytaniami do wspomnień o kontaktach z wieloma pisarzami, m.in. Jarosławem Iwaszkiewiczem, Czesławem Miłoszem, Ernestem Bryllem, Zygmuntem Trziszką, Wiesławem Sokołowskim (przewodniczącym Stowarzyszenia Artystycznego „ZA”), Pawłem Soroką (przewodniczącym ogólnopolskiego ruchu RSTK), Janem Z. Brudnickim, poetami z kręgu Orientacji „Hybrydy” (m.in. Markiem Wawrzkiwiczem z korektą po sprostowaniach prezesa ZG ZLP zamieszczonych we wspomnianej „Gazecie Kulturalnej”, Andrzejem Zaniewskim), poetami młodszej generacji. Prócz ciekawych refleksji, są tam i zwykłe plotki czy wymówki dotyczące wartościowych pisarek lub wrzutki w rodzaju, iż „Staszek Nyczaj z Kielc podbija od lat stolicę, prowadząc do niej tabun poetów świętokrzyskich”, choć skądinąd wiadomo, że środowisko nasze wnosi wartościową twórczość, sprawdzającą się np. podczas konfrontacji na Światowych Dniach Poezji UNESCO, Festiwalach Poezji Słowiańskiej, w antologiach i indywidualnych poetyckich tomach dwujęzycznych.

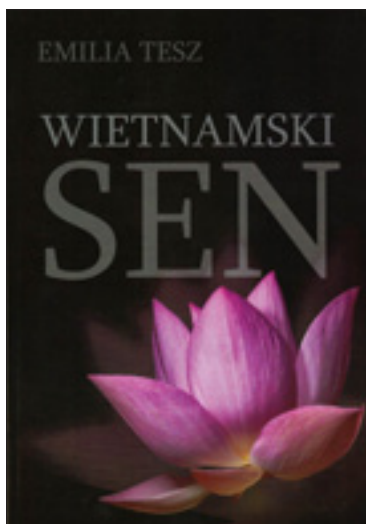
**Janusz Szot, *Bez sztucznej pozy***, postłowie Magdaleny Węgrzynowicz-Plichty, Kraków 2017, Wydawnictwo SIGNO, s. 68.

Kolejny tom poety z Nowego Sącza, uczestniczącego aktywnie w naszych plenerowych spotkaniach. „W niniejszym tomie Janusz Szot – pisze autorka postłowa – odzwierciedlając stany



psychiczne i przeżycia jednostki samotnej i odrzuconej, a następnie zakochanej i tworzącej więzi z osobą ukochaną we wspólnym domu, także głosi «jedność prawdy artystycznej i życiowej».

**Emilia Tesz**, *Wietnamski sen*, Tomaszów Mazowiecki 2017, Agencja Wydawnicza PAJ-Press, s. 228, liczne zdjęcia.



We wstępie *Od Autorki* czytamy: „Zapraszam Państwa do wspólnej wędrówki po Wietnamie, do którego trafiłam dzięki moim byłym studentom. [...] Są wdzięczni Polsce, że otrzymali pomoc w trudnych czasach. W Wiet-

namie jest duża grupa «Polaków», jak mówią o sobie ci, którzy przed laty studiowali w Polsce: w Krakowie, Poznaniu, Łodzi... Dzięki nim spełniły się moje marzenia i sny”.

**Szczęśny Wroński**, *Piszę poemat*, Kraków 2017, Wydawnictwo i Drukarnia TERCJA, s. 112.



Tom prócz wierszy wybranych z wcześniejszych zbiorów poety (*Nadzieja matka głupich*, *Przenikanie*, *Tryptyk rodzinny*, *Smak ciemności*, *smak światła*, *Poręcze*) zawiera ciekawą rozmowę Marcina Kani z autorem,

w której m.in. zdradza on tajniki swego poetyckiego warsztatu. Np. „Ja nie piszę, to pisze się samo, innymi słowy odtwarza się to, co zostało

już we mnie zapisane. To rodzaj transu, jednak kontrolowanego, bo momentami dzielę się jakby na dwie osoby, a jedna z nich przygląda się temu, co wyczynia ta druga «rozgorączkowana» – waży proporcje, przycina obrazy, wymienia niektóre słowa i zwroty, by nie tylko znaczyły, lecz również brzmiały, stanowiły rytm, który unosi i porywa”.

Ukazały się dwie książki **Tadeusza Zubińskiego**: *Mitologia Bałtów* i *Mitologia estońska* w tłumaczeniu na język rosyjski.

Z tomu Tadeusza Zubińskiego *Opowieści wrzosowskie* opowiadanie pt. *Tajemnica* zostało przetłumaczone na język turecki przez Osman Firat Baş (turecki tytuł *Giz*) i opublikowane w Miesięczniku Bachibouzouck – Avril-Nissan-April, numer 085-2017.



# Odkryj naszą tajemnicę – *euforia słońca...*



**Sztuczna plaża** w sanatorium Włókniarz daje możliwość skorzystania z dobroczynnych walorów światła słonecznego przez cały rok, w kojącym (muzyka relaksacyjna) i dającym odprężenie otoczeniu, stworzonym przy wykorzystaniu kamyków rzecznych oraz odpowiedniego tła krajobrazowego. Sesje odbywają się w specjalnie zaaranżowanym pomieszczeniu, w którym znajdują się wygodne fotele-leżaki (10 miejsc) oraz kamyki rzeczne o różnorodnym przekroju tworzące „kamienistą plażę”. Chodzenie po tak przygotowanym podłożu jest doskonałą formą masażu stóp – akupresura.



## FOTOTERAPIA – TERAPIA ŚWIATŁEM

Rekomendujemy Państwu urządzenie o nazwie SALUS SOLARIS (zdrowie od słońca), które wykorzystaliśmy do zbudowania sztucznej plaży.

System opracowany i wyprodukowany w Szwecji nazwano SUNSAFE (z ang. bezpieczne słońce) ze względu na możliwość monitorowania bezpiecznej ilości napromieniowania światłem słonecznym, przy jednoczesnym WYELIMINOWANIU szkodliwego zakresu krótkofalowego – promieni ultrafioletowych (UV).

## Seanse z wykorzystaniem światła SUNSAFE:

- łagodzą sztywność stawów i zmniejszają napięcie mięśni (mięśniobóle)
- poprawiają nastrój zwłaszcza jesienią i zimą (depresje)
- wskazane są przy nawracających anginach, alergicznych nieżytach nosa, anemii
- łagodzą zespół napięcia przedmiesiączkowego, bóle głowy w przebiegu pracy zmianowej
- zwiększają metabolizm witaminy D.



## Przeciwwskazania:

- choroby nowotworowe skóry
- niewydolność krążenia
- choroby zakaźne, gorączka
- nadciśnienie tętnicze
- choroby przebiegające z nadwrażliwością na słońce
- zakrzepica żylna
- choroby nowotworowe przed upływem 5 lat od zakończenia leczenia

Zalecany czas ekspozycji na światło SUNSAFE do 60 min. dziennie, optymalny czas 30 min. – zgodnie z zaleceniami Szwedzkiego Instytutu Promieniowania.

... *kaskada natrysków!*

**ZAPRASZAMY**

## WODNA RADOCHA – HYDROTERAPIA

To idealne miejsce do odnowy biologicznej – rekreacji – zabawy dla wszystkich osób aktywnych, dbających o zdrowie i ładny wygląd. Stanowi formę grupowego masażu z użyciem wody i powietrza. Udać się z przyjaciółmi, znajomymi, rodziną w „zmysłową podróż”, gdzie mieszają się łagodne, leniwe bodźce na ŁAWECZCE DO MASAŻU WODNO-POWIETRZNEGO z rozgrzewającą mocą koleczastych strumieni wypływających na różnej wysokości z DYSZ BOCZNYCH i masujących Twoje ciało. Gdzie roztacza się aura Dalekiego Wschodu, która pobudzi Twoje receptory czuciowe na stopach, jeżeli staniesz na MINI GEJZER STRUMIENIOWY DENNY.

Pozytywnej energii doda Ci – miękki, spadowy – powierzchniowy, płaszczowy – silny, głęboki natrysk z trzech różnych dysz stojących typu „WODNY SMOK” na mięśnie pasa barkowego.

Poczujesz wewnętrzną harmonię i odzyskasz siły witalne oddając się masażowi wodno-powietrznemu na LEŻANCE PODWODNEJ. Zachwyci Cię i ubawi masaż na MAXI GEJZERZE STRUMIENIOWYM DENNYM, jeżeli podejmiesz próbę „lewitacji” – siedzenia na jego wierzchołku.



Z naszych urządzeń hydroterapeutycznych mogą korzystać wszyscy, także dzieci i osoby starsze. Docenią je zwłaszcza ci, którzy wiele godzin pracują w pozycji stojącej lub siedzącej, co źle wpływa na kręgosłup i krążenie. Cierpiącym na choroby zwyrodnieniowe wodny masaż ukoji bóle stawów. U zestresowanych i przemęczonych zmniejszy napięcie mięśni, ból głowy, poprawi nastrój i zapewni dobry sen. Znakomicie sprawdza się w kosmetyce. Poprawia ukrwienie skóry, przyspiesza spalanie tkanki tłuszczowej redukując cellulit. U kobiet po porodzie przywraca sprężystość mięśni brzucha. Osoby z chorobami krążenia (np. żylaki) powinny skorzystać z porady lekarza.



**Sanatorium „Włókniarz”, Busko-Zdrój, ul. Rokosza 1  
tel. 41 370 70 00, [www.wlokniarz.pl](http://www.wlokniarz.pl)**



Marek Wawro: *Circulation – Things*, akryl, olej, fotografia, płótno, 120 x 160 cm, 2015



Marian Żywcyk: *Kościół Św. Leonarda I*, akwarela, 35 x 50 cm



BIURO WYSTAW ARTYSTYCZNYCH W KIELCACH  
FILIA W BUSKU-ZDRÓJU, GALERIA SZTUKI „ZIELONA”